Czarna magia kryje się
w jesiennym mroku miasta
KLĄTWA
dla
DEMONA
MAGDALENA KUBASIEWICZ
SQN
imaginatio

KLĄTWA *dla* DEMONA

KLĄTWA *dla* DEMONA

MAGDALENA KUBASIEWICZ

KRAKÓW 2023

Dla Marty i innych osób z grupy Szatański Book Club,
z podziękowaniem za wsparcie dla Jagody ;)

PROLOG

PRZEBUDZENIE SYRENY

Wrześniowy wieczór był chłodny i deszczowy. Przez główny plac warszawskiej enklawy pospiesznie przemykali przechodnie, chroniąc się pod parasolami lub zaklęciami. Sonia Zawicka tkwiła przy posągu syrenki, ustawionym w centrum placu, i trzęsła się z zimna. U jej stóp powoli formowała się kałuża, a buty i dół długiej sukienki nasiąkały wodą. Marzła, mokła, a chłopak, na którego czekała, wciąż się nie pojawiał, choć umówiona godzina minęła siedem minut temu. Z nudów przypatrywała się budynkom i witrynom. Zielonemu Jadowi, ogromnemu sklepowi alchemicznemu, zajmującemu całą kamienicę, Magicznemu Przysmakowi, niewielkiej kawiarni z ogródkiem, kuszącej tortami i pączkami wystawionymi za szybą, Nibylandii – sklepowi z zabawkami, za którego oknami pędziła kolejka, a lalki tańczyły walca… To wszystko może zapewniłoby jej nieco rozrywki, gdyby nie była tu już setki razy.

Sonia postanowiła w duchu, że da absztyfikantowi jeszcze trzy minuty. Ani sekundy dłużej. Nie miała zamiaru sterczeć na deszczu dla osobnika, który albo nie zna się na zegarku, albo nie żywi wobec niej za grosz szacunku. Wybaczyłaby może, gdyby chociaż dał znać – ale specjalnie sprawdziła, jej komórka, czasem szwankująca w enklawie, tym razem działała. Żadnej wiadomości nie było.

Zawicka zastanowiła się przelotnie, czy przypadkiem tuż po narodzeniu złośliwa wiedźma nie rzuciła na nią klątwy zapobiegającej znalezieniu miłości. Na tym polu Sonia miała wręcz nieprawdopodobnego pecha. Najpierw kandydat na męża, narzucony przez rodzinę, niezbyt chętny do ożenku, lecz gotów go rozważyć wyłącznie przez wzgląd na interesy: zupełnie jakby żyli w dziewiętnastym, a nie dwudziestym pierwszym wieku! Potem padalec lecący wyłącznie na jej kasę. Wreszcie – co było już szczytem szczytów – psychopata. Psychopata spod ciemnej gwiazdy, prawdziwy nie tylko w ocenie Soni. Z jego powodu przez miesiąc nie wyszła z domu i do tej pory miała koszmary.

A teraz niby to przemiły student magii bojowej, poznany zaledwie przed tygodniem, który najwyraźniej ją wystawił.

Może Sonia nawet by w tę klątwę uwierzyła, gdyby nie fakt, że sama była wiedźmą klątw. Uczennicą Jagody Wilczek, mistrzyni w dziedzinie rzucania i zdejmowania przekleństw, która na pewno łatwo by wykryła, że na jej adeptce wisi jakieś paskudztwo.

– *Time's over* – zdecydowała Sonia, zerkając na zegarek. Już, już miała się odwrócić i odejść (wmawiając sobie, że ten student wcale nie był aż tak miły i przystojny), gdy kątem oka wyłapała ruch.

Dziewczyna zamrugała, zadzierając głowę, by spojrzeć na posąg. Przez ułamek sekundy sądziła, że coś jej się przywidziało, ale oto syrena, która wznosiła miecz nad głową, znienacka go opuściła, celując ostrzem przed siebie. Sonia poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Z wrażenia wypuściła parasol i cofnęła się tak gwałtownie, że wdepnęła prosto w kałużę.

To nie pierwszy raz, gdy zaklęty posąg z enklawy się poruszał. Zdarzało się mu też czasem przemawiać do przechodniów. Sonia niby o tym wiedziała, ale nigdy nie widziała takiego przypadku. Do ostatniego zresztą doszło dobrych kilka lat temu, gdy była jeszcze dzieckiem. Na szczęście syrenka nigdy nikogo przy okazji swoich występów nie skrzywdziła, więc początkowy strach wiedźmy opadł.

– Kurczę blade, ależ mnie wystraszyłaś! – poinformowała Zawicka syrenę, przyciskając dłoń do klatki piersiowej. – Gdybym była starsza, mogłabym dostać zawału, wiesz?

Wzdrygnęła się i cofnęła jeszcze o krok, gdy syrena opuściła głowę, zwracając na nią spojrzenie kamiennych oczu. Ruchy posągu przyciągnęły uwagę także innych przechodniów: w pobliżu przystanęła para w średnim wieku, mężczyzna, który wyszedł z pobliskiej restauracji, przypatrywał się syrence z otwartymi ustami, młody chłopak zmienił kierunek marszu i zbliżył się do cokołu.

Sonia zaś… w tej chwili miała ochotę uciekać. Gdzie pieprz rośnie. Coś w tych martwych oczach ją przerażało. Stopy jednak jakby przyrosły jej do chodnika.

– Otworzono wrota – powiedział posąg melodyjnym głosem. – Zaklęcie spadnie na miasto. Nie pozwólcie, by zamknął krąg.

A potem syrena zastygła, na powrót znieruchomiała niczym zwykły, niemagiczny posąg. Ale coś się zmieniło: tym razem nie wznosiła miecza nad głową.

Zdawało się, że celuje nim w niewidzialnego wroga.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

KLĄTWA JESIENNEJ NOCY

Padało, gdy Jagoda Wilczek wpadła do jednej z warszawskich kawiarni, przed progiem strząsając z parasola krople deszczu. Szybko wypatrzyła Igę i swoją siostrę Lilianę, które zajęły stolik w kącie. Talerzyki i filiżanki miały już puste. Jagoda tego popołudnia nie tylko nie poszła z Igą na siłownię, lecz spóźniła się też potężnie na umówione spotkanie w kawiarni. Minęła dziewiętnasta, a na dworze zapadła już ciemność. Gdyby Jagoda nie miała dobrego pretekstu, na jej głowę z pewnością spadłyby gromy, bo środowe spotkania były ich rytuałem od ładnych kilku lat. Na szczęście dysponowała doskonałym usprawiedliwieniem.

– Rozprawa się przedłużyła? – spytała Liliana, gdy Jagoda zajęła miejsce u jej boku. Choć były siostrami, różniły się niczym jesień i lato. Jagoda – wysoka, piegowata, z burzą brązowych loków i okularami na zadartym nosie. Liliana – jasnowłosa, filigranowa, o regularnych rysach i alabastrowej cerze, przypominająca porcelanową laleczkę. Jej wizerunek zwiódł niejednego: za tą pozorną delikatnością krył się typowy dla rodziny Wilczków upór, niewiele ustępujący uporowi starszej siostry, oraz umysł ostry jak brzytwa.

– Tak. Sędzia namyślała się dobre pół godziny. Ale… zapadł wyrok. Skazali ją.

– Cieszmy się z małych rzeczy – skwitowała Iga Wiśniewska, współpracowniczka i współlokatorka Liliany. – Mówiłam, że to rozsądna babka i będzie dobrze.

Jagoda wygodniej usadowiła się w fotelu i przymknęła powieki. Dopiero teraz czuła, jak opada z niej napięcie ostatnich godzin. Rozprawa może nie dotyczyła jej osobiście, ale kosztowała wiedźmę znacznie więcej nerwów, niż chciałaby przyznać. Już samo wejście do budynku sądu przywoływało nieprzyjemne wspomnienia. A sprawa była paskudna: dotyczyła rzucenia zabójczej klątwy na nastoletniego Jeremiasza.

Sprawczynią okazała się jego matka. Co gorsza, choć Adrian Potocki, specjalista od klątw prowadzący sprawę w Wydziale do spraw Mrocznej Magii, zebrał sporo dowodów, dobry prawnik miał szanse je podważyć. W ostatecznym rozrachunku wszystko sprowadzało się do tego, czy sędzia da wiarę zeznaniom Jagody, która zdjęła przekleństwo i później potwierdziła, że jego wzór magiczny odpowiada magii Marianny, matki chłopaka.

A prawdopodobnie nie każdy sędzia byłby skłonny ot tak uwierzyć na słowo Wilczej Jagodzie, wiedźmie klątw, którą zaledwie kilka lat temu również oskarżono o zabójstwo, nawet jeżeli dokonane w samoobronie. I na dodatek wywodzącej się z rodziny, o której nielegalnych interesach nieraz mówiono w kuluarach.

– Wciąż nie rozumiem, jak można zrobić coś takiego własnemu dziecku – stwierdziła Liliana przyciszonym głosem. Na miejsce spotkania wybrały kawiarnię po niemagicznej stronie Warszawy, więc Lilka nie chciała, by ktoś za wiele usłyszał z ich rozmowy.

Choć gdyby nawet zostały podsłuchane, to zapewne uznano by, że rozmawiają o jakiejś książce albo serialu.

– Chłopak jest lykaninem – powiedziała równie cicho Jagoda, sięgając po menu, podsunięte jej przez Igę. – Przeszedł pierwszą przemianę. Nie mógł odziedziczyć tego ani po matce, ani po ojcu… człowieku, którego uważał za ojca. Prawdopodobnie nie chciała, by mąż dowiedział się o zdradzie, albo miała… uraz do zmiennokształtnych, a dotąd nie wiedziała, że chłopak zacznie się zmieniać.

– I to ma być powód?! – oburzyła się Liliana, a Iga przewróciła oczami i stwierdziła:

– Młoda, jesteś prawniczką od kilku lat i jeszcze się nie zorientowałaś, że ludzie są pierdolnięci? Cieszmy się, że psychopatka idzie siedzieć. A ja mogę znów powiedzieć: a nie mówiłam? Oto kolejny dowód, że zawsze mam rację.

– To wcale nie było takie oczywiste – mruknęła Jagoda. – Moje słowo przeciwko jej słowu. W dodatku Adrian się dziś nie pojawił. Był świadkiem już na poprzedniej rozprawie, złożył wszystkie zeznania, tyle że podobno znalazł coś nowego.

Nieobecność Potockiego trochę ją złościła, trochę martwiła. Specjalista od klątw z WMM był cichym człowiekiem, zwykle trzymającym się na uboczu i posłusznie wypełniającym rozkazy, ale przejął się tą sprawą. Szukał dowodów, pracował po godzinach, nawet starał się prywatnie wspierać nieszczęsnego nastolatka. Jeżeli dziś nie przyszedł, coś musiało się stać.

– Na szczęście nie był potrzebny. Przepraszam? – Iga wychyliła się zza stolika, zaczepiając

kelnerkę. – Poproszę zieloną herbatę. Jaga?

– Espresso. Mam wrażenie, że jeszcze moment i zasnę.

– Zaraz się obudzisz. Czekałam tylko, aż przyjdziesz… – Iga, ledwo kelnerka znikła z zasięgu słuchu, pochyliła się ku nim i zniżyła głos. – Podobno mamy trupa.

– Co? Jakiego trupa? – spytała skołowana Liliana. – Nic nie wiem o żadnym trupie.

– Bo na razie trzymają to w tajemnicy. Sprawa *top secret*. WMM prowadzi śledztwo. Idę o zakład, że dlatego Adrian się dziś nie pojawił.

– Jak zginął? – Jagoda wyprostowała się gwałtownie, a rozluźnienie stało się tylko wspomnieniem. Jeśli sprawę prowadził Wydział do spraw Mrocznej Magii, doszło do użycia zakazanych zaklęć albo demonicznych mocy. A wbrew pozorom zdarzało się to stosunkowo rzadko. Morderstwo dokonane za pomocą czarnej magii natychmiast zwróciło jej myśli ku Calebowi Blythe'owi, Uczniowi Czarnoksiężnika. Czy mógł maczać w tym palce? O ile jednak wiedziała, opuścił miasto kilka tygodni temu.

– Brutalnie – skwitowała Iga.

– Skąd wiesz?

– Brat ofiary wczoraj poprosił mnie o spotkanie. Najwyraźniej przez chwilę był pierwszym podejrzanym, bo teraz zostaje jedynym dziedzicem.

– Nie obowiązuje cię przypadkiem tajemnica zawodowa? – wytknęła Liliana oskarżycielsko.

Iga parsknęła, wzruszając ramionami.

– Informacji o tym, że doszło do morderstwa, to ona na pewno nie obejmuje. Sekret chce utrzymywać ekipa WMM, nie mój niedoszły klient. Poza tym ostatecznie ani mnie nie zatrudnił, ani nawet nie zapłacił za konsultację. Nic nie jestem mu winna.

– Okej. To w takim razie dlaczego nie powiedziałaś nic wcześniej?!

– Bo chciałam powiedzieć wam obu i nie musieć się powtarzać. Poza tym nie znam szczegółów. Jaga? Ty nic nie wiesz?

– Pewnie, że nie. Skąd miałabym wiedzieć?

Być może babka miała jakieś informacje. Joanna Wilczek lubiła trzymać rękę na pulsie, wiadomościami jednak niekoniecznie dzieliła się nawet z najbliższą rodziną. Niewykluczone, że wokół sprawy już węszył też Sebastian, który podobnie jak babka lubił być na bieżąco, ale jeśli do czegoś się dokopał, nie zdradził nic starszej siostrze. Bliźniaczce też najwyraźniej nic nie wspomniał, to jednak Jagody nie zaskakiwało. Zawsze próbował chronić Lilianę przed złem tego świata. Nie wspominałby jej o mrocznych zbrodniach.

– Bo uwielbiasz mieszać się w wielkie czarnomagiczne afery? – zasugerowała Liliana.

– A Olcha ma do ciebie słabość? – dorzuciła Iga.

– I jeśli Asti czegoś by się dowiedział, prędzej powiedziałby tobie niż mnie? Wiesz, ja przecież jestem taka delikatna i trzeba mnie chronić. Za to tobą straszył kolegów jeszcze w szkole… Bogowie, pamiętam, jak odstraszył mojego pierwszego chłopaka, opowiadając mu, że rzucisz na niego klątwę.

– Poza tym znasz Ucznia Czarnoksiężnika…

– Merlinie i Morgano, zaczynacie brzmieć jak moja uczennica – prychnęła Jagoda. – Nic nie wiem. Słowo. Unikam i Olchy, i Blythe'a jak morowej panny. Oni też do mnie nie wydzwaniają. Nie widziałam żadnego z nich od maja.

Iga obrzuciła ją powątpiewającym spojrzeniem, a Jagoda zazgrzytała zębami. Dwa razy! W ciągu ostatnich lat zaledwie dwa razy wmieszała się w wielką czarnomagiczną aferę! A właściwie w obie została wciągnięta, wręcz zmuszona do działania przez okoliczności. Najwyraźniej zdaniem niektórych oznaczało to, że została specjalistką od czarnej magii.

– Nie patrz tak na mnie. Naprawdę nie mam z tym nic wspólnego.

– Jak cię znam, niedługo będziesz mieć – stwierdziła Iga i w uszach Jagody zabrzmiało to jakoś złowieszczo. Może z powodu stanowczego tonu Wiśniewskiej. – W każdym razie zginął Kordian, syn marnotrawny Lasotów, który wrócił do Warszawy po śmierci ukochanego papy… by sprawdzić, czy coś nie skapnie mu ze stołu. Podobno umarł w paskudny sposób. Syrenka warszawska przemawia, a teraz mamy w mieście mrocznego maga. Przypadek? Nie sądzę.

– Co ma syrenka do mrocznego maga? – spytała Liliana ze zdumieniem. Młodsza Wilczkówna nigdy nie interesowała się legendami, a była za młoda, żeby pamiętać poprzedni występ syreny.

– Ożywa tylko, gdy w Warszawie dzieje się coś bardzo niedobrego – wyjaśniła Jagoda. – Ostatni raz doszło do tego jakieś szesnaście lat temu. Poruszyła się, zapowiedziała, że wkrótce poleje się krew, i ostrzegła przed rosnącym klonem.

– …i dwa czy trzy miesiące później, jeśli dobrze pamiętam, przeprowadzono udany zamach na główne biuro Departamentu Magicznego – uzupełniła Iga. – Musieli to planować od wieków, bo nieźle go zinfiltrowali. Zginęło kilka osób, jeszcze więcej zostało rannych, jedno piętro wyleciało w całości w powietrze. Rafał i Piotr Olchowie, tata i wujek naszego ulubionego Maria, bohatersko zapobiegli wywaleniu w kosmos reszty budynku, a później dorwali Głównego Złego, ale straty i tak były wielkie.

– Nawiasem mówiąc, Główny Zły nazywał się Klonowski – dorzuciła Jagoda.

– Rozumiem, że syrena nie raczyła ostrzec, co dokładnie się stanie, a do zamachu i tak doszło? – dopytała Liliana, a gdy Iga kiwnęła głową, zbyła to prychnięciem. – W takim razie to bezwartościowa pozerka.

– Co racja, to racja. Mogłaby ruszyć ogoniasty tyłek z tego kamienia i coś zrobić. Albo chociaż wyrażać się jasno. Wiecie: Mikołaj Klonowski chce was wszystkich pozabijać, aresztujcie go – skwitowała Iga.

– Jak to się w ogóle dzieje, że ona… wie, że ma coś powiedzieć? – spytała Liliana.

Jagoda, która nie miała o tym pojęcia, odruchowo zerknęła na Wiśniewską. Iga miała doskonałą pamięć i szerokie zainteresowania. Czasem Jaga odnosiła wrażenie, że przyjaźni się z chodzącą encyklopedią.

– Syreny mają… a raczej podobno niektóre z nich miały… zdolności profetyczne – wyjaśniła Iga. – Ponoć kiedyś, zanim jeszcze powstało miasto, jedna taka mieszkała w Wiśle i oczywiście zakochała się w pewnym czarodzieju.

– Aaa! Okej, pamiętam tę legendę – przypomniała sobie Liliana. – Założył gród magów nad brzegiem rzeki, żeby móc z nią być?

– Tak. Ostrzegała męża, ilekroć zbliżało się niebezpieczeństwo. Drogi mężu, będzie susza, drogi mężu, spal ciała z cmentarza, bo powstaną zombie, i tak dalej. Po jego śmierci, w zależności od wersji, albo zamieniła się w posąg, który stoi na naszym placu, albo tchnęła w niego tylko swoją magię, by mógł chronić miasto… Co mu jakoś szczególnie nie wychodzi. Nie wspominając o tym, że tutejsza enklawa powstała na ruinach tamtego grodu, ale w międzyczasie długo nikt tu nie mieszkał – dokończyła Iga. – W każdym razie mamy gadającą syrenkę, morderstwo, a na dodatek dziś było jakieś zamieszanie w szpitalu Batorego. Więc… Lilka, pilnuj, żeby twoje ochronne amulety zawsze były naładowane, a ty, Jaga, nie daj się zabić, okej?

– Ani myślę – zapewniła Jagoda. W tym momencie zaczął dzwonić jej telefon. Gdy po niego sięgnęła i na wyświetlaczu zobaczyła „Buc z WMM", zamarła.

Mario Olcha.

– Nie odbierzesz? – zdziwiła się Liliana, po czym zmarszczyła brwi, dostrzegając minę siostry. – Ej, to wuj? Albo babka? Mam z nimi pogadać za ciebie?

– Nie. To klient – odparła Jagoda wymijająco, bo dopiero co zapewniała, że Mariusz Olcha nie ma w zwyczaju do niej wydzwaniać.

Nie była zresztą pewna, czy chce ten telefon odbierać. Komórka jednak uparcie dzwoniła i dzwoniła, a gdy wreszcie umilkła, niemal natychmiast przyszedł SMS. „Odbierz ten cholerny telefon". Ledwo odczytała wiadomość, znów rozbrzmiał dzwonek.

– Przepraszam – westchnęła i podniosła się z miejsca. – To chyba ważne. Zaraz wracam.

Ruszyła do wyjścia, przeciskając się pomiędzy stolikami. Iga odprowadziła ją podejrzliwym spojrzeniem, które wyraźnie świadczyło o tym, że nie uwierzyła w tego klienta.

– Słucham? – rzuciła Jagoda do telefonu.

– Gdzie jesteś? – padło natychmiast.

– A pytasz, bo…?

– Nie ma cię w mieszkaniu. Jesteś w głównej enklawie?

– Nie – odparła automatycznie, przystając tuż za progiem kawiarni. Przestało w końcu padać, ale było chłodno, powietrze pachniało wilgocią, mokry chodnik błyszczał srebrzyście w świetle latarni. – Co się stało? Jesteś pod moim mieszkaniem?

Pomyślała o Soni, która ten wieczór miała spędzić w domu, i strach chwycił ją za gardło. Czy dziewczynie coś się stało? Ktoś próbował się włamać, a może Zawicka postanowiła użyć magii, po którą zdecydowanie nie powinna sięgać?

– Nie ja. Muchomor. Cholera jasna, gdzie jesteś?!

– W pijalni czekolady, po niemagicznej stronie, przy Emilii Plater. Mario, co się dzieje?

– Będę za pięć minut. Góra dziesięć. Nie ruszaj się stamtąd.

– Co…

Nie zdążyła nawet dokończyć pytania. Mario już się rozłączył. Jagoda zacisnęła powieki i odetchnęła powoli kilka razy, by nie pozwolić, żeby irytacja wzięła nad nią górę. Najwyraźniej do świętych zwyczajów Mariusza Olchy należały stawianie innych przed faktem dokonanym, nieudzielanie informacji i zachowania godne udzielnego władcy.

Mimo to, gdy powtórzyła uspokajającą mantrę, cofnęła się do kawiarni, by zabrać rzeczy i przeprosić Lilianę i Igę. Nie miała ochoty być na każde zawołanie komendanta WMM. Przeczuwała jednak, że jeśli nie poczeka na niego, Mario znajdzie ją, choćby miał przeszukać wszystkie okoliczne kawiarnie, i spróbuje wyciągnąć siłą, a wtedy dojdzie do publicznej awantury. Łatwiej było ustąpić i pokłócić się z nim na zewnątrz, nie na oczach siostry i Igi. Liliana zirytowała się trochę tym, że siostra znika tak szybko, ale uwierzyła w konieczność pilnego zdjęcia klątwy. Iga za to spoglądała na Jagodę z powątpiewaniem i gdyby Wilczkówna nie wiedziała, że przyjaciółka nie posiada magicznych zdolności, zastanawiałaby się, czy ta nie czyta jej w myślach.

Choć wszystko zajęło ledwo dziesięć minut, Mario już czekał na nią na zewnątrz. Wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o charakterystycznych dla rodziny Olchów zielonych oczach i kasztanowych włosach, stał obok auta zaparkowanego na środku chodnika, w miejscu, w którym parkować zdecydowanie nie było wolno. Jeszcze nim Jagoda zbliżyła się do samochodu, otworzył drzwi od strony pasażera.

– Wsiadaj.

– Ani mi się śni.

– To nie pora na kłótnie.

Silił się na spokojny ton, ale coś w spojrzeniu, sztywność ramion, palce mocno zaciskające się na klamce auta podpowiadały Jagodzie, że Mario jest wściekły. Może nawet na skraju wybuchu. To jednak nie był jej problem. Ona nie planowała tańczyć tak, jak Mario zagra.

Mógł sobie myśleć, że robiła to z czystej złośliwości, ale tak naprawdę nie chodziło o to, że nie była gotowa pomóc WMM. Raczej nie miała zamiaru pozwolić, by komendant traktował ją jak niewolnicę.

– Może nie. Ale na pewno na wyjaśnienia, jeśli chcesz, żebym gdziekolwiek z tobą pojechała – oświadczyła.

Stanęła jakieś półtora metra od niego, skrzyżowała ręce na piersi i spoglądała na Olchę wyczekująco. Wykonał taki ruch, jakby chciał ją złapać, może wciągnąć do auta, co przyjęła ze zdumieniem. Nie spodziewała się z jego strony ani przemocy, ani tego, że mógłby naiwnie uznać, iż w ten sposób cokolwiek osiągnie. Zamarł z wyciągniętą dłonią, chyba uświadomiwszy sobie, że próba wciągnięcia Jagody do samochodu siłą niczego nie przyspieszy.

– Rzucono klątwę – powiedział w końcu. – Składając ofiarę z człowieka. Potrzebuję cię tam. Teraz.

Przez jakąś sekundę, nim w pełni dotarło do niej znaczenie tych słów, przypatrywała się Olsze z niedowierzaniem. Potem bez słowa wskoczyła do samochodu i zapięła pas. Mario błyskawicznie znalazł się za kierownicą i odpalił silnik.

– Co wiadomo?

– Niewiele – mruknął Olcha.

Zjechał na ulicę, wymuszając pierwszeństwo, a potem dodał gazu. Normalnie Jagoda zwróciłaby

mu uwagę, że przekroczył dozwoloną prędkość, a jej nie spieszy się na tamten świat ani do zabicia żadnego pieszego, teraz jednak nawet nie zauważyła, że prowadzi jak wariat.

Ofiara z człowieka.

Słyszała zaledwie o paru klątwach wymagających takiej ofiary. Większości nie zdołałaby rzucić. Nie znała potrzebnych inkantacji – księgi, w których je zapisano, podobnie jak tych, którzy z nich korzystali, dawno temu spalono na stosach. I nie zrobili tego niemagiczni, lecz czarodzieje. Wiedzę wytępiono tak skutecznie, że nawet w domu wiekowego czarnoksiężnika, pośród tysięcy woluminów, Jagoda natknęła się na opis zaledwie trzech takich rytuałów. Choć nie powstrzymała się przed ich odczytaniem, potem wyrwała karty i spaliła je w kominku. Ta magia nie była zakazana tylko dlatego, że wiązała się z morderstwem. Jeśli klątwa wymagała poświęcenia życia, by ją utkać, zazwyczaj miała spektakularne skutki. Tego typu przekleństwa zwykle odciskały też piętno na tym, kto je rzucił.

– Rezultaty?

– Nie wiem – odparł Mario i zaklął, gdy zatrzymały ich czerwone światła. – Aura jest na tyle silna, że to bez wątpienia klątwa, potężna. Wszystkie pomiary to potwierdzają. Ale nie wiemy jaka i na kogo rzucona.

– Co mówi Adrian?

– Nic. Jest niedysponowany.

– Macie tam kogoś innego od klątw?

– Gdybym miał jeszcze jakiegoś specjalistę, nie szukałbym cię po całym mieście. Maeve trochę się na tym zna, ale sprawa ją przerasta. Wie, że rzucono klątwę, wie, że jest potężna i czarnomagiczna, tyle że nie potrafi określić rodzaju.

– W jaki sposób zginęła ofiara? – naciskała Jagoda. Widziała, że Mario ledwo nad sobą panował, a odpowiedzi wywarkiwał, ale nie chciała tracić czasu.

– Wykrwawiona. Był krąg, ale żadnych symboli wskazujących, że to próba przywołania czegoś albo kogoś. Aura paskudna. Cholernie silna magia.

Skręcił na prywatny, podziemny parking, z którego można było się przedostać do głównej z warszawskich enklaw. Budynek jako jeden z nielicznych znajdował się po obu stronach przejścia. Jagoda spodziewała się, że pojadą dalej, na ulice enklawy, ale Mario po prostu zaparkował i wyskoczył z auta.

– Tutaj? – spytała z niedowierzaniem, otwierając drzwi. Nie wysiadła jednak od razu, bo bała się, że zawiodą ją nogi, nagle miękkie.

Niewielki budynek należał bowiem do WilCom, rodzinnego przedsiębiorstwa Wilczków, specjalizującego się w stawianiu magicznych osłon i zabezpieczeń. Po „niemagicznej" stronie uchodził za siedzibę małej firmy ochroniarskiej, w istocie jednak był jednym z kluczowych punktów osłony enklawy. Doskonale chronionym punktem. Zawsze ktoś tu dyżurował, a Jagoda podejrzewała, że nawet babka i Sebastian stracili rozeznanie w tym, ile ochronnych czarów rzucono na budynek.

Być może została tu sprowadzona przez Olchę nie tylko z powodu znajomości klątw, lecz także swojego nazwiska.

– Jakim cudem tutaj kogoś zamordowano? Tu są kamery, ochroniarze i jakiś milion zaklęć ochronnych. Ktoś z pracowników?

– Do morderstwa doszło tuż obok. Jaga, chodź wreszcie. Proszę.

To „proszę", tak nietypowo brzmiące w jego ustach, wreszcie Jagodę otrzeźwiło. Zignorowała nawet „Jagę", na którą pozwalała tylko najbliższym, wyszła z auta i ruszyła za Olchą najpierw schodami na parter, a potem do wyjścia na enklawę.

Ofiarę złożono między dwoma budynkami, tuż za miejscem, w którym kończył się zasięg ochronnych czarów. Wiedźma już z daleka, w błękitnawym, magicznym świetle, dostrzegła kręcących się tam funkcjonariuszy. W ciągu ostatnich dwóch lat zdarzało się jej mieć kontakt z WMM na tyle często, że kilku z nich rozpoznała: między innymi ciemnoskórą Maeve oraz Bogdana, specjalistę od osłon. Ten ostatni tkał jakieś zaklęcie, Jagoda jednak nie poświęciła mu uwagi. Zastygła, uderzona paskudną aurą, doskonale wyczuwalną, choć od miejsca zbrodni dzieliło ich jeszcze przynajmniej kilkanaście metrów. Mario stracił cierpliwość, chwycił ją za rękę i zaczął ciągnąć w stronę swoich ludzi.

Wyjątkowo nie zaprotestowała, zbyt wytrącona z równowagi. Przestąpili nad kręgiem znaków wygłuszających magię, może postawionym przez mordercę, może potem, przez WMM. Przeszli obok Bogdana i Olcha wreszcie przystanął. Obejrzał się na Jagodę jakby… z wahaniem.

– Widok nie jest przyjemny – ostrzegł cicho. Na razie niewiele mogła dostrzec: tylko nieznaną sobie kobietę pochylającą się nad czymś zasłoniętym przez Olchę oraz fotografa.

Przygryzła wargę, by zapanować nad mdłościami, które narastały zarówno z powodu echa klątwy, atakującego szósty zmysł, jak i na myśl o tym, co za chwilę zobaczy. Jagodzie zdarzało się w przeszłości oglądać trupy, ale wbrew opinii, jaką niektórzy mieli na jej temat, brutalne sceny widywała rzadko i nie miała żołądka z żelaza.

– Rozumiem – odparła. – Chodźmy. Muszę obejrzeć… źródło klątwy.

– Przepuśćcie nas – polecił Mario, a kobieta, pewnie patolożka, i fotografujący mężczyzna odsunęli się posłusznie.

Jagoda przystanęła jakiś metr od trupa, przypatrując się ciału i otaczającym je plamom krwi. Zapach juchy wręcz wwiercał się w nozdrza. Kobieta w średnim wieku. Ktoś podciął jej żyły, porządnie, tnąc wzdłuż, od nadgarstków aż do łokci. Twarz nosiła ślady przemocy: być może się broniła. Krew plamiła też tu i ówdzie ubranie. Jagoda nie rozpoznawała ofiary. Na całe szczęście, bo gdyby była znajoma, cała ta sytuacja stałaby się jeszcze trudniejsza.

– Żadnego… wzoru na ranach? – spytała, starając się, by jej głos zabrzmiał normalnie.

– Jeśli jakiś jest, to go nie dostrzegliśmy. Rany cięte i kłute, ślady zaklęcia paraliżującego. Wszystko potrwało prawdopodobnie… przynajmniej kilka minut. Może dłużej.

Kiwnęła tylko głową, a potem zacisnęła powieki. Gdy je otworzyła, nie starała się już przypatrywać twarzy zmarłej, ranom, ciemnym plamom na bruku. Szukała nitek magii, jakie musiały tu pozostać po rzuceniu tak silnej klątwy. Dostrzegła je od razu: choć aura ofiary rozwiała się wraz ze śmiercią, echo przekleństwa, które w nią wpleciono, nie zdążyło się ulotnić. Jagoda sięgnęła ku magicznym niciom i ledwo to zrobiła, cofnęła się gwałtownie, wypuszczając je, jeszcze nim spróbowała zbadać, w jakim celu rzucono klątwę.

Bo znała ten wzór.

Zarówno samej klątwy, jak i magii tego, kto ją rzucił.

– W porządku?

– Gdzie… gdzie jest Adrian? – wykrztusiła, spoglądając na Olchę. Tym razem głos uwiązł jej w gardle.

– Mówiłem ci, że jest niedysponowany – odpowiedział Mario z irytacją. Zaraz jednak odetchnął i odezwał się łagodniejszym tonem: – Posłuchaj, wiem, że to dla ciebie trudne, ale muszę wiedzieć, co robi ta klątwa, zanim… zanim będzie za późno.

– Niszczy – odparła, znów zwracając wzrok ku ofierze. Uniosła głowę, bo nitki zdawały się sięgać gdzieś w górę, ale potem rozwiewały się na różne strony i znikały, niemożliwe do wyśledzenia. Nie potrafiła stwierdzić, na kogo rzucono przekleństwo, wiedziała jednak, że na pewno nie tylko na jedną osobę. Wreszcie zrozumiała, dlaczego specjalisty WMM tu nie było i dlaczego parę godzin temu nie pojawił się w sądzie.

– Powoli. Wysysa siły, magię, aż nic nie zostaje. Z początku niemal niezauważalnie, zazwyczaj skutek można dostrzec, gdy jest już za późno. Nie mam pojęcia, dla kogo ją przeznaczono. Ale została rzucona przez Adriana.

***

Świtało już, gdy Maeve odwiozła Jagodę do mieszkania. Kilka godzin na miejscu zbrodni pozwoliło wiedźmie ustalić, że klątwa przypominała połączenie dwóch innych – obu zakazanych. Jedna miała odzierać z magii i Wilczkówna nigdy nie próbowała jej rzucić. Druga wyniszczała organizm na podobieństwo podstępnej choroby, doprowadzając wreszcie do śmierci. Tę Jagoda mogła rozpoznać od razu. Kiedyś jej użyła. Nigdy tego nie żałowała, a jeśli czuła jakieś wyrzuty sumienia, to minęły dawno temu, lecz teraz wciąż się zastanawiała, czy te sprawy miały ze sobą jakiś związek.

Byłaby niemal pewna, że tak, gdyby nie to, że klątwę rzucił Adrian, który nie miał żadnych

powiązań z człowiekiem zabitym przed laty przez Wilczkównę. Ba, Potoccy nie przepadali za ofiarą i być może ze względu na ich szerokie wpływy w wydziale sprawiedliwości nigdy nie wszczęto śledztwa. Nie, Adrian nie miał nic wspólnego z tamtą sprawą. Jednak w kwestii autora przekleństwa nie miała wątpliwości. Mario nie chciał wierzyć ani jej, ani nawet Maeve, która również wyczuwała na miejscu zbrodni ślady aury Adriana – choć początkowo funkcjonariuszka podejrzewała, że jedynie tu był i używał magii, a nie że sam złożył ofiarę. Nad ranem Olcha zdołał ściągnąć na miejsce Annę Radecką, inną warszawską specjalistkę od klątw. Niska, krągła i surowa wiedźma po siedemdziesiątce najpierw narzekała na nocną pobudkę, potem na widok Jagody obraziła się, że to nie ona została poproszona o pomoc jako pierwsza, a wreszcie stwierdziła, że „nawet kretyn by się zorientował, że zrobił to ten wasz chłopak". O naturze klątwy potrafiła powiedzieć jednak tylko tyle, że jest niszcząca.

Mario, nie mogąc dalej zaprzeczać oczywistemu, wziął paru ludzi i pojechał do mieszkania Adriana, a Jagoda starała się ustalić, na kogo rzucono przekleństwo. Nitki magii jednak rozbiegały się i nie zdołała znaleźć punktu zaczepienia. Stwierdziła jedynie, że ofiarą nie miała być konkretna osoba – co nie zaskakiwało, zważywszy na to, że aby rzucić klątwę, poświęcono życie. Tkanie takiego przekleństwa, aby pozbyć się jednego człowieka, byłoby jak wysadzenie w powietrze całego miasta, żeby dopaść jednego mieszkańca. Za dużo pojedynczych nici, z których każda mogła wywołać spustoszenie.

Jeden z najbardziej zaufanych pracowników WMM okazał się mordercą i, prawdopodobnie, czarnoksiężnikiem. Gdzieś w enklawie w aury całej grupy osób mogła wplątywać się właśnie klątwa, mordercza i niemal niemożliwa do zauważenia. Jagoda zakładała, że jeśliby szybko znaleźli potencjalne ofiary, mogłaby jeszcze je uratować… ale za jakieś dwa, trzy dni, będzie na to za późno.

Syrenka warszawska nie przebudziła się bez powodu.

Po tym wszystkim Jagoda marzyła, by odpocząć, a jednocześnie nie była pewna, czy zdoła zasnąć. Wciąż przed oczami miała Adriana, takiego, jakim widziała go ostatnio: zmartwionego i przejętego sprawą Jeremiasza. Może nie przyjaźniła się z Potockim, znała go jednak całkiem nieźle. Był od niej niewiele starszy i oboje specjalizowali się w wąskiej dziedzinie. Jeszcze wczoraj nie uwierzyłaby w to, że mógłby kogoś z zimną krwią zamordować.

Do mieszkania wchodziła zmęczona i przygnębiona, z głową pełną czarnych myśli. Starała się zachowywać cicho, ale ledwo zamknęła zamek, jej uczennica wychynęła z pokoju.

– Przepraszam. Nie chciałam cię obudzić – mruknęła Jagoda, gdy Sonia zapaliła światło.

Zrzuciła buty, odwiesiła kurtkę i ruszyła prosto do łazienki. Jej piegowata twarz w lustrze była blada, brązowe włosy pod wpływem wilgoci zbiły się w poplątany gąszcz, a worki pod ciemnymi oczami stały się jeszcze wyraźniejsze niż zwykle.

– Co ty, nie spałam! Czekałam, aż wrócisz – oświadczyła Sonia, która dotarła za nią aż na próg łazienki. Dziewczyna stłumiła ziewnięcie i oparła się o framugę, gdy Jagoda zdjęła okulary i zabrała się do mycia zębów.

– Mówiłam, że coś mi wypadło i masz nie czekać.

– Taaak, to zwykle oznacza, że wreszcie dzieje się coś ciekawego!

Jagoda nie odpowiedziała, zerkając tylko na Sonię znad pełnego wody kubka. „Wreszcie". „Coś ciekawego". Gdy ostatnio działo się „coś ciekawego", Zawicką porwano, a samą Jagodę chciał zeżreć wielki zły wilkołak. Minęło parę miesięcy i najwyraźniej Sonia już zapomniała o grozie tamtych chwil.

Ewentualnie – co Jagoda czasem podejrzewała – Zawicka pozostawała trochę oderwana od rzeczywistości.

– No hej, Jaga, chyba nie każesz mi czekać, aż napiszą o tym w gazetach? Co? Co się działo? Nie mów, że randka, po randce nie wyglądałabyś jak wrzucona do pralki i odwirowana. Tak to mógłby wyglądać wtedy facet. Jeśliby cię zdenerwował.

– Dzięki – odparła Jagoda sarkastycznie, odkładając szczoteczkę na miejsce. Ruszyła do swojej sypialni, ale Sonia albo nie załapała aluzji, albo postanowiła ją zignorować.

– Co się stało? Naprawdę nie puścisz pary?

Wilczek opadła na łóżko, które zajmowało mniej więcej połowę jej pokoju. Poza nim w sypialni mieściły się jeszcze szafa, stolik nocny i biurko – trzymała w nim rzeczy, których nie odważyła się

wystawić w salonie. Padała z nóg, w głowie jej pulsowało, oczy ją piekły. Nie spała od niemal dwudziestu czterech godzin. To nie był moment na opowieści. Nie wspominając o tym, że wydarzenia z nocy zapewne pozostawały tajne i Jagoda zakładała, że gdy jutro pojawi się w WMM, by złożyć zeznania, podsuną jej do podpisania także zobowiązanie do zachowania poufności.

Zmagała się przez moment sama ze sobą, rozważając, co powiedzieć. Nie mogła i nie chciała dzielić się całą historią. Miała jednak nieodparte wrażenie, że jeśli spróbuje Sonię przegonić, ta najpierw będzie się starała coś z niej wyciągnąć i nie da jej spać, a potem będzie się boczyć cały tydzień.

– WMM. Potrzebowali konsultacji w sprawie klątwy. Wiedzą, że jakąś rzucono, nie wiedzieli, jak działa.

– O! Widziałaś się z Olchą?

– Tak – westchnęła Jagoda.

Dostrzegła, że oczy Soni zabłysły na tę odpowiedź. Czy nadinterpretowała, czy jej uczennica naprawdę podkochiwała się w komendancie WMM? Mario był starszy, pochodził z szanowanej rodziny, miał imponujące stanowisko i władał silną magią. To łatwo mogło zrobić wrażenie na młodej dziewczynie. Gorzej, że takie zauroczenie mógłby bezlitośnie wykorzystać. Nie po to, by dziewczę uwieść i porzucić, to nie byłoby w jego stylu, ale by wykorzystać ją do zbierania informacji.

– Co mówił? Co to za klątwa?

– Potencjalnie mordercza – odparła Jagoda, mając nadzieję, że to trochę przyhamuje entuzjazm Zawickiej. – Nie mam pojęcia, dla kogo przeznaczona, i raczej się nie dowiem. Nie pytaj mnie o szczegóły, bo niewiele wiem, a i nie mogę o tym opowiadać. Nikomu o tym nie wspominaj. Zwłaszcza Jess, bo zaraz będzie o tym mówić połowa Warszawy.

– A…

– Jest prawie szósta rano – przerwała jej Jagoda. – Wczoraj wstałam o siódmej i od tego czasu nie spałam. O cokolwiek chcesz spytać, to może poczekać parę godzin.

– Żebyś jeszcze wtedy odpowiedziała – westchnęła Sonia, ale wycofała się za próg i zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ DRUGI

NIECH ŻYJE BAL

Posągi syren mogły wygłaszać złowieszcze wróżby, a mordercy szaleć na warszawskich ulicach, jednak w żaden sposób nie wpływało to na plany Joanny Wilczek. Ludzie, którzy w tym roku wybrali ją na szefową komitetu organizacyjnego imprezy charytatywnej, nie wiedzieli, co czynią. Nestorka rodu Wilczków od kilku miesięcy szykowała galę i Jagoda podejrzewała, że babka wyprawiłaby ją nawet, gdyby nastąpił potop. (W takim wypadku zapewne po prostu wynajęłaby odpowiednio duży – i oczywiście luksusowy – statek).

Sytuacja zresztą nie była aż tak ekstremalna. Tydzień po tym, jak doszło do drugiej zbrodni, informacje o obu morderstwach zdążyły wyciec do prasy i wzbudzić niepokój w warszawskiej społeczności, Mario jednak zdołał ukryć szczegóły. Nikt nie wiedział o tym, że w sprawę zamieszany był pracownik WMM, ani o klątwie. Co więcej, ku zdziwieniu Jagody, skutki przekleństwa wciąż nie dały o sobie znać. Po tygodniu jej ofiary powinny już się zgłosić do Batorego, a w przypadku klątwy wzmocnionej przez zabójstwo może nawet nie żyć. Choć jednak codziennie przeglądała dział nekrologów w „Głosie Magii" i poprosiła znajomego uzdrowiciela o informację, gdyby przyjęli trudnego do zdiagnozowania pacjenta, na razie nie natknęła się na nic niepokojącego. Gdy szukała informacji też w archiwalnych numerach, z pewnym zdumieniem odnotowała, że niedawno zmarł Roman zwany Cesarzem, funkcjonariusz WMM, co skwitowano tylko krótką wzmianką. Doszło jednak do tego jeszcze przed pierwszą zbrodnią, a wypadek samochodowy nie miał wiele wspólnego z klątwami Adriana. Poza tym brakowało doniesień o tajemniczych zgonach.

Miała nadzieję, że nie jest to tylko cisza przed burzą.

Nie było więc powodu do odwoływania najważniejszego wydarzenia sezonu. Bal odbywał się z należytą pompą i ściągnęła na niego cała magiczna śmietanka nie tylko z Warszawy, lecz także dalszych zakątków kraju. W głównej sali Gwiezdnego Zajazdu bawiło się niemal tysiąc osób, a Jagoda podejrzewała, że gdyby największy magiczny hotel w warszawskiej enklawie był większy, babka poszerzyłaby listę gości. Oficjalnie zgromadzenie miało służyć zbieraniu datków i licytacji na cele edukacyjne. Nieoficjalnie chodziło o pokazanie się w towarzystwie, zademonstrowanie kreacji i biżuterii, spotkanie z przyjaciółmi i wrogami, knucie, flirtowanie, omawianie interesów.

Ciemne ściany i sufit sali iskrzyły się niby nocne niebo usiane gwiazdami. Poza nimi jedynym źródłem światła były magiczne lampiony: setki, tysiące niewielkich lampionów. Pomieszczenie wypełniały tańczące cienie i muzyka, która zdawała się dobiegać znikąd i zewsząd jednocześnie. Gwar rozmów, szelest wspaniałych sukien, błysk biżuterii i mnóstwo, mnóstwo magii, aury mieszających się czarów – wszystko to sprawiało, że Jagodzie przypominało to scenę ze snu. I może faktycznie tak było, bo gdy szła przez salę, całą sobą czuła, że tu nie pasuje. Na imprezach, czy to małych, czy dużych, nigdy nie umiała się rozluźnić, zawsze czuła się nie na miejscu. Na tak wielkiej fecie miała ochotę uciekać zaraz po przekroczeniu progu.

Ale obiecała babce, że przyjdzie, a raczej zawarły umowę i musiała dotrzymać jej warunków. Joanna Wilczek nie przepuszczała złamanych obietnic, nawet (a może zwłaszcza) rodzinie. Jagoda pojawiła się więc w swojej najlepszej sukience – i tak wyglądającej nazbyt skromnie, ubogo wręcz, na tle kreacji większości pań, w okropnie niewygodnych butach, a nawet w makijażu kryjącym piegi i cienie pod oczami. Gdy wędrowała przez salę w poszukiwaniu babki, czasem ktoś ją pozdrowił, choć nikt nie zatrzymywał się, by zamienić parę zdań… i może lepiej, bo z większością gości wcale nie miała ochoty rozmawiać.

Babkę znalazła w końcu w pobliżu sceny, otoczoną wianuszkiem rozmówców. Na jej szyi, nadgarstku i w uszach błyszczały szmaragdy. Siwe, ale wciąż gęste włosy miała zaczesane w staranny kok, zielona jedwabna suknia opadała aż do ziemi. W ręku trzymała kieliszek szampana i śmiała się, pochylając ku rozmówcy, mężczyźnie młodszemu od niej o przynajmniej dwadzieścia lat. Joanna Wilczek miała na karku niemal osiemdziesiątkę, ale – jak często bywało w przypadku potężnych i bogatych magów – cieszyła się darem długowieczności. Dzięki magii, eliksirom, licznym zabiegom, ale też samodyscyplinie i aktywności fizycznej, prezentowała się znacznie młodziej, niż wskazywałaby metryka. Nikt nie dałby jej więcej niż sześćdziesiąt lat.

Tego wieczoru może nawet pięćdziesiąt. Jagoda, przypatrując się Joannie, stwierdziła w duchu, że ta dziś szczególnie o siebie zadbała. Potem zaś uznała, że to swego rodzaju ironia. Gdyby postawić je

obok siebie, uwagę większości prawdopodobnie przyciągałaby nie wnuczka, lecz babka, wyglądająca jak powoli się starzejąca gwiazda kina. Akurat gdy po głowie krążyły jej takie myśli, Joanna uniosła głowę.

– Jago, wreszcie jesteś, kochanie!

Babka ruszyła ku niej, a potem nadstawiła policzek, zmuszając Jagodę do pochylenia się, by złożyć na nim pocałunek. Joanna, choć podobnie jak wnuczka ciemnooka i piegowata, była filigranowej budowy i sięgała Jadze zaledwie do ramienia.

– Adamie, Doroto, znacie moją najstarszą wnuczkę? Oto Jagoda. Jago, kochanie, poznaj Adama Trzmiela i Dorotę Jukę, właścicieli Jukiela, naszego partnera biznesowego z Krakowa. Tomka Wrzosa na pewno pamiętasz.

– Miło mi państwa poznać. Nie będę przeszkadzać, chciałam tylko przywitać się z babcią…

…a raczej przedefilować przed jej oczami, aby wiedziała, że Jagoda dotrzymała słowa.

– Nonsens! – Joanna stanowczym gestem ujęła wnuczkę pod ramię. – Mówiłam właśnie Adamowi, że mogłabyś pokazać jego synowi miasto. Konrad był gdzieś tutaj przed chwilką…

– Tak, myślę, że zaraz się pojawi. Joanna… hm, wiele o tobie opowiadała – stwierdził Adam. Mówił uprzejmym tonem, zerkał jednak na nią z podejrzliwością. Z początku chciał chyba wyciągnąć rękę na powitanie, ale zamarł w połowie gestu.

Jakby niepewny, czy przy dotknięciu nie oberwie klątwą.

Złość zalała Jagodę, ale wiedźma niemal natychmiast nad nią zapanowała, nie pozwalając, by irytacja wypłynęła jej na twarz. I nie, nie chodziło o zarzucony gest Adama. Raczej o słowa babki, chociaż wiedźma od początku podejrzewała, że Joanna wymyśli coś takiego. Od dawna chciała sprowadzić niepokorną wnuczkę z powrotem na łono rodziny i wyleczyć z „fanaberii". Takie imprezy i znajomości stanowiły w opinii babki krok we właściwym kierunku. Samo przyjście na bal jednak nie wystarczało: należało zadbać o ciąg dalszy. Na przykład przez swaty. Nawet jeżeli ludzie, ku którym chciała pchnąć wnuczkę, nie byli pewni, czy warto ryzykować kontakty z Wilczą Jagodą.

Ale Jagoda umiała być równie uparta jak nestorka rodu. Kobiety Wilczków miały to we krwi.

– Niestety, jutro nie znajdę czasu. Może poprosisz Lilianę, babciu?

– Nie będziesz przecież zajęta cały dzień, kochanie.

– Mam plany. Nawet dziś przyszłam tylko dlatego, że obiecałam. Ledwo się wyrwałam – oświadczyła, ignorując ostrzegawczy wzrok babki. Odpowiedziała śmiałym spojrzeniem w nadziei, że Joanna pojmie przesłanie: umowa obejmowała tylko bal i albo babka odpuści, albo jej wnuczka zachowa się zaraz bardzo, bardzo niegrzecznie.

Ten milczący, wzrokowy pojedynek trwał kilka sekund, ale w końcu Joanna uśmiechnęła się z przymusem.

– Porozmawiamy o tym później.

Co oznaczało mniej więcej: „Zapłacisz za to, kochanie". Jagoda w to nie wątpiła, ale nie zamierzała ustąpić.

– Mam nadzieję, że będą się państwo dobrze bawić. Teraz przepraszam, chciałabym przywitać się z bratem – rzuciła, choć w istocie ani myślała biegać po sali za Sebastianem. Pewnie właśnie oczarowywał jakąś dziewczynę… o ile znalazła się tutaj taka, która nie znała jego reputacji notorycznego podrywacza.

Nie zważając na chłód w spojrzeniu babki, obróciła się na pięcie i odeszła. Najchętniej powędrowałaby wprost do marmurowych schodów, rodem z baśni o Kopciuszku, ale nie chciała denerwować Joanny jeszcze bardziej. Zaczęła się więc rozglądać. Wiedziała, że Liliana i jej wspólnik mieli się tu pojawić i oboje namawiali do przyjścia także Igę. W ich towarzystwie mogłaby spędzić tę obowiązkową godzinę, nim rozpocznie się licytacja i zdoła dyskretnie się ulotnić. Nigdzie jednak nie zdołała wypatrzeć siostry. Tu i tam migały jej znajome twarze, ale nie dostrzegła nikogo, z kim miałaby ochotę porozmawiać. Zauważyła między innymi Maria Olchę w towarzystwie Maeve O'Brienne i natychmiast ruszyła w przeciwną stronę. Gości wciąż przybywało – Jagoda, znając zwyczaje wyższych, magicznych sfer, domyślała się, że ci, którzy chcieli zwrócić na siebie uwagę, pojawią się spóźnieni.

– Przepraszam – mruknęła, gdy oglądając się za kobietą, którą w pierwszej chwili wzięła za

Lilianę, na kogoś wpadła. I cofnęła się zakłopotana, bo wprawdzie śniady mężczyzna w średnim wieku, z którym się zderzyła, był jej obcy, ale za to znała chłopca, z którym rozmawiał. Jeremiasz: wychudły, nadmiernie wyrośnięty nastolatek o długich kończynach, wielkich oczach i burzy loków, których mogłaby pozazdrościć mu niejedna dziewczyna. Widziała go w sądzie zaledwie parę dni temu.

– Nie szkodzi. Pani Jagoda Wilczek, prawda?

– Uhm. Tak. Dzień dobry. Witaj, Jeremiaszu.

– Cześć – wymamrotał chłopak, odwracając wzrok. Wyglądał trochę dziwnie w przydużym garniturze. Chyba też czuł się w nim niekomfortowo… o ile nie wynikało to z obecności Jagody.

– Leon Gruszyński, opiekun z Przystani Sawy – przedstawił się mężczyzna i Jagoda przypomniała sobie, że nie był tak zupełnie obcy: widziała go na jednej z rozpraw i potem na korytarzu sądu, rozmawiającego z Adrianem. Przystań Sawy pełniła dwojaką funkcję: była swego rodzaju domem dziecka, a zarazem szkołą z internatem w warszawskiej enklawie. Nie przypominała jednak w niczym Hogwartu. Wysyłano tam młodzież sprawiającą problemy swoimi talentami albo taką, którą nie miał się kto zająć. Często sieroty, dzieci porzucone albo zdolne, lecz pochodzące z biednych rodzin, które nie mogły opłacić porządnej edukacji.

Przystań była też głównym beneficjentem dzisiejszej gali. Pieniądze ze sprzedaży biletów miały zostać przeznaczone na modernizację placówki, a z licytacji i datków – na stypendia dla starszych podopiecznych.

– Jesteśmy wdzięczni, że pomogła pani Jeremiaszowi.

– Byłam winna uzdrowicielowi z Batorego przysługę – skwitowała Jagoda szorstko i niemal natychmiast poczuła się z tego powodu głupio. Zabrzmiało to tak, jakby w innym przypadku pozwoliła chłopakowi umrzeć.

Jeszcze głupiej poczuła się na myśl, że to w pewnym stopniu była prawda. Gdyby natknęła się na umierającego z powodu klątwy nastolatka, zdjęłaby ją. Ale zazwyczaj nie jeździła do szpitala na konsultacje trudnych przypadków, jeśli nie otrzymywała za to zapłaty. Gdyby świadczyła usługi za darmo na każde życzenie, nie zdołałaby się utrzymać.

– Tak czy inaczej, jesteśmy wdzięczni – powtórzył Leon, choć Jeremiasz nie wyglądał na ani trochę wdzięcznego. Właściwie Jagodzie wydawało się, że chłopak najchętniej rozpłynąłby się w powietrzu. – Pani i pani babce również. Jeremiasz jest jednym ze stypendystów.

Sądząc po sposobie, w jaki chłopak zacisnął szczęki na te słowa, wcale nie był z tego zadowolony. W głębi ducha doskonale go rozumiała. Pewnie mając siedemnaście lat, też czułaby się źle, gdyby zaciągnięto ją na wielki bal, by zaprezentować ludziom, którzy sfinansują jej edukację i utrzymanie.

– Jestem pewna, że Jeremiasz już niedługo nie będzie potrzebował takiego wsparcia – oświadczyła, choć bardziej chciała w to wierzyć, niż faktycznie wierzyła. Zwróciła spojrzenie na chłopaka, wahając się przez moment przed zadaniem kolejnego pytania. – Wolisz pozostać w Przystani, niż spróbować dołączyć do stada…?

– Stada? – spytał z niezrozumieniem.

– Pani Wilczek… Jeremiasz to młody chłopak, czarodziej, i jego miejsce jest…

– Stada zmiennokształtnych. Lykan – przerwała Leonowi, trochę zaskoczona, trochę zła, bo wyglądało na to, że dzieciakowi nikt nie przedstawił innej możliwości. Był nie tylko czarodziejem, ale też zmiennokształtnym, a ci podlegali odmiennym regulacjom. – Nie wiem o nich wiele, ale w Polsce są dwa i przynajmniej jedno z nich przyjmuje nowych członków.

– Jeremiasz nigdzie się nie wybiera.

– Jeremiasz powinien sam zdecydować.

– Jest nieletni!

Leon podniósł głos. Jagoda miała ochotę zaprotestować, ale dotarło do niej, że Czarodziejska Sala pełna gości nie jest dobrym miejscem na takie rzeczy. Już przyciągnęli zaciekawione spojrzenia kilku osób.

– Porozmawiamy później – rzuciła tylko do Jeremiasza.

Nie miała pewności, czy dołączenie do lykan byłoby dla chłopaka najlepsze, ale powinien mieć

wybór. O zmiennokształtnych wiedziała niewiele, bo nie lubili zadawać się ze światem zewnętrznym, ale na pewno byli istotami stadnymi. Dzieciak zaś pozostawał stada – w obojętnie jakiej formie – pozbawiony.

Gdy odchodziła, Leon nie wyglądał już na wdzięcznego za udzieloną pomoc. Przeszło jej przez głowę, że miała talent do denerwowania ludzi: w ciągu pół godziny zdążyła zirytować babkę i Gruszyńskiego. Naprawdę powinna unikać takich zbiegowisk.

Gdy nie zdołała znaleźć ani siostry, ani Igi, stanęła nieco z boku, z drinkiem zgarniętym z tacy kelnera, zastanawiając się, co jeszcze pójdzie nie tak. Ledwo to pomyślała, parę metrów dalej dostrzegła jedną z ostatnich osób, jakie chciała – i które spodziewałaby się – tutaj zobaczyć.

Caleb Blythe. Uczeń Czarnoksiężnika.

Sądziła, że wyjechał z Warszawy jakiś czas temu. Nawet gdyby wiedziała, że wrócił, nie uwierzyłaby, że babka zaprosi go na galę. A jednak: stał tutaj, we własnej osobie, nie było mowy o pomyłce, choć wyglądał inaczej, niż zapamiętała. Gdy Caleb ukrywał się pod jej dachem, jasne włosy miał przydługie i rozczochrane, szczękę pokrywał zarost, zawsze był nieporządnie ubrany, a pościg za Danielem przez kilka krajów i starcie z nim sprawiły, że stracił na wadze i wyglądał jak po długiej chorobie. Teraz stał przed nią człowiek, którego można by uznać za wzór angielskiego dżentelmena. Starannie ostrzyżony i ogolony, ubrany w bez wątpienia bardzo drogi garnitur. Wypoczęty, w pełni sił, a jeśli sądzić po uśmiechu, który błąkał mu się na ustach, całkiem zadowolony z życia. Stał w towarzystwie dwóch kobiet i mężczyzny, w którym Jagoda z pewnym zaskoczeniem rozpoznała funkcjonariusza WMM Tomasza Czarneckiego – a Mario przecież Caleba szczerze nie znosił! Najgorsze było jednak, że Blythe nie patrzył na nich, lecz prosto na nią i nawet się z tym nie krył.

Może podpowiadała jej to wyobraźnia, ale miała wrażenie, że w jego wzroku czaiło się rozbawienie. Na tę myśl szlag ją trafił. Przez ułamek sekundy wiedźmę kusiło, by bez względu na konsekwencje cisnąć w Ucznia Czarnoksiężnika jakąś klątwę, szybko jednak zwalczyła ten impuls. Choć wiedziała, że będzie to wyglądać jak ucieczka, odwróciła się i zaczęła przepychać przez tłum do wyjścia. Mało kto umiał wyprowadzić ją z równowagi równie skutecznie jak Caleb i nie chciała, by ich spotkanie zakończyło się małym skandalem towarzyskim.

Przemknęła bocznym korytarzem, kierując się do ogrodu na tyłach hotelu. Początkowo miała zamiar przysiąść na którejś z kamiennych ławek, by ochłonąć, a potem się ulotnić (i nieważne, co pomyśli o tym babka!). Ledwo jednak przekroczyła próg budynku, ktoś ją zawołał.

– Wilczek!

Obejrzała się i niemal z ulgą ujrzała Mariusza Olchę. Z dwojga złego wolała jego niż Caleba.

– Mario. Co się dzieje? Znaleźliście ofiarę klątwy?

Szef Wydziału do spraw Czarnej Magii w ręku trzymał paczkę papierosów, więc nie wyszedł za nią. Przyspieszył jednak, by dogonić Jagodę, a to oznaczało, że miał do niej jakiś interes.

– Nie. Żadnych ofiar, żadnych rezultatów. Może się nie udała albo osoby, w które ją wymierzono, nie przebywają już w okolicy. A poza tym mów ciszej – mruknął Mario, gdy zrównał się z Jagodą. Pstryknięciem palców zapalił papierosa, potem zaś w przypływie niepasującej do niego grzeczności wyciągnął ku niej paczkę. Pokręciła głową.

– Znaleźliście Adriana?

– To informacja zastrzeżona. Poza tym nie wiemy, czy to Adrian.

– Czyli nie. Czego ode mnie potrzebujesz? – Opadła na jedną z kamiennych ławek pod ciemnym żywopłotem.

Wiecznie zielone krzewy, wysokie niemal na trzy metry, tworzyły wokół Gwiezdnego Zajazdu labirynt pełen zacisznych zakątków, w których rosły kwiaty, szemrały fontanny, nocą rozbłyskiwały latarnie ukryte pośród gałęzi, a posągi mitycznych stworzeń i słynnych czarodziejów w razie potrzeby wskazywały gościom kierunek. Ktoś mógłby uznać otoczenie za romantyczne, ale Jagodzie to miejsce zawsze kojarzyło się raczej z Turniejem Trójmagicznym z Harry'ego Pottera. Gdy pierwszy raz tu trafiła, jeszcze jako nastolatka, była pewna, że zaraz zza rogu wyjdzie potwór.

– Skąd wniosek, że czegoś potrzebuję? – spytał, po czym pokręcił głową z rezygnacją, gdy rzuciła mu powątpiewające spojrzenie. – Chciałbym, żebyś porównała dwie próbki zebrane przez skaner

w miejscu rzucenia klątw i potwierdziła wyniki. Płaca według zwykłej stawki. Wpadniesz w tym tygodniu do biura?

– Wpadnę – zgodziła się po paru sekundach wahania.

To było zlecenie jak każde inne: nie musiała lubić swoich pracodawców i nie powinna odrzucać szansy na zarobek. Zwłaszcza że mogło stać się pierwszym z kilku. WMM chwilowo pozostawało bez specjalisty od klątw i Jagoda sądziła, że ten brak da się im we znaki. Jeszcze trzy lata temu poza Adrianem mieli też jego nauczyciela, ale ten odszedł na emeryturę i rzadko bywał w Warszawie. Może nie potrzebowali specjalnych umiejętności Adriana codziennie, ale już kilkanaście razy w roku… owszem. A podejrzewała, że zanim znajdą zastępstwo, minie sporo czasu. Nie tylko dlatego, że trudno kogoś takiego znaleźć. W WMM płaca była dobra, więc jeśli zadowoliliby się kimś spoza listy najlepszych specjalistów w kraju, poszukiwania powinny zająć trzy, cztery miesiące. Zakładała jednak, że Mario ich nie zaczął. Musiałby wtedy przyznać, że Adrian już nie pracuje dla wydziału.

– Wiesz, że twój funkcjonariusz właśnie rozmawia z Uczniem Czarnoksiężnika? – spytała, zrzucając ze stóp szpilki.

– Nie mam wpływu na to, co robią moi ludzie w czasie wolnym.

– Nawet twój zastępca? – upewniła się podejrzliwie. – Zaraz. Olcha, czy ty planujesz zwerbować Caleba na miejsce Adriana…?

– Oszalałaś? – odparł z tak autentycznym oburzeniem, że natychmiast dała mu wiarę. – Nigdy nie przyjmę Blythe'a do WMM!

– Dobrze, bo już zaczęłam się zastanawiać, czy coś cię nie opętało. Ale nie uwierzę, że Tomek rozmawiał z Calebem ze względu na jego błyskotliwy dowcip.

– Możesz wierzyć w cokolwiek zechcesz, Wilczek – parsknął Mario, opadając na ławkę obok niej.

Wzruszyła tylko ramionami. Rozumiała, że nie dowie się, o co chodzi, choć w jej głowie rozbrzmiewały dzwonki alarmowe. Mariusz Olcha zdawał się nienawidzić Blythe'a. Co takiego sprawiło, że posłał do niego swojego zastępcę?

„Mamy w mieście mrocznego maga", powiedziała Iga jakiś czas temu. Dwa morderstwa, czarna magia, klątwa, pracownik WMM składający ofiary z ludzi. Być może działo się coś jeszcze, o czym Jagoda nie wiedziała, a co doprowadzało Maria do rozpaczy. Na tyle, by prosić o pomoc kogoś, kto na czarnej magii znał się prawdopodobnie lepiej niż wszyscy eksperci z WMM razem wzięci.

Nie twoja sprawa, upomniała samą siebie. Tym razem nie miała powodów, by mieszać się w „wielką czarnomagiczną aferę".

– Ta klątwa musiała zadziałać – mruknęła, gdy cisza między nimi się przedłużała. Milczenie denerwowało Jagodę bardziej, niż powinno. Zacisnęła palce na brzegu ławki, czując, że rośnie irytacja, która towarzyszyła jej przez cały dzień w związku z balem. – Była za mocna. Nie mogła się po prostu rozpłynąć.

– Ale kogokolwiek dotknęła, nie dotarliśmy do niego.

– Teraz już i tak pewnie dla niego… dla nich za późno. Na twoim miejscu przyjrzałabym się zgonom z ostatniego tygodnia.

– Myślisz, że o tym nie pomyślałem?

– Masz rację – przyznała niechętnie. Olcha jej zdaniem często za bardzo trzymał się procedur, miał tendencje do zatajania ważnych informacji przed osobami, których sprawa dotyczyła, może też cierpiał na lekką paranoję, ale nie musiała uczyć go prowadzenia śledztwa. Na pewno sprawdził nie tylko wszystko, na co ona mogłaby wpaść, lecz i kilka innych rzeczy.

Mario teatralnym gestem położył dłoń na sercu. Wiedźma zacisnęła zęby. Chłód sprawiał, że dostawała gęsiej skórki, a po kręgosłupie biegły zimne dreszcze.

– Bogowie, czy teraz ziemia rozstąpi się pod nami? Jagoda Wilczek przyznała mi rację!

– Jeśli próbujesz być zabawny, to ci nie wychodzi – wyszeptała, przymykając oczy. Miała wrażenie, że powietrze stało się gęstsze. Z coraz większym trudem chwytała kolejne oddechy. Gdzieś za nimi zaszeleścił żywopłot, ale ledwo zwróciła na to uwagę.

– Jagoda? Wszystko w porządku?

– N… nie wiem – odparła, unosząc dłoń do gardła.

Trucizna, przeszło jej przez myśl w pierwszej chwili. Ktoś mógł dosypać czegoś do drinka, którego wypiła na sali. Gdy jednak walczyła o kolejne oddechy, dotarło do niej, że źródło złego samopoczucia nie leżało w ciele, a na pewno nie w żołądku.

– Jaga, spójrz na mnie. Jest ci słabo? Mam zawołać uzdrowiciela? Na sali jest Muchomor…

– Nie, nie.

Olcha wyciągnął ku niej rękę. Chwyciła go za nadgarstek, mocno zacisnęła palce, raczej w panicznym odruchu niż dla powstrzymania Olchy przed dotknięciem jej ramienia.

– Klątwa.

– Co?

– Wyczuwam klątwę!

Zerwała się na równe nogi i lekko zachwiała, ale zaraz odzyskała równowagę. Boso ruszyła ścieżką w żywopłotowy labirynt. Włoski na karku stawały jej dęba, a magiczny zmysł alarmował, że coś jest nie tak. Była za daleko, niemalże na granicy zasięgu, aby móc powiedzieć coś więcej, musiało jednak dziać się coś bardzo paskudnego, skoro zareagowała w ten sposób.

– Na Twardowskiego. Mario, jeśli masz telefon, dzwoń po swoich ludzi – nakazała, gdy pokonała jedną ze ścieżek.

Olcha deptał jej po piętach. Przybliżyli się na tyle, że wiedziała już na pewno: ktoś w labiryncie tkał przekleństwo. Czarnomagiczne. Jeśli nie identyczne, to bardzo podobne do tego, które rzucono przy budynku WilCom.

A to oznaczało, że gdzieś pośród zielonych krzewów ktoś właśnie umierał.

Niesiona bardziej przez instynkt niż świadomą myśl Jagoda przyspieszyła, biegiem pokonując kolejną alejkę. Na zakręcie wyczuła nową falę mocy, zatoczyła się i wpadła w krzak. Ostre gałęzie podrapały jej przedramię, dłonie i policzek. Mario przebiegł obok, wykrzykując coś do telefonu. Musieli być już tak blisko, że i on, choć niewyczulony na aurę klątw, wyczuwał potężną magię i wiedział, w którą stronę się kierować.

Minęło kilka cennych sekund, nim Jagoda odzyskała równowagę i pobiegła za Olchą. Mario upuścił komórkę na ścieżkę i zniknął wiedźmie z oczu. Gdzieś za zieloną ścianą żywopłotu rozległ się wybuch, coś błysnęło. Jagoda przebiegła ostatni odcinek, w pośpiechu tkając klątwę. Zazwyczaj nosiła przy sobie jakąś gotową do rzucenia, ukrytą w aurze albo oplecioną wokół wisiorka, ale musiała ją zdezaktywować, nim weszła do zajazdu.

Wpadła do jednego z zacisznych kącików między krzewami. Błękitne latarnie, oświetlające większość labiryntów, tutaj zostały wygaszone. Placyk tonął w ciemnościach.

– Zostań z tyłu! – krzyknął Mario.

Otaczała go półprzezroczysta tarcza ochronna, a on sam miotał zaklęcia w kogoś stojącego w pobliżu fontanny. Smok, plujący wodą, został roztrzaskany czarem. Jagoda wypuściła własną klątwę, ale ta nie sięgnęła celu: może ich przeciwnik ją odbił, może miał jakieś mocne amulety ochronne.

Przekleństwo ciśnięte w Olchę przechwyciła i rozplotła nieomal odruchowo. Rozpoznała też jego strukturę… bez zaskoczenia stwierdziła, że człowiekiem skrytym przez mrok musi być Adrian Potocki. Sądząc po sile klątwy, właśnie próbował zamordować swojego byłego szefa.

Tarcza Maria została trafiona jakimś bojowym zaklęciem i rozprysła się, a mężczyzna opadł na kolana. W tym właśnie momencie ktoś dołączył do walki. Kula ognia rozjaśniła niewielki placyk, w jej blasku przez ułamek sekundy Jagoda widziała Adriana i coś leżącego na ziemi. Lub kogoś. Pocisk się rozpłynął, nie trafiając Potockiego, ale Olcha zyskał dwie sekundy na postawienie kolejnej bariery. Sam Adrian zanurkował gdzieś w bok za szczątki fontanny. W kompletnych ciemnościach znikł im z oczu.

Wiedźma cofnęła się do żywopłotu, jednocześnie odbijając kolejne przekleństwo wysłane ku Mariuszowi. Sama nawet nie próbowała atakować, pozostawiła to Olsze i ich sojusznikowi. Aura tego miejsca utrudniała skupienie, a jej przekleństwa w starciu były dużo mniej skuteczne niż tradycyjna magia bojowa. Po omacku odnalazła jedną z lamp skrytych pośród gałęzi, posłała ku niej magiczną energię i zmusiła do aktywacji. Kolejne lampy rozbłyskiwały, zalewając plac błękitnym blaskiem.

Olcha wydał z siebie zdławiony okrzyk, gdy jego druga bariera została zniszczona, a on sam

przeleciał dobry metr w powietrzu i uderzył o ziemię. Zaklęcie było tak silne, że Jagoda, uderzona rykoszetem, ponownie wpadła w żywopłot. Teraz w świetle mogła wypatrzeć Adriana stojącego ledwo parę metrów dalej. Zwrócił na nią spojrzenie ciemnych oczu.

Zbyt ciemnych oczu. Bez choćby śladu bieli.

Zdjęta grozą, bardziej odruchowo niż świadomie rzuciła kolejną klątwę, ta nie dała jednak zauważalnego rezultatu. Lepiej zadziałało zaklęcie czwartej osoby na placu boju – zmusiło Adriana do osłonięcia się tarczą, choć nie odwrócił spojrzenia od wiedźmy. Gdzieś zza ścian labiryntu dobiegały nawoływania i tupot szybkich kroków. Nadciągała odsiecz. W samą porę, bo ciemna macka owinęła się wokół kostki Jagody, która próbowała wstać, i pociągnęła ją po ziemi w stronę Potockiego.

Wilczek odruchowo zacisnęła palce na gałęziach, nie bacząc na to, że rani sobie dłonie. Na niewiele by się to jednak zdało, gdyby kolejna kula ognia nie uderzyła tuż za nią i nie spopieliła macki. Wiedźma, mimo boleśnie obitego biodra, poderwała się i rzuciła ku wąskiemu przejściu między dwoma fragmentami żywopłotu, żeby zejść Adrianowi z oczu. Może rejterada z placu boju nie była zbyt chwalebna, ale nie specjalizowała się w magii bojowej. Skoro jej prowizoryczne klątwy tak błyskawicznie odbijano, nie miała pojęcia, jak mogłaby pomóc, a jedyny amulet, jaki dziś wzięła, mógł ochronić ją co najwyżej przed pojedynczym zaklęciem.

Potocki znał się trochę na magii bojowej, był jednak przede wszystkim ekspertem od przekleństw, jak ona. Mimo to bez większego wysiłku stawiał czoła dwóm czarodziejom wprawionym w walce oraz wiedźmie klątw. Nie miała jednak czasu, by głębiej się nad tym zastanowić.

Gdzieś za nią coś wybuchło. Gdy znalazła się już za zasłoną krzewów, obróciła się przez ramię, dostrzegła Maeve i Tomasza. Tuż za nimi zaś kolejne trzy osoby, wśród których rozpoznała brata. Nawet jeśli wcześniej przez ułamek sekundy przeszło jej przez myśl, by uciec i pozostawić walkę innym albo przynajmniej schronić się w labiryncie i utkać porządną klątwę, to na widok Sebastiana zmieniła zdanie. Otaczała go srebrzysta bariera, rodzinne zaklęcie Wilczków specjalizujących się w magii ochronnej, które powinno zatrzymać nawet bardzo silną magię… Ale Jagoda nie mogła zostawić tutaj brata.

Zawróciła, tworząc kolejną klątwę. Kiedy jednak wyjrzała zza żywopłotu, zdążyła tylko dostrzec, jak Adrian rozwiewa się w powietrzu.

Otworzył portal.

Do tej pory poznała jedną osobę, zdolną zrobić coś takiego samodzielnie. Ucznia Czarnoksiężnika.

– Leon!

– Stój! Nie zbliżaj się do tego! Jaga!!! Stójcie! Nie podchodźcie!

Oderwała wzrok od miejsca, w którym znikł Potocki. Leona wzywał Jeremiasz, a ją – Caleb. Blythe przytrzymywał wyrywającego się chłopaka i to on musiał wcześniej przyłączyć się do walki. Jagoda nie była tym zaskoczona: chyba podświadomie odgadła tożsamość sojusznika już na początku. Maeve, Sebastian, Tomasz, jakiś obcy mężczyzna, wszyscy zatrzymali się na jego krzyk. Mario jednak z trudem dźwignął się na nogi i powoli, utykając, wbrew ostrzeżeniom ruszył w stronę ciała. Ledwo Jagoda zdołała spojrzeć ku ofierze Adriana, natychmiast pojęła, dlaczego Blythe chciał ich zatrzymać i wzywał właśnie ją.

– Stój!!! – wrzasnęła Jagoda, rzucając się w kierunku Olchy. Chwyciła go w pół i z całej siły pociągnęła. Mario zachwiał się i omal nie runęli na ziemię. – Klątwa jest aktywna! Nie wypuścił jej!

Olcha na moment zamarł. Nie próbował się wyrwać, tylko utkwił w ciele wzrok, prawdopodobnie żeby zobaczyć to, co dojrzeli już Jagoda i Caleb. W końcu musiał dostrzec paskudną aurę, bo gwałtownie się cofnął. Wiedźma wreszcie go wypuściła, nie odrywając spojrzenia od ciała.

– Jasny… Maeve! Wzywaj ekipę! Trzeba zabezpieczyć to miejsce!

– Wycofajcie się. Natychmiast się wycofajcie. Muszę… to rozbroić. Teraz. Jeśli to tutaj wybuchnie…

Jagoda urwała. Ofiara została złożona. Co do tego nie miała wątpliwości. Wokół martwego Leona Gruszyńskiego kłębiły się ciemne nici klątwy, setki, tysiące. Adrian je utkał, lecz nie zdążył ich uwolnić, nakierować na cel. Niezwykle skomplikowana klątwa powstała w wyniku rytuału nie była ani dokończona, ani stabilna, lecz już na tyle ukształtowana, że nie mogła rozwiać się sama z siebie.

Gdyby nie otaczająca ciało linia znaków, zapewne ustawiona przez Adriana, by zamaskować aurę, nici już przylgnęłyby do ludzi, którzy znaleźli się najbliżej. Było ich dość dla większości gości Gwiezdnego Zajazdu, jeśli nie dla wszystkich.

A na sali bawiły się Liliana i babka. Sonia. Iga.

Antoni.

Może Maks i bardzo wielu ludzi, których Jagoda znała, ceniła i którym nie życzyła śmierci w męczarniach.

– Jaga! – zawołał Sebastian, podbiegając bliżej.

– Nie zdejmuj z siebie bariery. Zabierz stąd babkę, Lilkę, Igę i Sonię. Jak najdalej. Szybko! – nakazała. Widząc, że się waha, niecierpliwym gestem pchnęła otaczającą go srebrną bańkę. – Jestem wiedźmą klątw. Mnie nic nie będzie. Poradzę sobie z tym. Idź!

Kłamała. Po raz pierwszy od lat nie była pewna, czy poradzi sobie z jakąś klątwą. Sebastian chyba jednak jej uwierzył, bo obrócił się i ruszył pędem przez labirynt.

– Tomek! Ewakuuj zajazd! Niech Muchomor ci pomoże! Maeve! Ekipa! Ściągnij mi tu Bogdana! Już! – krzyczał Mario, uparcie jednak tkwił w miejscu, zapatrzony w ciało.

Caleb bezceremonialnie popchnął Jeremiasza ku trzeciemu z przybyszów, nieznanemu Jagodzie mężczyźnie, i ruszył ku wiedźmie. Tomasz pognał w ślad za Sebastianem. Cieszyła się, że brat odbiegł pierwszy. Zważywszy na to, że Tomek najpierw będzie musiał poprosić o pomoc właścicieli hotelu i obecnych na miejscu funkcjonariuszy, istniała szansa, że Sebastian zdąży ostrzec siostrę i babkę, zanim zacznie się zamieszanie.

– Dasz radę to zatrzymać? Cholera, co za paskudztwo. Bogdan i moi ludzie zaraz tu będą – zwrócił się do niej Olcha.

– Muszę spróbować. Inaczej i tak zaraz wybuchnie. Zabierz stąd tego dzieciaka, a twoja ekipa niech ustawi zabezpieczenia wokół labiryntu. Nie tutaj, bo jeśli to walnie, z takiej odległości i tak je zmiecie. Nie zbliżajcie się.

– Maeve może ci pomóc.

– Ja pomogę – wtrącił się Caleb, zanim zdążyła odpowiedzieć. Wyciągnął ku niej rękę i spojrzał na wiedźmę wyczekująco.

Nie zawahała się przed podaniem mu dłoni. Niezależnie od tego, ile żalu miała do Blythe'a i jak zła na niego była, potrzebowała jego pomocy. Znał się na klątwach i czarnej magii, w dodatku miał ogromne pokłady mocy, nie mogłaby więc życzyć sobie lepszego wsparcia.

– Jak Maeve skończy dzwonić, niech tu przyjdzie. Ale ty pomóż w ewakuacji, Mario. Tu się nie przydasz.

Był magiem bojowym. Tutaj potrzebowali albo specjalistów od klątw, albo przynajmniej od rozpraszania magii. WMM tymi drugimi z pewnością dysponowało, niekoniecznie jednak gościli na dzisiejszym przyjęciu.

Maeve prawdopodobnie też nie mogła wiele poradzić i być może Jagoda narażała ją na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Ale nie pracowało się w WMM, jeśli nie było się gotowym na coś takiego, a w tej chwili Jagoda sama ryzykowała. Dręczona mdłościami, wywołanymi zarówno przez aurę klątwy, jak i strach, nie miała siły się zastanawiać, czy powinna prosić funkcjonariuszkę o pomoc, czy też nie.

Moc narosła wokół Caleba, mieszając się z magią Jagody. Czuła, jak mag sięga ku niciom klątwy, zrobiła to samo i niemal natychmiast ogarnęła ją rozpacz. Za dużo. Zbyt silne. Oboje wycofali się jednocześnie, raczej broniąc się, niż atakując, nie pozwalając, aby przekleństwo wplotło się w ich aury.

– Zabezpieczam. Ty rozplataj – nakazał Blythe. Ton miał spokojny, a palce mocniej zacisnął na jej dłoni, jakby wyczuwając, że Jagodę ogarnęło zwątpienie.

– W porządku.

Przerażała ją myśl o zdaniu się na Caleba, ale to było jedyne wyjście. Ponownie sięgnęła ku niciom klątwy. Zaatakowały, Blythe nieomal natychmiast je odbił, a wiedźma wyrwała i unicestwiła kilka z nich. Po pierwszych nieporadnych próbach zdołała się skupić, odsunąć na bok emocje i znaleźć najlepszy sposób na rozplatanie sieci. Wspólna praca przyszła im zaskakująco łatwo. Mijały minuty,

a kolejne nici rozpływały się w niebycie. W pewnym momencie, gdy już połowa z nich przestała istnieć, dała nawet radę przytrzymać parę, by choć częściowo zbadać strukturę klątwy. Kiedy Mario pojawił się z powrotem z funkcjonariuszami i zabrali się za odprawianie rytuału oczyszczającego i ustawianie zabezpieczeń na placu – nie posłuchał, oczywiście, on nigdy nie słuchał – nie byli już tak naprawdę potrzebni.

Była jednak niemal pewna, że przynajmniej kilka nici im umknęło. Wolała teraz nawet się nie zastanawiać, jaki będzie tego skutek.

Gdy wreszcie usiadła na ziemi, świat wirował jej przed oczami, a żółć podchodziła do gardła. Przemarzła: zbyt intensywne użytkowanie magii obniżało temperaturę ciała, a tkwienie przez kilka godzin na zewnątrz w październikową noc nie pomogło. Bose stopy miała poranione, dłonie i przedramiona pokaleczone, a policzek pokryty zaschniętą krwią. Najlepsza sukienka Jagody nadawała się tylko do wyrzucenia, ubrudzona, rozdarta na plecach i ramieniu, przetarta na biodrze. Z rajstop zostały strzępy. W którymś momencie, pewnie wtedy, gdy macka pociągnęła ją po ziemi, wiedźma rozharatała sobie łydkę i nabiła kilka siniaków. W tej chwili najchętniej zwinęłaby się w kłębek pod krzakiem i zasnęła. Dokoła jednak roiło się od funkcjonariuszy, rzucano zaklęcia, prowadzono rozmowy i nie łudziła się, że ludzie z WMM zostawią ją w spokoju.

Aura klątwy wciąż unosiła się w powietrzu. Gdyby Jagoda miała więcej sił, może zdołałaby ją zbadać, dowiedzieć się o niej więcej, ale nie potrafiła poukładać sobie w głowie nawet tego, co wyczuła podczas walki z przekleństwem.

– Żyjesz?

Caleb przykucnął przed nią. Jeśli ona przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpaczy, on zdawał się tylko trochę zmęczony. Nie ubrudził sobie nawet garnituru. Gdyby miała siłę się denerwować, prawdopodobnie by ją to zirytowało.

– Nie. Właśnie przechodzę przemianę w zombie.

– W porządku, czyli nie jesteś aż tak zmęczona, jak się wydaje.

– Daj jej spokój, Blythe.

Zbliżył się Mario i wyciągnął do niej rękę. Przyjęła pomoc, bo nie była pewna, czy wstanie o własnych siłach. Olcha, wciąż podtrzymując Jagodę, zmierzył ją spojrzeniem, marszcząc przy tym brwi. Wyraźnie niezadowolony.

– Wyglądasz fatalnie.

Tak, właśnie to chciała usłyszeć, żeby się podnieść na duchu.

– Wiem.

– Przesłuchamy cię jutro – zdecydował niechętnie Mario i Jagoda pierwszy raz od dawna poczuła wobec niego przypływ sympatii. – Brat czeka na ciebie w zajeździe. Muchomor obejrzy cię za parę minut i możecie iść.

Świetnie, Sebastian pozostał więc w polu potencjalnego rażenia, zamiast się ewakuować.

– Pójdę od razu.

– Jesteś cała we krwi.

– To tylko zadrapania. – Zbagatelizowała sprawę, bo wolała odejść, zanim straci przytomność na oczach funkcjonariuszy. – Muszę odpocząć.

– Niech będzie – zgodził się Olcha z kwaśną miną. – Odprowadzę cię do brata.

– Masz tu robotę. Zabiorę ją do Wilczka – wtrącił się Caleb.

Jagoda przeczuwała, że w powietrzu wisi kłótnia, a nie miała na nią siły. Cofnęła się więc, uwalniając przedramię z uścisku Olchy, i powoli ruszyła korytarzem labiryntu. Blythe dogonił ją parę sekund później.

– Nie prosto, tylko w prawo – pouczył ją, kiedy na rozstaju omal nie skręciła w złą stronę.

Gdyby czuła się lepiej, być może w oślim uporze poszłaby prosto i wybrała okrężną drogę, ale tym razem bez słowa usłuchała. Nocny chłód przenikał ją aż do kości, każdy krok przychodził z trudem, a zadrapania, o których niemal zapomniała, gdy rozbrajała klątwę, teraz dawały się we znaki.

– Ciągle jesteś na mnie wściekła?

– Nie.

– Niełądnie kłamać, Belladona.

Zacisnęła wargi na to przezwisko, kolejne, jakie jej nadał wiele lat temu, w czasach, których nawet nie pamiętała. Niechciane i zupełnie do niej niepasujące.

– Nie kłamię. Nie jestem na ciebie zła. Po prostu ci nie ufam, Blythe – odparła, niemal całkiem szczerze.

– Nigdy mi nie ufałaś – mruknął Caleb, zrównując się z nią.

– Z wzajemnością – wytknęła. – Pojawiłeś się na moim progu pokrwawiony, wokół ginęli ludzie i nie chciałeś niczego wyjaśnić.

– Nie znaliśmy się. Nie miałem pojęcia, czego się po tobie spodziewać, i wiedziałem, że wcześniej współpracowałaś z WMM. Gdybym przyznał, że wiem coś o napaściach, mogłabyś im coś przekazać, a Daniel kogoś tam miał. Aresztowaliby mnie.

– Czyli wracamy do „z wzajemnością".

Mogła zrozumieć jego motywy. Rzecz w tym, że ona wtedy miała też własne, aby mu nie ufać. Wtedy i teraz.

– Ta klątwa… – zaczął. Zmianę tematu przyjęła z ulgą: wolała rozmawiać o ataku niż o ich relacji… która właściwie nie istniała. Nie podobał się jej za to fakt, że szedł tuż koło niej. Nabrał zwyczaju naruszania przestrzeni osobistej Jagody mniej więcej w momencie, w którym rzuciła na niego klątwę i przycisnęła mu nóż do gardła. Była niemal pewna, że robił to, bo tamtego dnia zaczął przypuszczać, iż ona może posiadać moc podobną do zdolności jego nauczyciela. Być może dlatego uznał, że uwiedzenie Jagody to dobry pomysł. Jak miałaby mu zaufać, skoro nie wiedziała, z jakich powodów Caleba interesowała jej magia? – Zauważyłaś, że pierwotnie nie była przeznaczona dla żadnej konkretnej osoby?

– Tak.

– I?

– Jutro. Pomyślę o tym jutro.

Chwycił Jagodę za ramię, zmuszając do zatrzymania, a potem ją podniósł.

– Postaw mnie.

– Ledwo idziesz, w dodatku zgubiłaś nie jeden, tylko dwa pantofelki, a tu jest pełno kamyków. Sama zawsze każesz mi być rozsądnym, posłuchaj własnej rady – skarcił ją, kierując się w stronę budynku. Jagoda zacisnęła zęby, ale się nie wyrywała. Po trosze dlatego, że przechadzka na bosaka naprawdę nie była przyjemna, jej zaś kręciło się w głowie, a po trosze, bo wolała uniknąć niepotrzebnej szarpaniny i kłótni.

– Co ty tu w ogóle robisz, Blythe? – spytała, bo to pytanie dręczyło ją od momentu, w którym zobaczyła go w Czarodziejskiej Sali.

– W Warszawie? W zajeździe? W labiryncie?

– Wszędzie.

– Trzy pytania do czarnoksiężnika – powiedział. Uśmiechnął się przy tym. Zimno. Nieszczerze. Kiedyś już zadała mu trzy pytania. Otrzymała odpowiedzi i żadna z nich się jej nie spodobała. – Najogólniej mówiąc, ściągnęło mnie tu pewne odkrycie i przebudzenie syreny. Na galę zaprosiła mnie twoja babka. Do labiryntu trafiłem prawdopodobnie tak samo jak ty. Wyszedłem na zewnątrz i wyczułem klątwę.

– Moja babka nie zaprosiłaby cię na galę.

Nie po tym, jak sama ostrzegała wnuczkę przed Calebem i kazała trzymać się od niego z daleka.

– Joanna jest zainteresowana utrzymaniem poprawnych stosunków ze względu na firmowe interesy. Spytaj ją.

O, spytam, obiecała sobie Jagoda. Nic już jednak nie odpowiedziała: wyszli bowiem z labiryntu i minęli parę osób gorączkowo rzucających zaklęcia zabezpieczające na budynek. Przy wejściu do zajazdu zaś czekał na nich Sebastian.

ROZDZIAŁ TRZECI

PRZEKLĘTE MIEJSCA

Jagoda obudziła się w półmroku i w pierwszej chwili nie była pewna, gdzie się znajduje. Dopiero po chwili rozpoznała zarysy sprzętów i pojęła, że to pokój, który należał do niej przed laty: położono ją w jej dawnej sypialni. Ostatnim, co pamiętała, był samochód Sebastiana. Musiała zasnąć w aucie, a on skorzystał z okazji i zamiast do mieszkania, odwiózł ją do rezydencji Wilczków. Normalnie by ją to zdenerwowało, ale w tamtej sytuacji podjął najrozsądniejszą decyzję.

Głowa ją bolała, a ciało miała ociężałe, nie tyle ze zmęczenia, ile raczej od zbyt długiego snu. W ustach jej zaschło i czuła, że potrzebuje łazienki. Usiadła powoli i odrzuciła przykrycie. Ktoś przebrał ją w koszulę nocną. Z dłoni znikły skaleczenia, stopy też nie były już poranione. Kiedy przeciągnęła dłonią po biodrze, wcześniej obitym i obtartym, nie poczuła bólu. Tylko na nodze, w miejscu, gdzie owinęła się ciemna macka, pozostał ledwo widoczny ślad – jak po starym oparzeniu. Jagoda nie uważała się za próżną, ale miała nadzieję, że zdoła się go pozbyć. Nie podobała jej się taka pamiątka.

Podniosła się i sięgnęła po okulary leżące na szafce nocnej. Odsunęła zasłony. Słońce zachodziło, więc musiała przespać dzień. Wieczorne światło zalało pokój: przemalowane jakiś czas temu na kremowo ściany, ogromne łóżko, niewiele mniejsze niż cała sypialnia wiedźmy w nowym mieszkaniu, puszysty perski dywan, elegancki regał, duże zdjęcie Liliany i Jagody z dzieciństwa na ścianie. Krzesło, na którym ktoś – pewnie babka – zostawił dla niej sukienkę w jesienne liście. Wciąż z metką jednego z droższych warszawskich sklepów, pewnie więc Joanna Wilczek posłała kogoś na zakupy. Na biurku stał dzbanek z lemoniadą i wazon wypełniony ziołami. Jagoda nie mogła odmówić babce tego, że na swój sposób troszczyła się o członków rodziny. Zadbała teraz o wnuczkę najlepiej, jak potrafiła.

Wiedźma nie czuła się jeszcze w pełni sił, ale nie miała ochoty wracać do łóżka. Przebrała się i wsunęła nogi w miękkie domowe pantofle, nim jednak zdążyła ruszyć do wyjścia, rozległo się pukanie, a potem głos Tadeusza.

– Czy mogę wejść, panienko? Przyniosłem kolację.

– Proszę – pozwoliła, opadając na szary fotel uszak, jeden z nowych sprzętów ustawionych w pokoju.

Nie była nawet zaskoczona tym, że stary lokaj wiedział, że się obudziła. Prawdopodobnie wiedział o wszystkim, co działo się w domu. Gdy mężczyzna przekroczył próg, a w jej nozdrza uderzył zapach bulionu, poczuła, jak bardzo jest głodna.

– Pomyślałem, że przygotuję coś lekkiego – wyjaśnił, stawiając tacę na stoliku. Zmierzył Jagodę uważnym spojrzeniem jasnych oczu, jakby chciał się upewnić, czy „z panienką" wszystko w porządku. – Bulion na warzywach i kurczaku, świeże pieczywo, napar z ziół. Pani Joanna jest poza domem, ale wkrótce wróci. Panicz Sebastian za moment do panienki przyjdzie. Długo panienka spała.

– Cały dzień.

– Prawie dwa dni, panienko. Mamy poniedziałek.

– Poniedziałek? – powtórzyła ze zdumieniem, zamierając z łyżką zanurzoną w bulionie. Przespała dzień, noc i większość kolejnego dnia. – Gdzie mój telefon?

– Niestety, zgubiła panienka torebkę.

Musiała zostać przy ławce, na której siedziała z Olchą. Mogła tylko mieć nadzieję, że jeszcze ją odzyska.

– Mogę pożyczyć domowy? Muszę dać znać mojej uczennicy, że żyję, zanim coś głupiego strzeli jej do głowy.

– Panicz Sebastian już się z nią kontaktował – uspokoił Jagodę Tadeusz. – Proszę jeść. Musi panienka odzyskać siły.

– Dziękuję. Tadeuszu… zdobyłbyś dla mnie gazetę?

– „Głos Magii" czy „Czarodziejski Zew"?

– Obie.

– Oczywiście.

Nim wrócił, zdążyła zjeść rosół, pójść do łazienki i wyjść na balkon, by trochę przewietrzyć głowę. Potem usiadła z gazetami z powrotem w fotelu i właśnie przeklinała w duchu nad jednym z artykułów, gdy do pokoju wszedł Sebastian.

Jej brat, podobnie jak ojciec, wuj i dziadek, był wysoki, śniady i ciemnowłosy. Przystojny,

o urodzie kojarzącej się z mieszkańcami Włoch, której jedyną skazą był nieco za duży, garbaty nos. Zazwyczaj młody Wilczek chodził w garniturach albo przynajmniej eleganckich koszulach i marynarkach. Teraz jednak miał na sobie zwykłe, znoszone dżinsy i bawełniany T-shirt.

– Nastraszyłaś nas, Jaga – mruknął. Przeszedł przez pokój i przyjrzał się siostrze uważnie, a potem usiadł przed nią na podłodze. – Uzdrowiciel wprawdzie mówił, że nic ci nie dolega poza wyczerpaniem, ale długo spałaś.

– Dlaczego zostałeś w hotelu? – spytała prosto z mostu, bo z całego morza pytań, które chciała zadać bratu, to, być może najmniej ważne, wypłynęło na powierzchnię jako pierwsze.

– Bo tam byłaś.

– To było niebezpieczne!

– Naprawdę? – parsknął Sebastian. – Zapewniałaś, że dasz sobie radę. Czyżbyś kłamała, droga siostrzyczko? Bo jeśli tak, to narażałaś się dużo bardziej niż ja, więc to ja powinienem krzyczeć na ciebie. Jeżeli mówiłaś prawdę, nic mi nie groziło. Czy można mnie winić, że zaufałem własnej siostrze?

Minę miał przy tym taką, że gdyby Jagoda nie znała go lepiej, może nawet uwierzyłaby, że jej młodszy brat to wcielenie niewinności.

– Kiedy zrobiłeś się taki sprytny?

– Jakieś trzy lata temu, kiedy zostałem prawą ręką wujka w firmie. Wiesz, jak to jest, wrzucają cię na głęboką wodę i albo płyniesz, albo toniesz.

– Ja musiałam tam zostać, Asti. Nie było nikogo innego, kto mógłby to załatwić. A ty… narażałeś się niepotrzebnie.

– Mam dwadzieścia siedem lat, Jaga. Nie jestem małym dzieckiem i nie mogłem cię tam zostawić samej.

Mierzyli się spojrzeniami przez dłuższą chwilę. Jagoda ustąpiła jako pierwsza. Poddała się, uznając swoją porażkę skinieniem głowy. Wciąż uważała, że to, co zrobił Sebastian, było głupie, ale może miał rację, że nie powinna go pouczać.

– Ten artykuł. – Podniosła „Głos Magii", palcem stukając w środek zdjęcia przedstawiającego Gwiezdny Zajazd. Tytuł krzyczał o morderstwie i klątwie. Artykuł przybliżał nieco sprawę, informując o zamordowaniu Leona Gruszyńskiego, pracownika Przystani Sawy, i o tym, że goście gali omal nie zostali rażeni przez przekleństwo. Dalej nie było ani słowa o Adrianie, za to całkiem sporo o Jagodzie. – WMM nie utajniło akcji?

– Utajniło.

Sebastian umknął na bok spojrzeniem i Jagoda już wiedziała, że jej podejrzenia były słuszne.

– To skąd prasa wie, że rozbroiłam tam wielką klątwę?

– Yyy…

– Ty czy babka? Było tam pełno funkcjonariuszy WMM, ale gdyby to któryś z nich podał te szczegóły prasie, Mario urwałby mu głowę. Może by to od nich wyszło, tyle że nie tak szybko.

– Babka – westchnął Sebastian, najwyraźniej uznając, że nie weźmie na siebie wściekłości siostry za coś, czego nie zrobił. – Nie złość się na nią, Jaga. Ani na mnie. Musiałem jej opowiedzieć, co się stało, kiedy wniosłem cię tu nieprzytomną i pokrwawioną. Babcia uważa, słusznie zresztą, że ludzie źle cię oceniają. Te wszystkie paskudne plotki po sprawie Waw… tamtej sprawie. A nawet w zeszłym roku, kiedy dorwałaś tę walniętą czarodziejkę, niektórzy twierdzili, że byłaś jej wspólniczką albo że nie bez powodu do waszej walki doszło tutaj. Babcia pomyślała, że jeśli ludzie się dowiedzą… że uratowałaś przed morderczą klątwą wszystkich w zajeździe… zmienią zdanie. A to przecież dobra reklama dla twojego interesu.

– Pomyślała też, że skoro jej gala została zniszczona, a nasza ochrona okazała się mało kompetentna, może na rodzinę Wilczków i na nią nie spadną gromy, skoro czarodziejka z tym nazwiskiem bohatersko ryzykowała tam życie. Może też zrobi to wrażenie na tych wszystkich zaproszonych szychach – oświadczyła Jagoda sucho, zwijając gazetę w kulkę. Sprawa Wawrzyńca… Ze złością cisnęła papierem o ścianę. – Poza tym na pewno wiedziała, że skoro do prasy przeciekła informacja o klątwie, pojawią się nowe plotki. Że ja ją rzuciłam. A to szkodziłoby jej interesom.

– Nasza ochrona nie jest mało kompetentna, wypraszam sobie – obruszył się Sebastian, ignorując

pozostałe kwestie. – Za obstawę całości terenu odpowiadał Gwiezdny Zajazd. Nasi ludzie i zaklęcia dodatkowo zabezpieczały Czarodziejską Salę, pokoje wypoczynkowe dla gości i taras widokowy. Mysz by się nie przecisnęła! Labirynt nie był naszą sprawą! Dobrze wiesz, po co goście się do niego wymykają, nie postawiłbym tam naszych ludzi…

Może po części to dodatkowe zabezpieczenia sprawiły, że nikt z gości, nawet osoby bardzo wrażliwe na magiczne impulsy, nie odkrył, co dzieje się w ogrodach. Gdyby Jagoda nie wyszła na zewnątrz, nic by nie wyczuła. A nawet w labiryncie wyłapać coś mógł tylko specjalista od klątw albo mistrz wykrywania magii. Wciąż jednak dręczyła ją myśl, że wybranie na morderstwo akurat tego wieczoru i tego miejsca nie miało sensu. Za wiele osób. Kilku funkcjonariuszy WMM. Kilkudziesięciu z innych wydziałów. Ogromne, niepotrzebne ryzyko. Czy Adrian chciał się popisać przed byłymi szefami? A może zależało mu konkretnie na Leonie Gruszyńskim i wiedział, że ten będzie na gali? Znali się: Adrian prowadził sprawę Jeremiasza. Prawdopodobnie, jeśli poprosił o rozmowę Leona, może używając Jeremiasza jako pretekstu, Gruszyński posłusznie poszedł z nim w ustronne miejsce… nie miał powodów nie ufać funkcjonariuszowi WMM…

Żółć podeszła Jagodzie do gardła, gdy wyobraziła sobie, jak Leon idzie przez labirynt niby owieczka na rzeź. Z człowiekiem, za którym już kilkanaście dni temu należało wystawić listy gończe.

Może ona też powinna dostarczyć prasie parę informacji.

– Jaga?

Sebastian trącił jej kolano. Jagoda odetchnęła, odpychając od siebie nieprzyjemne myśli.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Czy w ciągu tych dwóch dni stało się coś jeszcze, o czym powinnam wiedzieć? Poza tym, że trafiłam na pierwsze strony gazet?

– Był tutaj Olcha. Szukał cię. Babka go wyrzuciła, gdy zaczął grozić oskarżeniem o utrudnianie śledztwa. Powinnaś to widzieć. Cudowne przedstawienie. Babcia w swojej najlepszej formie, Mario dający z siebie wszystko. Żałuję, że tego nie nagrałem.

Wilczek najpierw wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu, potem westchnął cierpiętniczo, jakby brak nagrania z całego przedstawienia mocno go unieszczęśliwiał. Jego niechęć do Maria nie była może osobista, ale w niczym to jej nie umniejszało. Sebastian niejako z zasady nie przepadał ani za Olchami, ani za stróżami prawa z WMM i Wydziału Przestępstw Magicznych. Po trosze jako nieodrodny syn swojej rodziny, po trosze zaś z powodu nieudolności śledztwa po śmierci Wawrzyńca.

– Cudownie. Muszę zadzwonić do WMM. Coś jeszcze?

– Był tu też Caleb Blythe. Przyszedł do babki.

– Boże.

Czyli jednak. To ona zaprosiła go na galę. Najwyraźniej przestała uważać, że był niebezpiecznym człowiekiem. Ewentualnie sądziła, że sama jest na tyle niebezpieczna, by dać sobie z nim radę.

– Taaa – mruknął Sebastian. – Nie podoba mi się, że babka robi interesy z Uczniem Czarnoksiężnika. Ale kto ją powstrzyma?

– Ja, a przynajmniej spróbuję.

– Powodzenia. Wiem, że jesteś uparta, Jaga, ale babce do pięt nie sięgasz. W walce babcia kontra smok postawiłbym na nią – oznajmił Sebastian i się podniósł. – Zresztą możliwe, że rozmawiali o tym, co stało się w labiryncie. Idę dać znać Lilianie, że się obudziłaś. Dzwoniła dziś już chyba ze dwadzieścia razy.

Jagoda również wstała. Ona z kolei musiała się skontaktować z kimś z WMM, umówić na przesłuchanie, a potem pojechać do zajazdu i odzyskać torebkę. Miała nadzieję, że Mario nie położył na niej łap, bo z pewnością spróbowałby przejrzeć wszystkie dane, numery i wiadomości, jakie znajdowały się w telefonie. A chociaż Jagoda nie miała tam niczego nielegalnego, o paru kontaktach Olcha nie powinien się dowiedzieć.

***

Jagoda ocknęła się tuż przed osiemnastą. O dwudziestej siedziała już w gabinecie Maria, składając zeznania. O tej porze w biurze WMM powinny przebywać tylko dwie drużyny, jedna terenowa, na nagłe wypadki, i druga, stanowiąca ochronę budynku. Najwyraźniej jednak z powodu sytuacji

większość funkcjonariuszy pracowała w nadgodzinach, bo wiedźma naliczyła dobre dwadzieścia osób. Olcha zaś, choć popijał kawę, wyglądał, jakby nie spał od trzech dni i przynajmniej równie długo ani się nie golił, ani nie zmieniał ubrań. Początkowo wydawał się rozzłoszczony tym, że nie pojawiła się od razu, ale najwyraźniej uwierzył, że straciła za dużo energii i musiała to odespać. Choć wymówce o zgubionym telefonie nie dał już wiary.

– Dowiedziałaś się czegoś więcej o tej klątwie? – spytał, gdy pokrótce opisała wydarzenia w labiryncie. Czuła się przy tym co najmniej dziwnie, Mario wszak cały czas był z nią, najwyraźniej jednak funkcjonariusze potrzebowali wszystkich możliwych informacji.

– Tak. Myślę, że nie była rzucana na konkretne osoby, lecz na miejsce.

– Adrian chciał przekląć Gwiezdny Zajazd?

– Może. To by wyjaśniało, czemu rzucał przekleństwo w ich labiryncie. Dużo ludzi na gali, same szychy, gdyby mu się udało… – Urwała na moment. To zatrzęsłoby w posadach całą magiczną społecznością Polski i wprowadziło chaos. Nie tylko w warszawskiej enklawie. Czy taki mógł być cel Adriana? Gigantyczny atak terrorystyczny? – Ale to nie musiało być to konkretne miejsce. Klątwa jest tak mocna, że mógł skierować ją na dowolny obszar w obrębie całej enklawy… a może całego miasta.

– Skutki wejścia na taki przeklęty obszar?

– Nie jestem pewna… – odparła z wahaniem. – To ta sama klątwa, co ostatnio. Odzierająca z magii, niszcząca. Może osoby przebywające w przeklętym miejscu zaczną z czasem tracić siły. Ich magia będzie słabnąć. Ale raczej sama ziemia zacznie jałowieć, magia szwankować. To wyjaśnia, dlaczego nie mamy żadnych zgonów ani pacjentów w Batorym. Skoro klątwę skierowano… na miejsce albo jego magię, skutek nie będzie widoczny tak szybko.

– Świetnie – oświadczył Mario, odchylając się do tyłu na krześle i przymykając oczy. Wyglądał jak człowiek bardzo, bardzo zmęczony. – Chcesz mi powiedzieć, że mamy gdzieś w Warszawie albo jej okolicach dwa przeklęte budynki?

– Obawiam się, że to miejsce może być większe niż jeden budynek. Ale jeden. Klątwę w zajeździe rozbroiłam… rozbroiliśmy.

Olcha uniósł powieki i przypatrywał się jej przez chwilę, jakby coś rozważając.

– Dwa – przyznał w końcu niechętnie.

Pomyślała o akapicie w jednym z artykułów, które przeczytała dzisiejszego ranka. Spekulacje o tym, że wszystkie trzy morderstwa były ze sobą powiązane.

– Lasota. Też złożono go w ofierze?

Mario kiwnął głową.

– Ofiary miały ze sobą coś wspólnego?

– Z tego, co udało się nam ustalić, nie. Kordian Lasota dopiero wrócił do Warszawy po dziesięciu latach nieobecności. Nie znał ani Leona Gruszyńskiego, ani Zenony Brackiej, która zginęła jako druga. Byłaś przecież na miejscu zbrodni. Ta dwójka z kolei prawdopodobnie się znała, ale luźno.

Otworzyła usta, chcąc zadać kolejne pytanie – czy Kordian i Zenona byli powiązani z Adrianem – słowa jednak zamarły jej na ustach. Uderzyła ją myśl, że Mario przecież nie powinien podawać osobie postronnej tych informacji.

– Kiedy tak milczysz, zaczynam mieć złe przeczucia – stwierdził Olcha.

– Zrobiłam się podejrzliwa – przyznała. – Dlaczego mi to mówisz? Tak… bez żadnych wykrętów?

– Bo potrzebujemy twojej pomocy – oświadczył prosto z mostu. Nie wydawał się z tego powodu zadowolony, ale i nie wahał się, musiał więc już sprawę dobrze przemyśleć. – Straciliśmy Adriana. Maeve zna się trochę na klątwach, ale jej specjalizacja to magia bojowa. Złożyłem wniosek o przysłanie nam specjalisty z krakowskiej jednostki, tyle że dostanę go najwcześniej za tydzień. W teorii nam podlegają, w praktyce dowódca tamtejszego biura nienawidzi centrali i zrobi wszystko, żeby sprawę opóźnić. To nie jest coś, co może czekać.

– Mojej pomocy?

– A czyjej? – prychnął z irytacją. – Znasz się na klątwach. Już współpracowaliśmy. Poznałaś strukturę klątwy. Radecka może by się nadała, ale za bardzo marudzi. I traktuje mnie jak małego chłopca.

Tylko wy dwie przyjmujecie w tym mieście takie zlecenia.

Słowa Igi sprzed kilkunastu dni znów rozbrzmiały Jagodzie w uszach. Wielka, czarnomagiczna afera. Czy chciała się w nią pakować? Czy mogła sobie pozwolić na luksus odmowy?

Na myśl o twarzy Adriana, o ciemnych oczach, o chwytającym ją zaklęciu, czuła dreszcze. Nie miała ochoty znów znaleźć się w takiej sytuacji. Ale Mario nie prosił ją, by walczyła z Adrianem ani by próbowała się dowiedzieć, do czego ten dążył; potrzebował wsparcia raczej przy szukaniu przeklętych miejsc i zdjęciu klątwy.

Parę nici umknęło jej w Gwiezdnym Zajeździe. Mogły przylgnąć do któregoś z gości albo funkcjonariuszy. Przebywanie w jakichś miejscach w enklawie albo Warszawie mogło być niebezpieczne. W tej chwili nie miała pojęcia, o jakie punkty chodziło. Jak bardzo zaszkodzą ludziom. Ani czy nie ucierpi ktoś jej bliski. Jagoda nie uważała się za duszę towarzystwa i sądziła, że na niewielu ludziach naprawdę jej zależy. Gdy jednak myślała o tym teraz… lista okazywała się długa. Zbyt długa, aby mogła mieć pewność, że wszyscy będą bezpieczni, kiedy Adrian mordował i rzucał klątwy na ulicach, nieuchwytny dla WMM.

– Czego dokładnie oczekujesz? – spytała w końcu.

Mario, który do tej pory cierpliwie czekał na jej odpowiedź, wyglądał, jakby mu ulżyło, gdy nie odmówiła od razu.

– Chcę, żebyś sprawdziła jeszcze raz labirynt. Przyjrzała się odczytom z urządzeń pomiarowych, również tych, o których wspominałem na gali. Zbadaj tę cholerną klątwę. Będziemy szukać, na jakie miejsca została rzucona… A jeśli znajdziemy, musisz się im przyjrzeć. Dostałem dodatkowe fundusze. Pięć tysięcy na początek, za wstępne konsultacje, kolejne pięć, jeśli przyczynisz się do rozwiązania sprawy.

Przypatrywała się mu z kamiennym wyrazem twarzy. W głębi ducha wiedziała już, że się zgodzi. Nie ze względu na pieniądze, dla niej spore, acz niewarte narażania życia, ale dlatego, że WMM nie miało teraz innych opcji. A to oznaczało, że nie miało ich też miasto, w którym żyła ona i niemal wszyscy jej bliscy.

Musiała jednak dowiedzieć się jeszcze przynajmniej paru rzeczy.

– Adrian jest… był… bardzo dobrym specjalistą od klątw. Dobrym śledczym. Przyzwoitym magiem bojowym. Ale to wszystko. Teraz wskoczył na zupełnie inny poziom. Utkał klątwę, której ja prawdopodobnie nie zdołałabym rzucić, nawet jeśli złożyłabym ofiarę. W walce radził sobie z całą naszą trójką.

Mimo że Mario Olcha należał do najlepszych magów bojowych w kraju, a Caleb Blythe, gdyby wciąż organizowano międzynarodowe turnieje pojedynków, zapewne bez problemu wykończyłby konkurencję.

– Nie proszę cię, żebyś z nim walczyła.

Kiwnęła głową, niezbyt zaskoczona lakoniczną odpowiedzią. Ba, wręcz ją uspokajało, że Mario jednak wciąż stara się zatajać możliwie dużo informacji. Prawdopodobnie zdradził nieco więcej głównie po to, by skłonić ją do współpracy.

– Nie, ale nie zagwarantujesz mi, że się na niego nie natknę. Co się z nim stało? Albo dzielisz się takimi informacjami, albo nici z mojej pomocy. To kwestia mojego bezpieczeństwa.

– Kto doniósł prasie o twoim udziale?

– Babka – odparła bez mrugnięcia okiem. Niby co mógł jej zrobić? Joanna Wilczek nie była zobowiązana do zachowania tajemnicy w tej sprawie. – A jej powiedział Sebastian i trudno byłoby to ukryć, skoro przyniósł mnie do domu nieprzytomną. Nie, nie pobiegłam z tym do prasy. Z Adrianem też nie pobiegnę, chociaż popełniasz wielki błąd, nie posyłając za nim listów gończych.

– Nie pouczaj mnie.

– Leon Gruszyński go znał. Rozmawiał ze mną jakieś pół godziny przed tym, jak go znaleźliśmy. Adrian musiał go wywołać na zewnątrz chwilę po naszej rozmowie.

– Mam powody, aby nie ujawniać, że wiemy, kto jest zabójcą – syknął Mario. – To też element umowy, Jagoda. Ja prowadzę śledztwo. Nie wtrącasz się w moje metody i nie kwestionujesz moich decyzji. Nie mogę pracować z kimś, kto nic nie wie o WMM, ale na każdym kroku będzie mi rzucał

kłody pod nogi.

– Świetnie – odpowiedziała. Nie mówiła ironicznym tonem, ale sarkazm i tak był doskonale wyczuwalny. – Ale ja nie pracuję bez pełnych informacji. Chcę wiedzieć, z czym mam się mierzyć. Adrian nie miał białek.

– Co?

– Adrian. Nie. Miał. Białek – powtórzyła Jagoda. Mario nie wydawał się zaskoczony samą informacją. Bardziej chyba tym, że to zauważyła. Stał bliżej, walczył z Adrianem dłużej, jeśli ona zdołała spostrzec ten drobny szczegół, na pewno on też go wyłapał. – Opętanie przez ducha jakiegoś szalonego czarnoksiężnika? Magiczny eksperyment? Eliksiry, cudownie wzmacniające moc i mieszające w głowie?

– Oglądasz za dużo amerykańskich seriali.

– Demoniczny pakt? – strzeliła.

Mario nie odpowiedział, za to mocniej zacisnął szczęki. Jagoda wciągnęła powoli powietrze, starając się nie okazać zdenerwowania. Pomyślała o ciemnej macce, która ciągnęła ją po trawniku.

Czarodzieje zazwyczaj nie używali takich zaklęć.

– Trafiłam? – spytała z naciskiem.

– Nie wiem – przyznał w końcu. – Być może. Śladowe ilości demonicznej energii. Zaklęcia, których nie powinien móc rzucić. Wzmacnianie klątwy ofiarami. Adrian… Adrian nie zrobiłby czegoś takiego.

Nie zaprzeczyła, choć brakowało jej wiary Olchy. Dotąd miała dobre zdanie o Potockim, ale zdarzało się, że ludzie robili rzeczy, o które nigdy nie podejrzewaliby ich bliscy. A jeśli Adrian wdał się w jakieś konszachty z demonem… Do takich nie dochodziło przypadkiem. Potocki musiał się w coś wmieszać. Wejść do jakiegoś miejsca, od którego należy się trzymać z daleka, przywołać byt, zacząć się zabawiać podejrzaną magią.

Może Mariuszowi Olsze tylko się wydawało, że zna swojego podwładnego.

Może jej też tylko się zdawało, że wie, kim był Adrian Potocki.

– Powiadomiliście chociaż jego rodzinę?

– Nie był z nimi blisko. Ale tak, jego dziadek wie. Zgadzasz się czy mam dzwonić do Anny Radeckiej?

– Zgadzam się – powiedziała, choć w głębi ducha czuła, że wkrótce tego pożałuje. Iga jednak dobrze ją znała. Od początku miała rację. – Pokaż mi odczyty z urządzeń.

***

Jagoda nie wróciła do domu Wilczków. Po wizycie w WMM i zajeździe, gdzie odzyskała torebkę, wsiadła do taksówki i kazała się zawieźć do mieszkania. Miała kilka nieodebranych połączeń od Olchy oraz, o dziwo, dwa od Caleba. Zamiast do nich zadzwoniła jednak do Sebastiana i poprosiła, aby dowiedział się jak najwięcej o historii służby Adriana Potockiego. Jej współpraca z WMM opierała się na kruchych podstawach i chciała zdobyć na własną rękę tyle informacji, ile tylko się dało. Dziś jednak nie miała już szans wiele zrobić. W siedzibie WMM spędziła niemal trzy godziny, najpierw na rozmowie z Olchą, a potem na przyglądaniu się danym zebranym przez urządzenia pomiarowe. Nie dowiedzieli się niczego nowego. Mogła jedynie potwierdzić to, co już podejrzewali: odczyty z miejsca śmierci Lasoty, który zginął w pobliżu Batorego, oraz z miejsca, gdzie zamordowano Zenonę, były niemal identyczne.

Przypuszczała, że pierwsze miejsce zbrodni badał jeszcze Adrian. Być może sprowadził śledztwo na fałszywy trop. Oczywiście jednak tych informacji już jej nie udzielono.

– Wreszcie!

Okrzyk Soni przywitał ją, ledwo zdążyła otworzyć drzwi. Najwyraźniej Zawicka na dźwięk przekręcanego klucza od razu wypadła z pokoju. Bosa, rozczochrana, już przebrana w piżamę. W jej sypialni jednak paliła się lampka, więc najwyraźniej nie spała.

– Aż tak tęskniłaś za lekcjami?

– Pewnie. Miałyśmy mieć wykład o przeklętych przedmiotach. Czekałam na to od stuleci! –

oświadczyła Sonia, patrząc, jak Jagoda zdejmuje buty i płaszcz. – Ale tak na poważnie, to chcę wiedzieć, w co się wpakowałaś.

– Chyba w co mnie wpakowało życie – westchnęła Wilczek, ruszając do kuchni. Mimo późnej pory ani trochę nie chciało jej się spać. Miała wrażenie, że wyspała się za cały tydzień.

– Tak, tak, tak. To jak? Czytałam artykuły. Naprawdę rozbrajałaś klątwę stulecia w Gwiezdnym Zajeździe?

– Nie wiem, czy to klątwa stulecia, ale była bardzo silna – odparła Jagoda, nastawiając wodę na herbatę i szykując kolację. Bulion Tadeusza zdawał się jej teraz odległym wspomnieniem. Sonia przydreptała za nią do niewielkiej kuchni i rozsiadła się na taborecie pod oknem.

– Kto ją rzucił?

– Śledztwo trwa – skwitowała wymijająco i poczuła się prawie jak Mario. Ogarnęły ją przez to wyrzuty sumienia, ale nie mogła powiedzieć Soni, kto odpowiadał za całą aferę. W biurze WMM podpisała umowę, a ta zabraniała ujawnienia tożsamości Adriana.

– No dzięki – jęknęła Zawicka, przewracając przy tym oczami. – Dobra, to co to była za klątwa?

– Paskudna, pewnie kombinacja co najmniej dwóch innych. Mordercza. Gdyby wybuchła w zajeździe, byłoby… kiepsko.

– Hm… – Sonia podrapała się po podbródku. Uważnym spojrzeniem śledziła swoją nauczycielkę, która przygotowywała kanapki. – Co zamierzasz dalej?

– Skąd wniosek, że coś zamierzam?

– Trochę cię znam! Przecież tego tak nie zostawisz, nie?

Jagodzie to stwierdzenie się nie spodobało. Jeszcze niedawno zapytana, czy zostawiłaby taką sprawę, zapewniałaby, że owszem.

Tyle że kiedy już doszło do takiej sytuacji, wcale nie zamierzała się wycofać.

Może naprawdę miała skłonności do pakowania się w paskudne afery. Na własne życzenie. I pomyśleć, że kiedyś uważała się za dość zrównoważoną…

– WMM zapłaci mi za konsultacje – wyznała z ociąganiem. Sonia i tak prędzej czy później by się dowiedziała, a potem boczyła, że mistrzyni ma przed nią tyle sekretów.

– Super! Rozmawiałaś z Olchą? – spytała dziewczyna z ożywieniem.

– Tak. Soniu, zastrzegam, że nie mam zamiaru ścigać… mordercy. Będę pomagała tylko w sprawie klątwy.

– Jasne. Mogę w czymś pomóc?

– Tak.

– Serio?

Sonia aż otworzyła usta ze zdumienia. Jagoda uważała, że ten szok wypisany na twarzy uczennicy był nieco przesadzony. Od paru miesięcy pozwalała jej pomagać sobie przy zleceniach. Co prawda głównie tych mało niebezpiecznych, ale nie zmuszała dziewczyny, by zajmowała się wyłącznie czytaniem. Poza tym sama naprawdę rzadko miała poważne przypadki.

Normalnie nie chciałaby Zawickiej w to wciągać. Dziewczyna uczyła się od niespełna półtora roku. Sprawa była paskudna, drobne potknięcie mogło kosztować kogoś życie, a Sonia powinna trzymać się jak najdalej od Adriana. Jagoda już raz naraziła ją na niebezpieczeństwo i nie chciała tego powtarzać. Tyle że w tej chwili brakowało im czasu i zasobów, a niegdyś mistrzowie brali sobie uczniów głównie po to, by ci im pomagali w pracy.

– Tak. Dostaniesz listę gości gali z adresami. Odwiedzisz wszystkich.

– Hę? – Sonia wyglądała na jeszcze bardziej zdumioną. – Po kiego?

– Ta klątwa była bardzo złożona. Nieprzeznaczona dla jednej osoby. Kiedy ją zdejmowałam, uciekły mi dwie albo trzy nitki. Mogły przylgnąć do kogoś, kto nie ewakuował się na czas. Trzeba każdego sprawdzić. Funkcjonariuszy, obsługę, gości. Za dużo, żebym ogarnęła to sama.

Zwłaszcza jeśli miała najbliższy tydzień spędzić na jeżdżeniu po Warszawie i szukaniu przeklętych miejsc.

– Och…

Zawicka nerwowo poruszyła się na krześle. Pierwszy raz, gdy miała zająć się czymś

praktycznym, wyglądała nie na szczęśliwą, ale na niepewną.

– Wiem, że to nie pościgi, wybuchy czy misje godne Froda Bagginsa, ale ktoś to musi zrobić. Jeśli będę kiedyś się wyprawiać do Góry Przeznaczenia, na pewno dam ci znać – stwierdziła Jagoda, uznając, że najwyraźniej Soni nie podoba się żmudne zadanie.

– Nie… Nie o to chodzi. A jak coś przegapię?

Jagoda w duchu przyznała, że też się tego bała. Musiała jednak zaufać uczennicy i nie zamierzała okazywać wątpliwości. Nie mogła sama sprawdzić tysiąca ludzi.

– Postaraj się nie przegapić. Poza tym najbardziej narażeni byli ludzie z WMM, a nimi zajmę się sama. Przerabiałyśmy rozpoznawanie klątw w aurach, jesteś w tym bardzo dobra, jeśli coś będzie nie tak, na pewno to wyłapiesz.

– Tak, ale jeśli to tylko… mały fragmencik? Podstępnie ukryty? A jak ktoś umrze, bo tego nie zobaczę?!

– Jeśli ktoś jest przeklęty, a ty nawet nie spróbujesz tego sprawdzić, umrze na pewno – odparła Jagoda z żelaznym spokojem, zalewając herbatę malinową. – Soniu, proszę o jasną odpowiedź. Chcesz pomóc? Tak albo nie.

– Chcę – powiedziała cicho Zawicka, choć w jej głosie brakowało pewności.

– Doskonale. W takim razie powinnaś iść i się przespać, bo listę i instrukcje dostaniesz jutro. A potem od razu zaczynasz.

– A…

– A?

– Co ty będziesz robiła? Szukała mordercy?

– Nie. – Jagoda wpakowała sobie kanapkę do ust i usiadła obok Soni. Jedzenie dawało jej moment na zastanowienie się, ile powinna powiedzieć uczennicy. – Mówiłam, że to nie moja działka. Będę szukała… miejsc, na które rzucono klątwę. Bo prawdopodobnie nie przeznaczono jej dla ludzi. To, że sprawdzamy gości zajazdu, szybko się rozejdzie. Ale o tym, że jakaś klątwa już została rzucona, nikomu ani słowa, jasne?

– Będę milczeć jak grób – przyrzekła Sonia, dla podkreślenia słów przykładając dłoń do serca. – Nie wiedziałam, że klątwę można rzucić na miejsce.

– To cholernie trudne, ale można.

– Jak…

– Na lekcję dziś za późno, zwłaszcza taką – odparła zdecydowanie Jagoda i uśmiechnęła się blado na widok rozżalonej miny uczennicy. – Ale przyspieszymy przerabianie tego tematu. W każdym razie, jeśli cokolwiek wyda ci się podejrzane, zgłoś mi to.

– Po czym rozpoznać, że jakieś miejsce jest przeklęte?

– Jak zawsze: to zależy. – Jagoda westchnęła, przymykając oczy. Pęd do wiedzy adeptki powinien ją cieszyć, ale entuzjazm Soni i jej pragnienie, by jak najszybciej poznać praktykę, momentami były męczące. – Zwykle widać od razu, że coś jest nie tak, zorientuje się każdy, kto potrafi wyczuwać magię. Tym razem jednak… myślę, że klątwa będzie zamaskowana.

Swoje twierdzenie opierała wyłącznie na przeczuciu, ale nie sądziła, by Adrian po wzmocnieniu przekleństwa złożeniem ofiary ryzykował, że ktoś je zdejmie.

– I co wtedy? Nie mów, że to zależy!

– Ale to prawda. Sorry, ale w takich sprawach często trzeba improwizować. Tylko żeby improwizować, musisz najpierw poznać zasady. Dlatego ty będziesz szukać klątwy w aurach, a ja rozglądać się za przeklętym miejscem – ucięła Jagoda.

Wsunęła do ust resztę kanapki i wstała. Nie planowała wprawdzie iść spać, ale nie zamierzała też dawać Soni lekcji po dwudziestej drugiej. Musiała zajrzeć do kilku książek i poszukać informacji o Adrianie w MAGnecie.

– Jaga?

– Aha?

– Zdjęłaś klątwę w zajeździe. A będziesz szukać przeklętego miejsca. Te dwa morderstwa, o których pisali… zrobiła to ta sama osoba, prawda? Prasa ma rację. W dodatku rzucono wtedy klątwy.

Wilczek westchnęła w duchu. Czasem wolałaby, żeby jej uczennica nie była aż tak bystra.

– Tak, ale o tym też nikomu nie rozpowiadaj. Teraz idź się położyć. Jutro czeka cię sporo pracy.

***

Następnego dnia o świcie Jagoda ponownie weszła do labiryntu za Gwiezdnym Zajazdem. Towarzyszyli jej Maeve i Krystian Wiśniewski, młody mag bojowy. Dwa dni i oczyszczenie terenu sprawiły jednak, że po niedawnej walce i rzuconej klątwie pozostało jedynie słabe echo, utrzymujące się tuż przy zniszczonej fontannie. Wiedźma obeszła cały ogród i budynek, aż upewniła się, że nie ciąży na nich żadne przekleństwo. Kolejne godziny spędziła w biurze WMM – po kolei sprawdzając wszystkich funkcjonariuszy, którzy tamtej nocy znaleźli się w labiryncie. W żadnej aurze nie znalazła nic niepokojącego.

Reszta tygodnia upłynęła pod znakiem odwiedzania okolic, w których doszło do dwóch pierwszych morderstw. Szło wolno, ponieważ Jagoda starała się sprawdzić każdy budynek i obejść wszystkie zaułki, pełna obaw, że coś przeoczy. Wiedziała, że Adrian w tej chwili dysponował większymi możliwościami niż ona, i nie była pewna, jak dobrze zamaskował klątwę. Pierwszego dnia Mario wybrał się razem z nią, ale przez jej metody szybko stracił cierpliwość. Od tej pory codziennie inny funkcjonariusz pilnował Jagody. Podejrzewała, że ciągną losy i robi to przegrany. Minimum dwóch z nich próbowało trzymać się od niej na odległość co najmniej trzech metrów i regularnie zerkało na wiedźmę z podejrzliwością. Poza tym robota była żmudna i nieinteresująca dla obserwatora: Jagoda potrafiła przez godzinę stać przed budynkiem, badając, czy w sieć jego zabezpieczeń nie wplotły się podstępne niteczki przekleństwa. Choć jednak poświęcała na te działania większość dnia i odwiedziła sąsiedztwa obu miejsc, gdzie dokonano zabójstw – zarówno po stronie enklawy, jak i niemagicznej Warszawy – na nic się nie natknęła. Sonia odwiedziła ponad połowę osób goszczących tamtego wieczora na gali, wyglądało jednak na to, że nikt nie został przeklęty. Przynajmniej spośród tych, którzy pozwolili jej sprawdzić swoją aurę.

Niestety, śledztwo WMM również utknęło w martwym punkcie. Wprawdzie nikt nie informował Jagody o postępach (czy raczej ich braku), ale pewnych rzeczy mogła się domyśleć. Ilekroć widziała Olchę, wydawał się trochę bardziej zniecierpliwiony. Gdy bywała w biurze, wrzało tam jak w ulu, a Damian Witkowski, dziennikarz niechętny albo Mariowi, albo całemu WMM, regularnie rozpisywał się o niekompetencji funkcjonariuszy. Informacje o wszystkich morderstwach przeciekły do prasy, pojawiły się spekulacje, że wcześniej rzucono przekleństwo skuteczniej i że to dopiero początek. Samą Jagodę również ogarniała irytacja i nie mogła pozbyć się uczucia niepokoju. Adrian zabił trzy razy, a ostatniej klątwy nie zdołał rzucić. W tej sprawie zgadzała się z Witkowskim – pozostawało kwestią czasu, aż zginie ktoś jeszcze.

W sobotę pozbyła się więc niańki z WMM i zamiast na poszukiwania przeklętych miejsc, postanowiła wybrać się do domu prababki. Posiadłość leżała poza Warszawą, w pobliżu Bromierzyka, wsi opuszczonej kilkadziesiąt lat temu. Zamknięta w niewielkiej enklawie, nim trafiła do Joanny Wilczek, była własnością czarnoksiężnika. Jagoda nie dysponowała księgą, która zawierałaby szczegółowe opisy klątw podobnych do tej, jaką rzucał Adrian. Jeśli jednak gdzieś mogła znaleźć potrzebne informacje, to właśnie w księgozbiorze, który najpierw należał do mrocznego maga, a potem do wiedźmy niestroniącej od czarnej magii.

Rano wybrała się więc na zakupy – ubożę zamieszkujące wiedźmi dom uwielbiało mleko i gdyby Jagoda pojawiła się bez paru kartonów, na pewno okazałoby niezadowolenie. Kiedy wyszła z supermarketu, na masce jej samochodu siedział Caleb Blythe.

Być może pojawienie się kogoś innego przyjęłaby gorzej, ale chwilowo nikt taki nie przychodził Jagodzie do głowy. Zignorowała mężczyznę i jakby nigdy nic wrzucała zakupy na tylne siedzenie.

– Mamy do pogadania, Jaga.

Nie odpowiedziała. Może było to trochę dziecinne, ale postanowiła udawać, że Blythe nie istnieje. Pozbycie się go z maski powinno być proste: podejrzewała, że jeśli powoli ruszy, Caleb wykaże się minimum instynktu samozachowawczego i zeskoczy. Niestety, kiedy usadowiła się na miejscu kierowcy, Blythe owszem, zeskoczył, ale chwilę później bezceremonialnie wpakował się na fotel

pasażera.

– To wtargnięcie i jestem pewna, że jest na to jakiś paragraf.

– Podobno nie jesteś już zła.

– Ale dalej cię nie lubię – oświadczyła. – Mam robotę.

– Nieprawda. Nie przyszedł po ciebie nikt z WMM.

– Śledziłeś mnie?

– Miałem inne wyjście? Za próg byś mnie nie wpuściła, a nie mogłem podejść przy człowieku Olchy.

Tym zdołał ją zainteresować. Na tyle, że chwilowo powstrzymał Jagodę przed realizacją pomysłu na pozbycie się go z auta, który przyszedł jej do głowy.

– Dlaczego? Znowu cię poszukują?

– Oczywiście, że nie. Poza tym teraz jestem w pełni sił i nie muszę się ukrywać. Ale powiedzmy, że chciałem przedyskutować kilka spraw bez świadków. Na przykład… dowiedzieć się, co udało ci się ustalić o tej klątwie.

– Ach – mruknęła, odpalając silnik. – W wolnym tłumaczeniu, zorientowałeś się, że współpracuję z WMM, i postanowiłeś wyciągnąć ze mnie informacje?

Miał na tyle przyzwoitości, by zrobić zakłopotaną minę. Jagoda już bez słowa wyjechała na ulicę, a potem skierowała się na drogę ku budynkowi WilCom, umożliwiającemu przedostanie się autem do głównej enklawy.

– To naprawdę paskudna sprawa, Jaga.

– Popatrz, nie zauważyłam.

– Dokąd jedziemy? – spytał Caleb, bo chyba uświadomił sobie, że Wilczek kieruje się w stronę enklawy.

– Do biura WMM – odparła uprzejmie. – Wprawdzie wtargnięcie do auta powinnam zgłosić do Wydziału Przestępstw Departamentu Magicznego, ale jestem pewna, że Mario bardzo się ucieszy, kiedy poproszę go o pomoc w poradzeniu sobie z tobą.

Nie dałaby rady wyrzucić go siłą. Na szczęście istniały inne metody.

– Nie zrobisz tego… – wymruczał Caleb, ale w jego głosie brakowało pewności. Jagoda bez słowa przyspieszyła, przejeżdżając skrzyżowanie na żółtym świetle. Może i coś w niej wzdrygało się na myśl o wyjściu z auta przed biurem WMM i oznajmieniu Mariuszowi, że prześladuje ją Uczeń Czarnoksiężnika, ale nie blefowała.

– Ostatnia szansa, Blythe. Wysiadaj albo jedziemy prosto pod biuro – oświadczyła, zatrzymując się już na podziemnym parkingu. Drugi wyjazd z niego pozwalał przedostać się do enklawy.

– Doprowadzasz mnie do szału – westchnął Caleb. Jagoda zacisnęła tylko usta i ruszyła z piskiem opon. – Podejrzewam, co mogło spotkać Adriana.

Mocniej zacisnęła palce na kierownicy. Jeśli czymś mógł ją skłonić do współpracy, to chyba tylko tym. Sądziła – nie, była pewna – że Mario wie więcej, niż mówi. Adrian Potocki nie oszalał ani nie postanowił po prostu pewnego wieczora przyzwać demona na środku własnej sypialni.

– Masz trzy minuty na przekonanie mnie, żeby nie odstawiać cię pod biuro WMM.

– Wymiana informacji?

– Tylko jeśli twoje uznam za wartościowe – ucięła stanowczo. Targi z czarnoksiężnikami zazwyczaj źle się kończyły, o tym zdążyła się przekonać, ale to była za duża pokusa.

– Pod centrum enklawy znaleziono zejście do podziemi z czasów przed powstaniem Warszawy. Ósmy, może dziewiąty wiek. Prawdopodobnie nad nimi stał… pierwszy gród magów na tych terenach. Pierwsza, niewielka, jeszcze niedoskonała enklawa. Lochy badało także WMM – wyrecytował Caleb.

Jagoda zwolniła, zaklęła w myślach, po czym zawróciła na parking. Starała się nie dostrzegać triumfalnej miny Blythe'a.

– Dlaczego właśnie WMM? To nie ich działka. Badaniami archeologicznymi powinien zająć się uniwersytet i centrum badawcze.

– Czarnecki i stary Potocki ich ściągnęli, bo podziemia zabezpieczono. Na różne paskudne sposoby. Mroczna magia: dokładnie ich działka. Ożywające szkielety, magiczne pułapki…

– Klątwy – odgadła. – Wezwali Adriana.

– Tej informacji nie mam, ale moja niezawodna dedukcja prowadzi do takiego wniosku.

Być może Adrian został w podziemiach opętany. Istniała też szansa, że znalazł tam jakiś przedmiot. Albo stał się ofiarą starej klątwy, która go odmieniła. Może tam kryła się odpowiedź, co takiego Potocki chciał osiągnąć.

Kto wie? Może Mario doskonale wiedział. Nawet nie zająknął się o tych podziemiach. Jagody to jakoś szczególnie nie dziwiło. Informacja musiała być pilnie strzeżona, skoro nigdzie nie wypłynęła. Ale jeśli Adrian został przeklęty, to być może potrafiłaby tę klątwę zdjąć, gdyby dotarła do jej źródła…

– Wróciłeś z powodu tych podziemi.

– Tak.

Miała chęć zapytać, co takiego się w nich kryło, że aż przyciągnęło Ucznia Czarnoksiężnika. Ale nie łudziła się, że Caleb odpowie.

– Ty też masz wtykę w WMM? – spytała zamiast tego z odrobiną niesmaku, bo ledwo pozbyli się jednej, wychodziło na to, że już działała inna. Ba, może tkwiła tam od początku: w końcu Caleb zdawał się zawsze dobrze poinformowany i to od niego wyszła informacja o tym, że Daniel kogoś przekabacił…

– Lubię być dobrze poinformowany, ale nigdy nie zdradzam swoich źródeł. Twoja kolej, Wilcza Jagodo.

– Klątwy są rzucane na miejsca. Prawdopodobnie pozbawią magii albo konkretny punkt, albo przebywające w nim osoby. Ewentualnie jedno i drugie.

Co w rzeczywistości spowodowałoby więcej kłopotów, niż dałoby się przewidzieć. Między innymi dlatego Jagoda szczególnie dokładnie sprawdzała chociażby szpital Batorego, w pobliżu którego zginął Lasota. Jeśli magia przestałaby tam działać, sprzęt zacząłby się psuć, uzdrowiciele nie mogliby leczyć…

– Jakie miejsca?

– Nie wiem.

Zignorowała pełne powątpiewania spojrzenie, które jej rzucił.

– Poza tym… to już pewnie wiesz, ale Zenonę i Kordiana łączyło jedno. Oboje dysponowali bardzo dużym potencjałem magicznym. Nie pasuje tu Leon Gruszyński, raczej przeciętniak. Mam wrażenie, że klątwa w zajeździe była przez to trochę słabsza. Aura utrzymała się krócej. Co, zważywszy, ile mieliśmy tam problemów, źle nam wróży na przyszłość.

– Tylko tyle?

– Przyszedłeś po informacje do niewłaściwej osoby – skwitowała, zjeżdżając na parking pod supermarketem. Wiadomość o podziemiach była cenniejsza niż o tym, że przeklinano miejsca, a nie ludzi. Jednak Jagoda nie czuła się z tego powodu ani trochę winna. – Nic więcej nie wiem. Wysiadaj.

– Wciąż jesteś zła.

– Nie, nie jestem – zaprzeczyła, tylko po części szczerze. Nie była zła na Blythe'a. Jeśli patrzeć na sprawę obiektywnie, manipulował nią, ale ani razu nie okłamał jej wprost. Był zainteresowany jej magią i to stanowiło powód ostrożności, lecz niekoniecznie wściekłości.

Za to była zła na samą siebie, bo polubiła Caleba i ciągnęło ją do niego. A przecież nigdy wcześniej nie miała chęci umawiać się z nieodpowiednimi chłopakami. Jedyny, na którym naprawdę Jagodzie zależało, i to przez wiele lat, był wręcz do bólu porządny i poukładany.

– Jaga…

– Wybieram się do domu prababki i na pewno cię tam ze sobą nie zabiorę.

– Jeśli znajdziesz miejsce, na które rzucono klątwę…

– …to ją zdejmę – przerwała mu.

Mierzyli się przez chwilę spojrzeniami. W końcu jednak Caleb otworzył drzwi i wysiadł. Jagoda natychmiast ruszyła z miejsca i pospiesznie wyjechała z parkingu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

UCZENNICA WIEDŹMY

Sonia Zawicka swój talent do klątw odkryła w wieku siedemnastu lat. Uczyła się najpierw pod kierunkiem nauczyciela, posiadającego w tym zakresie zaledwie podstawową wiedzę, a potem na własną rękę, w tajemnicy przed rodzicami i wyobrażała sobie, że w przyszłości zostanie kimś w rodzaju magicznego Indiany Jonesa. Tyle że w lepszych ciuchach.

Nauka u wiedźmy klątw z prawdziwego zdarzenia była interesująca, ale też rzadko obfitowała w wydarzenia ekscytujące i na pewno nie wyglądała tak jak w nastoletnich fantazjach Soni. Zaczęło się obiecująco, od wizyty w domu wiedźmy, a skończyło na książkach, książkach, książkach…

…i monotonnym chodzeniu od drzwi do drzwi z identyfikatorem wydanym jej czasowo przez WMM. Na początku Sonia była swoim zadaniem przejęta, ale szybko zaczęła czuć się jak akwizytor. Od dawna nie bywała w towarzystwie i mało kto rozpoznawał w niej córkę Zawickiego. Parę osób szczerze zmartwiło się wizją klątwy, ale większość odnosiła się do niej podejrzliwie i z niechęcią. Sonia w duchu wrzała z oburzenia. Poświęcała czas, by upewnić się, że nie umrą w męczarniach, a oni traktowali ją jak niechcianego petenta! Fakt, że nic nie znalazła, niby dało się uznać za pozytywny… ale zniechęcał do dalszych poszukiwań. W dodatku musiała krążyć po całym mieście. Część gości mieszkała w głównej enklawie, ale wiele najbogatszych rodów miało posiadłości w mniejszych enklawach lub pod miastem.

W sobotnie popołudnie miała już za sobą wizytę u Czarneckich, najbardziej wpływowej magicznej rodziny w Warszawie (gdzie pani Czarnecka, dobra przyjaciółka matki, próbowała ją nakłonić do powrotu do domu), u Sławińskich (nie poznali jej i nie wpuścili za próg, nie pozwalając zbadać aury) i Żeromskich (uciekła sama, po pobieżnym sprawdzeniu, bo najmłodszy syn Żeromskich podrywał ją w sposób zdecydowanie mało kulturalny). Do Przystani Sawy wlokła się więc w ponurym nastroju, obiecując sobie, że to już ostatnie miejsce. Przez parę dni odwiedziła ponad dwieście domów i mieszkań. Niczego nie znalazła. Dalsze sprawdzanie nie miało sensu.

Przystań Sawy leżała na samych obrzeżach drugiej sfery enklaw. Był to pas obiegający pierwszą, centralną i najstarszą, w której wznosiły się głównie budynki użyteczności publicznej. Przed stworzeniem trzeciej strefy, gdzie deweloperzy chętnie budowali bloki i gdzie jak grzyby po deszczu wyrastały nowe biura, Przystań stanowiła podobno jedno z przejść z enklawy. Obecnie duży, dwupiętrowy budynek został zamieniony w szkołę z internatem. Sonia uznała, że to niezbyt przyjemne miejsce. Pomalowany na szaro gmach kojarzył się jej z niemagicznym szpitalem. Przylegający doń „teren zielony" był malutki – nic dziwnego, w głównej warszawskiej enklawie od dawna brakowało miejsca. A otaczający Przystań wysoki mur, spowity zaklęciami, przywodził z kolei wiedźmie na myśl więzienie.

Tutaj mieszkał i uczył się Jeremiasz Dagmarek. Jego nazwisko było jednym z tych, które Jagoda podkreśliła na czerwono. Tylko dlatego Sonia zdecydowała się drugi raz pofatygować w tę okolicę, choć w środę, kiedy odwiedzała tu pracowników zajazdu i paru gości mieszkających w pobliskich blokach, odesłano ją z kwitkiem. Ponoć Jeremiasz nie czuł się wtedy na siłach, by przyjmować gości.

– To totalnie nie jest miejsce dla dzieciaków – mruknęła do siebie, gdy już zgłosiła się do recepcji przy wejściu i dostała pozwolenie na przejście do świetlicy. Najstarsi wychowankowie byli wprawdzie niewiele młodsi od niej, ale kiedy wpadła tu ostatnio, widziała na zewnątrz kilkoro dzieci na oko dziesięcio-, dwunastoletnich. Drzwi otwierane tylko magią. Ściany wzmocnione zaklęciami. Zgoda na każde wejście i wyjście. Wąskie szare korytarze.

Najwyraźniej wielkie charytatywne gale nie wystarczały, aby uczynić to miejsce znośnym. Chociaż może przesadzała? Sama w końcu przywykła do warunków, jakich większość dzieci nie miała. I nigdy nie widziała żadnej szkoły na oczy, nie mówiąc o domu dziecka. Rodzice nie puszczali jej nawet do warszawskiej placówki, gdzie podstawową edukację odbierała większość magicznej młodzieży ze stolicy i najbliższych okolic. Nie podobało się im ani „spoufalanie się z ludźmi spoza naszej sfery", ani położenie na granicy enklawy: jeden z budynków szkoły znajdował się po „magicznej", drugi zaś po „zwykłej" stronie i łączyło je przejście. Dzięki temu mogła być zarejestrowana jako prywatna szkoła także oficjalnie, a jej dyplom umożliwiał rozpoczęcie niemagicznych studiów, na które decydowała się część uczniów.

Sonia rozsiadła się w świetlicy, zastanawiając, czy tak wyglądają te pomieszczenia i w zwykłych szkołach. Rzędy długich ławek, krzesła mordercze dla kręgosłupa, parę puf-worków do siedzenia

w kącie. Regał wypełniony grami i zniszczonymi książkami. Ściany ozdobione malunkami, układającymi się w historię o Warsie i Sawie – a raczej jedną z jej „magicznych wersji". Kolejne obrazy przedstawiały spotkanie wodnego maga i syreny, ich ślub, wzniesienie osady, śmierć Warsa w walce z potworem i wreszcie Sawę, zasypiającą w jeziorze w podziemnej grocie, by powrócić, jeśli gród będzie jej potrzebował.

Sonia kiedyś lubiła tę historię i znała wszystkie jej warianty. Ten, w którym Wars i Sawa żyli długo i szczęśliwie. Ten, w którym syrena po śmierci ukochanego skamieniała, i ten, w którym polegli oboje, chroniąc gród przed demonami. Obecnie uważała legendę – pod każdą postacią – za wyjątkowo naiwną. Trzy zawody miłosne skutecznie wyleczyły ją z uwielbienia dla takich bajek.

Czy to tutaj dzieciaki spędzały deszczowe wieczory? – zastanowiła się. Czy w Przystani Sawy było jakieś inne miejsce, w którym mogły posiedzieć i się pobawić?

– Chciała mnie pani widzieć?

Sonia, zapatrzona w wizerunek Sawy, obróciła się ku wejściu. W progu stał chłopak, na oko siedemnastoletni, wyrośnięty, zbyt chudy, z rozczochranymi, przydługimi włosami, wręcz krzyczącymi o interwencję fryzjera. Minę miał niechętną, choć gdy przyjrzał się Zawickiej, ta niechęć powoli znikła z jego twarzy, niby starta gąbką. Za to otworzył lekko usta. Sonia uśmiechnęła się z zadowoleniem – może to próżność, ale lubiła robić na ludziach wrażenie. Była śliczna i wiedziała o tym. Blond włosy, wielkie oczy, szczupła sylwetka, ładna buzia, to wszystko sprawiało, że w życiu nasłuchała się komplementów od rodziny i koleżanek. Fakt, że wciąż miała sporo markowych, świetnie dobranych ciuchów i w dziedzinie makijażu była równie utalentowana jak w rzucaniu klątw, też pomagał.

A jednak faceci jakoś nie zabijali się o jej względy, więc cieszyła się takimi reakcjami. Nawet ze strony patykowatego szczeniaka.

– Sonia Zawicka, wiedźma klątw. Współpracuję z WMM w sprawie klątwy z Gwiezdnego Zajazdu. Chciałabym się upewnić, że nie ucierpiałeś w jej rezultacie – wygłosiła formułkę, którą wymówiła już, mogłaby przysiąc, z tysiąc razy. Na początku była nawet dumna, kiedy ją wygłaszała, ale szybko odkryła, że jej kwestia robiła wrażenie może na dziesięciu procentach rozmówców.

Najwyraźniej jednak Jeremiasz do nich należał, bo jeszcze szerzej otworzył usta. Szybko przemierzył pomieszczenie i usiadł naprzeciwko niej.

– Możesz mi powiedzieć, czy coś ustalono? – spytał z przejęciem. – Tam… zginął mój opiekun. To znaczy… Opiekun naszego skrzydła.

– Och… ja… przykro mi – wydukała Sonia, nagle tracąc pewność siebie. Z opóźnieniem dotarło do niej, że przecież Leon Gruszyński pracował w Przystani Sawy. Skoro zaś Jagoda zaznaczyła na liście Jeremiasza na czerwono, chłopak musiał znaleźć się blisko miejsca, w którym rzucano przekleństwo.

– Tak, wszyscy składają kondolencje, ale nikt nas o niczym nie informuje. Złapaliście go już?

– Nie… nie – odparła, nerwowo zaciskając dłonie na kolanach. Jak miała wytłumaczyć, że nie należała do WMM i tak naprawdę to nawet nie do końca z nimi współpracowała? Że o pomoc poprosili jej nauczycielkę, a ta powierzyła uczennicy żmudne zadanie, na które sama nie miała czasu? – Na pewno niedługo zostanie ujęty.

– Jasne – prychnął Jeremiasz, odchylając się do tyłu. Z początkowego zachwytu nic nie zostało: znów spoglądał na nią z niechęcią. – Ciągle to powtarzacie, a tak naprawdę nic nie robicie…

– Wcale nie! – zirytowała się Sonia. – Masz pojęcie, ile aur już sprawdziłam, żeby się upewnić, że nikogo z was klątwa nie zeżre?

– Lepiej gdybyś szukała mordercy.

– W tym pomaga moja mistrzyni i na pewno go dopadnie – oświadczyła zdecydowanie. W głębi ducha ani przez chwilę nie wierzyła w zapewnienia Jagody, że będzie tylko szukać miejsca, na które rzucono klątwę.

– Mistrzyni?

– Jagoda Wilczek.

– Wilcza Jagoda?

– Jagoda Wilczek! – poprawiła go ostrym tonem. Przezwisko Jagody znała od dawna. Słyszała je parę razy jako dziecko, gdy matka kłóciła się z jej bratem o jego dziewczynę. Zawsze wypowiadała te

słowa pogardliwym tonem.

Z drugiej strony, Sonia czuła się trochę dumna, że nawet dzieciaki z Przystani Sawy kojarzą jej nauczycielkę. Jagoda może miała paskudną opinię, ale przynajmniej była to jakaś opinia. Sonia podejrzewała, że większość magów o istnieniu jej samej nie miała pojęcia. Co najwyżej skojarzyliby ją jako „córkę Tomasza" albo „tę, która miała świetną imprezę urodzinową". To nie była sława, na której Zawickiej zależało.

– Była tam – mruknął Jeremiasz, spuszczając z tonu. Sonia kiwnęła głową.

– Owszem.

– Mogłabyś… ją o coś ode mnie zapytać? Albo lepiej przekazać liścik. Chciałem jej poszukać – stwierdził cicho, obracając głowę. – Tamtego wieczoru… Adrian zawołał nas do labiryntu, żeby o czymś pogadać, ale zwiałem Leonowi, bo chciałem ją znaleźć. Nie znalazłem. A Leon…

Umilkł i wzdrygnął się, po czym spuścił głowę. Irytacja Soni natychmiast ustąpiła. Przypomniała sobie, że ma do czynienia z nastolatkiem. Który nie dość, że niedawno był zapewne świadkiem morderstwa, to jeszcze mieszkał w Przystani Sawy, a nie w rodzinnym domu.

– Jasne. Przekażę… Zaraz. Jaki Adrian?

Jeremiasz zrobił taką minę, jakby właśnie próbował przełknąć zbyt duży kęs.

– Yyy… taki jeden gość. Leon rozmawiał z nim, zanim… zanim zginął – wybrnął. Sonia przypatrywała się mu uważnie, pewna, że chłopak kłamie.

Albo coś ukrywał, albo WMM wymusiło na nim milczenie.

– Okej – ustąpiła. Postanowiła nie dręczyć Jeremiasza, mogła zawsze o tego Adriana zapytać Jagodę. Albo spróbować podejść rozmówcę za moment, gdy straci czujność. – Mogę teraz sprawdzić twoją aurę? Pomoże, jeśli podasz mi rękę. Potem możesz napisać wiadomość do Jagi, mam ze sobą notatnik.

Jeremiasz zawahał się, ale wyciągnął ku niej dłoń. Dotknął jej ręki samymi czubkami palców, jakby bał się fizycznego kontaktu. Sonia zmrużyła oczy i skupiła na aurze chłopaka. Miała pewien talent do wyczuwania magii, zdaniem Jagody dość typowo połączony z darem do rzucania klątw. Porządnie szkolić go zaczęła jednak niedawno, wiedziała więc, że z aurą Jeremiasza coś jest nie tak, ale nie potrafiła stwierdzić, co konkretnie. Ot, różniła się od tych, jakie Sonia widywała do tej pory. To było jej pierwsze spostrzeżenie. Drugie – niepozorny nastolatek dysponował dużymi zasobami magicznymi. Jego magia była „dziwaczna" (a przynajmniej takie określenie przychodziło Zawickiej na myśl), lecz silna.

Wreszcie trzecie.

W splocie, który składał się na aurę, dostrzegła niepasującą czarną iskierkę. Wokół niej czerwień, dominująca w aurze Jeremiasza, zdawała się blednąć.

– O cholera… – wyrwało się jej. Myślała, że wykonuje bezsensowną pracę, zżymała się w duchu, że traci w mieście i jego okolicach tyle czasu na darmo, to teraz ma!

Chłopak pobladł i zacisnął dłoń na ręce Soni.

– Hej! – zaprotestowała, wyrywając się, bo miała wrażenie, że Jeremiasz zmiażdży jej palce. Jak na takiego chudzielca, dysponował zadziwiająco mocnym chwytem.

– Co się stało? Co zobaczyłaś?

– Yyy… Klątwa się trochę na tobie odbiła. Nie, spokojnie, nie jesteś przeklęty! – zapewniła go natychmiast, bo chłopak wyglądał, jakby miał zemdleć. – Jest tego mało, ale trzeba oczyścić ci aurę. Inaczej w najbliższym czasie możesz osłabnąć i w ogóle.

Trochę zmyślała. Iskierka była niewielka, stanowiła tylko fragment klątwy, w normalnych warunkach powinna stracić moc sama z siebie. Ale Soni nie podobało się, jak mocno zlała się z aurą i że na domiar złego zmieniała jej kolory.

– Co dalej?

Przez króciutką chwilę kusiło ją, by podjąć próbę oczyszczenia aury. Uczyła się zdejmować klątwy, właściwie od tego zaczęły naukę praktyczną. Ale do tej pory zdejmowała je tylko z przedmiotów i odbijała te, które dopiero rzucano. Przyglądała się, jak Jagoda zdejmowała przekleństwa z ludzi, przerabiała teorię i była niemal pewna, że dałaby sobie radę… Tyle że właśnie: niemal. Poza tym nauczycielka urwałaby jej chyba głowę, gdyby dowiedziała się, że Sonia zrobiła coś takiego bez nadzoru.

Było też jeszcze jedno.

Adrian zawołał „ich” do labiryntu.

Jagoda poprzedniego dnia wspomniała Soni, że jej zdaniem trzecia klątwa była słabsza niż dwie poprzednie. I że mogło to wynikać z tego, że Leon Gruszyński dysponował dużo mniejszym potencjałem magicznym niż wcześniejsze ofiary.

Może to nie on miał tam zginąć.

– Nie musisz pisać wiadomości do Jagody. Zabieram cię do niej.

– Co? – zdziwił się Jeremiasz. – Ale… nie wypuszczą mnie. Mam zakaz wychodzenia.

– O to się nie martw. Jakoś to załatwię.

***

Jagoda spędziła w domu prababki kilka godzin. W enklawie panowała obecnie jesień. Podobnie jak w świecie „zewnętrznym”, choć to o niczym jeszcze nie świadczyło, ponieważ ta pora roku trwała tu już dobre sześć miesięcy. Wilczek nie miała pojęcia, co wpływa na pogodę, sezon czy nawet porę dnia, jakie obowiązywały akurat w enklawie. Ubożę albo nie wiedziało, albo nie chciało jej tego powiedzieć. Kiedy przyszła tu pewnego kwietniowego poranka, padał deszcz, a liście i trawa były pożółkłe.

Tego dnia nie padało, ale chmury pokrywały niebo, co jakiś czas błyskało, wiatr zaś zrzucał z gałęzi ostatnie, zbrązowiałe już liście. Pogoda dobrze korespondowała z nastrojem Jagody, która tkwiła w bibliotece, przeglądając kolejne księgi. Nie mogła skupić się na ich treści, i to nie tylko dlatego, że i ubożę było w złym nastroju, przez co w starym domu co rusz coś trzaskało albo skrzypiało. Jej myśli wciąż ulatywały do podziemi, o których wspomniał Caleb. Tam Adriana spotkało coś złego. Mario i Czarnecki zdołali ukryć istnienie lochów, choć zwykle takie informacje szybko się rozchodziły. To miejsce sprowadziło do Warszawy Ucznia Czarnoksiężnika.

Czy powinna przyznać się Olsze, że wie o ich istnieniu? Nalegać, żeby ją tam zabrał? Czy dzięki temu miałaby szansę odkryć, co spotkało Adriana?

A może Mario już to wiedział?

Nie znalazła wiele. Parę mglistych tropów. Opis rytuału w *Księdze grobowych pieśni*, który być może pozwoliłby jej lepiej poznać naturę zaklęcia… ale po pierwsze, wymagał szczególnych okoliczności, po drugie, sam w sobie był dość paskudny, a po trzecie – pewnie by nie zadziałał. Zniechęcona wyjechała z Bromierzyka niedługo przed zmierzchem, zabierając ze sobą kilka książek. Zazwyczaj pilnowała, by nie kręcić się po okolicy, gdy zapadają ciemności. Choć przywykła do atmosfery lasu, a nawet dziwnej aury dokoła wymarłej wsi, to gdy nadchodziła noc, zaczynała czuć się tu nieswojo. Kiedyś, kiedy zasiedziała się w enklawie i wyszła dopiero o zmroku, miała wrażenie, że ktoś śledzi ją spomiędzy drzew, i nawet zdawało się jej, że słyszy tętent kopyt.

Spodziewała się, że w mieszkaniu będzie czekać Sonia. Zapewne w złym humorze, bo zadanie, jakie otrzymała, nie okazało się szczególnie ekscytujące. Gdy jednak obładowana książkami wkroczyła do salonu, zastała tam nie tylko Sonię, ale i Jeremiasza Dagmarka. Młodzi grali w karty, choć na jej widok nastolatek natychmiast poderwał się z podłogi, rozsypując część talii. Na niskim stoliku stały filiżanki po herbacie i puste talerzyki, świadczące o tym, że para siedzi tutaj już dłuższy czas. Brwi Jagody powędrowały w górę, a potem zwróciła spojrzenie na uczennicę.

– Jest przeklęty – poinformowała uczennica krótko, wskazując Jeremiasza palcem.

– Aha. Skończcie sobie partię, zaraz przyjdę.

Wprawdzie już zaczęła sądzić, że się myliła i fragmenty klątwy nikomu nie zagrażały, ale to, że oberwał Jeremiasz, szczególnie jej nie zaskoczyło. Znalazł się wśród kilku osób, które były najbliżej, kiedy Adrian znikł, pozostawiając po sobie nieukształtowane przekleństwo.

Zaniosła książki do sypialni, upychając je w zamykanej szufladzie biurka. Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna o wszystkim poinformować Mariusza Olchę – w końcu za ich czas płaciło WMM – ale uznała, że równie dobrze może zrobić to jutro. Inaczej Mario prawie na pewno nalegałby, aby przywiozła Jeremiasza do biura i dopiero tam zabrała się do ściągania przekleństwa. Czas raczej nie naglił, skoro chłopak nie wydawał się osłabiony, a ona nie wyczuła klątwy natychmiast, kiedy przed nią stanął, ale wolała zająć się sprawą od razu. Bez asysty pod postacią Maeve czy Olchy.

Ostatecznie więc wróciła do salonu. Nie grali już: Jeremiasz siedział sztywno wyprostowany, Sonia zaś zdawała się bardzo z siebie zadowolona.

– Pokaż no się – powiedziała Jagoda, siadając u boku chłopaka. Skulił się, jakby przestraszony. – Nie planuję dać ci po uchu. Nie powinno boleć.

– Czy…

– Ciii. Dajcie mi chwilę.

Kiedy znalazła się blisko Jeremiasza, od razu wyczuła obecność klątwy. Gdy się skupiła, dostrzegła nić wpasowującą się w aurę. Na tyle podstępnie, że pewnie nawet aurowidz, zdolny nie tylko do dostrzegania magii i zaklęć, lecz także do odgadywania po subtelnych zmianach kolorów nastroju czy zdolności człowieka, mógłby ją przegapić.

Szkarłatna aura w jej pobliżu zdawała się tracić kolor, za to sama ciemna nić powoli zmieniała własny.

– Możesz… może pani to zdjąć? – spytał Jeremiasz. Głos mu zadrżał, a kiedy Jagoda spojrzała chłopakowi w oczy, dostrzegła w nich przerażenie. Poniewczasie uświadomiła sobie, że dzieciak zaledwie kilka miesięcy temu omal nie umarł w rezultacie klątwy.

– Jasne – zapewniła łagodniejszym tonem. Zważywszy na to, że teraz nie był pierwotnym celem, a niejako oberwał rykoszetem, malutką częścią przekleństwa, było to dużo łatwiejsze niż ostatnio. – Soniu, przesuń dywan. Dla pewności skorzystamy z kręgu.

Zawicka poderwała się i zabrała do zwijania dywanu nakrywającego znaki, wyrysowane farbą na podłodze i nasycone magią. Może niektórzy uznaliby za barbarzyństwo takie niszczenie pięknego parkietu położonego jeszcze przez poprzednich właścicieli mieszkania, ale Jagoda wolała mieć gotowy krąg zawsze pod ręką.

– Siądź w środku. Nie ruszaj się za bardzo, nie odzywaj, spróbuj kontrolować oddech. Wszystko powinno zająć góra dziesięć minut. Przez moment może zrobić ci się słabo, ale to tyle.

Sama przestąpiła przez runy i usiadła po turecku, czekając, aż Jeremiasz zajmie miejsce naprzeciwko niej. Sonia przyklękła tuż za kręgiem i obserwowała. Jagoda sięgnęła ku nici klątwy, a ta zwinęła się, próbując umknąć. Wiedźma mogła zmiażdżyć ją brutalną siłą, zamiast wyrywać – ot, Jeremiasz przypłaciłby to chwilą mdłości i zawrotami głowy – ale chciała dokładniej przyjrzeć się temu zjawisku.

To był tylko fragment klątwy. W żadnym razie nie powinno wyglądać to w ten sposób.

Pochwycenie nici zajęło jej więcej czasu, niż myślała, ale zdołała wyrwać ją ze splotu. Najwyraźniej nawet pojedyncza nitka mogła zasiać prawdziwe spustoszenie: gdyby pozostała przyczepiona do Jeremiasza jeszcze parę dni, chłopak zacząłby odczuwać tego skutki.

– Już – mruknęła, gdy wreszcie unicestwiła nić.

– Już? Tak… po prostu?

– A czego oczekiwałeś, fajerwerków? – spytała, podnosząc się z miejsca. – Jak się czujesz?

– Trochę kręci mi się w głowie…

Chłopak był blady i spocony, może na skutek pozbycia się klątwy, może tylko z nerwów. Gdy Jagoda zdejmowała z niego przekleństwo ostatnim razem, leżał nieprzytomny, na skraju śmierci, i nie wiedział, co się z nim dzieje. Pewnie spodziewał się, że będzie znacznie gorzej.

– Posiedź jeszcze przez chwilę. Przyniosę ci wody, poobserwujemy, czy nic się nie dzieje, a potem odstawimy cię do Przystani Sawy – powiedziała, po czym ruszyła do kuchni. Sonia poderwała się i pobiegła za nią tak szybko, że z rozpędu omal nie wpadła na ścianę.

– Kim jest Adrian? – spytała cicho, pochylając się do ucha nauczycielki. Ta spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Skąd…

– Jeremiasz się wygadał.

– Każ mu uważać, co mówi, bo wpadnie w kłopoty z WMM – odparła Jagoda krótko. Sonia syknęła ze złości.

– On zabił Gruszyńskiego, tak?

– Tak – przyznała. Klauzula klauzulą, ale za zbyt długi język Jeremiasza nie odpowiadała, a nie

planowała kłamać uczennicy w żywe oczy. Znała ją na tyle, by wiedzieć, że może to wywołać później przykre skutki.

– Okej. No to słuchaj. Moim zdaniem to młody miał być ofiarą.

– Co?

Jagoda zamarła z butelką wody w ręku.

– Mówiłaś, że Leon miał niski potencjał magiczny, nie? Jeremiasz ma duży. Adrian, czyli morderca, wołał ich obu do labiryntu. Obaj go znali, więc mógł wiedzieć, jaką mocą dysponują. Jeremiasz nie poszedł. Zginął Leon…

– …czyli skoro już wszystko przygotował i zaplanował, dokończył sprawę, choć nie dostał tego, czego chciał. A raczej kogo. Albo od ofiary ważniejsza była konkretna data…

– …lub konkretne miejsce – dokończyła Sonia triumfalnie. – To ma sens, prawda?

Jagoda zagryzła wargę. Teoria jej uczennicy pozostawała na razie tylko teorią. Ale tak – teorią, która mogła mieć sporo sensu. Być może chłopak nie wspomniał o tym przesłuchującemu go funkcjonariuszowi, nie sądząc, że to ważne. Albo pracownik WMM zignorował informację i nie umieścił jej w raporcie. Ewentualnie nie sprawdzili potencjału Jeremiasza.

– Ani słowa Jeremiaszowi. Nie trzeba go straszyć. Damy mu chwilę na dojście do siebie, odwieziemy do Przystani Sawy i pojedziemy do WMM. Z tego, co wiem, według raportów powiedział im tylko, że Leon wyszedł spotkać się z Adrianem.

***

Sonia była z siebie dumna. Czuła, że pierwszy raz zrobiła coś istotnego. Nie tylko znalazła chłopca obłożonego klątwą, lecz jeszcze natrafiła na trop, który prawdopodobnie przegapiło WMM.

Gdy odstawiły Jeremiasza, dozorca narobił trochę zamieszania. Sonia, by wyciągnąć Dagmarka, nie tylko naplotła bajek, podając się za funkcjonariuszkę WMM, i powołując się na ojca, jednego z donatorów Przystani, ale też obiecała, że chłopak wróci w ciągu godziny. Tymczasem oddawały go pod czułe skrzydła opiekunów tuż przez dwudziestą drugą. Jagoda zdołała poradzić sobie z mężczyzną, choć Sonia czuła podskórnie, że Jeremiasz zapłaci za tę wycieczkę. Spędziła z chłopakiem parę godzin i chociaż nie mówił o sobie wiele, utwierdziła się w przekonaniu, że mieszkanie na stałe w Przystani Sawy to rzecz nie do pozazdroszczenia. Jeremiasz zdawał się zarówno czekać na moment, w którym ją opuści, jak i się go obawiać.

Sonia rozpoczęła samodzielnie życie, mając niespełna dwadzieścia lat. Nie było tak łatwo, jak sobie wyobrażała. A przecież dysponowała własnym kontem, na którym znajdowało się niemal sto tysięcy, zapisane jej przez pradziadka, Jagoda zaś zgodziła się przyjąć ją pod swój dach. Pieniądze wystarczyły, aby pokryć koszt edukacji i umożliwić wygodne urządzenie się, zanim znajdzie porządną pracę. Podejrzewała, że Jeremiasz mógł polegać tylko na sobie i nie miał grosza przy duszy. Pożałowała, że nie spytała, jakimi talentami dysponuje i czy ktoś go szkoli. Miał spory potencjał magiczny i był na gali Joanny Wilczek. Może więc otrzymał jakieś stypendium…? Liczyła, że tak.

Zawicka miała niewielkie grono znajomych i niegdyś obracała się wyłącznie wśród rówieśników, którzy równowartość pensji minimalnej wydawali na parę butów. Właściwie pierwszy raz zetknęła się z kimś… biednym, w dodatku z taką historią. Współczuła mu, poza tym dopadły ją wyrzuty sumienia, choć nie uważała, by miało to racjonalne podstawy. Rozum jednak wiedział swoje, a serce – swoje.

W biurze WMM, ku jej rozczarowaniu, nie było komendanta. Miała nadzieję, że spotkają Mariusza Olchę i będzie mogła osobiście przedstawić mu swoją teorię. Skoro chciała w przyszłości tutaj pracować, dobrze byłoby jak najwcześniej zacząć robić wrażenie na szefie. Spotkała go kilkukrotnie, ale nigdy nie zwrócił na nią specjalnej uwagi. Ba, ledwo dostrzegał jej istnienie – a i to chyba tylko dlatego, że włóczyła się za Jagodą. Sonia umiała obserwować i była pewna, że Mario nie traktuje jej jak pełnoprawnej osoby. Dla niego była tylko uczennicą wiedźmy.

Ale za rok, dwa, skończy naukę.

I ona już im wszystkim pokaże, ile jest warta!

Wróciły do mieszkania po północy, Sonia jednak jeszcze długo nie mogła zasnąć. Gdy wreszcie jej się to udało, we śnie była funkcjonariuszką WMM. Chodziła w kapeluszu i prochowcu, jak detektywi

w starych filmach, i próbowała rozwiązać sprawę morderstwa. Była bardzo bliska przełomowego odkrycia, kiedy w jej sen wdarł się dzwonek telefonu. Za oknami wciąż panowały ciemności, a deszcz bębnił o parapet. Niezbyt przytomna otworzyła oczy i zerknęła na swoją opaskę treningową. Szósta rano. Cóż za barbarzyńska pora na budzenie ludzi! Sonia zacisnęła powieki, żeby znów odpłynąć w objęcia Morfeusza, ale po chwili dobiegły ją dźwięki z przedpokoju. Jagoda wychodziła gdzieś o tej porze?

Sonia wyskoczyła z łóżka i dopadła drzwi. Wilczek właśnie zakładała płaszcz.

– Co się dzieje? Nie mów, że nic.

– Wyjaśnię po powrocie – odparła Jagoda, przysiadając na szafce, by wzuć buty. Poranny telefon, błyskawiczne szykowanie się do wyjścia mimo wczesnej pory, pospieszne, nerwowe ruchy, niepasujące do Jagody. Jak wynikało z doświadczenia Soni, mogło chodzić o dwie rzeczy. Albo jakaś paskudna rodzinna sprawa, albo…

– Złapali mordercę? Znaleźli miejsce, na które rzucono klątwę? Ktoś zginął? – wyrzuciła z siebie Sonia.

– Cholera – zaklęła Jagoda ze złością, gdy suwak kozaka się zaciął. – Tak, ktoś zginął. W szkole Damiana Sobieskiego. Przed chwilą woźna znalazła ciało. Daj mi parasol, jest w łazience.

– Mogę iść z tobą? – spytała Sonia, ruszając do łazienki. Nie miała nadziei na pozytywną odpowiedź, ale musiała spróbować.

– Mario urwałby mi głowę, gdybym kogoś przyprowadziła. Zakazał mówić komukolwiek o czymkolwiek.

– Ale…

– Nie dziś. Może, podkreślam, może, jeśli uda mi się przekonać Olchę, będziesz mogła pomóc z porównywaniem odczytów. Wracaj spać.

Jagoda porwała parasol i już jej nie było. Sonia, nabur-
muszona i zupełnie rozbudzona, nie planowała iść spać. W swoim pokoju wyciągnęła spod łóżka materiały, nad którymi zaczęła powoli pracować parę dni temu.

Wszystkie dotyczyły ostatnich wydarzeń.

Nie miała dużo czasu i nie zdążyła odwiedzić miejskiego archiwum. Ale na podstawie wiadomości z prasy, MAG-
netu oraz od Jess, niezawodnej, jeśli chodziło o plotki, gromadziła informacje o miejscach zbrodni i ofiarach. Mimo momentów zwątpienia, czy nie postępuje głupio i naiwnie, wierzyła, że ma szansę wpaść na coś, czego nie dostrzegli inni. Okej, WMM byli niby fachowcami, ale ile takich spraw zdarzało się w ciągu roku? Parę miesięcy temu Daniel, wcześniej Śpiąca Królewna, raz trafiła się obława na czarnoksiężnika, poza tym jednak w ostatnich latach panował spokój. Ot, tu jakiś nekromanta prowadził dziwne eksperymenty, gdzie indziej grupka małolatów założyła sektę i uwolniła pomniejszego demona. Wcale nie było powiedziane, że funkcjonariusze mają tony doświadczenia w szukaniu seryjnych morderców. Zazwyczaj załatwiali stosunkowo proste sprawy.

A syrena przemówiła do niej.

Sonia chciała wierzyć, że to nie przypadek.

Zawicka wyciągnęła plan enklawy, znalazła na nim budynek szkoły i zakreśliła go czerwonym kółkiem, podobnie jak poprzednie miejsca morderstw. Niczym detektyw z serialu już wcześniej szukała tu wzoru, ale w przypadku trzech pierwszych miejsc go nie znalazła.

– Łącznik – mruknęła do siebie, wyciągając notatki. Zapisała wszystkie informacje o okolicach miejsc zbrodni, i te istotne, i te pozornie mało ważne. Historia, właściciele, obecne przeznaczenie. Rozrysowała nawet szkicowo rozkład pomieszczeń.

Zarówno budynek należący do WilCom, jak i szkoła Sobieskiego częściowo leżały po obu stronach enklawy.

Do Batorego również dało się dostać z obu stron. Wprawdzie sam budynek szpitala leżał tylko w enklawie, ale przejście znajdowało się tuż koło niego.

Wcześniej Sonia odrzuciła to powiązanie pomiędzy Batorym i WilCom, ponieważ do schematu nie pasował Gwiezdny Zajazd. Sprawdziła: nie istniało żadne przejście pomiędzy nim a niemagiczną Warszawą. Ale teraz, gdy przypatrywała się planowi jeszcze raz, uważnie, uderzyło ją, że labirynt za

hotelem był położony dość blisko granicy enklawy, oddzielony od niej tylko jedną działką, Mieli więc cztery miejsca położone na pograniczu.

Zaczęła łączyć je ze sobą czerwonym flamastrem. Kształt może nie był idealnym okręgiem, ale go przypominał, obrysowywał powoli enklawę… a wszystkie miejsca dzieliła od siebie podobna odległość. Po pierwszych trzech morderstwach Sonia podejrzewała po prostu, że sprawca działa na konkretnym obszarze. Próbowała łączyć je w trójkąt. Dołączenie kolejnego punktu jednak zmieniało sytuację. Szkoła Sobieskiego leżała kilka kilometrów od miejsca, w którym zginął Lasota, już nie w drugiej czy trzeciej, lecz w czwartej z pięciu dzielnic enklawy. Za to każde miejsce zbrodni znajdowało się w peryferyjnej strefie, zwanej niekiedy trzecią.

I wszystko rozegrało się w mniej więcej równej odległości od jeszcze jednego punktu. Głównego placu enklawy. Od posągu syrenki, która ostrzegała przed niebezpieczeństwem. Pierwsze morderstwo: druga dzielnica, trzecia strefa. Drugie i trzecie morderstwo: trzecia dzielnica, trzecia strefa, ale jedno we wschodniej, drugie w zachodniej części. Czwarte morderstwo: czwarta dzielnica, trzecia strefa…

Sonia przeciągnęła marker jeszcze dalej i zakreśliła następny okrąg – tym razem większy. Jeśli miała rację, do kolejnego morderstwa powinno dojść gdzieś tutaj.

Przejęta natychmiast złapała za komórkę i zadzwoniła do Jagody, ale ta nie odbierała. W pierwszym odruchu Sonia chciała zabrać swoje rzeczy i biec do szkoły. Poderwała się nawet z podłogi i rzuciła w stronę szafy… ale szybko się opamiętała. Nikt nie będzie słuchać jej teorii na miejscu zbrodni. Mario się wścieknie, że przeszkadza w szukaniu tropów, Jagoda też się wścieknie, bo uczennica nie posłuchała. Gdy się tak wścieknią, zignorują wszystko, co powie. I tak mogli nie dać wiary w tę hipotezę, chociaż Sonia czuła, wiedziała, że ma rację.

A może tylko bardzo chciała ją mieć.

– Za parę godzin – obiecała sobie. Na miejscu zbrodni ekipa spędzi pewnie sporo czasu. Postanowiła więc poczekać, potem zaś wybrać się prosto do biura WMM. I przygotować się, by wypaść jak najbardziej przekonująco.

Najpierw więc zajrzała i do internetu, i do MAGnetu, wyszukując informacje o szkole Sobieskiego – obu jej obliczach. Oficjalna, niemagiczna strona była skąpa i Sonia szybko zrozumiała, że niczego ciekawego tam nie znajdzie. Kadrze placówki nie zależało na przyciąganiu uczniów spoza enklawy. Wręcz starali się, aby szkoła nie prezentowała się dobrze. Więcej znalazła w MAGnecie i wynotowała najważniejsze treści. Potem za pomocą linijki zmierzyła odległości pomiędzy miejscami wszystkich morderstw. Upewniwszy się, że różnice są znikome, dokonała także pomiaru dystansu, który dzielił poszczególne punkty od głównego placu. Wszystkie linie oznaczyła na planie, dopisując wyniki pomiarów. Odcinki miały niemal jednakową długość.

Sonia przyklękła nad planem, a w miarę jak się mu przypatrywała, dotychczasowa ekscytacja zaczęła z niej opadać, wypierana przez niepokój. Cztery morderstwa, cztery punkty, stanowiące część układu oplatającego powoli enklawę. Brakowało zaledwie dwóch… a może trzech, skoro w Gwiezdnym Zajeździe klątwa została powstrzymana – aby okrąg się zamknął.

Co się wtedy stanie?

Wiedźma przycisnęła flamaster do miejsca, gdzie oznaczono centrum enklawy, i powolnym ruchem obrysowała nadrukowaną tam niewielką, syrenią sylwetkę.

Zaklęcie spadnie na miasto.

Nie pozwólcie, by zamknął krąg.

Sonia mogłaby przysiąc, że coś zimnego rozpuściło się w jej żołądku. Bo zaczęła rozumieć, dlaczego mistrzyni nie mogła dotąd znaleźć przeklętego miejsca. Klątwa prawdopodobnie jeszcze się nie uaktywniła. Elementy przekleństwa czekały, uśpione, rozproszone na zbyt dużym obszarze, aby nawet Wilcza Jagoda mogła dostrzec ich istnienie.

A kiedy zaczną działać…

Kiedy zaczną działać…

…to co?

Wzrok Soni jeszcze raz przesunął się po planie. Pociągnęła flamastrem od miejsca, które typowała jako okolicę kolejnej, potencjalnej zbrodni, do następnego, jakie mogłoby zamknąć krąg.

Leżało tu kilka budynków, ale Zawicka, może wiedziona intuicją, może tylko obawami, pomyślała, że wie, który z nich pasuje idealnie: Syrenia Pokusa. Restauracja należąca do rodziny jej najlepszej przyjaciółki, w której często bywała śmietanka towarzyska Warszawy i przede wszystkim trzpiotowata Jess. Sonia, chociaż czasem sama naiwna, uważała ją za niedojrzałą, lecz utalentowaną. Bardzo utalentowaną.

Dziewczyna poderwała się i wypadła do przedpokoju. Nie. To nie mogło czekać kilku godzin.

***

Swego czasu Jagoda, jak większość młodzieży z enklawy, chodziła do szkoły Sobieskiego. Edukacja trwała zazwyczaj dziewięć lat, między siódmym a szesnastym rokiem życia (choć część dzieci „oficjalnie", dla niemagicznych władz, pozostawała do niej zapisana kolejne dwa lata i „zdawała" maturę). Program nauczania mocno odbiegał od tego, jaki obowiązywał w zwykłych szkołach. Dzieciarnia uczyła się podstaw matematyki, polskiego, angielskiego, historii, potem też praw obowiązujących czarodziejów i zasad funkcjonowania poza enklawą, magii ogólnej, a jeśli miała jakieś szczególne talenty, uczestniczyła w zajęciach indywidualnych. Dla uczniów pomiędzy szesnastym a osiemnastym rokiem życia organizowano kursy specjalizacyjne – zazwyczaj płatne.

Choć niektóre bogatsze, magiczne rodziny decydowały się na powierzanie dzieci prywatnym nauczycielom, babka chciała, aby jej wnuki nawiązywały znajomości. Jagoda w sumie spędziła tutaj siedem lat, z prawie dwuletnią przerwą po ósmych urodzinach. Nienawidziła niemal każdej chwili. Gdy opuszczała te mury, nigdy by nie uwierzyła, że swój najgorszy dzień w szkole Sobieskiego przeżyje dopiero kilkanaście lat później.

Do morderstwa doszło w sali gimnastycznej. Jagoda przebywała tam godzinę i było to o godzinę za długo. Choć na ofiarę musiała patrzeć tylko przez parę minut, jej twarz miała przed oczami i wtedy, kiedy badała echa pozostałe po klątwie, i później, gdy na miękkich nogach przeszła do budynku należącego już do niemagicznej Warszawy i wreszcie wyszła na zewnątrz. Słońce świeciło słabo, temperatura oscylowała w okolicach pięciu stopni, chłodne powiewy zdawały się przenikać płaszcz i ciało, sięgać aż do kości. Dochodziła już dziewiąta i stolica przebudziła się do życia. Po chodnikach sunęli przechodnie, tramwaj mknął po szynach, jakieś auto zatrąbiło, kiedy samochód przed nim za późno ruszył po zmianie świateł. Deszcz już nie padał, ale chmury zasnuwały niebo, budynki odbijały się w kałużach, małe, zniekształcone światy.

Zwyczajny dzień.

– Każdego zwyczajnego dnia umierają ludzie – mruknęła do siebie. Tak było, wiedziała o tym, dlaczego więc tym razem sytuacja tak nią wstrząsnęła?

Jagoda opadła powoli na niepozamiatane, nierówne schody. Elewacja szkoły była brudna, od dawna nieodnawiana, zupełnie inna od tej po stronie enklawy. Część starannie tworzonej fasady, by uniknąć nadmiernych problemów. Rodziny z okolicy nie chciały zapisywać dzieci do drogiej, niezadbanej prywatnej placówki. Mniej osób trzeba było odsyłać z kwitkiem.

Chodziły tutaj tylko dzieciaki z magicznych rodzin. I jeden z nich nigdy już nie miał wrócić do domu. Jagoda nie wiedziała, co sprawiło, że ten chłopiec – na oko może dwunasto-, może trzynastoletni – znalazł się w budynku nocą. Nie rozpoznała go, nie znała jego nazwiska i nie pytała Olchy, czy ustalili tożsamość dziecka. A jednak wciąż i wciąż zadawała sobie pytanie, czy chłopca zwabiono tutaj tak, jak Adrian chciał zwabić do labiryntu Jeremiasza. Po prostu prosząc o spotkanie po lekcjach.

Może się znali.

Może Adrian znał jego rodzinę.

Może nawet to był krewny? O ile Jagoda się orientowała, rodzice Adriana zmarli, jedno lata temu, drugie przed rokiem, ale klan Potockich, jeden z szesnastu najstarszych magicznych rodów, był liczny. Jego nestor, Zbigniew Potocki, jeden z najbardziej wpływowych i najbogatszych ludzi w enklawie, miał aż sześcioro dzieci, a każde z nich zdążyło założyć własną rodzinę. Chłopiec miał włosy tego samego koloru co Adrian… Adrian, w którym nie pozostało nic ze znanego jej do tej pory mężczyzny. Mogłaby uwierzyć, że Potocki kogoś zabije, ale nie że skrzywdzi w taki sposób dziecko.

– Cholera jasna – wycedziła, ukrywając twarz w dłoniach. Jeżeli miała rację, obsesja Maria na

punkcie ochrony reputacji WMM mogła doprowadzić do śmierci tego chłopca. A ona zgodziła się milczeć, choć od początku uważała, że należało wystawić list gończy za Adrianem. Dlaczego była tak głupia? Dlaczego dała się przekonać…? Przecież nie uwierzyła, że naprawdę istnieją jakieś tajemnicze powody, których Mario nie może podać!

– Jaga? Dobrze się czujesz?

Na dźwięk znajomego głosu gwałtownie uniosła głowę.

– Sonia? Co ty tu robisz?

– Pani Wilczek! Można prosić? – dobiegło od strony budynku.

Jagoda pospiesznie wstała, otrzepując spodnie. Chciała polecić Soni, by wracała, ale dziewczyna doskoczyła i złapała ją za łokieć. Dopiero teraz wiedźma uważnie przyjrzała się swojej uczennicy. Ze zdumieniem dostrzegła, że ta nie tylko jest rozczochrana i nieumalowana – a nie wychodziła z domu bez makijażu – lecz także założyła długi, czerwony płaszcz na spodnie od piżamy.

– Ja… ja myślę, że wiem, dlaczego on wybiera te miejsca. Nie, zaraz. Nie wiem dlaczego, ale wiem jak – powiedziała Sonia gorączkowo, pospiesznie wyrzucając z siebie słowa, jakby się bała, że nauczycielka każe jej odejść, nim ona skończy. – I wiem, co on przeklina. Adrian.

– Pani Wilczek!

Wiedźma zignorowała funkcjonariusza, przypatrując się Soni z odrobiną niedowierzania.

– Co takiego?

Sonia nabrała powietrza w płuca niczym pływak przed skokiem. Była blada, wytrącona z równowagi, może nawet mocniej niż Jagoda – a przynajmniej bardziej było to po niej widać.

– Miasto. To znaczy enklawę. Może całą Warszawę, ale sądzę, że tylko jej magiczną część. Proszę, daj mi wyjaśnić, to zrozumiesz. I… i myślę, że niedługo napadnie kogoś w Syreniej Pokusie. A jeśli to będzie Jess? Ona tam siedzi całymi nocami…

– Zaraz. Spokojnie – nakazała Jagoda. Ostrożnie ujęła dłoń Soni, zmuszając, aby rozluźniła uchwyt. Ręka Zawickiej drżała, może z nerwów, może z zimna. Palce dziewczyna konwulsyjnie zaciskała na długim rulonie. Była blada i wyraźnie przerażona. Tylko dlatego Wilczek powstrzymała się od ostrej reakcji. Słowa o klątwie rzucanej na miasto brzmiały absurdalnie, wyraźnie zakazała Soni tu przychodzić, a po tym, co dziś zobaczyła, nie miała w sobie dużo cierpliwości.

– Nie. Posłuchaj, to ważne…

– Rozumiem. Wszystko mi wyjaśnisz, ale nie tutaj, okej? Wątpię, żeby do morderstwa doszło w ciągu paru minut. Chodź – powiedziała, ruszając po schodach. Funkcjonariusz, młody i zdenerwowany, spróbował zastąpić jej drogę.

– Przepraszam, szef panią woła, ale ta dziewczyna…

– Jest ze mną. Przekaż, że zaraz przyjdę. Z nią siądziemy na korytarzu, nie zabiorę jej na miejsce zbrodni – oświadczyła i wyminęła młodzieńca.

Wyglądał, jakby miał się zaraz rozpłakać, niepewny, co powinien zrobić. Przeszła obok, ciągnąc za sobą Sonię, a potem poprowadziła ją korytarzem: typowo szkolnym, wąskim, z rzędem identycznych drzwi i tablicą ogłoszeń. Jagoda zaprowadziła dziewczynę do ławki pod oknem.

– Dobrze. Skąd pomysł, że klątwa jest rzucana na enklawę? – spytała rzeczowym tonem, jakim zwykle odpytywała Sonię z zadanego materiału. Zawicka odruchowo wyprostowała się, niczym uczennica przy tablicy.

– Pamiętasz, że byłam przy przebudzeniu syreny? Powiedziała wtedy: zaklęcie spadnie na miasto. Nie pozwólcie, by zamknął krąg – wyrecytowała Sonia. Choć o tym wspominała już wcześniej, a syrenie słowa przedrukowano w prasie, od tamtego dnia minął miesiąc i Jagoda mogła ich już nie pamiętać.

– Sądzisz, że to zaklęcie to klątwa? – zapytała Wilczek, starając się, by w jej tonie nie zadźwięczał sceptycyzm.

Czytała relacje o klątwach rzucanych na całe budynki, ba, nawet się z taką zetknęła. Podobnie jak z przeklętym jeziorem. Znała parę dość wiarygodnych przekazów z zamierzchłych czasów o tym, jak przeklinano całe wsie. Tyle że enklawa miała niemal taką powierzchnię jak Mokotów. Rzucenie przekleństwa na tak duży teren, o ile wiedziała, było niemożliwe nawet z ofiarą, chyba że zebrano by

przynajmniej kilku specjalistów od klątw i dano im bardzo dużo czasu. W dodatku w grę wchodziły jeszcze zabezpieczenia enklawy.

– Tak! Popatrz. – Sonia rozwinęła rulon, który okazał się planem magicznej dzielnicy. – Miejsca zbrodni? Stworzyły już półokrąg na brzegach enklawy. Dzieli je od siebie podobna odległość. Poza Gwiezdnym Zajazdem wszystkie leżą na samej granicy i mają przejście na obie strony. Zajazd nie pasuje, więc łatwo sprawę przegapić, ale sprawdziłam. W tej okolicy nie ma żadnego przejścia, a za labiryntem jest plac budowy, w tej chwili nieczynny… więc tamtej nocy najłatwiej było kogoś zwabić do labiryntu. Wszystkie te miejsca są w niemal równej odległości od posągu syrenki. Sprawdzałam też daty. Trzy pierwsze morderstwa nastąpiły w podobnych odstępach czasu, ale ostatnie nastąpiło po zbyt dużej przerwie, więc to chyba nie ma znaczenia…

Jagoda sięgnęła po pomięty plan, a w miarę jak przyglądała się nakreślonym liniom i opisanym odległościom, jej sceptycyzm powoli topniał. Może nie dowierzała, że cała enklawa została przeklęta – nie sądziła, że to możliwe, a i miała w sobie dość pychy, by uważać, że by to wyczuła – jednak wyglądało na to, że Sonia naprawdę znalazła klucz. Możliwe, że w WMM teraz, po morderstwie w szkole, też ktoś by na to wpadł, ale Zawicka była pierwsza.

Wilczek może przewyższała uczennicę w rzucaniu klątw, jednak Sonia biła ją najwyraźniej na głowę w nieszablonowym myśleniu i prowadzeniu śledztwa.

– Jak na to wpadłaś?

– Serial. Policjantka zauważyła, że miejsca zbrodni układają się w pentagram i tak wytypowała kolejne – przyznała Sonia, rozcierając ręce. Spuściła głowę, co zupełnie do niej nie pasowało. Jagoda spodziewała się, że Zawicka będzie raczej z siebie dumna. – Sądzisz, że mam rację?

– To możliwe. Jeśli chodzi o te lokalizacje.

– W takim razie prędzej czy później zabije kogoś w Syreniej Pokusie.

– Ostrzeżemy ich – zapewniła Jagoda. Mario mógł się pieklić, grozić jej aresztowaniem albo wyzywać na pojedynki, lecz tym razem nie planowała siedzieć cicho, bo nie chciał ujawniać szczegółów śledztwa. – Ale to nie musi być Syrenia Pokusa, nawet jeśli masz rację co do reszty. I… najpierw są jeszcze dwa miejsca.

– Tutaj – mruknęła Sonia, wskazując punkt na planie.

– Albo znów w zajeździe. Nie rzucił tam klątwy.

Pomyślała o ciele chłopca, którego nawet nie zdążyli wynieść z sali gimnastycznej, i mimowolnie zacisnęła pięści. Prawdopodobnie miały zginąć jeszcze przynajmniej trzy osoby. A potem? Cokolwiek planował Adrian, nie było to nic miłego.

– Centrum okręgu jest syrena. A ona stoi w środku enklawy. Dlatego tym bardziej myślę, że chodzi o to. O rzucenie klątwy na enklawę… albo… nie wiem, syrenę? – wymamrotała Sonia, spoglądając na plan leżący na kolanach Jagody.

Wilczek zapatrzyła się na niewielką figurkę oznaczoną na głównym placu. Pomyślała, że Sonia, choć mogła mieć częściowo rację, w tej jednej sprawie prawdopodobnie się myliła. Centrum rzucanego przekleństwa nie była ani syrena, ani środek enklawy, tylko podziemia odnalezione pod głównym placem.

– Co… co dalej? – wyszeptała Sonia.

– Powiemy o wszystkim Olsze. Zaczaimy się na Adriana. Powstrzymamy to.

Ona zaś uzyska od Maria kilka odpowiedzi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

DOPUSZCZALNE OFIARY

Jagoda nie zabrała ze sobą Soni. Nie dlatego, że nie chciała drażnić Olchy ani dlatego, że bała się, iż Zawicka za wiele się dowie. Wolała oszczędzić uczennicy koszmarów, które na pewno miały stać się w najbliższym czasie udziałem jej samej. Skoro Mario wzywał Jagodę, to prawdopodobnie chciał, by sprawdziła coś jeszcze na sali gimnastycznej, a tam wciąż spoczywało drobne ciało chłopca, który nie zmarł ani szybko, ani bezboleśnie.

– Wreszcie! – zawołał na jej widok Mario. Stał z boku, pochylając się wraz z Maeve nad jednym z urządzeń pomiarowych. – Mogłabyś na to zerknąć? Czy to świeży odczyt echa innej klątwy?

Jagoda podeszła i przykucnęła. Plątanina kolorów i rozmazane plamy świadczyły niezbicie, że w szkole trudno było dokonać pomiarów. Nic dziwnego: masa zaklęć maskujących, ochronnych, magicznych przedmiotów, a dzieciaki też eksperymentowały.

– Prawdopodobnie. Ale nic silnego. To raczej dzieło jakiejś nastolatki, która próbowała niezbyt umiejętnie zafundować koleżance pryszcze, a nie Adriana. Mario, zerknij na to.

Rozłożyła plan i podetknęła go Olsze nieomal pod nos. Mężczyzna zmarszczył czoło, przypatrując się rysunkowi, początkowo z niezrozumieniem, potem z większym skupieniem. Wreszcie nieomal wyrwał go z rąk Jagody.

– Co to?

– Plan enklawy.

– To sam widzę – warknął. – Skąd to masz?

– Od mojej uczennicy – wyznała. Może nie powinna się przyznawać, że rankiem powiedziała Soni, dokąd idzie. Aura klątwy, wspomnienie drobnej, bezkrwistej twarzy i złość, jaką odczuwała, na Adriana, na siebie, na Maria, sprawiły jednak, że zabrakło jej już sił na dyplomację. – Była przy przebudzeniu posągu syreny. Usłyszała, że mamy nie pozwolić, by… jakiś tajemniczy on, zapewne Adrian, zamknął krąg. Oznaczyła miejsca zbrodni. Dzielą je podobne odległości i układają się w półokrąg.

– Skąd wiedziała o szkole?

– Naprawdę to jest dla ciebie najważniejsze? – spytała Jagoda. Nie ze złością: raczej z żalem. – Masz tu oznaczone trzy miejsca, w których może dojść do morderstwa. Nie tym powinieneś się zająć?

– Sprawdzimy to. Maeve… Jedź do biura, pokaż to Ernestowi. Dołączę do was. Jaga, jeśli jesteś pewna, że sprawdziłaś wszystko, nie będziesz już dziś potrzebna.

Mario podał funkcjonariuszce plan. Chciał odejść, ale Jagoda przesunęła się, stając mu na drodze.

– Musimy porozmawiać. Na osobności. Teraz.

Mario się zawahał. Spojrzał najpierw na nią, później na swoich ludzi, którzy właśnie zabierali się do przeniesienia ciała na nosze. W końcu jednak skinął głową i ruszył do drzwi. Razem wyszli na korytarz, a potem Olcha poprowadził ją schodami na piętro. Być może domyślał się, że ich dyskusji nie powinni podsłuchać inni funkcjonariusze. Gdy stanął, zatrzymała się kilka kroków dalej, utrzymując między nimi większy dystans niż zazwyczaj przy rozmowie.

– Kim był ten chłopiec? Ustaliliście tożsamość?

– Romek Sawicki. – Mario obrócił głowę, wzrok wbił w plakat powieszony na ścianie. – Jadę poinformować rodzinę, więc mów szybko.

Roztarła ręce. Koniuszki palców świerzbiły ją, jak wtedy, gdy jej magia pod wpływem złości czy strachu wymykała się spod kontroli. Ale teraz nie była wściekła ani przestraszona. Czuła się pusta w środku, jakby wszystkie emocje pozostały za grubą szybą.

Żoną Sawickiego, dość znanego dziennikarza, była kuzynka Adriana, Ewa Potocka.

– Znał chłopca.

– Nie wtrącaj się w to, Jagoda – powiedział Mario cicho, niemal łagodnie.

– Oczywiście. Sprawy WMM. Dobre imię wydziału. A ten dzieciak to dopuszczalna ofiara na ołtarzu wyższej sprawy – stwierdziła z goryczą.

Spodziewała się, że Olcha na nią wrzaśnie albo przynajmniej odpyskuje, ale Mario tylko westchnął.

– Tu nie chodzi o dobre imię wydziału, jasne? Wszystko blokuje Zbigniew Potocki do spółki z Czarneckim. Są sprawy, o których nie masz pojęcia. Tak dobrze sfingowano wyjazd Adriana do

Francji, że sam omal w niego nie uwierzyłem. Przez chwilę byłem gotów myśleć, że to doppelgänger!

Otworzyła usta i niemal natychmiast je zamknęła. Potocki już trzecią kadencję był przewodniczącym Izby Magów, najwyższej instancji w magicznej Polsce. Czarnecki pełnił funkcję szefa Departamentu Magicznego. Oczywiście, że mieli takie możliwości. I oczywiście, że Zbigniew nie życzył sobie, aby szargano jego nazwisko i ujawniono, że wnuk jest przestępcą. A potencjalne ofiary? Dla starego Potockiego zapewne były dopuszczalne. Może nie spodziewał się, że pośród nich znajdzie się któryś z prawnuków. A może i to nie miało dla niego znaczenia.

– To wszystko, Jaga? Naprawdę, mam w tej chwili na głowie… Armagedon. Niemal dosłownie.

– Nie, to nie wszystko. Punkty układają się wokół placu, pod którym znajdują się podziemia – wyrzuciła z siebie, wszystko stawiając na jedną kartę. Iga i Liliana od początku miały rację. Nie umiała trzymać się z boku ani nawet ograniczać tylko do wyznaczonej jej roli. – Co spotkało tam Adriana?

Mario zmienił się na twarzy.

– Skąd o tym wiesz?

– To nie ma znaczenia.

– To ma cholerne znaczenie – warknął Olcha. Błyskawicznie pokonał dzielącą ich odległość i złapał Jagodę za przedramiona. – Kto! Ci! To! Powiedział?!

– Zabieraj ręce.

– MÓW! – wrzasnął wprost do jej ucha.

Magia narosła wokół niego, palce zaciskał coraz mocniej i mocniej, aż Jagodzie zdało się, że jeszcze moment i połamie jej kości. Spróbowała się wyrwać, lecz nie zdołała, a dłonie Olchy zaczęły parzyć w całkiem dosłownym sensie.

Wbiła mu kolano między nogi. Puścił ją, lecz w tej samej chwili rzucił zaklęcie – wiedźma została dosłownie poderwana w górę, a następnie z impetem wylądowała na posadzce i przejechała po niej jeszcze metr. Klątwę w komendanta cisnęła bardziej odruchowo niż świadomie. Odrzut wywołany przez zaklęcie Olchy, choć zaparł Jagodzie dech i na moment zamroczył, miał też swoje dobre strony – znalazła się tuż przy schodach. Przetoczyła się teraz ku nim, opadła na pierwszy stopień i w ten sposób zniknęła komendantowi WMM z oczu.

– Jagoda! Czekaj!

Zignorowała okrzyk Maria. Chociaż plecy i ramię bolały ją po upadku, poderwała się i przeskoczyła kilka schodków. Przebiegła obok Krystiana Wiśniewskiego, który dla odmiany właśnie wbiegał na górę. Zrobił taki ruch, jakby chciał zatrzymać wiedźmę, ale zdołała wywinąć mu się spod ręki i pobiec dalej, niczym ścigana przez stado demonów.

W pewnym sensie tak było. Mariusz Olcha ją zaatakował, nie wiedziała, co jeszcze wpadnie mu do głowy, a znajdowała się w budynku pełnym jego ludzi. Nie mogła nawet wybiec najbliższym wyjściem na enklawę, bo przecież Sonia czekała po niemagicznej stronie.

Albo nikt jej nie gonił, albo pościg nie okazał się dość szybki, więc zdołała dopaść przejścia, a potem dotrzeć do korytarza, w którym zostawiła uczennicę. Sonia wstała na jej widok. Jagoda złapała ją za rękę i pociągnęła do wyjścia, nie dając dojść do słowa. Po forsownym biegu zaczynała łapać lekką zadyszkę i w duchu przyrzekła sobie, że od tej pory będzie biegać nie dwa razy w tygodniu, lecz codziennie.

– Do auta, szybko! – warknęła, wlokąc Sonię na szkolny parking.

Dziewczyna, na szczęście, już o nic nie pytała, tylko ruszyła sprintem za nauczycielką i bez protestów wskoczyła na tylne siedzenie. Jagoda odpalała właśnie silnik, gdy na schodach przed szkołą pojawił się Mario. Skierował się w ich stronę, wiedźma jednak nie czekała, aż się zbliży. Wiedziała, że Olcha nie ciśnie żadnego zaklęcia na środku niemagicznej ulicy. Ruszyła z piskiem opon, wymusiła pierwszeństwo, o włos unikając wypadku, i włączyła się do ruchu. Oddech łapała z trudem zarówno z powodu wysiłku, jak i emocji. Rękaw poczerniał tam, gdzie zacisnęły się palce komendanta.

– Co się dzieje? – pisnęła Sonia i obejrzała się za siebie.

W kieszeni płaszcza Jagody rozdzwonił się telefon. Wyjęła go jedną ręką i rzuciła uczennicy.

– Jeśli to Mario, odrzuć połączenie i zablokuj numer.

– Jagoda!

– Rób, co mówię – wycedziła.

– Boże. Co zrobiłaś? Będą nas ścigać?

Roześmiała się. Raczej nerwowo niż wesoło.

– Nie, nie będą. Nie zrobiłam absolutnie nic nielegalnego. Ale nici ze współpracy z WMM.

Nawet gdyby Mario chciał ją kontynuować, Jagoda nie miała już takiego zamiaru. Nie tylko dlatego, że ją zaatakował, choć to też robiło swoje. Działy się tu rzeczy, których nie rozumiała, i nie była pewna, na czym tak naprawdę zależy szefowi WMM albo jego przełożonym. Niemal żałowała, że pokazała mu plan Soni.

– To… to przeze mnie?

– Co? Oszalałaś? – prychnęła Jagoda.

– W takim razie co się dzieje?

– Nie wiem. W tym problem, że nie wiem – odparła, siląc się na spokojny ton. Nie mogła pozwolić, by uczennica dostrzegła jej bezradność i desperację. – Myślę, że tu nie chodzi tylko o morderstwa. Jakaś polityka? Cholera wie, Soniu, ale ja już im nie ufam.

– W takim razie… co robimy? – wyszeptała Zawicka.

Nie wiem, pomyślała Jagoda. Była to jednak rzecz, której absolutnie nie powinna mówić w takich okolicznościach.

– Jedziemy do domu. Musisz się przebrać. Potem zadzwonię do mojej babki. I… – Zawahała się. Nie ufała Olsze. Nie ufała już chyba nikomu, może, o ironio, poza Sonią i najbliższą rodziną. Babka zawsze powtarzała, za swoją matką, że w ostatecznym rozrachunku liczy się tylko rodzina. Jagoda tak bardzo nie chciała być do nich podoba, ale teraz jej myśli biegły tymi samymi torami. – Znajdź w moim telefonie kontakt „Królik Bugs”. Napisz SMS-a. Jeśli dalej potrzebuje informacji, to za półtorej godziny za Gwiezdnym Zajazdem.

– Co?

– Po prostu to zrób! – syknęła, trochę zbyt gwałtownie skręcając.

Nie. Nie ufała też Calebowi Blythe’owi. Nie była nawet pewna, czy ich interesy będą zbieżne. Jeżeli jednak naprawdę chciała odkryć, co stało za przemianą Adriana, dlaczego Mario zachowywał się jak wariat i jaka klątwa spada na miasto, potrzebowała sprzymierzeńców.

***

Półtorej godziny później stawiły się obie za murem odgradzającym tereny Gwiezdnego Zajazdu od placu budowy. Jagoda wybrała to miejsce z dwóch powodów. Jeżeli Sonia miała rację i czar rzucano na enklawę, to tu, gdzie utkano część klątwy, byłoby to najłatwiej sprawdzić. Po drugie – kiedy Sonia wyłuszczała swoje teorie, Jagodę tknęło paskudne przeczucie. Mogła się mylić. Miała nadzieję, że się myli. Ale jeżeli obie miały rację… Poszukiwania należało zacząć tutaj.

Wprawdzie do mieszkania wpadły jak po ogień, Zawicka zdążyła się jednak ogarnąć i choć zgodnie z poleceniem nauczycielki zamiast zwykle noszonych sukienek i szpilek wybrała spodnie i trampki, wyglądała nieskazitelnie. Jagoda, blada, niewyspana, rozczochrana, z workami pod oczami i w wymiętym ubraniu, prezentowała się, jakby właśnie wracała z nocnej zmiany. Miała za sobą gorączkowe przetrząsanie księgozbioru i rozmowę telefoniczną z babką: krótką, lecz wyczerpującą. Jagoda zgodziła się wpaść jutro z rana do domu Wilczków, by omówić sprawę i warunki współpracy. Kiedy się rozłączała, nawiedziła ją myśl, że może jednak targi z czarnoksiężnikiem były bezpieczniejsze niż układy z Joanną Wilczek.

Wyprzedziły Caleba o pięć minut. Jagoda spędziła ten czas, kręcąc się wzdłuż ogrodzenia, które otaczało budowę, i syknięciami uciszając pytania Soni. Wyczuwała, że na mur rzucono jakąś ochronę – zapewne niezbyt silną – ale nie potrafiła znaleźć słabych punktów. Zresztą nawet nie próbowała, gdyż skupiała się na czymś innym. Caleb pojawił się, nim zdążyła w pełni potwierdzić swoje hipotezy. W ciemnym długim płaszczu, malowniczo rozwiewanym przez wiatr, wyglądał niemal dokładnie tak, jak powinien wyglądać ktoś o przydomku Uczeń Czarnoksiężnika. Jagoda pomyślała, że dla pełnego efektu powinien jeszcze ufarbować włosy na czarno. Sonia, której w pośpiechu nauczycielka nie wyjaśniła, kim jest Królik Bugs, wydała z siebie taki dźwięk, jakby się zakrztusiła.

– Czyżby nowe morderstwo sprawiło, że postanowiłaś poszukać dodatkowych opcji? – spytał z miejsca Caleb. – Jeśli to o nim chciałaś mnie poinformować, to już wiem.

– Nie – odparła Jagoda. – Chodzi o coś innego. W zamian chcę, żebyś mi powiedział wszystko, co wiesz o tych podziemiach.

– Skąd wniosek, że wiem coś jeszcze?

– Pofatygowałeś się tu przez pół Europy na samą wieść, że odkryto jakieś korytarze?

– Może tak. – Caleb się uśmiechnął. Jagoda zdążyła poznać go na tyle, by odgadnąć, że uśmiech nie jest szczery. – A może nie. Jeśli wasze informacje okażą się przydatne, podzielę się moimi, co wy na to?

– Potencjalne miejsca kolejnej zbrodni i możliwe skutki klątwy brzmią wystarczająco przydatnie?

Uśmiech spełzł z twarzy Blythe'a.

– Na ile jesteś pewna?

– Dziewięćdziesiąt procent. Sonia zauważyła wzór – oświadczyła Jagoda. Zawicka przy jej boku wyprostowała się, dumnie unosząc głowę. – Potencjalne miejsca zbrodni i informacje o klątwie w zamian za te o podziemiach. Stoi?

– Co na to Olcha?

Jagoda wzruszyła ramionami.

– Może ci powiem, jeśli zawrzemy umowę.

– Umiesz zaintrygować – stwierdził Caleb. Zmierzył spojrzeniem najpierw ją, później Sonię. – A ona?

– Niby co ja? – spytała Zawicka, pierwszy raz wtrącając się do rozmowy.

– Zastanawiałem się, co tutaj robisz, moja maleńka. To wszystko.

– Nie jestem twoją maleńką!

– Jest tutaj jako moja uczennica – ucięła Jagoda. Wciąż nie wiedziała, czy dobrze robi, wciągając w to wszystko Sonię. Ale utrzymanie jej z dala wymagałoby energii i czasu, którymi nie dysponowała, a dziewczyna była tu potrzebna. – Decyzja?

– Zgoda.

Wyciągnął ku niej rękę. Jagoda uścisnęła ją krótko i mocno. Iskierki magii przeskoczyły pomiędzy ich dłońmi. Wiedźma wzdrygnęła się mimowolnie, bo wcale nie próbowała potwierdzać umowy magią: ta najwyraźniej wybrała sobie ten moment na zamanifestowanie, że czasem działa w nieprzewidywalny sposób.

– Gdzie ma dojść do kolejnego morderstwa?

– Są trzy możliwe miejsca. Okolice restauracji Syrenia Pokusa, drugiego budynku WilCom z przejściem… i to. – Czarownica obróciła się i wskazała ogrodzenie otaczające plac budowy. Wstrzymano ją kilka miesięcy temu na skutek zawirowań z prawami własności do firmy nadzorującej budowę.

– Skąd ten wniosek? – spytał Caleb powoli, jakby z namysłem. Wilczek spojrzała na niego znad okularów, zastanawiając się, czy tylko się jej wydaje, czy Blythe nie jest zaskoczony.

– Wszystkie miejsca… – zaczęła Sonia z entuzjazmem, ale Jagoda trąciła ją lekko łokciem i pokręciła głową. Zawicka westchnęła, lecz zamilkła.

– Po kolei. Wiesz coś jeszcze o podziemiach i Adrianie? Dowiedziałeś się czego?

– Tak. Nawet kilku rzeczy – mruknął Caleb, dość nieuważnie. Spojrzeniem wodził po ogrodzeniu i ponad nim. W pewnym momencie wyciągnął dłoń, jakby próbował dotknąć czegoś niewidzialnego. – WMM otrzymało zgłoszenie. Faktycznie od Zbigniewa Potockiego, upewniłem się. Podejrzewam, że początkowo próbował się dostać do lochów na własną rękę albo kogoś zatrudnił, bo część zaklęć ochronnych okazała się już zdjęta, ale nie zdołał. Zeszło tam pięciu funkcjonariuszy, jednych z najlepszych w WMM. W tym Adrian Potocki, podobno specjalnie na życzenie dziadka. Rozbroili klątwę, pułapkę, pozbyli się paru żywych trupów i jednego widma. Chcieli się wycofać, bo nie spodziewali się takich problemów, ale coś się zawaliło. Krystian Wiśniewski zdołał się wydostać. W zawale zginęło trzech. Adriana uwięziło, udało się go jednak odkopać. O ile człowiek, który stamtąd

wyszedł, to wciąż był on.

– On – szepnęła Jagoda. – Znam jego wzór magiczny. Rzucił te klątwy.

– Dobrze wiedzieć. Podejrzewałem sobowtóra. Śmierć pozostałej trójki ukryto. Sfingowano wyjazd jednego, drugi zginął oficjalnie w wypadku samochodowym… O całej akcji i znalezieniu podziemi wiedziała tylko garstka osób. Sprawę chwilowo zostawiono, bo korytarz się zawalił, nie mogli pokonać bariery, Potocki przedstawia to jako odkrycie archeologiczne, nie magiczne, w dodatku niekoniecznie wartościowe i… cóż, pojawił się inny problem, prawda?

Cesarz nie stracił więc życia w wypadku. Być może to dlatego Mario tak się wściekł. Zginęli tam jego ludzie, a on został zmuszony do ukrywania tego faktu. Mariusz Olcha, którego znała, bywał bufonem, ale dbał o swoich. Najwyraźniej nie powinna była przyznawać, że wie o tych podziemiach. Sprawa okazała się bardziej tajna, niż Jagoda sądziła.

– Jakim cudem zmusili Maria, żeby siedział cicho?

– Prawdopodobnie nałożyli na niego przysięgę milcze-
nia.

– Ale to czarna magia! – wyrwało się Soni.

– Nie. Tylko prawnie zakazana – sprostował Caleb. – Co nie znaczy, że nie uznaje się wyjątków od reguły. Kilka papierków i można jej użyć.

– Co jest w tych cholernych podziemiach? – Sonia zadała dokładnie to pytanie, które Jagoda już miała na końcu języka. – Z ich powodu giną ludzie!

– O tym możemy porozmawiać, jeśli przedstawicie mi dokładnie wasze wnioski. Muszę ocenić, ile są warte. Tym razem chcę się upewnić, że szukam informacji we właściwym źródle – oświadczył Blythe, spoglądając na Jagodę wymownie. Wiedźma nie mogła go nawet za to winić.

Milczała przez kilka sekund, gdy rozważała za i przeciw. Być może powinna po prostu zadzwonić do Olchy. Pewnie nawet by to zrobiła, gdyby tego ranka nie miotał w nią zaklęciami. I gdyby nie zaczęła wierzyć, że coś krępuje mu ręce i oddala od rozwiązania sprawy.

– Przed chwilą badałeś zabezpieczenia. Dasz radę je przełamać? – spytała, wskazując na ogrodzenie.

Brwi Caleba powędrowały w górę.

– Dam. Są podstawowe i już naruszone. Ktoś tam niedawno wszedł. Tylko po co?

– Ponieważ jeśli Sonia się nie myli, to może tam leżeć ciało. Kiedy się skupię, wyczuwam słabą aurę starej klątwy… i od strony labiryntu, i stamtąd.

Blythe nie pytał, czy jest pewna. Zmierzył ją spojrzeniem, a potem odwrócił się w stronę płotu i bez słowa zaczął zdejmować zabezpieczenia. Sonia trąciła Jagodę łokciem i pochyliła się do jej ucha.

– Nic nie powiedziałaś – syknęła z wyrzutem.

– Upewniłam się dopiero tutaj. Już podczas rozmowy – odmruknęła Wilczek. Wcześniej miała tylko niejasne przeczucie, poparte słowami Soni o placu budowy i zbyt długiej przerwie między trzecią a czwartą zbrodnią. Nie chciała o tym wspominać, by niepotrzebnie nie nakręcać uczennicy.

– Od tej pory będę uczestniczyć… w sprawie?

– Tak, ale na zwykłych warunkach. Wypełniasz polecenia. Nawet jeśli ci się nie spodobają.

Sonia westchnęła cierpiętniczo.

– Ciężka dola uczennicy wiedźmy – zamarudziła, ale uśmiechnęła się przy tym wręcz nieprzyzwoicie szeroko jak na kogoś, kto zaraz miał wejść na potencjalne miejsce zbrodni.

Zrobienie wyrwy w zabezpieczeniach zajęło Calebowi jedynie dwie minuty. Ogrodzenie samo w sobie okazało się poważniejszą przeszkodą, przynajmniej dla Soni, którą Blythe musiał podsadzić. Po drugiej stronie ujrzeli gruz, doły, pryzmy piasku i trochę porzuconych materiałów budowlanych.

Aura klątwy osłabła, w dodatku była przytłumiona przez zaklęcie ochronne, niezniszczone ani przez Caleba, ani przez Adriana, a jedynie naruszone w dwóch miejscach. Jagoda, przebywając w pobliżu, nie zwróciłaby na nią uwagi, gdyby specjalnie jej nie szukała i nie znała wcześniej.

– Niby gdzie ten trup? – spytał Caleb.

Teren był nierówny, stopy grzęzły w wilgotnej ziemi, potykały się o kamienie. Jagoda zerknęła na Blythe'a kątem oka: skoro nawet on nie wyczuł pozostałości po tej aurze przekleństwa,

prawdopodobnie nikt inny nie miał na to szans.

– Sonia? Czujesz coś?

– Eee… – Dziewczyna przystanęła, nerwowo przygryzła wargę. – Nie wiem. Jak bardzo się skupię… to tak trochę… ale… nie wiem co to.

– W porządku – mruknęła tylko Jagoda, zatrzymując się nad dołem wykopanym przez maszyny. – Aura już prawie wywietrzała. Zabił pewnie dzień… nie, za dużo funkcjonariuszy w okolicy… dwa dni po gali. Źródło jest tutaj.

– Chyba nie sądzisz, że zabrałem ze sobą łopatę? – prychnął Blythe. W jego głosie zadźwięczała nuta sceptycyzmu, jakby zaczął powątpiewać w to, czy wiedźma ma rację.

– Żadnych zaklęć sprawiających, że ziemia się uniesie i kamienie zaczną latać w powietrzu?

– Takie sztuczki rezerwuję na specjalne okazje. Za kogo ty mnie masz, rycerza Jedi?

Jagoda nie odpowiedziała. Rozejrzała się, złapała jakiś większy kamień, a potem ostrożnie zeszła na dół. Torbę porzuciła na ziemi. Spodnie na kolanach szybko zaczęły wilgotnieć, gdy przyklękła na dnie dziury i zabrała się do ostrożnego odgarniania piasku. Tu, tak blisko, czuła już pozostałość przekleństwa całkiem wyraźnie. Nie sądziła, by ciało było zakopane głęboko – i miała rację. Caleb i Sonia zeszli za nią akurat w momencie, gdy natknęła się na coś, co mogło być tylko ludzką nogą.

– O matko… – wyszeptała Sonia.

Dziewczyna zamarła, wpatrzona w odsłonięty kawałek materiału. Caleb przykucnął przy boku Jagody, która cofnęła ręce i teraz w milczeniu przypatrywała się swojemu znalezisku.

Kolejna dopuszczalna ofiara?

W oczach Potockiego, WMM? A nawet jej, zważywszy na to, co planowała zrobić?

– Co dalej? – spytał Uczeń Czarnoksiężnika. – Chcesz teraz wezwać WMM?

– Nie.

– W takim razie?

– Sonia uważa, że klątwa jest rzucana na całą enklawę. Dlatego dotąd nie znaleźliśmy śladów. Dopiero ją… oplata, jeszcze zbyt rozproszona, żeby dało się coś wykryć.

– Niemożliwe.

– Jeszcze dwa tygodnie temu powiedziałabym, że niemożliwe, by Adrian poradził sobie z tobą, Olchą i mną jednocześnie – stwierdziła. – Nie umiem wyczuć tej klątwy w enklawie. Nie potrafię. Tylko echo w miejscu rzucenia. Ale te zwłoki… w nich zostają ślady.

– Chcesz użyć ciała – powiedział Caleb, a w jego głosie zabrzmiało niedowierzanie. – To nekromancka, zakazana magia.

Sonia się nie odezwała. Cofnęła się o kilka kroków i klapnęła tyłkiem prosto na rozmiękłą ziemię.

– Nie. Tylko odradzana. Co nie znaczy, że nie uznaje się wyjątków od reguły – powiedziała Jagoda cicho, powtarzając jego własne słowa. Nie patrzyła ani na Blythe'a, ani na Sonię, lecz na ziemię, która wciąż skrywała twarz ofiary.

Być może nawet uzyskaliby zgodę na eksperymenty po wystąpieniu o odpowiednie zezwolenia i odczekaniu czternastu dni, które odpowiednie organy miały na udzielenie odpowiedzi. Jagoda jednak nie mogła być tego teraz pewna, a w tym czasie prawdopodobnie zginęłaby kolejna osoba.

– Znasz się na takiej magii? Czyżbyś jednak zasługiwała na swoją reputację?

– Nie, nie znam się. Myślisz, że do czego potrzebuję Ucznia Czarnoksiężnika?

Podziemia podziemiami. Chciała wiedzieć o nich więcej, ale dokopywać się do tej wiedzy mogła na różne sposoby. Istniały jednak sprawy, w których Caleb mógł udzielić najlepszej pomocy.

Skrzywił się, jakby jej słowa były mu nie w smak.

– Zakładasz, że w wolnych chwilach grzebię po cmentarzach? Nie jestem mistrzem nekromancji, Jago, cokolwiek o mnie myślisz.

– Niekoniecznie musimy ożywiać zwłoki. To zresztą i tak nic by nam nie dało – mruknęła, po czym wytarła dłonie o spodnie i sięgnęła do torby. Wydobyła z niej książkę, starą, oprawioną w skórę, w całości zapisaną ręcznie. Kopię jeszcze starszego dzieła.

– *Księga grobowych pieśni*? Poważnie? Dziewięć na dziesięć zaklęć z tej księgi nie działa.

– Chcę rzucić to dziesiąte – odparła, siląc się na spokojny ton, choć w głębi ducha zapragnęła

złapać ciężki tom i walnąć nim Caleba w łeb.

Miał wiele racji. *Księgę grobowych pieśni* zwykło się uważać jeśli nie za bezużyteczną, to za niemal bezużyteczną. Jagoda jednak wiedziała, że to księga starożytnych wiedźm, a w sprzyjających warunkach niektóre inkantacje działały. Być może niegdyś wszystkie były skuteczne, a potem magia i świat odmieniły się tak, że ich rzucenie stało się niemożliwe. Kiedyś za pomocą jednego z nich przywołała wspomnienia zmarłej, wierzyła więc, że zaklęcia mogą pozwolić na utkanie czaru.

– Pomożecie mi czy nie? – spytała, kiedy cisza się przedłużała. – Bo potrzeba do tego trzech osób, a powinniśmy się pospieszyć, zanim Mario się zorientuje, jakie miejsce powinien sprawdzić.

– Mogą nas aresztować za utrudnianie śledztwa – pisnęła Sonia nienaturalnie wysokim głosem. Wciąż siedziała na ziemi, kilka metrów od nich, obejmując się ramionami. Do tej pory milczała, a Wilczek niemal zapomniała o jej obecności.

– Prawdopodobnie – przyznała Jagoda. – Zaświadczę, że to był mój pomysł i że próbowałaś mnie powstrzymać.

Nie powiedziała, że Sonia może odmówić. Mogła, oczywiście. Ale Jagoda nie planowała jej do tego zachęcać. Jeśli chciała rzucić tę konkretną pieśń, potrzebowała do tego czarodziejów utalentowanych w dziedzinie magii, której cień pragnęła przywołać. To ograniczało wybór do Soni, Caleba, Antoniego i Anny.

– Nie. Sama w to wchodzę, sama ponoszę konsekwencje – powiedziała Sonia. Podniosła się powoli i odruchowo spróbowała otrzepać płaszcz. Bez większych rezultatów. Dłonie jej lekko drżały, ale na twarzy miała wyraz determinacji.

– Blythe?

Przesunął spojrzeniem najpierw po widocznym kawałku spodni zabitego, później po księdze. Wreszcie jego wzrok padł na Jagodę.

– Na ile jesteś pewna, że to coś nam da?

– Dwadzieścia procent.

– Lepsze to niż nic – westchnął ku jej zaskoczeniu. Była już niemal pewna, że odmówi. – Co robimy?

Ostrożnie ułożyła książkę na torbie. Pomiędzy karty wciśnięte było kilkanaście zakładek i teraz otworzyła wolumin na jednej z nich. Caleb pochylił się, spoglądając jej przez ramię i próbując odczytać tekst.

– Łacina. Nienawidzę łaciny – zamarudził. Opis rytuału faktycznie sporządzono po łacinie. Samą inkantację spisano jednak w języku, którym nikt nie mówił już w czasach, gdy łacina pozostawała żywa. – Pieśń magii umarłych? To brzmi złowieszczo, Belladona.

– Co to dokładnie robi? – chciała wiedzieć Sonia. Dziewczyna stanęła nad nimi i też spróbowała zajrzeć do księgi, ale szybko pojęła, że nic nie zrozumie.

– Przywołuje wspomnienie magii. Sięga… do magii obecnej w kimś, kto umarł. Otaczającej go tuż przed śmiercią. Użytej przez niego albo w jego pobliżu. Może zdołam… poznać cały rytuał. Upewnić się, co robi ta klątwa. Jeżeli tak, łatwiej będzie ją wykryć i zdjąć.

– Ewentualnie umrzemy w wyniku szoku – powiedział Caleb zgryźliwie, marszcząc czoło. Pochylał się nad księgą, próbując odszyfrować opis zaklęcia. – Jeśli dobrze to rozumiem, nie przywołujesz cienia magii, a jej doświadczasz.

– Metaforycznie. Odczuwa go twój umysł, nie ciało.

– Jesteś pewna?

– Tak! Poza tym to nie magia go zabiła. Wszystkie ofiary… Adrian wykrwawił.

– Na pewno nie zrobił tego magicznie? Śmierć w wyniku wykrwawienia nie jest moim marzeniem.

– Nie wykrwawisz się, bo po pierwsze, ten czar tak nie działa, po drugie, skoncentrujemy go na mnie – wycedziła Jagoda.

Sama myśl o tkaniu tego zaklęcia przyprawiała ją o mdłości. Aż za dobrze pamiętała, co przeżyła, co czuła i zapamiętała, kiedy pierwszy raz zdołała wykorzystać jedną z grobowych pieśni. Jeżeli jednak Sonia miała rację i „zaklęcie spadało na miasto”… musieli wiedzieć.

– Nie, skoncentrujemy go na mnie. Ja tutaj jestem od mrocznych rytuałów. Tak albo wcale.

Może był to objaw rycerskości i troski. Może nieufności wobec niej. A może chciał sam poznać szczegóły rytuału i niekoniecznie się nimi dzielić. O cokolwiek chodziło, nie zamierzała na to iść. Plan był ryzykowny i nie chciała pozwolić, aby ktoś przejął jej rolę. Zwłaszcza że święcie wierzyła w swoje umiejętności. Caleb w dziedzinie magii przerastał ją na niemal każdym polu. A właściwie na każdym, poza jednym. Klątwami. Jeśli komuś mogło się udać, to jej.

– Rozumiem – skwitowała Jagoda, zatrzaskując księgę. – Soniu, zadzwonisz do brata? Musimy poprosić go o pomoc.

Zawicka spoglądała na nią w niemym szoku. Zdawała się bardziej zdumiona niż w chwili, w której odkopali ciało, albo w momencie, w którym odkryła, że Królikiem Bugsem jest Uczeń Czarnoksiężnika.

Blythe chwycił Jagodę za nadgarstek, uniemożliwiając jej zabranie tomu.

– Blefujesz.

– Na pewno blefujesz – przytaknęła Sonia nerwowo. – Chyba nie chcesz wciągnąć w to mojego brata! On…

– Ma pewien stary dług – powiedziała Wilczek sucho. – Nie spodoba mu się to równie mocno jak mnie, ale przyjdzie. Jeśliby protestował… przekaż, że proszę w imię Wawrzyńca. Na co czekasz? Dzwoń, poproś, żeby przyjechał.

Palce Caleba zacisnęły się na nadgarstku wiedźmy jeszcze mocniej, aż szarpnęła, by uwolnić rękę. Nie puścił, choć poluzował lekko uścisk.

– Niech cię szlag – wycedził. – Wygrałaś. Mała, będzie lepiej, jak się odwrócisz. Musimy odsłonić twarz… i zrobić kilka zdjęć. Zajmę się tym.

– Zdjęć? – nie zrozumiała Sonia, choć faktycznie cofnęła się odruchowo, spoglądając ku miejscu, gdzie leżało ciało.

– Czy nam się uda, czy nie, ta magia zamieni ciało w proch – wyjaśnił Caleb.

– Że co?! – zdumiała się Zawicka, od roku wielka fanka seriali i książek kryminalnych. – Nie możemy tak! Zniszczymy miejsce zbrodni! Wszystkie ślady! Trzeba… trzeba najpierw wezwać tu WMM, a dopiero potem…

– Nie da rady – przerwała jej Jagoda. – Nawet gdyby na to pozwolili, zaklęcie byłoby już nie do rzucenia. Grobowe pieśni to rytuały wymagające szczególnych okoliczności. Nie bez powodu teraz nikt nie wierzy w ich skuteczność. Jeśli funkcjonariusze zaczną tu używać magii, skanerów, będą się kręcić albo ruszą ciało, zakłóci to odczyt.

– I tak może się nie udać, bo minęło trochę czasu. Zaraz, może się nie udać, bo to *Księga grobowych pieśni* – stwierdził z przekąsem Caleb. – Odsuń się, mała. WMM i tak nie znajdzie tu więcej niż na poprzednich miejscach zbrodni.

– Ale… ciało… rodzina… powinna je dostać – wyjąkała Sonia.

Jagoda odwróciła wzrok.

Dopuszczalne ofiary.

– Powinna – powiedziała głucho i się podniosła. – Pomogę ci z tym, Caleb.

***

Tym razem Sonia nie nalegała, że im pomoże. Wspięła się z powrotem na górę i na brzegu dziury czekała, aż skończą. W tym czasie odczytywała raz po raz instrukcję oraz inkantację, którą fonetycznie zapisała jej Jagoda. Fragment nie był długi, a Wilczek zapewniała, że w tym przypadku liczą się głównie intencje i moc, mimo to Sonia obawiała się porażki z powodu przejęzyczenia. Zerkała momentami, jak sobie radzą Wilczek i Blythe, ale nie odważyła się przyglądać zbyt uważnie. W duchu uznała, że pewnie będzie musiała jeszcze nad sobą popracować, skoro chciała kiedyś wstąpić do WMM. Czy na kursie przygotowującym do stażu uczyli człowieka, jak radzić sobie z patrzeniem na zwłoki…? Może prowadzili jakieś kursy w kostnicach? Zaraz jednak, w przypływie wisielczego nastroju, pomyślała, że pewnie nie będzie miała okazji tego sprawdzić. Po tym, co zrobią tutaj, będzie dobrze, jeśli WMM albo Wydział Przestępstw Magicznych nie aresztuje całej ich trójki.

Gdy Jagoda skończyła robić zdjęcia, Sonia znów do nich zeszła.

– Skąd on się tu wziął? – spytała Zawicka, bo to pytanie nurtowało ją, odkąd znaleźli zwłoki. – Wiecie, to nie jest miejsce, gdzie ktoś bywa przypadkiem, nie?

– Adrian do niego zadzwonił.

– Co? Skąd wiesz?

Jagoda miała ponurą minę. Nic dziwnego, zważywszy na okoliczności, ale teraz wyglądała na jeszcze bardziej przygnębioną niż w momencie, w którym okazało się, że miała rację. Była tak blada, że niemalże szara. Sonia mogłaby przysiąc, że zbladły nawet jej piegi. Worki pod ciemnymi oczami przypominały sińce.

– Bo zdjęcia nie będą potrzebne, żeby go zidentyfikować. Znam go. To Miłosz Okulski, były pracownik WMM wysokiego szczebla. Mistrz Adriana Potockiego, naszego mordercy.

Caleb spojrzał na Jagodę, marszcząc czoło. Najwyraźniej nie zdążyła podzielić się z nim tymi rewelacjami, kiedy Sonia była na górze. Dziewczyna odważyła się wreszcie rzucić okiem na ciało. Zostało zakopane płytko, wiedźmie i czarodziejowi udało się więc odsłonić je w niemal całości. Sonia, która patrzyła na nie tylko przez mgnienie oka, dostrzegła brudne, wilgotne ubranie, plamy na twarzy, jakich zdecydowanie nie powinien mieć ktoś żywy, i włosy, chyba siwe, choć nie dało się tego ocenić bez podejścia bliżej, ze względu na ubrudzenie ziemią.

– Joanna go znała – powiedział Caleb. – Spotkałem go dwa albo trzy razy, lata temu, ale bym go nie rozpoznał.

Sonia poskromiła ciekawość. Miała ochotę spytać, o której Joannie mowa – babce Jagody czy jej prababce? Wiedziała jednak, że to nie czas i miejsce na takie pytania. Odnotowała sobie, by później zmusić nauczycielkę do udzielenia paru odpowiedzi. Nie wiedziała, co tak naprawdę łączyło Caleba i Wilczków. Mogła się tylko domyślać, że „coś", że „to skomplikowane" i korzeniami sięga w daleką przeszłość.

– Był od niej sporo młodszy, ale ze trzydzieści lat temu byli pewnie jednymi z niewielu specjalistów od klątw w mieście. Musieli się znać – mruknęła Jagoda. – Wyjechał przed paru laty, ale bywał w Warszawie. Cholernie silny mag. Adrian po prostu wybrał kogoś, kto był silny, nie spodziewał się ataku i przyszedł tu, gdzie go wezwano.

– Ale to nie ma sensu! To budowa! – Sonia machnęła ręką, wskazując na otoczenie. – Tego Miłosza… Nie zaniepokoiło go to?

– Gdybyś znalazła się w kłopotach, na cmentarzu, w środku nocy, do kogo byś zadzwoniła? – rzucił Caleb. Sonia otworzyła usta, ale nie odpowiedziała. Natychmiast zrozumiała, o co mu chodziło. Bo na usta cisnęło się jej imię mistrzyni i była niemal pewna, że gdyby skontaktowała się z Jagodą, prosząc o przybycie, ta pojawiłaby się w nawet najdziwniejszym miejscu.

– Miłosz przez całe życie miał tylko dwóch uczniów. Dla obojga był prawdziwym mistrzem, w każdym tego słowa znaczeniu. Adrian go potrzebował, więc przyszedł. Nie spodziewał się ataku ze strony podopiecznego – stwierdziła Jagoda sucho. – Zabierajmy się do roboty. Soniu, stań tam. Odczytasz inkantację, kiedy dam ci znać. Później musisz przelać odrobinę magii do ciała. Ćwiczyłaś to z nauczycielem, prawda?

– Eee… tak – zapewniła Sonia, choć wcale nie była pewna, czy wie, jak zrealizować polecenie Jagody. Niby nawet ona w swojej kulawej edukacji przerabiała to podstawowe ćwiczenie, ale czy potrafiła wykonać je w pełni poprawnie…?

– Dobrze. Możesz poczuć się trochę słabo, ale to wszystko. Zaczynamy – zakomenderowała Jagoda, ustawiając się tuż za głową Miłosza, podczas gdy Sonia i Caleb zajęli miejsca po obu jego bokach.

***

Słabość, chłód i ból wypełniały ciało. Nie mogła się poruszyć ani nawet krzyczeć. Oczy miała szeroko otwarte, lecz widziała tylko ciemność.

Dokoła zaczęły wić się nitki magii.

Jakieś wspomnienie, głos, słowa, coś dobijało się do świadomości, coś ważnego, ale nie potrafiła

zebrać myśli. Ktoś coś nucił, męski głos, wyśpiewywał inkantację… pieśń. Chodziło o jakąś pieśń?

Skup się, skup się, Jagoda…

…jesteś…

…Jagoda?

Klątwa formowała się, otaczała ją, ból powoli malał i tylko chłód narastał, wypełniał ciało, robiło się ciemniej, coraz ciemnej. Mimo to spróbowała skupić się na tej plątaninie ciemności – nie tej, która przychodziła z wewnątrz, by ją pochłonąć, lecz tej wokół, spowijającej ciało coraz ciaśniejszym kokonem. Setki, tysiące nici, już gotowych do wypuszczenia…

Ktoś je schwycił, zaczęły odłączać się, jedna po drugiej. Wplatać w inny wzór, posłane do miejsca przeznaczenia i…

***

Jagoda osunęła się na ziemię bez ostrzeżenia, ledwo przebrzmiała ostatnia zgłoska wypowiedzianej przez nią inkantacji. W tej samej chwili ciało Miłosza zamieniło się w proch: proces potrwał zaledwie ułamki sekund, wystarczyło mrugnąć, by go przegapić. Sonia krzyknęła, a Caleb doskoczył do Wilczek i uniósł ją z ziemi. Nieprzytomna wiedźma wręcz przelewała się mu przez ręce.

– Czy to powinno tak wyglądać? – spytała Sonia, dopadając do nich.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?!

Oparł głowę wiedźmy na swoim ramieniu, lekko poklepał jej policzek. Żadnej reakcji. Przesunął dłoń na czoło Jagody, prawdopodobnie po to, żeby wyczuć magię, ale jeżeli coś odkrył, nie podzielił się tym z Zawicką.

– Nie mam pojęcia, czy w tym stuleciu ktokolwiek użył tego zaklęcia – stwierdził Caleb. Klęczał teraz na piachu, jedną ręką podtrzymując Jagodę, a drugą szukając pulsu na jej szyi. – Jasny szlag!

– Co się dzieje?!

– Nie ma pulsu. Nie oddycha!

Soni zawirowało w głowie i uklękła, nie po to, by znaleźć się bliżej Jagody, układanej przez Caleba na ziemi, ale po prostu dlatego, że zmiękły jej nogi. W głowie młodej wiedźmy tłukła się myśl, że Jagoda umiera. Być może już umarła. Przez kilka sekund Zawicka tkwiła po prostu w bezruchu, niezdolna do podjęcia jakichkolwiek działań. Blythe tymczasem zaczął walczyć z guzikami płaszcza. Szło mu marnie: zaklął, urwał jeden z nich szarpnięciem. Sonia spróbowała pomóc, ściągając z szyi nauczycielki szalik, ale działała tak niezgrabnie, że mężczyzna odepchnął jej dłonie. Nim jednak Caleb zdążył przejść do rzucania zaklęć lub resuscytacji – cokolwiek planował – Jagoda głośno zaczerpnęła tchu. Nabierała powietrza szybko, ustami, jakby walcząc o każdy oddech. W oczach miała panikę, szarpnęła się, próbując wyrwać z uścisku.

– Na litość… ty wiedźmo – wyszeptał Caleb i pomógł jej usiąść tak, by mogła oprzeć się o jego ramię. – Już spokojnie. Jesteś bezpieczna. Słyszysz, Jaga? Oddychaj. Nie ruszaj się. Już dobrze. Wszystko dobrze.

– Już… już dobrze – wykrztusiła z siebie Sonia i sięgnęła po dłoń nauczycielki, chyba bardziej chcąc uspokoić siebie niż ją. Już wcześniej Jagoda pozbyła się uwalanych ziemią rękawiczek i teraz Zawicka mogła wyczuć, że mistrzyni ma ręce zimne jak lód. Choć temperatura oscylowała w okolicach sześciu stopni, nie powinny być aż tak chłodne. – Jest przemarznięta.

– Wynosimy się stąd – zdecydował Caleb. Jagoda nie wyrywała się już, więc podłożył drugą rękę pod jej kolana i wstał.

– Nie – zaprotestowała Wilczek. Blythe zignorował ją i zaczął wspinać się po zboczu, co nie było łatwe z czarownicą w ramionach. Sonia pospiesznie ruszyła za nimi. – Blythe, postaw mnie.

– Żebyś zemdlała?

– Nie zemdleję i nigdzie się stąd nie ruszam. Zamierzasz mnie przerzucić przez mur jak worek ziemniaków?

Caleb zawahał się, lecz w końcu przystanął i ostrożnie postawił Jagodę. Oparła się na nim, ale po chwili powoli się cofnęła. Sonia obserwowała wiedźmę z niepokojem, gotowa w razie potrzeby ją

podtrzymać.

– Sonia… – Jagoda umilkła, rozejrzała się, prawdopodobnie szukając miejsca, żeby usiąść. Nie znalazła, więc przysiadła wprost na ziemi. Najwyraźniej jednak wcale nie czuła się w pełni sił. – Gdyby cię pytali, to tak, byłaś tutaj. Znajdą ślady twojej aury. Wypowiedziałaś inkantację, tak jak ci kazałam, ale nie widziałaś ciała, nie widziałaś, jak zamienia się w proch, nic takiego, jasne? Poszłaś, gdy cię odesłałam…

– O nie. Zostaję z tobą!

– Klątwa wplata się w osłony enklawy – rzuciła Jagoda. Caleb syknął, Sonia tylko przyglądała się nauczycielce z niezrozumieniem.

– Mówiłaś, że to modyfikacja klątw, które wysysają siły… magię… jak może wplatać się w osłony?

– Nie wiem dokładnie. Miałam okazję… wziąć udział w jej rzucaniu, ale nie do końca mogłam się skupić. W jakiś sposób je osłabia. Syrena mówiła prawdę, zaklęcie dosłownie spada na miasto. Muszę zostać i wezwać WMM.

– W takim razie ja też zostaję.

– Nie. Musisz zrobić trzy rzeczy – oświadczyła Jagoda. – Pojedziesz do mojej siostry i opowiesz jej, co tu się stało. Będę potrzebowała prawnika.

Sonia jęknęła, choć przecież się tego spodziewała. Chciałaby powiedzieć, że nie mogą jej aresztować, ale owszem, mogli, ba, nawet powinni. Wdarli się na teren prywatny. Nie poinformowali niezwłocznie o morderstwie. W dodatku doprowadzili do unicestwienia zwłok. Nie była prawniczką, ale domyślała się, że podpada to co najmniej pod niszczenie dowodów. Jagoda odsyłała ją, żeby i jej nie wsadzono. Przynajmniej nie tak z miejsca.

– Potem do mojego brata – ciągnęła Wilczek. – Powiedz mu, że ta klątwa jest wycelowana w osłony… jakąś ich część. Prawdopodobnie w centrum enklawy. Może w WilComie zdołają sprawdzić, co dokładnie się dzieje. Albo przynajmniej przygotować się… na to, co nadejdzie. WMM pewnie znów wszystko utajni.

Zawicka przełknęła wielką gulę, która urosła jej w gardle, i kiwnęła głową.

– A trzecia rzecz?

– Ostrzeż Jess, że okolice Syreniej Pokusy mogą być celem. Niech przynajmniej zwiększą ochronę i uważają na Adriana Potockiego. Mario na pewno postawi tam swoich ludzi, ale raczej nikogo nie powiadomi. Wiemy już, że to błąd.

– Dobrze – zgodziła się Sonia potulnie.

Chciało się jej płakać. Wielkie przygody, o których marzyła, okazywały się paskudne, nawet wtedy, kiedy nikt jej nie porywał. Pogoda chyba postanowiła podkreślić nastrój chwili, bo kropla deszczu opadła na dłoń dziewczyny, potem kolejna na jej policzek. Zadarła głowę i spojrzała na ciemniejące chmury. Nawiedziła ją myśl, że już za moment woda zmyje ostatnie pozostałości po człowieku, którego zwłoki tutaj znaleźli.

– Caleb…

– Jakieś rozkazy dla mnie, o pani? – spytał.

Żaden mięsień na twarzy Jagody nie drgnął, ale Sonia dostrzegła, że zacisnęła i rozprostowała palce, jak czasem się jej zdarzało, gdy próbowała zapanować nad złością.

– Nie. Chciałam spytać…

– …o podziemia?

– Chętnie, ale chyba na tę opowieść nie ma już czasu – odparła ponuro. – Zgłoszę się po nią, jeśli wyrwę się z celi. Rozpoznają twoją aurę?

– Może, jeśli bardzo uważnie sprawdzą odczyty skanerów, ale na pewno nie od razu. Czyżbyś bohatersko zamierzała wziąć całą winę na siebie?

Jagoda uśmiechnęła się do niego. To był zmęczony, niewesoły uśmiech, jaki raz czy dwa Sonia widziała, kiedy ich rozmowa zeszła na Antoniego.

– A planujesz tu zostać i dać się aresztować? – spytała wiedźma.

Caleb nie odpowiedział i Sonia zrozumiała, że pytanie było retoryczne. Jej samej nie przyszło to

dotąd do głowy, ale Jagoda najwyraźniej od początku wiedziała, że nawet jeśli Blythe im pomoże, to później zniknie.

– Nie powiesz im, że tu byłem?

– Mogę zapomnieć o tym wspomnieć – oświadczyła Jagoda, wzruszając lekko ramionami. – Nie wiem, do czego dążysz, czy to wyjdzie na dobre, czy na złe, ale chcesz działać i masz większe możliwości niż ja.

– Możemy złożyć anonimowy donos – zaproponował Blythe z wahaniem. – Albo zadzwoń do niego, powiedz, co się stało, i chodź ze mną. Zadbam, żeby cię nie znaleźli. Nie wyglądasz dobrze, Jaga. Nie możesz tu zostać.

Pokręciła głową. WMM powinno wiedzieć wszystko, a jeśli opisałaby to w anonimowym zgłoszeniu, Mario i tak domyśliłby się, od kogo przyszło. Nie chciała też ani zdawać się na łaskę Caleba, ani znikać z powierzchni ziemi jako poszukiwana przestępczyni.

– Nic mi nie będzie. Lećcie. Soniu… Uważaj na siebie.

Wymieniły spojrzenia. Zawicka chwyciła rzucone jej kluczyki od auta, kiwnęła głową i zamrugała kilka razy, by powstrzymać łzy cisnące się do oczu. Jagoda, nie chcąc stawiać wszystkiego na jedną kartę, rzucała w tej chwili na stół trzy, choć tak naprawdę nie znała wartości żadnej z nich. WMM, które w teorii mogło zrobić najwięcej, ale oplątane było jakimiś niepojętymi ograniczeniami. Caleb, najwyraźniej po uszy siedzący w tej sprawie, lecz działający we własnym, tajemniczym interesie.

Wreszcie Sonia i Wilczkowie.

– Idźcie. Zapewnię wam parę minut przewagi.

***

Jagoda była przemarznięta, a deszcz, który rozpadał się pięć minut później, jeszcze pogorszył sytuację. Nie miała gdzie się schronić, naciągnęła więc tylko kaptur na głowę i skuliła się, żałując, że nie opanowała zaklęcia chroniącego przed przemoczeniem. Powinna to nadrobić.

Rzucenie pieśni magii umarłych może nie zużyło całej jej energii, ale to, co stało się później, osłabiło ciało i umysł Jagody. Na szczęście Caleb się mylił i nie wykrwawiła się jak Okulicki, ale czuła, jakby umierała tam wraz z nim: zdradzona przez ucznia, sparaliżowana zaklęciem, obserwując, jak wokół kształtuje się klątwa.

Patrząc, jak Adrian posyła przekleństwo i wplata je w osłony enklawy. Tych ochronnych barier były dziesiątki, każda skomplikowana, tworzona i wzmacniana latami przez dziesiątki czarodziejów, zabezpieczana przed ingerencją. Nikt nie miał szans dostrzec tych podstępnie umieszczonych nowych nici, ginących pomiędzy setkami tysięcy innych. Nie od razu.

Nie, póki nie będzie za późno.

W końcu sięgnęła po telefon. Miała nadzieję, że Sonia zdąży dotrzeć do Liliany, zanim Mario i ekipa WMM pojawią się na miejscu. Lilka i Iga powinny uniemożliwić aresztowanie Zawickiej. Jagoda wiedziała, że Mario się wścieknie: sama byłaby na jego miejscu wściekła. Zniszczyła ciało, by rzucić zaklęcie, uznawane obecnie za bezużyteczne. Nie miała nawet możliwości udowodnić, że odnieśli sukces.

Odblokowała numer Olchy i zadzwoniła. Minęło ledwo parę sekund, nim po drugiej stronie rozbrzmiał głos Maria.

– Nie chciałem cię zaatakować.

Zrobiłeś to, pomyślała, teraz jednak oboje mieli dużo większe problemy.

– Za Gwiezdnym Zajazdem jest plac budowy – poinformowała rzeczowym tonem. – Adrian zwabił tu i zamordował Miłosza Okulskiego. Brakuje mu jeszcze tylko dwóch ofiar.

Na ułamek sekundy zapanowało milczenie. Sądziła, że Olcha zacznie zadawać pytania, wyrazi niedowierzanie, może padnie nieśmiertelne „Skąd to wiesz?”. Zamiast tego jednak usłyszała, jak kogoś nawołuje. Po urywkach zdań mogła się domyślić, że wydawał polecenia.

– Jesteś tam? – spytał. Coś trzasnęło, ktoś coś zawołał w tle. Mario prawdopodobnie zdążył wrócić do biura.

– Jestem. Nie ma już ciała.

– Jak to, cholera, nie ma ciała? Wzięło i wyszło?!

– Użyłam go, żeby poznać przeznaczenie klątwy – odparła, wciąż z żelaznym spokojem. Wizja wściekłości WMM, a nawet aresztowania, już jej nie niepokoiła. W końcu pamiętała, jak to jest umierać. I wreszcie wiedziała, co spada na enklawę. – Wplata się w osłony enklawy. Sądzę, że wysysa z nich magię.

– Co?!

– Słyszałeś.

– Jasny… Nie ruszaj się stamtąd. I, na litość boską, nie rzucaj już żadnych zaklęć!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

TRZY KARTY

Resztę dnia Jagoda pamiętała jak przez mgłę. Wiedziała, że pojawili się funkcjonariusze, ale później ich twarze rozmywały się w jej pamięci w kolorowe plamy. Rozmawiała z Olchą – jednak z tej rozmowy zapamiętała wyłącznie informację o aresztowaniu. Przewieziono ją do biura WMM, przesłuchano (sama nie była pewna, co wtedy mówiła) i wreszcie zabrano na dolny poziom, gdzie znajdowały się cele. Gdy schodziła po schodach, prowadzona przez aż czterech pracowników – zastanawiała się, czy to standard, czy specjalne traktowanie dla „najbardziej niebezpiecznych przestępców" – przypomniała sobie, że szła tędy trochę ponad rok wcześniej. Wtedy rozmyślała nad tym, czy nie planują jej gdzieś zamknąć…

Cela była niewielka, pozbawiona okien i nawet drzwi. Te, przez które weszła, stopiły się ze ścianą, ledwo funkcjonariusze się wycofali. W środku było zimno, nawet chłodniej niż na zewnątrz. Na murach umieszczono runy nasączone mocą, które uniemożliwiały rzucanie zaklęć. Jagoda, i tak już zmęczona i przytłoczona wydarzeniami ostatniego dnia, czuła, jak jej zmysły ulegają dodatkowemu przytępieniu. Choć w celi wciąż paliło się światło, zwinęła się na pryczy i zasnęła niemal natychmiast. Śniła, że wygrzebuje się z grobu, a gdzieś z oddali dobiega melancholijna pieśń.

Nie miała pojęcia, jak długo spała. Obudziło ją potrząsanie: stali nad nią Maeve i Bogdan. Na twarzy tej pierwszej malowało się coś, co mogło być wyrazem zakłopotania. Głowę wiedźma miała ciężką, ciało odrętwiałe, a choć ubranie wyschło, gdy spała, zaraz po przebudzeniu odczuła zimno.

Prawdopodobnie chcieli ją ponownie przesłuchać, bo została poprowadzona ku schodom. Nie zdołała jednak ich pokonać: ostatnim, co zapamiętała, był szybko zbliżający się stopień.

Kiedy ocknęła się ponownie, w pierwszej chwili sądziła, że śni. Leżała bowiem nie w celi, lecz w swoim łóżku w domu Wilczków. Ktoś zdjął jej z nosa okulary, ledwo więc widziała zarysy sprzętów. Przez okno wpadały promienie słońca, a obok niej usadowiła się Liliana z książką w ręku. Gdy zauważyła, że siostra się ocknęła, szybko odrzuciła tomik i pochyliła się nad Jagodą.

– Najwyższy czas – mruknęła.

– Co się… – zaczęła Jagoda, po czym poczuła chwilowy przypływ paniki, gdy odkryła, że nie może ruszyć nogami. Szybko zrozumiała jednak, że nie był to efekt paraliżu. Najwyraźniej owinięto ją kocem elektrycznym i nakryto ciężką pierzyną.

– Zaraz. Na Morganę, Jaga, ty kiedyś wykończysz całą naszą rodzinę.

Liliana pomogła jej usiąść i podstawiła do ust szklankę z wodą. Jagoda wypiła łapczywie kilka łyków, ale potem zaczęła wyplątywać się z nadmiaru okryć.

– Siedź! – zdenerwowała się Liliana, popychając ją z powrotem na łóżko. Jagoda była znacznie od niej silniejsza, ale tym razem nie zdołała stawić oporu. Lilka cofnęła ręce dopiero, kiedy upewniła się, że siostra przestała się ruszać.

– Jak długo byłam nieprzytomna tym razem?

– Tylko parę godzin. Aresztowano cię jakieś dwadzieścia cztery godziny temu.

– Wyciągnęłaś mnie.

– Nie po to mnie wezwałaś?

– Po to, ale nie sądziłam, że pójdzie ci tak szybko. Lil, czy mogę dostać moje okulary? I zdjąć tę pierzynę, bardzo proszę? Jest mi gorąco…

– I dobrze! – fuknęła Liliana, ale ściągnęła okrycie z siostry. – Wyciągnięcie cię nie było takie trudne, głównie dzięki temu, że zastępca Olchy jest idiotą. Kiedy Mario działał na miejscu zbrodni, inni zostawili cię w celi w podziemiach, bez ogrzewania, w mokrym ubraniu, po tym, jak najpierw używałaś magii dla nich, a później, jeśli dobrze zrozumiałam Sonię, dla czegoś z pogranicza nekromancji, co zawsze wyciąga ciepło z ciała. W dodatku podobno po ustaniu funkcji życiowych na ładnych kilkadziesiąt sekund. Maks twierdzi, że miałaś wstrząs anafilaktyczny! Krytycznie niską temperaturę ciała! Gdyby cię nie wyprowadzili na spotkanie ze mną, czemu, nawiasem mówiąc, parę osób próbowało ostro przeszkodzić, już byś się nie obudziła!

Jagoda usiadła, tym razem powoli. Mimo ciepła płynącego od koca po jej kręgosłupie przebiegł zimny dreszcz. Już by się nie obudziła. Umierała w wizji – omal nie umarła także na jawie.

Czy Tomasz, zastępca Olchy, naprawdę był takim idiotą? Kto podjął decyzję? Doszło do niedopatrzenia, czy może było to zamierzone postępowanie? Ktoś postanowił pozbyć się problemu?

A może już popadała w paranoję…?

– Co… co było dalej?

– A co miało być? Zrobiłam awanturę, zagroziłam pozwami i zemstą do siódmego pokolenia włącznie, jeśli tam umrzesz. Próbowali udowadniać, że ich uzdrowiciel wystarczy, ale sam facet, bodaj Muchomor, przyznał, że może sobie nie poradzić. Udało się załatwić przewiezienie cię do Batorego. Maks, nawiasem mówiąc, słodki chłopak, błyskawicznie cię ustabilizował i sporządził śliczniutki protokół o stanie krytycznym pacjentki. Podobno wisisz mu darmowy przypadek, cokolwiek to znaczy. Wtedy wkroczyli babka, wuj i armia prawników WilCom. Znowu dużo grożenia pozwami, żądaniem spłaty w całości należności miasta wobec naszej firmy za ostatnie kontrakty, a wuj to pewnie podrzucił komuś głowę konia do łóżka…

– Jestem aresztowana? – przerwała jej Jagoda. Liliana miała skłonność do słowotoków, zwłaszcza jeśli była czymś mocno przejęta.

– I tak, i nie – westchnęła Liliana. – Wyciągnęliśmy cię za kaucją, diabelnie wysoką, dodajmy, ale nie wolno ci opuszczać domu babki i mamy w salonie dwóch funkcjonariuszy, którzy będą pilnować, żebyś czegoś nie wykombinowała. I było to cholernie ciężko załatwić.

– Mario się wściekł?

– Mario? Kochanie, problemem byli Waldemar Czarnecki, Zbigniew Potocki i Roman August. Zwarli przeciwko tobie szyki. Zwłaszcza Potocki, bo zaczęły się rozchodzić plotki, że morderca to jego wnuk. Sorry, ale gdybyś nie była wnuczką Joanny Wilczek, nie zobaczyłabyś już światła dziennego. Właściwie gdyby nie to, że omal cię nie wykończyli w tej celi, tobyś tam jeszcze siedziała. Mogłam coś zdziałać tylko dlatego, że nie chcą pozwu za narażenie życia oskarżonej. Tym razem przesadziłaś. Przesadziłaś, Jaga, słyszysz?!

– Słyszę – wyszeptała, przesuwając dłonią po skroniach. Bolała ją głowa, ale czuła, że to nie najlepszy moment, by prosić o tabletkę przeciwbólową. Liliana mówiła coraz szybciej, coraz bardziej nerwowo i w tej chwili wyglądała już, jakby miała zaraz wybuchnąć.

– Słyszysz, ale nie przyjmujesz do wiadomości! – wydarła się nagle, a jej jasne oczy nieoczekiwanie wypełniły się łzami. – Omal nie umarłaś! A to, co zrobiłaś?! Po co?! To było głupie! Nieodpowiedzialne! Nie powinnaś w ogóle się w to mieszać! Zawaliłaś, Jaga! Zawaliłaś, rozumiesz?!

Gdzieś w głębi duszy Jagody zakiełkował wstyd. Być może Liliana miała rację, przynajmniej częściowo. Jaga próbowała robić to, co uważała za najlepsze… ale dobrymi chęciami piekło wybrukowano. Zapewne posunęła się za daleko. Gdyby nie wsparcie rodziny, przypuszczalnie teraz byłaby już martwa.

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale Liliana pociągnęła nosem, po czym rozbeczała się już na dobre. Objęła siostrę za szyję i przylgnęła do niej całym ciałem, szlochając jej w ramię.

– Nigdy więcej – wykrztusiła Liliana z trudem, bo co chwila wstrząsało nią łkanie. – Następnym razem nie będę cię wyciągać. Powiem, żeby trzymali cię w celi. Miłej, suchej, bezpiecznej celi! Zasłużyłaś sobie!

– Zasłużyłam – bąknęła Jagoda, głaszcząc młodszą siostrę po plecach. – Przepraszam. Przepraszam, Lil.

– Nie mogę przez to ciągle przechodzić. Nie mogę, rozumiesz? Wawrzyniec, Sebastian, teraz ty. Czemu cała moja rodzina jest zjebana? – zaszlochała Liliana i wreszcie ją puściła. – Wuj to właściwie przestępca, ojciec i dziadek też w sumie nimi byli, Sebastian miesza się w różne podejrzane interesy, a ty i Wawrzyn, oboje, urodziliście się z kompleksem zbawiania świata! Tylko tacy to żyją długo i szczęśliwie wyłącznie w bajkach, wiesz? Ty po prostu nie umiesz się powstrzymać! Nie możesz czasem usiąść z boku i poczekać, aż inni wszystko załatwią?!

Imię Wawrzyńca sprawiło, że Jagoda poczuła się, jakby siostra uderzyła ją w żołądek. Skuliła się, nie odpowiadając. Wawrzyniec, kochany, dzielny, głupi Wawrzyniec, który zginął, bo – zupełnie nie po Wilczkowemu – próbował być przyzwoitym człowiekiem. Nie potrafił inaczej: nigdy, od samego początku do samego końca.

– Nie chcę więcej płakać i zastanawiać się, czy się ockniecie – stwierdziła Liliana. – Koniec działania na własną rękę. Nie bawisz się więcej w samotnego mściciela!

– Tak, z tym się zgadzam – padło od progu. Obie Wilczkówny zamarły, ich spojrzenia powędrowały ku uchylonym drzwiom. Stała w nich babka. Prawdopodobnie już od dłuższej chwili przysłuchiwała się rozmowie. – Liliano, moja droga, zostawiłabyś nas na chwilę same? Mam parę spraw do omówienia z twoją siostrą.

Jagoda zesztywniała. Wizja rozmowy z babką napawała ją większym lękiem niż myśl o ewentualnym procesie. Liliana zawahała się, ale w końcu wstała i ruszyła do wyjścia.

Joanna usiadła w fotelu. Nie umalowała się i miała na sobie domowy dres – choć oczywiście, jak na Wilczkównę przystało, welurowy, markowy i niemal nowy. Przyglądała się wnuczce uważnie, a pod tym krytycznym spojrzeniem Jagoda miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Powinnaś była od razu przyjść z tym do mnie – poinformowała w końcu babka. – Dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Ponieważ to sprawa dla WMM, nie dla Wilczków.

– A jednak WMM wsadziło cię za kratki, a Wilczków musiałaś wzywać na pomoc – oświadczyła Joanna z satysfakcją. – W ostatecznym rozrachunku nas potrzebowałaś. Mówiłam ci wiele razy. Tak naprawdę liczy się tylko rodzina.

Jagoda zacisnęła zęby. Chciałaby wytknąć babce, że brzmi niczym ojciec… czy też matka chrzestna. Że właśnie wiara w to, że jako Wilczkom wszystko im wolno, rozbiła ich rodzinę. Ale nie mogła. Bo w jednej sprawie babka miała rację. Ostatecznie okazało się, że Jagoda nie miała do kogo się zwrócić i musiała iść do rodziny. Właściwie do siostry i brata, z którymi zawsze trzymali zwarty front, ale to nie zmieniało sytuacji. Kaucję wpłaciła przecież babka. Ona załatwiła ten areszt domowy.

– Teraz mów, czego się dowiedziałaś.

– Liliana i Sebastian ci nie przekazali?

– Owszem, przekazali. To, co z kolei powiedziała im ta twoja mała uczennica. Chcę poznać twoją wersję. Nawiasem mówiąc, dalej uważam, że edukowanie siostry Antoniego to błąd. Powinnaś ją odprawić.

– To tylko jedna z wielu spraw, w których się nie zgadzamy – oświadczyła Jagoda zdecydowanie, a oczy jej pociemniały z gniewu. Mogła przyjąć połajanki Liliany. Mogła nawet zaakceptować, że babka miała prawo zmyć jej głowę, skoro właśnie zapewniła wnuczce wolność. Ale nie zamierzała pozwalać, by stało się to okazją do przejęcia przez babkę władzy nad jej życiem. Z dwojga złego wolała już spędzić jakiś czas w celi.

– W wielu z nich zmienisz zdanie. Pewnego dnia – zapewniła babka niemalże łagodnie. – A teraz, moja droga, bądź tak miła i wyjaśnij mi, co dzieje się w moim mieście. Ze szczegółami.

To „moje miasto" nie umknęło uwadze Jagody. Powstrzymała się jednak od komentarza. Wcale nie była pewna, czy zdradzanie prawdy Joannie Wilczek wyjdzie na dobre, czy nie. Podobnie jak w przypadku Ucznia Czarnoksiężnika.

Ale musiała grać takimi kartami, jakie dostała.

Odetchnęła i zaczęła opowieść, tym razem nie kryjąc niemal niczego. Opowiedziała babce o tym, co jej zdaniem spotkało Adriana. O podziemiach i o tym, jak Sonia odkryła, gdzie może dojść do morderstw. O własnych domysłach, jak udało się zaciągnąć Leona, Romka i Miłosza w odpowiednie miejsca. O podejrzeniach, że stary Potocki robi wszystko, aby zatuszować całą sprawę, że prawdopodobnie ktoś mu pomaga – może Czarnecki – i że mogło tu chodzić o coś związanego z podziemiami. Wspomniała, jak Mario ją zaatakował, gdy zorientował się, że wie o akcji, w której prawdopodobnie zginęli jego ludzie. Wreszcie o tym, jak rzuciła zaklęcie z *Księgi grobowych pieśni* i odkryła, że klątwa jest rzucana nie tyle na samą enklawę, ile na jej osłony.

Babka słuchała w milczeniu. W pewnym momencie poderwała się i zaczęła krążyć po pokoju, ale nie przerywała rzeczowej relacji Jagody, wygłaszanej spokojnym, beznamiętnym wręcz głosem – jakby dawała wykład na wyjątkowo nudny temat. W końcu młoda Wilczkówna zamilkła. W gardle jej zaschło i choć ledwo się przebudziła, czuła się okropnie wyczerpana. Własne opowiadanie uświadomiło jej, jak beznadziejnie wygląda sytuacja i jak niewiele może teraz zrobić.

Gdy wnuczka skończyła, Joanna zatrzymała się przy oknie. Wyglądała na zalany słońcem ogród. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

– Nie możesz się już w to mieszać.

– Byłoby to trudne, zważywszy na to, że jestem uziemiona.

– Nie żartuję, Jago. Jeśli spróbujesz coś robić, nawet ja nie ochronię cię przed odsiadką – ostrzegła Joanna. – Nie wspominając o tym, że jeszcze trochę i nawet nie będą musieli się starać.

– Adrian ich wyręczy?

– Nie, zabijesz się sama, gdy użyjesz za wiele magii – syknęła babka. Na moment w jej głosie zabrzmiał gniew, a Joanna Wilczek rzadko pozwalała sobie na okazywanie złości. – Zdjęcie klątwy w zajeździe cię wyczerpało. To nie jest zwykłe przekleństwo, zostało utkane dzięki ofierze i mocy użyczonej przez potężnego demona. Potem wciąż pracowałaś, codziennie, zanim się zregenerowałaś. A w końcu najpierw badanie miejsca zbrodni, a potem od razu grobowe pieśni. To starożytna magia, bezlitośnie drenująca siły. Nie tylko ciała, ale i ducha. Chłód, deszcz, wrzucenie do zimnej celi, fakt, że przez kilka godzin nie podano ci wody ani jedzenia, to wszystko nie pomogło. Jeśli zaraz znów zaczniesz nadużywać magii, możesz nie przeżyć.

– Nie jest aż tak źle – wymamrotała Jagoda. Nie czuła się może w pełni sił: była głodna, bolała ją głowa, nie dobudziła się jeszcze w pełni, ale rezerwy magiczne częściowo się zregenerowały i nie wątpiła, że jeśli zje porządny obiad, łyknie tabletkę i przeniesie się z łóżka choćby na fotel, do wieczora dojdzie do siebie.

– Nigdy nie umiałaś tego ocenić – skarciła ją Joanna ostro. – W swojej historii nie wspomniałaś o jednym.

– O?

– Calebie Blycie – oświadczyła babka, siadając. – Wiem, że tam był. Ostrzegałam cię przed nim, Jago.

– Potrzebowałam kogoś, kto potrafi rzucać klątwy. Miałam do wyboru jego i Antoniego.

– Mogłaś też nie rzucać tego zaklęcia. Znaleźlibyśmy inny sposób – prychnęła Joanna. – Nie łudź się, że zależy mu na złapaniu Adriana. Caleba interesują podziemia.

– Zdążyłam się domyślić – odparła Jagoda opryskliwie. – Ale skoro chcesz rozmawiać o Calebie, to świetnie, babciu. Może wyjaśnisz mi, jakie interesy łączą waszą dwójkę? Co robił na twojej gali? Dlaczego się z nim zadajesz, skoro mnie kazałaś trzymać się z daleka? Skąd masz pewność, co go interesuje?

Babka posłała jej spojrzenie, którego Jagoda bała się jako mała dziewczynka. Surowe, pełne niezadowolenia.

– O pewnych sprawach…

– …nie powinnam wiedzieć za wiele. Już to słyszałam. A masz pretensje, że w pierwszej kolejności nie przychodzę do ciebie – wytknęła wiedźma. Przez twarz babki przemknął grymas złości, Jagoda jednak dopiero się rozkręcała. Wszystkie słowa, które dusiła w sobie od lat, teraz znalazły ujście. – Pamiętasz może, że kiedy zadzwoniłam rano, kazałaś się stawić, by „omówić warunki współpracy”? Tak, pomagasz, kiedy tego potrzebujemy, ale zawsze oczekujesz czegoś w zamian. Nie podoba ci się, że nie mówimy ci o wszystkim, ale twoimi tajemnicami można by wypełnić Wisłę. Dziwisz się, że i ja, i Liliana stąd uciekłyśmy?

– Liliana nie zerwała kontaktu z rodziną.

Nie. Ale mieszkała sama, od jakiegoś czasu nie przyjmowała od babki innej pomocy finansowej niż prezenty urodzinowe, nie zgodziła się na stałe pracować w rodzinnej firmie, a dom Wilczków odwiedzała góra raz w miesiącu. Wymawiała się od części spotkań, które aranżowała Joanna. Jagoda wiedziała, że Liliana, choć przywiązana do krewnych, zrobiła to wszystko, bo pojęła, że inaczej wszystkie ważne decyzje w jej życiu podejmie babka.

Być może posunęłaby się jeszcze dalej, gdyby wiedziała o ich rodzinie to, co wiedziała najstarsza spośród żyjących wnuków Joanny Wilczek.

– Ja też tego nie zrobiłam – wycedziła Jagoda. – Ograniczyłam kontakty z tobą, bo chciałaś sterować moim życiem. Zerwałam stosunki z wujem, przez którego zginął mój brat.

– Filip nie jest winny śmierci twojego brata – powiedziała Joanna. Jej twarz przypominała teraz maskę. – Obie wiemy, kto był jej winny. I że nie ma go już wśród żywych.

Wściekłość zalewała Jagodę. Czubki palców mrowiły i musiała zacisnąć dłonie w pięści, by nie pozwolić przekleństwu się ukształtować. Mogła mieć do babki i wuja żal o wiele rzeczy, pewnie jednak prędzej czy później wybaczyłaby im wszystko. Wszystko poza tym, że straciła brata przez Filipa, a Joanna nie chciała lub nie potrafiła dostrzec winy syna.

A także swojej własnej.

– Jest. Jest niemal równie winny jak ludzie, którzy go zabili i którzy wydali rozkazy. To on współpracował z tymi skurwysynami. Kazał mu ustawiać osłony w przestępczej kryjówce! Posłał do nich Wawrzyńca, nie mówiąc mu, z kim ma do czynienia! Ty też przymykałaś oczy na te półlegalne interesy… przyjmowanie zleceń na czarno od ludzi dużo gorszych niż Blythe, od którego ciągle każesz trzymać mi się z daleka!

– Wszystko, co zrobiłam, zrobiłam dla mojej rodziny.

– Albo dla swojego wyobrażenia o niej!

O rodzinie wpływowej. Niezależnej. Oddziałującej na magiczne społeczeństwo. Niemalże nietykalnej. Ważnej. Może było w tym sporo hipokryzji, bo Jagoda przecież w tej chwili też skorzystała z ochrony dawanej przez nazwisko, ale nie podobała się jej cena, jaką za taką famę rodziny Wilczków trzeba było zapłacić. Zwłaszcza że był jeszcze jeden, drobny szczegół, na którym zależało babce: to do niej zawsze miało należeć decydujące słowo. Joanna wychowała się w czasach, kiedy uprzywilejowana pozycja głowy rodu była czymś oczywistym. W społeczeństwie magicznym zresztą ta wizja świata wciąż dominowała. Stare czarodziejskie rodziny rządziły enklawami, a o wszystkim decydowali nestorzy rodów. Joanna Wilczek nie znosiła sprzeciwu niemal równie mocno, jak niegdyś jej matka. Ba, Jagoda przeczuwała, że chociaż babka pewnie szczerze przejęła się kłopotami i złym stanem wnuczki, to cała sytuacja ją cieszyła. Niepokorna Wilczkówna była jej coś winna. W dodatku znów trafiła do rodzinnego domu i nie mogła go opuścić.

Babka zaciskała szczęki, najwyraźniej tak samo wściekła jak jej wnuczka. Oczy kobiety płonęły złością. Jagoda zamknęła oczy, odetchnęła, starając się opanować złość. Nie mogła pozwolić, by ją poniosło. Kontroluj emocje, skup się: to była mantra, której ją uczono, odkąd skończyła dziewięć lat.

Z ich dyskusji nie mogło wyniknąć nic dobrego. Obie miały swoje racje i argumenty. Żadna nie mogła przekonać drugiej.

– Przekazałam ci wszystko, co wiem – powiedziała, z trudem wydobywając z siebie kolejne słowa.

– Może dzięki temu unikniemy katastrofy – oświadczyła Joanna i się podniosła. – WilCom już działa. Pracownicy terenowi jeżdżą po obrzeżach enklawy, próbują sprawdzić, co się dzieje z osłonami, i przygotować awaryjne.

– Nic nie znajdą.

– Kochanie, to już nie pewność siebie, to pycha – odparła babka. Mimo tego „kochanie", w tonie dało się wyczuć chłód. – Nie jesteś jedyną wiedźmą klątw w tym kraju. Sprowadziłam z Wrocławia całkiem niezłego eksperta i zwerbowałam Annę. Poza tym mamy paru świetnych specjalistów od wyczuwania magii i osłon oraz utalentowanego aurowidza. W grupie mają wręcz większe szanse coś znaleźć niż ty.

– Oby więc się im udało – skwitowała Jagoda.

Naprawdę chciała, by osiągnęli cel, ale powątpiewała w rezultaty. Choć bywała pyszna, w tym konkretnym przypadku nie czuła, aby jej niewiara w powodzenie wynikała z dumy. Ta klątwa była tak podstępna, że nawet ona nie mogłaby jej namierzyć, po prostu jeżdżąc po enklawie. Próbowała tego przecież. Wprawdzie nie badała samych osłon, ale sprawdzała budynki położone na obrzeżach.

Najpierw trzeba było się dowiedzieć, gdzie szukać.

– Zaraz będzie obiad. Czujesz się na siłach, by zejść na dół? – spytała babka jakby nigdy nic. Jakby przed chwilą nie padło wiele gorzkich słów, jakby nie były na siebie wściekłe.

Jagoda miała ochotę odpowiedzieć, że nie. Nie z braku siły, lecz ochoty. Kiwnęła jednak głową. Musiała zostać tu, bogowie wiedzą jak długo. Nie mogła zamykać się w pokoju niczym urażona mała dziewczynka.

– Babciu? – rzuciła, kiedy Joanna ruszyła do drzwi.

– Tak?

– Powinni dokładnie sprawdzić nie obrzeża, tylko główny plac – poinformowała, nie patrząc na babkę. – Miejsca, nad którymi leżą podziemia. Klątwa może wniknęła w osłony enklawy na obrzeżach, ale jeżeli moja uczennica ma rację, jej punktem centralnym są te lochy.

***

Jagoda nie mogła narzekać na warunki aresztu domowego. Dom Wilczków był na tyle duży, że przy odrobinie starań niemal nie widywała babki, a wuja, spędzającego teraz całe dnie w siedzibie firmy, w ciągu paru dni spotkała tylko raz. Co więcej, do rezydencji sprowadziła się Liliana, która uległa naleganiom babki. Nie wiedzieli, co dzieje się z osłonami głównej enklawy, a dom Wilczków leżał poza nią, w podmiejskiej, mniejszej enklawie, w dodatku został otoczony potężną magią ochronną. Zaledwie dzień później przyjęli także w gości Igę. Wiśniewska, pozbawiona magicznych talentów, miała ze swoją rodziną jeszcze bardziej napięte relacje niż Jagoda z babką, nie mogła więc udać się do rodzinnej willi. Liliana zdołała namówić ją do przenosin.

Tadeusz – ubożę, które Jagoda do niedawna miała za człowieka – zdawał się zachwycony tym, że w domu znów ma wielu ludzi. Każdy posiłek był małą ucztą, w związku z czym Iga bezlitośnie zagoniła Jagodę do ćwiczeń w niewielkiej, domowej siłowni, nie zważając na jej status rekonwalescentki. Lilka z kolei wieczorami zgarniała siostrę i przyjaciółkę do salonu, gdzie zmuszała je do oglądania łzawych romansów lub komedii romantycznych. Przyjaciółki wciąż jeździły do kancelarii, gdzie spędzały kilka godzin dziennie. Liliana zajmowała się sprawą starszej siostry – i po paru dniach poinformowała, że do rozprawy zapewne nie dojdzie. Dążyła do zawarcia układu o rezygnacji z wzajemnych roszczeń. Najwyraźniej funkcjonariusze, którzy niemal zabili Jagodę, wyświadczyli jej niechcący przysługę. Wprawdzie jeden z pracowników WMM wciąż pilnował, czy wiedźma nie narusza warunków aresztu domowego, ale większość czasu spędzał w zaoferowanym mu pokoju i nie wchodził domownikom w drogę. Prawdopodobnie miał obserwować, ale nie spoufalać się z Wilczkami.

Gdyby nie doniesienia mediów, Jagoda mogłaby potraktować to jak wakacje. Takie, których człowiek po pewnym czasie ma dość, ale którymi może się cieszyć przez tydzień czy dwa. Czytała powieści, grała w gry, od wieków czekające na przejście, nadrabiała seriale. Ilekroć jednak zaglądała do MAGnetu, znajdowała nowe, niepokojące relacje zarówno na ogólnokrajowym portalu informacyjnym, jak i na stronie poświęconej Warszawie. Wyglądało na to, że mimo prób utrzymania wszystkiego w tajemnicy przecieków nie dało się już zatrzymać. Być może po części z jej powodu. Pisano o tym, że o morderstwa podejrzany jest Adrian Potocki. Witkowski dowiedział się w jakiś sposób o klątwie i osłabieniu osłon – Jagoda podejrzewała, że któryś z pracowników WilCom nie utrzymał języka za zębami. Ba, znalazła nawet dwa artykuły o własnym aresztowaniu. W jednym przedstawiano ją jako wspólniczkę Adriana, aresztowaną za współudział, w drugim – autorstwa Witkowskiego – dominował ton „WMM zapragnęło uciszyć własną współpracowniczkę".

Zwłaszcza śmierć ostatniej ofiary mocno wstrząsnęła magicznym społeczeństwem. Nie tylko ze względu na jej młody wiek, ale też dlatego, że Potoccy byli jedną z największych, najbardziej wpływowych rodzin w kraju, uznawanych dotąd za nietykalnych. Wyglądało na to, że w enklawie powoli zaczyna narastać strach. Liliana i Iga to potwierdzały. Odwoływano imprezy, nieliczne knajpy i restauracje świeciły pustkami, kto mógł, wyjeżdżał. Ludzie panikowali. (Iga narzekała, że przez to Dawid Kania, główny właściciel kancelarii i empata, zachowywał się, jakby dostał manii prześladowczej). Jagoda próbowała zadzwonić do Caleba, ale Blythe nie odbierał. Dopiero kilka godzin później posłał jej krótką wiadomość z informacją, że działa, i prośbą, by skontaktowała się z nim, kiedy „wypuszczą ją z karceru". Nie była pewna, czy oznaczało to, że Uczeń Czarnoksiężnika próbował wymigać się od dotrzymania umowy, czy też nie chciał rozmawiać o podziemiach przez telefon.

Sześć dni po aresztowaniu Jagodę zżerały już nerwy. Pobyt w rodzinnym domu może przypominał wakacje, ale te nadmiernie się przedłużały. Co gorsza, nocą śniła, że wchodzi do pokoju najstarszego brata i zastaje go siedzącego w fotelu. Rankiem w salonie wpadła na wuja, a spotkanie, choć krótkie, było niezręczne i nieprzyjemne. Z pierwszej strony gazety nagłówki krzyczały o tym, że warszawska społeczność magów wkrótce może ulec zagładzie. Koło południa zaś na progu stanął

Mariusz Olcha. Gdyby nie był sam, po cywilnemu, Jagoda zakładałaby, że miał przewieźć ją z powrotem do aresztu.

Poprosiła Tadeusza, żeby przyprowadził Olchę do biblioteki. Gdyby przyjęła go w salonie, natychmiast wszyscy domownicy zaczęliby się tam kręcić pod byle pretekstem. Sypialnia wydawała się jej zbyt osobistym miejscem, a z kolei do gabinetów babki i wuja nikt nie miał wstępu.

W pomieszczeniu stały trzy rzędy szerokich regałów, ciągnących się od ziemi aż po sufit i z obu stron wypełnionych księgami. Poza nimi znajdowały się tu niewielki stolik i dwa wygodne, miękkie fotele. Jagoda celowo je rozsunęła, po czym usiadła w jednym z nich, sztywno wyprostowana, z dłońmi opartymi na podłokietnikach.

Nie odezwała się i nie poruszyła, kiedy Mario wszedł. Może powinna go przywitać, ale w tej chwili nie znajdowała w sobie dość dobrej woli, by sprostać wymaganiom grzeczności. Mario stał w progu dłuższy moment, lecz gdy słowa zaproszenia nie padały, przeszedł w końcu przez pokój i opadł na drugi fotel.

– Chciałem przeprosić.

Z trudem ukryła zaskoczenie. Spodziewała się kolejnych pytań, może informacji o postawieniu nowych zarzutów, ewentualnie nawet prośby o pomoc – choć chyba nikt w WMM nie byłby aż tak bezczelny, by zwracać się o nią do aresztowanej. Na pewno nie przeprosin.

– Za aresztowanie?

– Nie. Oboje wiemy, że na to sobie zasłużyłaś – skwitował Mario. Jagoda musiała niechętnie przyznać mu rację. – Za całą resztę. Muchomor powinien cię obejrzeć, gdy tylko przywieziono cię do biura. I powinnaś trafić do sąsiedniej celi. Z włączonym ogrzewaniem.

– Kto podejmował decyzje?

Mario zacisnął szczęki. Jagoda westchnęła i machnęła ręką.

– Nieważne – zbagatelizowała, choć było to ważne. Po prostu zrozumiała, że Olcha nic nie powie. Prawdopodobnie nie o niego chodziło, bo pozostał na miejscu zbrodni, kiedy ją przewożono, ale chronił swoich ludzi nawet, gdy przepraszał za ich błędy.

– Doszło do zaniedbań.

– Albo ktoś celowo chciał się mnie pozbyć.

– Co? – Mario drgnął i spojrzał na nią ze złością. – Moi ludzie… pracownicy WMM nie zrobiliby czegoś takiego.

– Oczywiście, wszyscy są przecież nieskazitelni. Nie, nie odpowiadaj. Nie chcę się kłócić. Przeprosiny przyjęte. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Nie próbowałem cię zabić. Nie jestem twoim wrogiem – mruknął, a irytacja, chwilę temu widoczna na jego twarzy, znikła. Kolejne słowa wypowiadał powoli, jakby z trudem. – W szkole… kiedy tobą rzuciłem… byłem wściekły i straciłem kontrolę nad magią. Nie chciałem tego zrobić. Nie zdarzyło mi się to od lat. To nie powinno się stać.

Nie, nie powinno. Ale w jakiś sposób ta deklaracja sprawiła, że Jagoda poczuła się lepiej. Nie wiedziała, czy Mario mówił prawdę, jednak chciała mu wierzyć. Być może inni by uznali, że utrata panowania nad sobą to żadne usprawiedliwienie, ale ona miała na koncie podobne epizody. Nawet całkiem niedawno. Nie skończyły się tragicznie tylko dlatego, że magia klątw nie była tak spektakularna jak bojowa. Skoro niechcący zmusiła dziewczynę do ciągłego mówienia prawdy, a na pewnego ochroniarza prawie rzuciła morderczą klątwę, nie powinna oceniać Olchy zbyt surowo. Uznała za dość zabawne, że utalentowany mag bojowy z wieloletnim doświadczeniem też miewał takie problemy. Sądziła, że w gronie swoich rówieśników tylko ona wciąż nie zawsze umie utrzymać w ryzach swoją magię.

– Bo wspomniałam o podziemiach?

– Nie pytaj mnie o nie – zastrzegł, odwracając wzrok. – To informacje zastrzeżone. Nie przeze mnie.

– Naprawdę nałożyli na ciebie przysięgę milczenia.

– Skąd… – Spojrzał na nią znowu i urwał, gdy uświadomił sobie, że właśnie się zdradził. Nie wiedziała, ba, dotąd nawet nie bardzo w to wierzyła, nie zdołała więc w pełni ukryć zaskoczenia.

– Zbigniewowi Potockiemu aż tak zależy na wnuku? – spytała cicho. Mario parsknął krótkim, niewesołym śmiechem.

– Nie zależy mu na Adrianie bardziej niż na szczeniaku ze swojej hodowli. Ale dba o opinię rodziny, poza tym już wkrótce wybory.

Jagoda nigdy nie interesowała się polityką, ku ubolewaniu babki, która w przeszłości sama była członkinią Izby Magów. Wybory do niej Jagoda zawsze uważała za swego rodzaju farsę, mającą niewiele wspólnego z prawdziwą demokracją. (Inna sprawa, że i „prawdziwa demokracja" niekoniecznie wydawała się jej najlepszym pomysłem, gdy obserwowała, co działo się w niemagicznym społeczeństwie). Wiedziała jednak, że Potocki zasiadał w niej nieprzerwanie od kilku kadencji.

– Daleko się posuwa z takiego powodu.

– Niektórzy zrobią wszystko dla władzy – powiedział Mario. Nie brzmiało to przekonująco. Chyba nawet nie starał się, by tak było.

Być może Zbigniew Potocki robił wiele, by zataić wybryki wnuka, z obawy, że straci szansę na stołek przewodniczącego Izby. Jagodę dręczyło jednak paskudne przeczucie, że znów miało to związek z podziemiami. Wszystko zdawało się kręcić wokół nich – w dosłownym i metaforycznym znaczeniu.

– Możesz mi powiedzieć, jak postępy w łapaniu Adriana, czy to też informacja zastrzeżona? – spytała w końcu.

Olcha powoli wciągnął i wypuścił powietrze.

– O to musisz spytać mojego następcę.

– Twojego… – Urwała, szerzej otwierając oczy. – Że co? Wywalili cię? To robota babki?

– Nie. Oskarżenia w twojej sprawie wprawdzie wykorzystano, ale to był tylko element całości – skwitował Olcha. Starał się mówić beztrosko, Jagoda jednak nie dała się zwieść. Może i nie byli przyjaciółmi, lecz każdy, kto choć trochę go znał, wiedział, że praca była całym życiem Mariusza Olchy. Zdaniem Jagody jego zdjęcie mogłoby się znaleźć w słowniku przy haśle „pracoholizm".

– W takim razie to moja wina? – naciskała.

– Moja. Ja wciągnąłem cię w śledztwo.

– Czyli jednak.

Przynajmniej jednym z powodów degradacji było to, że poprosił ją o współpracę, a w wyniku jej działań za wiele informacji wyciekło. Sama nie wiedziała, co o tym myśleć. Nie chciała, by z jej powodu Mario stracił stanowisko, zwłaszcza że potencjalny następca mógł okazać się znacznie gorszy. Prawie go żałowała i była teraz gotowa wybaczyć mu może nie wszystko, ale już tamtą utratę kontroli nad magią – owszem. Z drugiej strony… nie było jej przykro, że postąpiła w ten sposób. Jeśli coś sobie wyrzucała, to tylko to, że zgodziła się na warunki WMM i nie ujawniła od razu, kto jest mordercą.

Ktoś musiał być bardzo zdeterminowany. Olchowie, choć może nie aż tak liczni i bogaci jak Czarneccy i Potoccy, też należeli do dwudziestu najstarszych i najbardziej wpływowych magicznych rodzin w Polsce. Czarodzieje z tego rodu specjalizowali się w magii bojowej, a WMM właściwie zostało zbudowane przez pradziadka Mariusza. Usunięcie jego spadkobiercy ze stanowiska nie mogło być łatwe.

– Nie żałuję tego, Jagoda – podkreślił Mario. – Gdybyś nie była w Gwiezdnym Zajeździe, rzucono by tam klątwę. Bez ciebie nie znaleźlibyśmy ciała Miłosza, nie dowiedzielibyśmy się, jak działa przekleństwo, a twoja uczennica nie wskazałaby, gdzie szukać dalej.

– Kto przejął jednostkę?

– Tomasz. Chwilowo. Właściwie nie zostałem wyrzucony, lecz zawieszony w obowiązkach komendanta do czasu… wyjaśnienia paru spraw. Czasowo, z powodu braków kadrowych, służę jako wsparcie bojowe.

Przy tych słowach zdołał zachować nieporuszony wyraz twarzy. W jego głosie zadźwięczała nutka goryczy. Całe swoje życie podporządkował WMM. Jeszcze w szkole uczestniczył w dodatkowych zajęciach z myślą o pracy w Wydziale, kurs przygotowawczy zaczął zaraz po Sobieskim, a po ukończeniu stażu przez kolejne kilkanaście lat całkowicie poświęcał się jednostce. Zdaniem Jagody stał się typowym gliną z seriali, pozbawionym życia prywatnego, nieprzestrzegającym godzin pracy, z głową pełną szczegółów prowadzonych spraw. Brakowało tylko problemów z alkoholem.

– Tomasz jest chyba wnukiem Czarneckiego? – spytała.

– Co nie umniejsza jego umiejętności.

Miała ochotę spytać, czy Tomasz byłby jego zastępcą, gdyby nie koligacje. Nie zrobiła tego jednak, bo podejrzewała, że gdyby nie nazwisko, to i Mariusz nie zostałby najmłodszym szefem WMM w historii. Może miał odpowiednie kompetencje, ale zazwyczaj w magicznym świecie w pierwszej kolejności zawsze awansowali ci, którzy mogli poszczycić się odpowiednim pochodzeniem, a nie tylko zdolnościami.

– To Tomasz posłał mnie do niewłaściwej celi, prawda?

Mario milczał. Ta cisza sama była odpowiedzią. Jagoda uśmiechnęła się, w duchu postanawiając, że w przyszłości znajdzie sposób, by odpłacić protegowanemu Waldemara Czarneckiego pięknym za nadobne. W końcu omal jej nie zabił. Prawdopodobnie celowo i na polecenie wuja lub jego kolegi. Po czym ukarano za to kogoś innego.

– Nie uśmiechaj się tak, bo mam wrażenie, że zaraz oberwę jakąś klątwą.

– Och, nie ty. Bez obaw – zapewniła, mimowolnie uśmiechając się jeszcze szerzej, choć z pewnością nie było jej wesoło. – Powiedz mi jedno, Mario. Czy komukolwiek poza mną, i może tobą, naprawdę zależy na tym, żeby złapać Adriana?

– Tak. – Odpowiedź padła szybko, bez wahania i Jagoda prawie mu uwierzyła. Prawie.

– Czyli nie wszyscy oszaleli jak Potocki senior?

– On też chce go złapać – mruknął Olcha po paru sekundach zastanowienia. – Naprawdę. Dostaliśmy nawet dodatkowych ludzi z innych wydziałów. Nie chciał jednak, żeby to wyszło na jaw i… mamy rozkaz, aby schwytać go żywcem. Za wszelką cenę.

– Mówiłeś, że nie dba o niego.

– Może się myliłem. – Wzruszył ramionami. – Rozkazy są jasne. Ma być żywy.

Być może zrobiła się przeczulona, ale dotąd nikt podczas obław na czarnoksiężników tego nie oczekiwał. To oznaczało, że młody Potocki jest im do czegoś potrzebny. Może Zbigniew chciał go dorwać… by mu pomóc? Wykorzystać?

– Jeszcze jedno – mruknął Mario z wahaniem. – Jeśli znów poproszą cię o pomoc, odmów.

Za tą radą mógł się kryć tysiąc znaczeń. Czy i on uważał, że ktoś chciał usunąć ją z równania i mógł spróbować po raz kolejny? Może po prostu nie ufał swojemu zastępcy? Albo znów chodziło o podziemia? A może tylko nie chciał, by pokrzyżowała szyki WMM? Sądził, że Tomasz nie upilnuje Wilczej Jagody, skoro jemu się nie udało? Te wszystkie pytania kłębiły się w głowie wiedźmy, gdy patrzyła na Olchę badawczo, zastanawiając się, co dokładnie miał na myśli.

– Wrzuciliście mnie do celi. Wątpię, żeby radośnie zaprosili mnie do współpracy.

– Kto wie? – powiedział Olcha, podnosząc się z fotela. – Lepiej już pójdę, zanim zastanie mnie tu twoja babka. Nie darzy mnie ciepłymi uczuciami. Dobrego dnia, Jagodo.

Prawdopodobnie powinna go odprowadzić, ale nie ruszyła się z miejsca.

Przekazując informacje WMM, w teorii postąpiła właściwie. Mieli największe możliwości i szanse na schwytanie Adriana oraz powstrzymanie go. Teraz jednak zastanawiała się, czy nie popełniła błędu.

Być może w tym przypadku postawiła na niewłaściwą kartę.

***

Po wizycie Olchy Jagoda nie mogła znaleźć sobie miejsca. Krążyła najpierw po bibliotece, potem po salonie i wreszcie po swoim pokoju, niczym lew zamknięty w klatce. W domu panowała cisza, nie było w nim nikogo poza Tadeuszem i funkcjonariuszem, który zamknął się w przydzielonym mu pokoju. Nawet ochroniarz pojechał z babką, a kucharka wyprawiła się na zakupy.

Samotność zwykle wiedźmie nie doskwierała. Przywykła do niej w ostatnich latach i to raczej obecność Soni w mieszkaniu stanowiła nowość. A jednak teraz cisza niemal dźwięczała Jagodzie w uszach. Nie chciała być sama ze swoimi myślami w tym wielkim domu, pełnym wspomnień i duchów.

Nie bardzo wiedziała, jak do tego doszło, że w końcu znalazła się pod drzwiami pokoju Wawrzyńca. Jej wzrok uciekał ku nim, ilekroć przechodziła przez piętro. Skoro to miejsce nawiedzało ją już nawet w snach, myślała o nim znacznie więcej, niż powinna.

Ostatni raz była tam niedługo po śmierci brata, przetrząsając jego komputer i zapiski w poszukiwaniu tropów. Potem, podczas rzadkich wizyt, nigdy nie odważyła się wejść do środka. Nie wiedziała, co zastanie. Czy babka przerobiła sypialnię, do której nigdy nie miał wrócić lokator, na pokój gościnny? Czy może nic nie zmieniła i wciąż leżały tam rzeczy Wawrzyńca? Jagoda nie umiała nawet powiedzieć, która możliwość zdawała się jej bardziej przerażająca.

Tkwiła pod drzwiami dobre kilka minut, niezdecydowana. Gdyby mogła opuścić dom Wilczków, nie nacisnęłaby klamki. Wawrzyniec nie żył od lat. Jagoda miała czas, by przywyknąć do tej myśli i nauczyć się funkcjonować w świecie, w którym nie było już jej brata. Ale wiedziała, że póki będzie tkwić w tym budynku, będzie ją też dręczyć myśl o pokoju najstarszego Wilczka. O wszystkich niezamkniętych sprawach.

Nie bądź tchórzem, powiedziała sobie i wreszcie otworzyła drzwi.

Babka nie przerobiła pokoju. Nie wprowadziła tu nawet takich zmian jak w sypialni wnuczki, gdzie wymieniła część sprzętów. Wciąż stało tu to samo wąskie łóżko i ten sam regał zastawiony książkami. Ten sam fotel, w którym Wawrzyniec spędzał całe dnie i z którego uśmiechał się do niej we śnie. Na biurku leżały papiery, porozrzucane jak w dniu, w którym sprawdzała je Jagoda. Nad nimi wisiał plakat z Batmanem, już trochę pożółkły ze starości. Wawrzyniec powiesił go tutaj kilka miesięcy przed śmiercią.

A na półce, obok zestawu figurek, stało zdjęcie.

Nie pokrywał go kurz. Tadeusz prawdopodobnie nie ścierpiałby w domu ani odrobiny brudu i regularnie sprzątał także w nieużywanym pokoju. Jagoda wzięła ramkę i usiadła na łóżku – na szarej kapie, takiej samej, jaką zapamiętała. Przypatrywała się postaciom, które spoglądały na nią ze zdjęcia. Antoni, Wawrzyniec i ona, nierozłączona trójka. Odkąd dwaj chłopcy z sąsiedztwa stali się sobie bliscy jak bracia. Odkąd jeden z nich przyprowadził po kryjomu drugiego do siostry, trzymanej wtedy z dala od świata z obawy, że nie zdoła zapanować nad swoją magią.

Trójka przyjaciół na zawsze.

Zawsze, które, jak to zwykle bywa, potrwało zbyt krótko.

Dziesięć lat.

Kiedy zrobiono to zdjęcie, miała dziewiętnaście lat i wtedy wierzyła jeszcze, głupio i naiwnie, że zawsze naprawdę oznacza zawsze. Że będą przy niej obaj, jak dotąd, ilekroć ich potrzebowała. Tamtego lata wszystko zdawało się proste, jak nie było już nigdy potem. Tamtego lata była szczęśliwa. Patrzyła w aparat roześmiana. Siedziała na kolanach Antoniego, Wawrzyńca trzymając za dłoń. Antoni obejmował ją w talii, drugą rękę zarzucił na ramię przyjaciela.

Wtedy wiedzieli o sobie wszystko, a przynajmniej tak sądzili. Spotykali się niemal codziennie, poza tym nieustannie pisali na komunikatorach. Łączyły ich uczucia na tyle głębokie, że sięgały nawet ich magii. Wyczuwali się nawzajem z daleka. Wiedzieli, kiedy działo się coś złego. A potem… potem nagle tego zabrakło.

Nigdy nie była pewna, czy któregoś z nich kocha bardziej – ani czy oni siebie kochali choć trochę mniej niż ją. Może dlatego potem, kiedy Wawrzyniec znikł, uczucie Antoniego do niej już nie wystarczyło, aby mogli być razem. Może ona też nie kochała go tak jak wcześniej i po prostu nie mieli szans. Nie tylko przez niego. Może ta więź pękła dużo wcześniej, nim Jagoda to dostrzegła, bo bez trzeciego elementu stała się niekompletna.

Jak ona sama.

– Jaga?

Wyprostowała się gwałtownie, omal nie wypuszczając zdjęcia, jakby przyłapano ją na czymś niestosownym. Przełknęła ślinę, starając się pozbyć guli, która urosła jej w gardle.

– Tak? – spytała, spoglądając na Sebastiana. Nie spodziewała się, że wróci dziś z pracy tak szybko. W ostatnich dniach spędzał większość czasu w firmie. Chyba dopiero zjawił się w domu, bo wciąż miał na sobie garnitur.

– Szukałem cię. Ja… – Urwał, uciekając wzrokiem, jakby był równie zawstydzony jak ona. – Tadeusz powiedział, że był u ciebie Olcha. Chciałem spytać, czy powinienem go znaleźć i dać mu w gębę?

– Przyszedł przeprosić.

– Co? – zdumiał się Wilczek. – Przepraszam, możesz powtórzyć? Bo chyba się przesłyszałem.

– Przeprosił mnie – powtórzyła. – Więc nie, nie musisz dawać mu w gębę. Poza tym gdyby na to sobie zasłużył, sama bym go walnęła, ty już nie musisz zawracać sobie tym głowy.

– Jesteś moją siostrą. Zawracanie sobie głowy facetami, którzy robią ci krzywdę, to mój obowiązek – oświadczył Sebastian. Zawahał się, ale w końcu przeszedł przez pokój i usiadł obok Jagody. Jego spojrzenie powędrowało ku zdjęciu. – Jemu na przykład należy się od lat.

– Daj spokój, Asti – westchnęła Jagoda, opierając głowę na jego ramieniu.

Sebastian od zawsze nie znosił Antoniego. Nie tylko za to, jak potraktował jego siostrę. Także wcześniej zawsze był dla niego niemiły, a wiedźma potrzebowała wielu lat, aby pojąć, że chodziło o zazdrość. Starsze rodzeństwo zawsze na pierwszym miejscu stawiało Antoniego. A przynajmniej to z nim dzieliło sekrety i nastoletnie przygody. Liliana, zainteresowana głównie „dziewczyńskimi zabawami", jak określał je wtedy Sebastian, nie mogła tego zrekompensować.

– Dałem. Nie połamałem mu nosa – mruknął i przygarnął siostrę do siebie.

– Znaleźliście coś dzisiaj?

– Nie. Tak samo jak wczoraj i przedwczoraj. Uznałem, że dziś pora odpuścić, zanim w końcu padnę ze zmęczenia. Miałem zresztą na koniec pracy paskudne spotkanie.

– Nie idź w moje ślady – poprosiła Jagoda. Zadarła głowę i znów spojrzała na plakat nad biurkiem. – Myślałam, że babka wyniesie jego rzeczy. Nigdy nie była… sentymentalna.

Rzeczy dziadka pozbyła się wkrótce po jego śmierci. Pokój, zajmowany niegdyś przez ojca Jagody, też szybko doczekał się nowego przeznaczenia. Jagoda początkowo miała o to żal, potem pojęła jednak, że to był sposób Joanny na radzenie sobie z żałobą. Zamknięcie rozdziału. Pogodzenie się ze stratą i ruszenie dalej.

– Czekała – stwierdził Sebastian powoli, wypowiadając to słowo jakby z wahaniem.

– Na?

– Na ciebie – wymruczał. Pochylił się i pocałował ją w głowę, zanim wypuścił siostrę z objęć i wstał. – Powiedziała, że to powinna być twoja decyzja. I że kiedyś możesz zechcieć coś stąd zabrać, kiedy już będziesz gotowa.

– Czemu ja? – wyrwało jej się, zanim zdążyła pomyśleć. Chciało się jej płakać, choć przecież nie miała powodu. Nie powinna. – Przecież wy… też byliście jego rodziną.

Wargi Sebastiana wygięły się w uśmiechu, mimo to spojrzenie miał smutne.

– Jasne. Kochał nas, ja i Lilka kochaliśmy jego. Ale wy dwoje? Czy raczej troje? To było coś innego. Gdy się na was patrzyło, zdawało się, że czytacie sobie w myślach. Kurwa, Jaga, naprawdę, my to przeżywaliśmy, ale trudno nie zauważyć, jak ty cholernie się po tym zmieniłaś. W każdym razie babka zostawiła ten pokój w takim stanie nie dla niego, lecz dla ciebie. Szczerze, nie rozumiałem, ale gdy tak teraz na ciebie patrzę, to chyba babcia zna cię lepiej niż ja. W każdym razie mam nadzieję, że to już ten właściwy moment, o którym mówiła, cokolwiek miała na myśli. Jakbyś chciała pogadać, będę u siebie.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Jagoda opadła powoli na poduszkę i ukryła w niej twarz. Leżała tak przez długą chwilę, zwinięta na łóżku brata. Przeszło jej przez głowę, że Sebastian ma rację. Babka najwyraźniej znała ją lepiej niż on. Ba, może niewiele gorzej niż Wawrzyniec, chociaż dotąd Jagoda się tego nie domyślała.

Pozwoliła odejść Antoniemu. Tak naprawdę dopiero niedawno.

Może pora pozwolić odejść też bratu.

Bo o ile strach przed własną magią sprawił, że stała się cichsza i bardziej zamknięta, że próbowała tłumić emocje i zawsze zachowywać spokój, to wspomnienie więzi ich trójki też robiło swoje. Nie pozwalało ani z nikim się związać, ani z nikim naprawdę się zaprzyjaźnić. Bała się sprzecznych rzeczy.

Bała się, że nigdy więcej nie będzie umiała nikogo kochać jak ich, że nigdy nie będzie już całością.

Bała się, że jeśli stałoby się inaczej i taką więź by straciła, nie zdołałaby przeżyć.

Bała się, że dopuszczając kogokolwiek równie blisko, w pewnym sensie po raz kolejny zawiedzie

brata.

***

– Skup się.

– Skupiam się!

– Ale?

– Jakie ale?

– Skupiasz się, ale nie wychodzi.

– To nie fair. Zrobiłaś zbyt podstępną klątwę.

– A chciałabyś zdejmować same proste? Nie narzekaj. Gdyby była rzucona na człowieka, wyglądałoby to jeszcze gorzej.

Sonia spojrzała na Jagodę nadąsana. Sama nalegała, aby kontynuować naukę, mimo uziemienia nauczycielki. Pojawiła się w domu Wilczków po raz pierwszy trzy dni po zwolnieniu Jagody, ledwo ta doszła do siebie, i poprosiła o wznowienie lekcji. Zapał do nauki, który do tej pory przez całe miesiące nie wygasał, osłabł trochę, gdy Jagoda kazała jej zdjąć przekleństwo oplecione wokół medalionu. Sonia podejrzewała, że nauczycielka zrobiła to, by mieć spokój. Ewentualnie dać jej nauczkę i pokazać, że niekoniecznie jest gotowa na pomaganie WMM (co nieśmiało zasugerowała podczas pierwszej lekcji w rezydencji). Spędziła nad próbami zdjęcia klątwy trzy dni, aż w końcu ponownie stanęła na progu Wilczków, przyznając, że sama nie znajdzie rozwiązania.

Był to pierwszy raz, gdy nie podołała jakiemuś ćwiczeniu. Trochę ją to złościło, trochę się wstydziła. Co gorsza, teraz Jagoda też nie zamierzała po prostu zademonstrować, jak należy rozwiązać zadanie. Ba, zdawała się świetnie bawić, obserwując przez godzinę wysiłki uczennicy. Za oknem zrobiło się ciemno, zegar wybił już dwudziestą pierwszą, a Sonia wciąż próbowała i próbowała…

– Nie umiem jej złapać! – zirytowała się. – Ucieka mi! Próbowałam już chyba wszystkiego. To trzyma się tego medalionu jak… jakiś superklej.

– Kiedyś rozmawiałyśmy chyba o cierpliwości?

– Nie nauczyłaś mnie tego – zamarudziła Sonia.

– Cierpliwości? Zdecydowanie nie.

– Zdejmowania takich klątw – zdenerwowała się Zawicka, wymachując medalionem. Podejrzewała, że Jagoda zrobiła jej paskudny dowcip i celowo rzuciła jakąś klątwę, której Sonia nie mogła zniwelować. – Nie ma jak złapać iskier. Ani nawet ich zamrozić. Nie wszystkich. Część się mrozi, reszta mi ucieka…

– Nie nauczę cię zdejmowania wszystkich klątw. To niemożliwe – wyjaśniła Jagoda z żelaznym spokojem, za nic mając rosnącą złość uczennicy. – Musisz nauczyć się je rozpracowywać sama.

– Daj mi jakąś wskazóóówkęęęę. Chociaż taką tyci, tyci…

Jagoda westchnęła. Zdaniem Soni, podczas ich lekcji wzdychała trochę za często. Czasem zdarzało się jej nawet wznosić oczy ku niebu, choć Zawicka nie zaobserwowała u mistrzyni tego odruchu w żadnej innej sytuacji.

– Część się mrozi, reszta nie? Znajdź powód. Czym się różnią?

Sonia chciała zapewnić, że niczym. Ugryzła się jednak w język.

– Wiesz co? Czasem czuję się z tobą jak Luke Skywalker przy Yodzie. Uwaga, uważam, że Yoda nie był dobrym nauczycielem. Pamiętajmy, jak skończył Anakin, i to na pewno nie przez Bena. I nie mówię tego tylko dlatego, że Ewan McGregor jest seksi – oświadczyła, podnosząc amulet i zabierając się do oględzin.

Zamrugała i tak, jak ją uczono, skupiła się na dostrzeżeniu magicznej aury. Jagoda twierdziła, że widzi magię jako nici. Dla Soni były to raczej iskry, różnokolorowe, skaczące w różnych konfiguracjach. Te spowijające medalion były identyczne. Na pierwszy, drugi ani nawet trzeci rzut oka nie zauważyła żadnych różnic. Wiedziała, że klątwa miała się aktywować przy otwarciu amuletu: mogła dostrzec, że koncentruje się przy zamknięciu i krawędziach.

Odetchnęła i spróbowała sobie wyobrazić, że zastygają. Najpierw niektóre, a potem kolejne, powiązane ze sobą. Część z nich faktycznie zamarła, reszta nie. Dokładnie tak samo jak przy

wcześniejszych próbach. Tym razem jednak wypuściła iskry i spróbowała pochwycić tylko te, które nie zastygły wcześniej…

…i dokładnie tak się stało. Bez problemu mogła zatrzymać ich aktywację, gdy te wcześniej pochwycone jej mocą „ożyły". Kiedy bardzo się skupiła, dostrzegła też, że może odcień jest minimalnie inny…

– Ej!

– Aha?

– Rzuciłaś dwie klątwy – powiedziała Sonia oskarżycielskim tonem. – Mówiłaś, że będzie jedna.

– Nie, nie mówiłam. Kazałam ci oczyścić medalion – przypomniała Jagoda. Kąciki ust lekko jej drgnęły i Zawicka już wiedziała, że ma właściwą odpowiedź.

– Jakim cudem są do siebie tak podobne? Wyczuwam tylko jedną!

– Bo to właściwie jest ta sama klątwa. Odrobinę zmodyfikowana, rzucona dwukrotnie – wyjaśniła Wilczek. – Obie są splecione, co utrudnia ich zdjęcie.

– Jesteś podstępną wiedźmą.

– Uznam to za komplement. No? Na co czekasz? Zdejmiesz tę klątwę czy nie?

Sonia prychnęła niczym rozjuszona kotka, ale pochyliła się nad medalionem, szukając sposobu na ściągnięcie obu przekleństw naraz. Po kilkunastu minutach prób i błędów znalazła wreszcie metodę, która zaczęła przynosić rezultaty. Ściągnięcie klątw zajęło jej kolejne pół godziny, ale odniosła sukces. Triumfalnym gestem uniosła amulet, po czym ułożyła się na dywanie. Całe przedsięwzięcie może nie wydrenowało młodej wiedźmy całkiem z energii, ale na pewno ją wyczerpało.

– Musisz nauczyć mnie rzucania tego – oświadczyła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Jagoda bardzo niechętnie uczyła ją plecenia klątw, przynajmniej tych bardziej skomplikowanych czy potencjalnie niebezpiecznych. Nauki skupiała przede wszystkim na ich wykrywaniu i zdejmowaniu. Po tym, jak Sonia została porwana, mistrzyni wprawdzie pokazała jej kilka bardziej skomplikowanych klątw, przydatnych w razie ataku, ale to wciąż Zawickiej nie zadowalało.

– Zobaczymy.

– Twoje „zobaczymy" zazwyczaj oznacza nie – burknęła Sonia, podpierając się na łokciach. – Przecież to nawet nie była groźna klątwa. Tylko trudna do zdjęcia. Co ze mnie będzie za specjalistka od klątw, jeśli moje przekleństwa każdy będzie potrafił ściągnąć? I nie mów, że zwykle tylko zdejmujemy klątwy! Sprawdzałam. Takich jak my często zatrudnia się do zabezpieczeń.

– Nie o to chodzi – przyznała Jagoda. – Nie wiem, czy potrafię tego nauczyć.

– Tak jak ciebie tego nauczono?

– Nie nauczono. Doszłam do tego sama… – zaczęła Wilczek, po czym szybko uzupełniła, jakby w obawie, że Sonia zaraz zabierze się do eksperymentów: – Tak mniej więcej po dziesięciu latach praktyki.

– Hm… ale możemy spróbować – uparła się Sonia, chociaż w duchu poczuła ukłucie zazdrości. Bardzo chciałaby umieć tyle samo co nauczycielka.

– Zobaczymy – powtórzyła Jagoda. – Skoro chcesz pracować w zabezpieczeniach, świetnie, zaczniemy od nauki rzucania prostych klątw tak, by nie reagowały na konkretne osoby. Albo by te osoby mogły je dezaktywować, nie niszcząc samej klątwy. Podstawy zajmą nam od miesiąca do trzech.

Sonia się zawahała. Tak naprawdę wcale nie chciała pracować w zabezpieczeniach, a w WMM. Z drugiej strony, ten temat brzmiał co najmniej równie ciekawie jak sztuczka, której Jagoda użyła, by przekląć medalion. Zniechęcające było tylko to „od miesiąca do trzech", ale Sonia zaraz się pocieszyła, że będzie się starać i na pewno zmieszczą się w czterech tygodniach.

Rozległo się dudnienie. Ktoś szybko wbiegał po schodach. Sonia usiadła pospiesznie, gdy drzwi otworzyły się z impetem. Na progu stał młody funkcjonariusz przydzielony do pilnowania Jagody. Zadyszany, blady, przerażony.

– Musimy iść!

– Dokąd?

Chłopak jednym susem przemierzył pokój i chciał pociągnąć Jagodę za rękę. Ona jednak pierwsza chwyciła go za nadgarstek.

– Dokąd? – powtórzyła z żelaznym spokojem.

Sonia podniosła się pospiesznie, pełna z jednej strony złych przeczuć, z drugiej… ekscytacji.

– Do Batorego.

– Ponieważ? – naciskała Jagoda.

Coś w jej tonie i postawie, nagłym usztywnieniu ramion, czujności w spojrzeniu, zaalarmowało Sonię. Do Zawickiej dotarło, że Jagoda wcale nie ma chęci gdziekolwiek iść z funkcjonariuszem. Czy była urażona tym, jak ją potraktowano?

A może wietrzyła podstęp? Sonia poniewczasie pomyślała, że to całkiem możliwe. Jeśli teraz Jagoda wyszłaby z domu, a funkcjonariusz zaprzeczył, że sam ją do tego zachęcał, naruszyłaby zasady zwolnienia warunkowego.

– By… była akcja – wyjąkał. – Zaczaili się… co… coś poszło nie tak. Kazali mi cię ściągnąć… do szpitala.

Jagoda zawahała się, po czym wstała. Chłopak odetchnął z ulgą, ale zaraz jęknął, bo Wilczek nie ruszyła do drzwi, lecz sięgnęła po telefon. Sonia obserwowała nauczycielkę w napięciu. Ta próbowała się gdzieś dodzwonić – najpierw nikt nie odebrał, potem spróbowała znowu… Wreszcie ktoś się odezwał po drugiej stronie i Jagoda zaczęła przyciszonym głosem zadawać pytania. Sonia usłyszała tylko kilka słów, ale zrozumiała: Batory! Jagoda zadzwoniła do szpitala!

– Soniu, idziemy – zadecydowała Jagoda, gdy się rozłączyła. – Rusz się!

Najwyraźniej potwierdziła informacje od funkcjonariusza, bo złapała torebkę, a potem rzuciła się do drzwi. Sonia bez wahania pognała za nią, w pośpiechu omal nie spadając ze schodów. Pracownik WMM biegł jako ostatni. Wilczek nie czekała na niego, skierowała się prosto do garażu na tyłach.

– Wsiadać! – zakomenderowała. Nie musiała tego powtarzać uczennicy, ta błyskawicznie wślizgnęła się na miejsce pasażera. Zadyszany strażnik Jagody wskoczył na tylne siedzenie.

– Co się dzieje? – spytała Sonia, zapinając pasy. – Dlaczego cię potrzebują? W Batorym?! Umiesz uzdrawiać?

– Nie, nie umiem. Ale przywożą funkcjonariuszy obłożonych klątwą – wyjaśniła Jagoda. Odpaliła silnik i ruszyła z piskiem opon, ledwo brama garażu się uniosła. – Nie wiem, co się stało, ale myślę, że faktycznie namierzyli Adriana… Tyle że ten już złożył ofiarę i rzucał przekleństwo. Przerwali mu, wypaliło w nich. Dzwoń do brata.

– Że co?!

– Mają w tej chwili na ostrym dyżurze dwadzieścia osób, drugie tyle jest w drodze, i tylko jednego uzdrowiciela, który potrafi zdejmować silniejsze klątwy, a i on ma problemy – warknęła Jagoda. – Dzwoń do Antoniego! Annę pewnie już wezwali.

– Ale…

– Soniu, może twój brat się w tym nie specjalizuje, ale babka uczyła go zdejmowania klątw. Jeśli nie pomoże, to nie zaszkodzi. Może chociaż zdoła je spowolnić. Jestem pewna, że przyjdzie. Wezwij go, rozumiesz?

– Mój brat? – spytała Sonia z niedowierzaniem.

Niby słyszała już sugestie, że Antoni miał pewien talent do klątw. Wspomniano jej, że był podejrzany, kiedy ona sama zapadła w sen pod wpływem własnego przekleństwa. Ale jakoś nigdy w to nie uwierzyła. Jej przyrodni brat specjalizował się w magii umysłu, a i tej rzadko używał, całe dnie zajmując się nudną papierologią w rodzinnej firmie…

– Dzwoń do niego. Potem weź mój telefon i napisz SMS-a albo dzwoń… wiesz do kogo – poleciła Jagoda, wyjeżdżając na ulicę.

Jechała zupełnie jak nie ona, wręcz po wariacku, aż Sonia miała ochotę zwrócić jej uwagę. Szybko dotarło do niej jednak, że z posiadłości Wilczków na obrzeżach miasta dojadą do Batorego za co najmniej pół godziny, chociaż o tej porze nawet warszawskie ulice były niemal wolne od korków. Dotychczas Sonia była przede wszystkim podekscytowana. Nie spodziewała się kłopotów, nie takich prawdziwych; przecież Jeremiasz chodził z klątwą w aurze kilka dni!

Tyle że… Jagoda powiedziała potem, że to był zaledwie odprysk…

– Sądzisz… że sytuacja jest poważna? – spytała cicho, wybierając numer brata.

– Już stracili przynajmniej dwóch ludzi – wycedziła Jagoda i przejechała przez niemal puste skrzyżowanie na żółtym świetle. Dłoń Soni zadrżała, ale przycisnęła telefon do ucha, modląc się, by Antoni odebrał.

– Ja… ja też mam pomóc przy zdejmowaniu klątw? – Dziewczyna marzyła o tym, aby ściągnąć z kogoś skomplikowane przekleństwo, teraz jednak, gdy stanęła przed taką możliwością… była przerażona. Dwie osoby zmarły. Klątwa była więc śmiertelna i działała szybko. Myśl o tym, że ktoś może zginąć, bo ona nie podoła, prawie odbierała jej dech.

– Kilkadziesiąt osób. W złym stanie – powtórzyła Jagoda. Sonia zerknęła na nią ukradkiem. Wilczek była blada, a palce zaciskała na kierownicy mocniej niż zwykle. – Nie dam rady sama.

Sonia zacisnęła mocno powieki. A gdy brat odebrał, milczała przez moment, pełna obaw, że wybuchnie płaczem przy próbie otwarcia ust.

***

Do Batorego od strony niemagicznej Warszawy dało się dostać wyłącznie piechotą. Jagoda nie chciała tracić czasu na szukanie miejsca parkingowego. Stanęła wprost na chodniku, pod budką, przy której znajdowało się przejście, ukryte za iluzją. Na dziedziniec przed szpitalem wpadła biegiem, jeszcze nim Sonia zdołała wyjść z samochodu.

Schody przed głównym wejściem były puste, na parkingu stały tylko pojedyncze auta, zapewne pracowników. Jagoda jednak usłyszała zamieszanie, jeszcze nim je zobaczyła. Wyły karetki, ludzie krzyczeli. Z drugiej strony budynku, przy drzwiach wiodących bezpośrednio na ostry dyżur, panował chaos. W błękitnawym magicznym świetle widać było, jak pracownicy transportują ludzi do środka. Kilkoro poszkodowanych leżało wciąż na zewnątrz, część na noszach, paru jedynie na kocach czy płaszczach, pewnie przywiezieni nie karetkami – Batory miał ich zaledwie pięć – lecz przez kolegów. Tylko niektórzy wyglądali na przytomnych. Kilka osób kręciło się pomiędzy nimi, może uzdrowiciele, może pracownicy WMM, którzy mieli szczęście i uniknęli klątwy. Jej aurę Jagoda wyczuwała już z daleka.

Zatrzymała się, niezdecydowana, co dalej. Wzrokiem usiłowała wyłowić kogoś, kto ją znał i kto mógłby ją pokierować – znajomy magomedyk, Maks, obiecał, że ktoś będzie na nią czekał. Nie dojrzała jednak wśród uzdrowicieli żadnej znajomej twarzy, za to rozpoznała jedną z ofiar. Pochylający się dotąd nad nią mężczyzna, który tkał jakiś czar wzmacniający, wyprostował się i Jagoda w błękitnym blasku dostrzegła ciemnoskórą, krzepką kobietę.

– Jaga!

Gdzieś z tyłu rozległ się głos Soni, która drobiła przez dziedziniec. Wąska spódnica i szpilki utrudniały jej bieg. Jagoda zignorowała uczennicę. Dopadła do Maeve i uklękła wprost na asfalcie, jednocześnie sięgając do wyblakłej, tracącej powoli kolory aury funkcjonariuszki. Klątwa wysysała z kobiety siły i magię. Maeve jęknęła cicho, spoglądając na Jagodę. Oczy miała pełne przestrachu, ale chyba rozpoznała Wilczkównę: poruszyła ustami, nie wydobył się z nich jednak żaden dźwięk.

Jagoda ujęła dłoń funkcjonariuszki i przelała do jej ciała i aury własną moc, niszcząc nici przekleństwa. Było silne, ale nie przeznaczono go dla Maeve – ani żadnego innego człowieka. I choć zdążyło osłabić kobietę, nie zlało się jeszcze z aurą na tyle mocno, by Jagoda obawiała się, że zdejmując je zbyt gwałtownie, zrobi poszkodowanej krzywdę.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnął uzdrowiciel, który wciąż stał tuż obok.

Odepchnął Jagodę tak, że zaskoczona, skupiona na klątwie, uderzyła bokiem o ziemię. Krzyk zwrócił jednak na nich uwagę i ledwo sekundę później rozbrzmiał znajomy głos.

– Nie! Nie, zostaw ją! Jest z nami!

Muchomor, magomedyk z WMM, dotąd pewnie zajmujący się w pobliżu ofiarami, biegł teraz ku nim. Przy Jagodzie znalazła się Sonia, która pomogła jej wstać.

– To wiedźma! Od klątw! – krzyknął Muchomor. Był spocony, zadyszany, twarz miał umazaną krwią i chwiał się, najwyraźniej wydrenowany z sił. Mimo to złapał Jagodę za rękę i pociągnął ku drzwiom szpitala. – Chodź. Boże, szybko. Musisz pomóc szefowi i Ernestowi…

– Mario tu jest?

– W złym stanie. Ale Ernest w gorszym – wykrztusił, potykając się na schodach. Wyrżnął o stopnie i prawie pociągnął ją za sobą.

– Czekaj. Czekaj! – powtórzyła, obracając się.

Serce tłukło się jej szaleńczo w piersi, ze wszystkich stron bombardowała ją aura klątw. Miała chęć zostawić Muchomora i wpaść do szpitala… ale nie wiedziała, gdzie jest Mario, gdzie są inni, którzy ucierpieli najbardziej, a za sobą pozostawiała inne ofiary.

– Soniu! Zostań tutaj! Pomóż uzdrowicielom! – zawołała do uczennicy.

Zawicka stała wciąż przy Maeve i spoglądała za Jagodą, zagubiona. Ewidentnie nie miała pojęcia, co robić. Wilczek mogła mieć tylko nadzieję, że dziewczyna szybko się pozbiera.

Ledwo przekroczyli próg szpitala, wpadli na Maksa. Uzdrowiciel na widok Jagody odetchnął z ulgą.

– Tędy, szybko – polecił.

Personel uwijał się jak w ukropie, wszyscy poruszali się biegiem. Wszędzie roiło się od noszy. Od wiezionych na nich ludzi Jagoda wyczuwała aurę klątwy: silniejszą u człowieka transportowanego na samym przodzie. Przyspieszyła kroku, wyprzedziła Maksa i dopadła pacjenta. Maks zaklął i pobiegł za nią, by wyjaśnić ratownikom sytuację, gdy przystanęła, by zniszczyć klątwę. W pośpiechu, mało finezyjnie. Prawdopodobnie mogłaby zrobić to znacznie delikatniej, tak by później ofiara nie odczuwała skutków ubocznych, ale nie miała na to czasu. W głowie tłukła się jej myśl, że gdzieś tu jest Mario – w złym stanie.

– Chodź. Dalej są ludzie, którzy bardziej cię potrzebują – syknął Maks, ledwo skończyła. Pozwoliła, by pociągnął ją za ramię i poprowadził dalej.

– Gdzie jest Olcha?

– Nie wiem. Nie mieliśmy czasu sprawdzać wszystkich personaliów. Igor! Mam Wilczą Jagodę! – zawołał do jednego z uzdrowicieli, który przebiegał właśnie między salami.

– Dzięki bogom! – zawołał Igor i przystanął. Takie powitanie było w życiu Jagody rzadkością. Zwłaszcza w ustach mężczyzny, którego kompletnie nie kojarzyła. – Dawaj ją tu! Szybko! Do tej sali! Anka właśnie kogoś reanimuje!

Przez kolejne kilkanaście minut popychano ją, ciągnięto i poganiano. Jagoda nie mogła się nawet złościć na takie traktowanie, bo sytuacja okazała się gorsza, niż wcześniej podejrzewała. Niszczyła więc klątwy tak szybko, jak mogła, poświęcając na to zdecydowanie za dużo sił i ryzykując, że coś zostanie w aurze ofiar. Reanimowanego Ernesta wyrwała ze szponów śmierci dosłownie w ostatniej sekundzie, potem zdjęła klątwę z Bogdana, specjalisty od zabezpieczeń, ale gdy wpadła do sali, w której dwóch uzdrowicieli usiłowało utrzymać przy życiu starszą funkcjonariuszkę, okazało się, że spóźniła się o kilka sekund. Nie miała czasu nad tym rozpaczać, ba, nawet poświęcić temu dłuższej myśli, bo już przepychano ją dalej – do Tomasza. Ten wydawał się w dużo lepszym stanie niż inni, więc podejrzewała, że Igor zaciągnął ją do niego z powodu koneksji poszkodowanego. Przez krótki moment czuła pokusę, by zostawić Czarneckiego, szybko jednak zwalczyła w sobie tę chęć. Miała zamiar zafundować mu jakieś paskudne przekleństwo, ale na pewno nie śmiertelne. Zanim zabrała się do zdejmowania klątwy, głośno zażądała, by zaraz potem zaprowadzono ją do Mariusza.

– Gdzie. Jest. Mariusz. Olcha! – warknęła, kiedy natychmiast po tym, jak skończyła z Tomaszem, Igor pociągnął ją do następnej sali. Tu już kładziono ludzi zbiorowo: na łóżkach leżało dziesięć osób, większość nieprzytomna, a w powietrzu niemal iskrzyło od zaklęć rzucanych przez uzdrowicieli.

– Najpierw oni. Są w złym stanie…

– NIE! – wrzasnęła, gdyż zaczynała narastać w niej panika. Czuła obecność klątw ciążących na ludziach. Miała wrażenie, że jej zmysły są wręcz bombardowane. Nie była pewna, czy zdąży pomóc wszystkim: nie, inaczej. Była pewna, że nie zdąży. Z każdą sekundą coraz bardziej bała się o Olchę. Muchomor chciał przecież, żeby obejrzała przede wszystkim Maria i Ernesta. Przyszło jej do głowy, że być może ktoś celowo kazał zostawić na koniec problematycznego eksdowódcę jednostki. Co gorsza, Maks znikł jej z oczu gdzieś po drodze: za wiele osób wymagało teraz pomocy, by mógł towarzyszyć Jagodzie. – Nie zdejmę ani jednej klątwy, póki mnie do niego nie zabierzesz!

– Nie możesz…

– Mogę. Ja tu nie pracuję. Mogę stąd wyjść w każdej chwili – oświadczyła stanowczo, spoglądając Igorowi prosto w oczy. Nie wyszłaby: końmi by jej nie wyciągnęli. On jednak tego nie wiedział. – Mariusz Olcha. Już. Jeśli chcesz uratować resztę.

– Ci ludzie naprawdę nic cię nie obchodzą? – spytał, na poły ze złością, na poły z niedowierzaniem.

Jagoda patrzyła na niego w milczeniu. Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. W duchu modliła się, by ci ludzie obchodzili Igora: dostatecznie mocno, aby zabrał ją do Olchy.

– Nie masz sumienia – syknął. – Idziemy.

Igor odwrócił się, ruszył pospiesznie korytarzem, a ona w ślad za nim, niemal depcząc mu po piętach. Okazało się, że Maria położono zaledwie dwie sale dalej, w niewielkim pomieszczeniu, w którym leżał tylko on, blady i nieruchomy. Gdy Jagoda dopadła do niego, przez ułamek sekundy sądziła, że już jest za późno. Ale żył jeszcze, choć ledwo, klątwa zaś rozprzestrzeniła się w aurze mocniej niż u Maeve, tylko odrobinę mniej niż u Ernesta, któremu w ostatniej chwili udało się przywrócić oddech.

A jednak leżał tu sam. Nie przyprowadzono jej do niego od razu. Nie było tu nawet żadnego uzdrowiciela czy sprzętu, którego używano w innych salach. Przeżył tylko dlatego, że miał duży potencjał magiczny. Lęk i zdenerwowanie, które Jagoda odczuwała do tej pory, stopniały pod wpływem wściekłości. Złość nie była dla magów dobrym doradcą: mogła dodać sił, lecz pod jej wpływem też łatwo tracili kontrolę. Gdyby nie Olcha, być może wiedźma nie zapanowałaby nad sobą i posłała klątwę wprost w Igora. Zamiast tego jednak unicestwiła ciemne nici wplecione gęsto w aurę Mariusza. Błyskawicznie, nie próbując nawet zrobić tego delikatne, kierowana gniewem, ale i świadomością tego, że mężczyźnie nie pozostało dużo czasu. Naturalnych barw jego aury niemal nie było już widać. Jagodę na moment ogarnęła słabość: musiała oprzeć się o łóżko. Przesadziła. Działała za szybko, a przecież zdjęła już kilka klątw. Ledwo zwróciła uwagę na to, że uzdrowiciel rozmawia z kimś w progu, że słyszy podniesione głosy. Że gdzieś w oddali rozlegają się jakieś krzyki, głośno wydawane polecenia.

– Skończyłaś? – spytał Igor. Miała ochotę na niego warknąć, ale teraz zdawał się raczej przejęty niż wściekły czy pełen wyrzutu. – Ta klątwa… ona coraz szybciej działa. Potrzebują pomocy.

– Jasny… – syknęła Jagoda pod nosem, po czym się wyprostowała. Trochę zbyt szybko, aż zakręciło się jej w głowie, ale zdołała ustać na nogach. – Gdzie?

– Wszędzie – jęknął, lecz niemal natychmiast wziął się w garść. Obrócił się i truchtem ruszył do sali, do której chciał poprowadzić ją wcześniej. Pacjenci byli nieprzytomni. Nad jednym z posłań stał uzdrowiciel w kitlu, prawdopodobnie z wiedzą o przekleństwach, o którym wspomniał jej Maks przez telefon. Poruszał rękoma, bardzo powoli wykonując kolejne gesty. Rozplątał klątwę, ale po jego ruchach Jagoda natychmiast rozpoznała, że nie był prawdziwym specjalistą w tej dziedzinie. – Ten najpierw!

Igor wskazał jedno z łóżek i Jagoda rozpoznała Krystiana Wiśniewskiego. Młody chłopak. Szalenie utalentowany, szalenie problematyczny i niebezpieczny. Porzucony przez rodziców, adoptowany przez wuja Igi, a następnie ponownie odsunięty, gdy nad jego magią nie udało się zapanować. Zabawka w rękach Śpiącej Królewny, później protegowany Olchy.

Skoro nawet ten dzieciak tu leżał, najwyraźniej do akcji pchnięto wszystkich lub niemal wszystkich pracowników. I większość z nich znalazła się w polu rażenia.

Jagoda zacisnęła palce na dłoni chłopaka i natychmiast zrozumiała, że nie ma wiele czasu. Igor się nie mylił: klątwa działała szybciej. Może gdy już wplotła się w aurę, stawała się bardziej mordercza, nasilała się z czasem, może Adrian w jakiś sposób zdołał ją wzmocnić. Gdyby wiedźma mogła sobie pozwolić na zwłokę, prawdopodobnie potrafiłaby znaleźć przyczyny. Ale to kosztowałoby życie Krystiana, a pewnie i innych, którzy wciąż czekali na pomoc.

– Przyszła tu ze mną moja uczennica. Została przed szpitalem. Może pomóc – wykrztusiła wiedźma, przechodząc do kobiety na sąsiednim posłaniu, ledwo skończyła zdejmować klątwę z Krystiana. Kojarzyła jej twarz, choć nie umiała powiązać z imieniem. Chyba chodziły razem do szkoły?

– Już to robi. Jasny szlag! Anka! Ściągnijcie tu Ankę!

Igor, który chwilę temu zaczął rzucać zaklęcia wzmacniające na jednego z nieprzytomnych

funkcjonariuszy, rzucił się do innego łóżka. Drugi z uzdrowicieli zerknął w tamtym kierunku, ale dopiero kończył zdejmować klątwę ze swojego podopiecznego. Jagoda, w przypływie adrenaliny, zaryzykowała, ponownie niszcząc przekleństwo ciążące na kobiecie szybciej, niż by należało. Wciąż jednak musiała na to poświęcić kilkadziesiąt sekund – i gdy dopadła do mężczyzny reanimowanego przez Igora, było za późno.

Aura klątwy za to narastała, zamiast słabnąć. Wiedźma wyczuwała ją, i to nie tylko od osób w tej sali. Mimo wszystkich wzmacniających czarów uzdrowicieli, mimo że magomedyk – nawet jeśli powoli i z trudem – rozplatał kolejne węzły złego czaru. Mimo iż Jagoda zdjęła już przekleństwa z kilku osób, a Sonia podobno też gdzieś działała.

Tylko na jej oczach zmarły dwie osoby.

Cofnęła się od łóżka człowieka, któremu Igor bezskutecznie usiłował przywrócić oddech. Rozejrzała się coraz bardziej spanikowana. Wszędzie widziała czerń pochłaniającą inne kolory. Jagodzie huczało w uszach. Może z nerwów, może ze zmęczenia, a może z powodu mrocznej energii bombardującej zmysły.

– Rusz się! – pogonił ją uzdrowiciel, który zdjął wreszcie klątwę z mężczyzny.

Zachwiał się, z trudem utrzymał na nogach. Potykał się, gdy przechodził do kolejnego pacjenta. Nie utrzymał równowagi: opadł na kolana. Jasne objawy, że za moment albo organizm w samoobronie „zgasi mu światło", albo medyk wkrótce padnie trupem. A jednak wciąż, uparcie, zabierał się do walki o życie kolejnej osoby. Kiedy Jagoda zerknęła na poszkodowanego, natychmiast go rozpoznała. Ryszard nie pracował dla WMM, lecz dla WilCom, i był jednym ze znajomych babki. Często bywał w ich domu.

Do ataku więc jednak doszło w okolicach budynku należącego do WilCom. Znaleźli się tutaj nie tylko funkcjonariusze, ale też ludzie powiązani z firmą Wilczków. Pewnie znała albo przynajmniej kojarzyła większość z nich. Klątwa powoli ich pochłaniała – a niszcząc ją pojedynczo, nie miała szansy zdążyć. Nawet przy Mariuszu, kiedy działała pod wpływem wściekłości i obawy, spędziła co najmniej trzy minuty i kosztowało ją to dużo energii.

– JAGODA! – krzyknął ktoś i dopiero to wytrąciło ją z dziwnego stanu, w jakim znalazła się bodaj pierwszy raz w życiu. Nigdy dotąd nie zamierała w sytuacjach wymagających natychmiastowego działania, a teraz zmarnowała kilkadziesiąt cennych sekund.

Jagoda odetchnęła i bez namysłu sięgnęła ku niciom klątwy spowijającym Ryszarda. A potem, zamiast próbować je unicestwić, przyciągnęła ku sobie. To było znacznie szybsze niż zniszczenie czy delikatne rozplątanie. Rozpadły się niemal natychmiast: przekleństwa skierowane przeciwko niej Jagoda odbijała zwykle instynktownie, z mniejszym wysiłkiem, niż kiedy miała zdjąć je z kogoś innego.

Sięgała wokół, po kolei szarpiąc kolejne nitki, spowijające dotąd ofiary w sali. Za wiele nici, by pozbyć się ich natychmiast, ale zajęła się ich niszczeniem akurat w ciągu tych sześćdziesięciu sekund, których potrzebowała na wybiegnięcie z sali i ruszenie dalej.

– Sprowadźcie tu Sonię Zawicką! Szybko! – krzyknęła.

Mogła mieć tylko nadzieję, że Igor – albo ktokolwiek inny – zechce jej posłuchać.

Szła przez korytarz, ściągając ku sobie klątwy ze wszystkich stron. Przestała dopiero wtedy, gdy wokół niej wirowało już zbyt wiele ciemnych nici. Wiedziała, że jeszcze kilka i ją pochłoną, zwłaszcza że poświęciła mnóstwo energii: może nawet zbyt dużo. Gdy powoli się osuwała na podłogę, w głowie dźwięczały jej słowa babki.

Zabijesz się sama, gdy użyjesz za wiele magii.

Wiedziała, że w korytarzu jest jasno, że palą się w nim dziesiątki lamp, ale świat zdawał się tracić kolory. Kurczowo trzymała się przytomności, niszcząc powoli klątwę, której nie potrafiła już utrzymać, która zaczynała wplatać się w jej aurę. Coś ciepłego, słodkiego, spłynęło Jagodzie na usta – uświadomiła sobie, że z nosa pociekła krew. Nici się wymykały, czuła, jak wyciekają z niej resztki sił.

Nie chcę więcej płakać i zastanawiać się, czy się ockniecie.

W polu widzenia pojawiła się zaniepokojona twarz Maksa. Widziała, jak jego usta się poruszają, słowa jednak nie docierały do jej uszu. Mężczyzna oparł dłonie na ramionach Jagody i choć sam musiał być zmęczony, poczuła, jak używa magii, by ją wzmocnić.

– Potrzebuję mojej uczennicy – wyszeptała.

Wciąż walczyła z klątwą, czuła jednak, że zabraknie jej sił, nim zdąży uwolnić się od przekleństwa. Zagalopowała się. Sądziła, że przestała ściągać do siebie obcą moc dostatecznie wcześnie, by sobie poradzić, ale teraz nie była tego już taka pewna. Albo klątwa odegnana od pierwotnych ofiar okazywała się coraz silniejsza zamiast coraz słabsza…

– Posłałem po nią. Nic nie mów. Nie waż się tracić przytomności.

Maks cofnął ręce, po czym jego dłonie zatańczyły w powietrzu, kiedy tkał następne zaklęcie. Jagoda z całych sił starała się utrzymać otwarte oczy. Nie poruszała się, nie odzywała, koncentrując wyłącznie na zatrzymaniu klątwy.

– O kurwa, kurwa, kurwa.

Przypadła do niej Sonia. Jagoda spróbowała posłać uczennicy uśmiech, ale nie zdołała. Zawicka splotła palce z palcami nauczycielki, zabierając się do zdejmowania przekleństwa. Działała… tyle że Jagoda niemal natychmiast stwierdziła, że robiła to wolno. Za wolno. Może nie potrafiła pracować szybciej, może już wcześniej wyczerpała większość energii, ale jej pomoc mogła nie wystarczyć.

Panika nic ci nie da, powiedziała sobie, choć i tak nie mogła nic poradzić na kleszcze lodowatego strachu, zaciskające się wokół serca. Obraz rozmywał się przed jej oczami, świat powoli tracił barwy.

– Coś ty zrobiła, Jaga?

Dopiero gdy się odezwał, zorientowała się, że klęknął przy niej Antoni Bielecki, jej były narzeczony i przyrodni brat Soni. Objął Jagodę, a z jego ust popłynęła cicha inkantacja, z której czasem korzystano przy zdejmowaniu klątw – zwłaszcza jeśli nie miało się w tym wprawy. Pozwoliła, by ją do siebie przyciągnął, z ulgą oparła mu głowę na ramieniu. Sonia do spółki z bratem nie pozwalali, by klątwa mocniej osadziła się w aurze, a Jagoda, wzmocniona magią Maksa, mogła teraz powoli niszczyć ciemne nici.

Nie była pewna, ile czasu minęło. Zdawało się jej, że całe wieki. W końcu nie miała już sił, by walczyć, zbyt osłabiona i przez własne działania, i przez moc Adriana. Ale niemal skończyli i Jagodzie pozostawało ufać, że wspólne wysiłki rodzeństwa wystarczą, aby utrzymać ją przy życiu. Już, już chciała zamknąć oczy i po prostu zdać się na nich, gdy Maks odsunął się, ustępując komuś innemu.

Tym razem ukląkł przy niej Caleb Blythe.

Jego twarz była zamazana, niewyraźna. Wyciągnął dłoń, ujął podbródek wiedźmy, a potem między nimi przepłynęła magia. Błyskawicznie niszczył klątwę, a gwałtowny napływ obcej mocy sprawił, że Jagodzie zawirowało w głowie. Gdyby Antoni jej nie podtrzymywał, zapewne położyłaby się na podłodze. Ale sensacje zaraz ustąpiły, oddychanie stało się łatwiejsze, świat powoli zaczął odzyskiwać barwy. Caleb ostatecznie uwolnił ją od resztek klątwy.

– Jaga? – spytał Antoni z niepokojem, jego dłoń przesunęła się po jej nadgarstku w poszukiwaniu pulsu.

– Już dobrze. Zdjęta – mruknęła. Opuściła powieki. Wciąż nie miała sił na jakiekolwiek działania.

– Trzeba ją stąd przenieść – powiedział Maks. – Zaraz znajdę łóżko. W tym skrzydle wszystko już zajęte.

– Anton… Moja siostra…

– Mam wezwać Lilianę? – spytał Bielecki.

– Nie – zaprzeczyła. Było jej zimno, nie miała dość energii nawet na to, by ruszyć głową, ale ogarnęła ją ulga. Przetrwała. Niebezpieczeństwo minęło, a większość ofiar Adriana udało się ocalić. Pewnie u niektórych zostały jeszcze pozostałości klątwy, ale nimi mogła się zająć później. – Nie ważcie się jej mówić, jak źle było. Bo wasze wysiłki pójdą na marne. Jeśli Lilka się o tym wszystkim dowie, osobiście mnie zamorduje.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

WŁASNYMI ŚCIEŻKAMI

Sonia opuściła szpital dopiero nad ranem, a potem przespała prawie cały dzień, regenerując utracone siły. Przebudził ją dźwięk telefonu. Po omacku sięgnęła po komórkę i aż podskoczyła, gdy po drugiej stronie rozległ się nie głos, lecz wrzask Jess. Taki wwiercający się w uszy, rodzący podejrzenia, że wśród przodków dziewczyny przewinęła się jakaś banshee.

– Nie dość, że nie przyszłaś, to jeszcze nie odpisujesz na wiadomości?!

– Co…? – spytała zdezorientowana Sonia. Usiadła na łóżku i wolną dłonią przecierała zaspane oczy. – Przepraszam, spałam…

– Od wczoraj rana?! Nie przyszłaś na przedstawienie!

– O kurde – jęknęła Sonia.

Wczoraj wieczór faktycznie miała się pojawić w teatrze Arkana, należącym do rodziny. Umówiła się z Jess i paroma znajomymi, z którymi od dawna nie miała kontaktu. Wchodziło właśnie nowe przedstawienie, w którym grał dziedzic rodziny Wagnerów, nowy obiekt westchnień Jess. Sonia kiedyś go poznała i miała ich sobie przedstawić… Planowała tam pojechać prosto od Jagody, ale zamiast tego skończyła w Batorym. – Naprawdę przepraszam, ja…

– Ty, ty, ty – syknęła Jess ze złością. – Jezu, mam już dość tych twoich ciągłych usprawiedliwień! Wybaczyłam ci moje urodziny…

– Nie przyszłam, bo dzień wcześniej mnie porwano – wymruczała Sonia w oszołomieniu. Wciąż nie otrząsnęła się z senności i otępiała nie potrafiła stawić czoła temu nagłemu atakowi.

– Tak, a wcześniej mnie wystawiłaś z weekendem we Francji, bo miałaś jakąś Bardzo Ważną Sprawę – stwierdziła Jess. Sonia zacisnęła zęby. Rzeczywiście, miała Bardzo Ważną Sprawę, akurat wyprowadzała się z domu. – Odwołałaś spotkanie przed tygodniem…

– Ja… – Zawicka chciała wyjaśnić, że akurat wtedy na nią napadnięto, ale przyjaciółka nie dała jej dojść do słowa.

– Tak, znowu ty! Wiesz co? Mam tego dość. Najpierw ci odjebało i spierdoliłaś z domu, nie chcesz nigdzie jeździć…

– Już mnie nie stać na zagraniczne wczasy! – jęknęła Sonia. Owszem, miała pieniądze, ale musiały jej wystarczyć na dwa lata nauki i urządzenie się, zanim zacznie porządnie zarabiać.

– Zapłaciłabym za ciebie! – krzyknęła Jess zapalczywie. – Nie chcesz z nami wychodzić, odwołujesz spotkania, nigdy nie masz czasu! Wszyscy postawili na tobie krzyżyk, tylko ja, durna, próbowałam, bo przyjaźnimy się od dziesięciu lat!

– Naprawdę nie mogłam…

– Nie, nie chcę słuchać, co takiego robiłaś – ucięła Jess. – Cokolwiek to było, ciągle coś jest ważniejsze ode mnie. Super, Sonia. Nie dzwoń do mnie więcej, nie pojawiaj się w Syreniej, bo ja mam szczerze dość.

Rozłączyła się. Zawicka natychmiast spróbowała oddzwonić, ale przyjaciółka… czy już chyba była przyjaciółka… zablokowała jej numer. Sonia przypatrywała się aparatowi z niedowierzaniem, które zaczęło powoli zamieniać się we wściekłość. Poderwała się z łóżka, cisnęła komórkę na podłogę i ruszyła do łazienki.

– No przepraszam bardzo, że zamiast oglądać przedstawienia, ratowałam ludzi! – warczała na głos, zrzucając piżamę. – Albo że nie mogłam przyjść, żeby popatrzeć, jak zdmuchujesz świeczki na torcie, bo porwał mnie wilkołak psychopata!

Wraz z zimną wodą wściekłość zaczęła powoli opadać. Sonia przypomniała sobie o tych wszystkich spotkaniach odwołanych z powodu lekcji… albo kiedy niezbyt ją interesowało, co mówi koleżanka, bo myślami była gdzieś indziej… Może naprawdę nie dość dbała o tę przyjaźń? Może nawet patrzyła na Jess, rozpaczliwie chcącą znaleźć sobie chłopaka, z pewną wyższością, bo uważała, że sama już przeszła ten etap? Nie miała do tego prawa. A kiedy nie pojawiła się na urodzinach, powinna była jakoś to przyjaciółce zrekompensować, tymczasem bała się wyjść z domu…

Kilka minut później suszyła włosy, pociągając nosem. Sprawdziła konta na portalach, ale Jess wszędzie ją poblokowała. Nic. Musiała po prostu szybko się ogarnąć i pojechać do domu przyjaciółki. Może jeszcze nie wszystko stracone? Może jeśli wszystko sobie wyjaśnią…

Dziewczyna błyskawicznie się ubrała. Miała już wychodzić, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Podbiegła do nich, gnana absurdalną nadzieją, że przez wizjer zobaczy Jess, może też gnębioną wyrzutami sumienia po tej kłótni: na progu mieszkania stała jednak matka Soni.

Karolina Zawicka dobiegała już sześćdziesiątki. Magia i eliksiry – Tomasz Zawicki miał sieć zakładów alchemicznych oraz niemagicznych aptek – sprawiały jednak, że wyglądała dobre piętnaście lat młodziej. Starannie uczesana i umalowana, miała na sobie granatowy kostium, w którym wprawne oko Soni rozpoznało jeden z najnowszych modeli od Chanel. Córka obserwowała ją przez wizjer dłużej niż wypadało.

Czego mogła tu chcieć?

W pierwszych miesiącach po wyprowadzce Soni z domu nie widywały się niemal wcale. Karolina najpierw przez parę dni próbowała zmusić ją do powrotu krzykami i groźbami. Potem zamilkła na jakieś trzy miesiące, licząc, że córka marnotrawna odcięta od rodziny i karty bez limitu szybko wróci i poprosi o wybaczenie. Gdy nic takiego nie nastąpiło, zaczęła posyłać do niej Antoniego i Jess, żeby nakłonili Sonię do zmiany zdania. Wreszcie, po pół roku, kiedy dotarło do niej, że to nie działa, zaczaiła się na córkę w Syreniej Pokusie. Tamto spotkanie skończyło się gwałtowną kłótnią, a raczej dwiema kłótniami, bo Sonia zagroziła Jess, że zerwie kontakty i z nią, jeżeli jeszcze raz „tak ją wrobi".

Gniew Soni ostygł z czasem, w dużej mierze pod wpływem ojca. Tomasz nie był może szczęśliwy z powodu decyzji córki i próbował ją przekonać, by porzuciła naukę i wróciła do domu, ale w końcu zrozumiał, że albo zaakceptuje wybory dziewczyny, albo straci dziecko i jedyną dziedziczkę przy okazji. Spotykała się więc z nim regularnie, zazwyczaj na mieście, a i za jego namową spróbowała wyciągnąć gałązkę oliwną do matki.

Ta jednak trwała zapiekła w swojej złości. Na zmianę obwiniała córkę o to, że „porzuciła i zdradziła" rodziców, albo Jagodę o „rzucenie klątwy odbierającej zmysły". Kiedy widziały się ostatnio na weselu krewnych, Sonia po rozmowie wyszła z zabawy z płaczem.

Nigdy, przenigdy nie spodziewała się, że matka stanie na progu mieszkania Wilczej Jagody.

Karolina ponownie wcisnęła dzwonek. Sonia nabrała głęboko tchu, niby pływak szykujący się do skoku, i otworzyła drzwi.

– Mamo, nie spodziewałam się.

– Matka nie może już odwiedzić córki?

– Zapraszam – mruknęła Sonia, uchylając ochronne czary, by wpuścić Karolinę do środka.

W młodej Zawickiej narastał niepokój. Podejrzewała, że matka coś knuje. Może planowała zdzielić córkę czymś ciężkim po głowie, a potem zamknąć na dwadzieścia lat na strychu? Sonia czytała kiedyś o podobnym przypadku. Teraz, kiedy Jagoda wciąż oficjalnie tkwiła w areszcie domowym, a w dodatku chwilowo pozostawała w Batorym, nie mogłaby pomóc uczennicy…

– Yhym. To… przytulne… miejsce – powiedziała Karolina, rozglądając się po przedpokoju, a potem po kuchni, do której zaprowadziła ją córka. Wodziła po wnętrzach wzrokiem pełnym dezaprobaty, Sonia zaś, trochę nieoczekiwanie, odczuła przypływ irytacji. Tak, nie była to willa Zawickich, uważana przez wielu (a głównie przez Karolinę) za najpiękniejszą posiadłość w Warszawie. Ale mieszkanie było czyste, ładnie urządzone i… ich.

– Owszem, bardzo przytulne – odparła z całą stanowczością, na jaką potrafiła się zdobyć w obecności matki. – Życzysz sobie herbaty, mamo?

– Macie miętę?

– Mamy – mruknęła Sonia, otwierając szafkę. Nie potrafiła powiedzieć, co czuje: miotały nią sprzeczne emocje. Irytacja, przejęcie, obawa, może trochę nadziei na to, że matka wreszcie zaakceptowała jej wybory. – Wpadłaś… ot tak po prostu czy w jakiejś konkretnej sprawie?

Nie wierzyła w towarzyskie odwiedziny. Co to, to nie! Matka mogła składać takie swoim nielicznym koleżankom, co do jednej żonom mężczyzn bogatych i wpływowych, w ich pięknych willach lub apartamentach, a nie córce marnotrawnej w starym bloku. Na dodatek w mieszkaniu Wilczej Jagody.

Karolina przyjrzała się taboretom, jakby podejrzewała, że mogą ubrudzić jej spódnicę, i dopiero usiadła. Sztywno wyprostowana, wyraźnie nie czuła się komfortowo w tym „przytulnym mieszkaniu".

– Słyszałam, co stało się w Batorym.

– Aha – podsumowała Sonia ostrożnie.

Nawet jeśli Antoni nie zwierzył się matce, to Karolina musiałaby przebywać na Antarktydzie, odcięta od wszelkiej komunikacji, żeby nie poznać ostatnich wypadków. O wydarzeniach w szpitalu rozpisywały się w ciągu ostatnich dwóch dni wszystkie gazety i portale informacyjne. W MAGnecie Sonia znalazła nawet filmik, na którym widać wnoszenie kolejnych osób do szpitala. W pewnym momencie w kadrze pojawiła się Jagoda, dopadająca jednej z funkcjonariuszek. Publikowano wywiady z uzdrowicielami, ofiarami i ich rodzinami. „Góra" mogłaby wyjść z siebie i stanąć obok, ale tego nie dało się ukryć. Zmarło w sumie sześć osób. Do szpitala trafiło ponad czterdzieści, w tym dwudziestu pracowników WMM, dziesięciu funkcjonariuszy przysłanych im jako wsparcie z innych jednostek i kilka osób, które z różnych względów znalazły się w pobliżu.

Nie wspominając o tym, że Adrian znów zdołał kogoś zamordować. Sonia nie znała szczegółów akcji, ale podejrzewała, że te przeciekną do mediów prędzej czy później.

– Nie powinnaś mieszać się w takie… sprawy.

– Pomogłam uratować pięć osób – odparła Sonia, która nawet nie zamierzała kryć irytacji. Sama zdjęła klątwę z czterech, a potem wspólnie z Antonim walczyła z nićmi oplatającymi Jagodę. – A ty mówisz takim tonem, jakbym brała udział w orgii!

– To bardzo chwalebne – powiedziała Karolina. Jeden rzut oka na nią wystarczył, aby młoda Zawicka zrozumiała, że matka wcale nie myśli tego, co mówi. Ale już sam fakt, że starała się być dyplomatyczna, zamiast ogłosić swoją wolę, świadczył o tym, że musiała zmienić podejście. – Niemniej niepotrzebnie się narażałaś, a ludzie zaczną o tobie plotkować. To robota dla uzdrowicieli…

– Nie, to robota dla specjalistów od klątw – skwitowała Sonia twardo. Zdjęła czajnik z gazu, zaparzyła matce miętę i sobie herbatę, a potem stanęła naprzeciwko Karoliny, opierając się o kuchenny blat. Ta pozycja dawała jej złudzenie przewagi, tej zaś Sonia potrzebowała. – Za jakiś rok, półtora ukończę szkolenie. Zdam europejskie egzaminy. Bardzo możliwe, że zatrudnię się wtedy w Batorym.

– Nie mówisz poważnie! – Karolina zbladła i uniosła dłoń ku klatce piersiowej, jakby zaraz miała dostać zawału.

– Oczywiście, że mówię poważnie. Gdzie miałabym pracować? Myślałam o Batorym albo… WMM.

O ile wizja córki pracującej w szpitalu ewidentnie się pani Zawickiej nie podobała, o tyle myśl o Soni w WMM musiała ją skrajnie przerazić. Teraz wyglądała tak, jakby miała zaraz zemdleć. Widząc przestrach w oczach matki, Sonia odrobinę złagodniała.

– Na razie muszę skończyć szkolenie. Później pomyślę, co dalej. Najpierw będę chciała zrobić gdzieś staż.

– Przyszłam tutaj w tej sprawie – oznajmiła Karolina. Odetchnęła, dłonie splotła na kolanach i znów przybrała maskę fałszywego spokoju. – Chciałabym, żebyś wróciła do domu…

– Nie.

– Będziesz mogła kontynuować szkolenie – podjęła pani Zawicka. Brwi Soni powędrowały w górę. Do tej pory rodzina stawiała jej ultimatum: porzuć te głupie zabawy, wróć do domu, znajdź, a raczej my znajdziemy ci dobrego męża. To było coś nowego. – Wyszukałam ci nauczyciela. To doskonały ekspert od klątw, światowej klasy, niedawno sprowadził się do Polski. Jest jednym z egzaminatorów przyznających europejski certyfikat specjalisty. Po ukończeniu nauki możesz zacząć pracować w naszej firmie…

– Przecież nie potrzebujecie specjalistki od klątw – wtrąciła Sonia, trochę oszołomiona zarówno nagłą zmianą frontu, jak i samą propozycją matki.

Sprawdziła specjalistów od klątw i wiedziała, że prawo do zasiadania w komisji – zwykle na egzaminie trzyosobowej – ma zaledwie pięciu ekspertów z całej Europy. Biografie całej piątki wyglądały imponująco. Jedyna w komisji kobieta była też niezłą uzdrowicielką, a jej najmłodszy przedstawiciel, Jean Mathieu, doskonale radził sobie nie tylko z klątwami, lecz także z magią bojową. Sonia nawet nie chciała myśleć, ile pieniędzy musiałaby wyłożyć matka na lekcje u kogoś z nich.

Ale firma Zawickich naprawdę nie potrzebowała usług wiedźmy klątw. Od kilku pokoleń większość przedstawicieli rodu trudniła się alchemią. Do rodziny należała sieć aptek oraz niewielka firma produkująca eliksiry. Gdzie tu miejsce dla klątw?

– Twój ojciec myśli o poszerzeniu działalności – odparła Karolina gładko. – Obok naszego spa, gdzie stosujemy kuracje alchemiczne, otworzymy też prywatną klinikę. Magiczne zabiegi estetyczne, leczenie urazów…

– To nie ma nic wspólnego z klątwami.

– …i możemy również zaoferować usługę zdejmowania klątw – dokończyła Zawicka. – Czy nie tym zajmuje się… twoja nauczycielka?

– Mamo… Jagoda naprawdę jest specjalistką… Najlepszą w Polsce… – zaczęła Sonia powoli, bo nie była pewna, jak zareagować. Matka jednak przerwała jej, nim zdążyła dokończyć.

– Nie odmawiaj od razu. Zastanów się nad tym. Czy nauka u Jagody jest taka wspaniała? W pełni cię zadowala? Czy naprawdę mieszkanie… tutaj jest wygodne? A jeśli nawet tak, to przecież nie jest duże i nie należy do ciebie! Kiedyś będziesz musiała się wyprowadzić. Wiem, że… Jagoda… to specjalistka, może i masz rację, że najlepsza w kraju, ale Jean na pewno dorównuje jej umiejętnościami, a przerasta doświadczeniem, pozycją, koneksjami i ma lepszą opinię.

W zapomnienie poszły stygnące napoje. Sonia przypatrywała się matce, a choć najpierw chciała odmówić, w jej głowie po raz pierwszy zrodziły się wątpliwości.

Bo nie, nauka u Jagody nie zadowalała Zawickiej w pełni. Mistrzyni unikała uczenia jej wielu klątw, a dziewczyna była dość spostrzegawcza, aby już dawno stwierdzić, że nauczycielka nie ma do niej zaufania. Jaką Sonia mogła mieć gwarancję, że to się kiedyś zmieni? W ich układzie nie było równouprawnienia. Jagoda samodzielnie decydowała o planie nauczania, a choć uwzględniała uwagi Soni, pewne tematy uparcie pomijała.

A ta uwaga o mieszkaniu? Sonia musiała przyznać, że było w tym sporo racji. Nie mogła mieszkać tutaj zawsze, a pieniędzy odziedziczonych po pradziadku nie wystarczyłoby na kupno czegoś własnego. Nie w Warszawie. Planowała wprawdzie skończyć naukę, zacząć pracę w WMM i wtedy pomyśleć o kredycie… ale to oznaczało lata wyrzeczeń. Sonia była dumna ze swojej nowej niezależności, musiała jednak przyznać, że w parze z samodzielnością szły obowiązki i trudy, do których nie nawykła.

Dochodził jeszcze jeden argument. Młoda Zawicka tęskniła za rodziną. A matka mówiła tak, jakby… wreszcie coś do niej dotarło. Jakby pojęła, że Sonia jest wiedźmą klątw, i postanowiła ją w tym wspierać.

Sonia myślała o tym wszystkim, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć. Karolina przerwała milczenie jako pierwsza.

– Poza tym naprawdę nie powinnaś brać udziału w takich sprawach. Coś może ci się stać! Rozważali nawet wzięcie cię na miejsce zbrodni…

– Co? – spytała Sonia, nagle wyrwana z zamyślenia. – Co chcieli zrobić?

– Zabrać cię na miejsce zbrodni, skoro… twoja, yhm, nauczycielka, leży w szpitalu. Wybiłam to Patrycji z głowy.

– Co zrobiłaś?! – krzyknęła dziewczyna. Matka nie odpowiedziała, spojrzała na nią tylko, najwyraźniej zdumiona tym nagłym wybuchem. – Nie miałaś prawa.

– Kochanie…

– Nie – ucięła młoda Zawicka, zła na matkę, ale też na samą siebie, że w ogóle przez ułamek sekundy rozważała jej ofertę. Chyba postradała rozum! Może i teraz plan nauczania układała Jagoda, ale przecież gdyby Sonia zgodziła się wrócić, u tego Jeana robiłaby to Karolina! Praca w rodzinnej firmie? Nie o tym marzyła. Zresztą jak wielu klientów zgłaszałoby się do tej prywatnej kliniki z prośbą o zdjęcie klątwy? Zapewne pojedyncze osoby, a szansa na zajęcie się czymkolwiek poważniejszym przeszłaby jej koło nosa na zawsze.

Poza tym…

Jagoda rozpatrzyła teorię Soni. Uwierzyła w nią. Gdy przedstawiała pomysł innym, nie próbowała przypisać zasług sobie. Zabrała uczennicę na spotkanie z Calebem, a potem do Batorego. Pozwalała jej decydować, czy chce w czymś brać udział. To były oznaki zaufania. Matka tymczasem, używając wpływów Patrycji Czarneckiej, odbierała Soni prawo podjęcia decyzji, czy chce pomóc WMM, czy nie. Poza tym Sonia Jagodę po prostu lubiła. Skąd miała wiedzieć, czy dogada się z jakąś

wielką magiczną szychą? Może nauka u niego będzie drogą przez mękę?

– Dziękuję za szczodrą propozycję, mamo, ale zamierzam dokończyć naukę tutaj, a potem sama znaleźć pracę. Chcę się usamodzielnić. Mam dwadzieścia lat i muszę podejmować własne decyzje. Zrozum to, proszę.

– Twój brat też kiedyś tak twierdził – wycedziła Karolina, zaciskając palce w bezsilnej złości. – Potem gorzko tego pożałował. Też pójdziesz po rozum do głowy.

Sonia odetchnęła. Nie odważyła się odezwać: bała się, że zacznie krzyczeć albo płakać. Przez chwilę wierzyła, że matka przyszła się pogodzić, że może zdołają się dogadać, nawet jeśli córka odrzuci propozycję… Ale najwyraźniej Karolina wierzyła, że będzie jak z Antonim, który po krótkim buncie wrócił na łono rodziny. U niego podziałało postawienie sprawy na ostrzu noża. U Soni to nie przeszło, więc pani Zawicka najwyraźniej próbowała przekupstwa.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli pójdziesz, mamo – wykrztusiła, z trudem wypowiadając kolejne słowa. Mocno zacisnęła powieki. Za żadne skarby nie chciała popłakać się przy matce.

Przez chwilę panowała cisza. Karolina nie odzywała się, ale też nie wstała. Sonia otworzyła w końcu oczy: mierzyły się przez chwilę spojrzeniami. Fakt, że na twarzy matki dało się dostrzec nie tylko złość i rozczarowanie, lecz także ból, nie przyniósł Soni ani odrobiny satysfakcji. Sprawił jedynie, że jej własna wściekłość przygasła, ustępując miejsca smutkowi i może trochę… poczuciu winy. Ale temu ostatniemu młoda Zawicka nie planowała ulegać. Nie odezwała się więc. Milczała, kiedy matka w końcu podniosła się i ruszyła do wyjścia. Kiedy zaś drzwi za nią trzasnęły, Sonia pozwoliła sobie na zaledwie chwilę chlipania w rękaw.

Potem popędziła po telefon komórkowy. Przypatrywała się mu przez moment, przypominając sobie, że miała iść wyjaśnić nieporozumienie z Jess… Teraz jednak pomyślała, że tak naprawdę chce zrobić coś zupełnie innego. Może Jess miała rację. Może nie mogły już się dłużej przyjaźnić.

Jeszcze jedna zerwana nić.

Ta myśl bolała, ale Sonia i tak wybrała numer WMM. Serce biło jej szaleńczo, kiedy czekała, aż dyżurny odbierze.

– Dzień dobry. Z tej strony Sonia Zawicka, uczennica Jagody Wilczek – przedstawiła się chwilę później. – Jestem wiedźmą klątw i otrzymałam informację, że w obecnej sytuacji mogą państwo potrzebować mojej pomocy. Chciałam poinformować, że… jestem do dyspozycji WMM.

***

Sonia, nim kolejnego dnia po rozmowie z matką dotarła na miejsce zbrodni, wyczytała w prasie, że tego ranka Mariusz Olcha wyszedł ze szpitala, w dodatku na własne życzenie. Z tego samo artykułu dowiedziała się, że o porażkę całej akcji, ponoć nieudolnie zorganizowanej, obwiniany jest obecnie Tomasz Czarnecki. Spekulowano, że Mario zostanie przywrócony na stanowisko komendanta. W duchu liczyła więc, że spotka Olchę, ale na miejscu zbrodni czekali na nią tylko Maeve i Muchomor. Sonia zastanowiła się, czy fakt, że jest ich tutaj zaledwie dwoje, świadczy o brakach kadrowych. Wydział do spraw Mrocznej Magii ucierpiał w ostatnim starciu z Adrianem. Stracili kilku funkcjonariuszy, a paru kolejnych jeszcze leżało w Batorym.

– Cześć. – Sonia uśmiechnęła się nieśmiało. Oboje funkcjonariuszy WMM znała słabo. Rozmawiała z nimi zaledwie dwukrotnie, w tym raz, kiedy Maeve ją przesłuchiwała po porwaniu. Do tej pory nie miała okazji zrobić na nich dobrego wrażenia i bardzo jej zależało, aby to zmienić.

Maeve mierzyła ją uważnym spojrzeniem. Muchomor za to uśmiechnął się serdecznie, chwycił dłoń Soni i potrząsnął nią kilka razy.

– Cześć. Dzięki, że przyszłaś. Wtedy i teraz. Bardzo potrzebujemy wsparcia. Wszystko się sypie, wszystko…

– Muchomor – syknęła Maeve ostrzegawczym tonem.

– Przecież każdy głupi to widzi – obruszył się mężczyzna. – To co będę udawać, że nad wszystkim panujemy? Jeszcze raz dziękuję. Prawdopodobnie uratowałaś życie Karolka.

– Naprawdę? – spytała Sonia, oszołomiona myślą, że jej działania mogły zdecydować o czyimś życiu. Zdjęła przekleństwo z kilku osób, które leżały na parkingu, ale sądziła, że wszystkie były

w lepszym stanie niż ci zabrani do środka.

– Zaufaj uzdrowicielowi, mała. Karolkowi może nie dostała się duża porcja tego paskudztwa, ale to już nie taki młodzieniaszek i ma problemy z sercem.

– Yhym. – Maeve odchrząknęła znacząco. – Możemy przystąpić do rzeczy? Szef chce, żebyś… jeśli tylko zdołasz… sprawdziła, czy… skoro ta klątwa trafiła w nas, to znaczy, że nie poszła w cel. Przynajmniej tak to ujął. Zdołasz to zrobić?

Mina kobiety wskazywała na to, że nie pojmuje do końca, o co chodzi. Sonia jednak zrozumiała i zrobiło się jej słabo na myśl o odpowiedzialności, która właśnie na nią spadła. Jeżeli klątwa Adriana nie wplotła się w osłony enklawy, tylko trafiła w ludzi, opóźnili zamknięcie kręgu. To była dobra wiadomość. Drugą dobrą było to, że Maeve wspomniała o „szefie", a pewnie nie nazwałaby tak Tomasza. Istniała jednak też zła – w takim wypadku Potocki prawdopodobnie wkrótce pojawi się w okolicy ponownie, aby zamordować.

– Tak – odparła Sonia, choć wcale nie miała takiej pewności. Bo co, jeśli się pomyli? Nigdy nie pracowała na taką skalę! – To znaczy… Tak myślę. Minęły dwa dni. Nie złożył ofiary tutaj, prawda? Bo tu nic nie czuję.

– Nie, kawałek stąd. Chodź, młoda.

Przeprowadzili ją pomiędzy budynkami na ogrodzony teren za jednym z nich. Sonia, która spędziła sporo czasu na analizie planu miasta, była prawie pewna, że należał do WilCom. I że zapewne zaraz ktoś uzna dokonanie dwóch zabójstw na posesjach firmy za dowód zaangażowania rodziny Wilczków w całą sprawę.

– Jak on tutaj znalazł ofiarę? – spytała, rozglądając się i starając skupić na wyczuwaniu magii. Wybranie przypadkowej osoby powinno osłabić klątwę, lecz to, z czym spotkała się w Batorym, nie wskazywało na to, aby przekleństwo było słabsze. – Teraz już wszyscy wiedzą, że trzeba na niego uważać.

– Sądząc po śladach na ciele i zeznaniach świadków, tym razem złapał ją w innym miejscu i przetransportował tutaj.

– Muchomor!

– Dobrze, już dobrze, milczę… – westchnął uzdrowiciel, przewrócił jednak przy tym oczami.

Uwadze Soni nie umknęło jednak, że starał się zrobić to tak, by Maeve nie zauważyła. Zawicką kusiło, by spytać, kto zginął: prasa nie zdołała do tego dojść. Nie chciała jednak drażnić jeszcze bardziej już i tak poirytowanej funkcjonariuszki.

Zawicka powoli ruszyła przez plac. Nie radziła sobie najlepiej z wyczuwaniem magii – wciąż brakowało jej wprawy i wyłapywała zwykle głównie aurę klątw – lecz nawet ona czuła, że rzucono tu wiele zaklęć. Choć minęło kilka dni, ich pozostałości nie zdążyły się rozwiać. Ktoś bardziej doświadczony mógłby zapewne odgadnąć, jak przebiegało całe starcie. Sonia umiała jedynie stwierdzić, że WMM nie poddało się bez walki…

…i że żaden człowiek nie zdołałby zneutralizować tylu zaklęć.

To prowadziło do dość niepokojących wniosków.

– I?

– Yyy… powiedziałabym, że klątwa się rozproszyła – wymamrotała Sonia. – Rozpadła. To znaczy… nie zadziałała tak, jak powinna, trafiła w was. Nie w cel. Jest dużo różnych ech.

– Na ile jesteś pewna?

– Ja… jakieś siedemdziesiąt procent.

– Siedemdziesiąt – westchnęła Maeve, a jej kolejne słowa były dla Soni jak cios w żołądek. – Mówiłam, że powinniśmy tu ściągnąć Wilczą Jagodę.

– Ale i ja, i Maks mówiliśmy, że najwcześniej jutro wolno jej wyjść ze szpitala.

– Nic jej już nie dolega.

– Tyle że jeśli użyje dziś magii, to będzie dolegać – stwierdził Muchomor złowieszczym tonem. – Rozejrzyj się jeszcze, mała. Bez pośpiechu.

– Pomogłoby, gdybyście opowiedzieli mi dokładnie, jak wszystko wyglądało – spróbowała Sonia.

Maeve i Muchomor wymienili spojrzenia. Mierzyli się wzrokiem długą chwilę w taki sposób, że Zawicka zaczęła się zastanawiać, czy nie porozumiewali się telepatycznie. Być może faktycznie tak robili, bo w końcu kobieta westchnęła.

– Nie byłam w grupie, która obstawiała tę część terenu. Z tego, co wiem, dorwali go, kiedy był jeszcze w trakcie… pracy. Już zaczął rzucać klątwę. Pięciu funkcjonariuszy, wpadli na niego właściwie przypadkiem, po chwili na miejsce dotarłam ja i jeszcze trzech ludzi.

– I nie dali sobie z nim rady? – wyrwało się Soni.

Maeve się skrzywiła.

– Mieliśmy wziąć go żywcem i zakazano nam używania zbyt niebezpiecznych zaklęć – przyznała, a Zawicka zazgrzytała zębami ze złości. Potoccy! – Z pierwszą grupą Adi… Adrian Potocki… rozprawił się błyskawicznie. Ale kiedy pojawiliśmy się my, a kolejni byli już w drodze, chyba do niego dotarło, że nie da sobie rady.

– Przynajmniej nie wiedział o pułapce – skwitował Muchomor, czym zasłużył sobie na kolejne karcące spojrzenie Maeve.

– Albo uznał, że i tak zaryzykuje – mruknęła Sonia, skubiąc podbródek. Czy naprawdę nikt nie ostrzegł Potockiego, czego najwyraźniej WMM się obawiało, czy też przecenił swoje siły? A może nie mieli go znaleźć, skoro namierzono go „właściwie przypadkiem”?

– W każdym razie prawdopodobnie wtedy uwolnił klątwę. Wszyscy, którzy próbowali się zbliżyć, padali jak muchy. Ci, którzy stali dalej, też oberwali, a Adrian skorzystał z zamieszania i znikł. Z pierwszej piątki ostatecznie przeżył tylko Ernest. Z grupy drugiej na miejscu… Mario i ja. – Maeve westchnęła. – Znam się trochę na klątwach, więc się broniłam, nie byłam w złym stanie, i tak by mnie odratowali, Mario ma masę magii, ale reszta…

Urwała i spuściła wzrok. Sonia poruszyła się nerwowo, niepewna, co powiedzieć. Sześć ofiar. Dwie zmarły, jeszcze nim powiadomiono Jagodę, dwie kolejne, kiedy one były w drodze. Czy mogłyby uratować pozostałą dwójkę, gdyby działały szybciej? Jeśli zaczęłyby od kogoś innego…?

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie – odparła Maeve sucho. Uniosła głowę, ale wciąż unikała spojrzenia Soni. – Gdyby nie wy, stracilibyśmy pewnie połowę składu. Dokonałyście tam cudu. To jak? To ci w czymś pomaga?

– Trochę. Myślę, że klątwa faktycznie poszła w was, a jeśli nawet coś trafiło w osłony, to już zbyt rozproszone, żeby zadziałało prawidłowo. Ale dla pewności powinniście ściągnąć tu Radecką…

Maeve zachowała kamienny wyraz twarzy. Mina Muchomora sprawiła jednak, że Sonię dosłownie zmroziło.

Już rozumiała, dlaczego ostatecznie na miejsce zbrodni zabrano właśnie ją.

***

Wieczór był chłodny i zanosiło się na deszcz. Sonia przemarzła, chociaż część zimna, jakie odczuwała, nie miała… fizycznego wymiaru. Spotkała Radecką parę razy i nie lubiła jej. Anna była zgorzkniała, marudna, zachowywała się, jakby zjadła wszystkie rozumy, i lubiła obrażać innych. Jakby postawiła sobie za punkt honoru odgrywanie roli wrednej wiedźmy z baśni. Gdy widziały się ostatni raz, Anna zmierzyła Sonię pogardliwym spojrzeniem i spytała: „Czyli wyobrażasz sobie, że nadajesz się na wiedźmę klątw?”. Zawicką zamurowało, a kobieta odeszła, nie czekając, aż dziewczyna zareaguje. Oczywiście dopiero gdy Anna znikła, Soni przyszło do głowy kilka ripost…

Życzyła sobie wtedy w duchu, by Radecką trafił szlag. Teraz się tego wstydziła. Myślała, jak bardzo Anna musiała być przerażona… Wiedziała pewnie, co Adrian planuje, ale nie mogła nic zrobić… zupełnie nic… Sonia wyobraziła sobie, jak Potocki rzuca tę niską, starszą kobietę na ziemię… jak zaczyna kreślić wokół niej krąg…

Pogrążona w ponurych wizjach, dopiero w ostatniej chwili się zorientowała, że ktoś siedzi pod drzwiami mieszkania. Mało brakowało, a stratowałaby Jeremiasza Dagmarka, który spał z głową opartą o ścianę. Przy nim leżał wypchany plecak.

– Co ty tu robisz?!

Jeremiasz błyskawicznie poderwał się na nogi. Zaskoczona Sonia cofnęła się gwałtownie i ledwo zdołała chwycić poręcz, ratując się przed upadkiem. Chłopak też zrobił krok w tył, schylił głowę, skulił ramiona.

– Prze… przepraszam.

– Syrenko warszawska i bazyliszku… – wymamrotała Sonia. Serce waliło jej szaleńczo. – Chcesz mnie zabić? Prawie zleciałam ze schodów.

– Naprawdę przepraszam. Zaskoczyłaś mnie…

– Ja ciebie? To moje mieszkanie – poinformowała, prostując się i wskazując na drzwi Jagody. Wiedźma wybrała je podobno przez podobieństwo do bram wiodących do królestw krasnoludów w jakiejś grze. Sonia wciąż obiecywała sobie, że w nią zagra, ale jakoś nigdy nie miała czasu. – Mieszkam tu, ty nie, więc to ty mnie zaskoczyłeś. Co tu robisz?

– Chciałem pogadać z… Jagodą.

– Znowu?

– Ja… – Jeremiasz spuścił głowę. Kojarzył się teraz Soni z karconym szczeniakiem i aż zrobiło się jej go żal. – Pamiętasz, jak mówiłem, że muszę ją o coś spytać?

– Tak?

– Nie spytałem – wyznał ze wstydem. – To przez tę klątwę w mojej aurze. Najpierw się za bardzo martwiłem, że znowu trafię do szpitala, a jak już ją zdjęła, głowa mi pękała i nie mogłem zebrać myśli.

– Matko i córko… – westchnęła Sonia. Wahała się przez chwilę, ale jeden rzut oka na drzwi sąsiadki wystarczył, aby podjęła decyzję. – Chodź do środka. Jagody nie ma, ale najwyżej do niej zadzwonię i pogadacie przez telefon, okej? Albo może ja zdołam ci pomóc.

Otworzyła zamek, a potem zdjęła ochronne zaklęcie. Chłopak wszedł za nią; tulił do piersi plecak, jakby bał się, że zaraz ktoś mu go wyrwie. Choć już od jakiegoś czasu nie ciążyła na nim klątwa, wciąż wyglądał, jakby wyniszczało go przekleństwo. Blady, zbyt chudy, z podkrążonymi oczami i rozbieganym wzrokiem.

– O co chciałeś spytać Jagę?

– Ja… o stado… zmiennokształtnych – odparł Jeremiasz. Tkwił pod drzwiami, wyraźnie nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Sonię ponownie nawiedziło skojarzenie z bezpańskim psem. A potem… z samą sobą.

Siedziała tak pod drzwiami Jagody. Dwukrotnie. Niepewna, jak wiedźma ją przyjmie i dokąd pójdzie, jeżeli Wilczek nie zechce z nią rozmawiać. Może dlatego postanowiła zrobić dokładnie to, co tamtego drugiego wieczora zrobiła Jaga.

– Chodź do kuchni, potrzebuję herbaty. Tobie też się przyda. Gdzieś ty znalazł tę kurtkę? Wiatrem podszyta. Pewnie zamarzasz – stwierdziła, zrzucając buty i płaszcz. – To stado jest aż tak ważne?

– Tak. Muszę wyjechać.

– Co? – Sonia zamarła w progu kuchni. Jeremiasz prawie na nią wpadł. – Przecież mieszkasz w Przystani Sawy.

Uśmiechnął się do niej, ale czuła, że jest to uśmiech wymuszony.

– Już nie. Właśnie skończyłem osiemnaście lat.

– Ale… edukacja… Myślałam, że można tam mieszkać, jeśli ktoś się uczy…

– Taaak, do dziewiętnastego roku życia. Ale tak jakby, przez to całe zamieszanie z galą, a potem… śmierć Leona… ostatecznie nie dostałem stypendium, więc nie dołączę do kursu doszkalającego – poinformował Jeremiasz. Coś z myśli Soni musiało się odbić na jej twarzy, bo spróbował uśmiechnąć się jeszcze szerzej. – Hej, nic nie szkodzi. Nie znosiłem tego miejsca, i tak chciałem się stamtąd wynieść. Poza tym dają nam trochę kasy jako wyprawkę. Ale pilnie muszę pogadać z Jagodą. Da się to zrobić?

– Tak, jasne – zapewniła Sonia.

W tej chwili czuła się tak paskudnie i na tyle mocno współczuła Jeremiaszowi, że pewnie gdyby poprosił o telefon do gwiazdy magicznego popu albo przewodniczącego Europejskiego Konwentu, próbowałaby mu to załatwić. Gdy jeszcze mieszkała z rodzicami, nie zdawała sobie sprawy z tego, jak

wielkie nierówności panują w magicznym społeczeństwie. Jeśli chciałeś coś tu osiągnąć, potrzebowałeś albo odpowiedniego nazwiska, albo dużej, przydatnej mocy. Najlepiej obu naraz. Inaczej? Trochę pecha i kończyłeś jak Jeremiasz – na bruku, z paroma tysiącami w kieszeni i informacją, że masz sobie radzić… A potem dziwili się, gdy trzeba było aresztować słabego czarodzieja, który próbował włamywać się do niemagicznych posiadłości!

Zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu smartfona, a chwilę później wybierała numer Jagody. Nikt jednak nie odbierał, za to wyczuła… coś.

Odrobinę magii.

Wciąż z telefonem przy uchu przecisnęła się obok Jeremiasza i ruszyła w stronę drzwi. W przedpokoju dotarło do niej, że po pierwsze, nie myliła się i ktoś właśnie majstrował przy zabezpieczeniach, po drugie… po wpuszczeniu Dagmarka do mieszkania zapomniała zaciągnąć za nim ochronne zaklęcie.

Rozłączyła się i na palcach podeszła do drzwi, a ledwo spojrzała w wizjer, rzuciła się w tył, tłumiąc okrzyk pełen przestrachu. Spróbowała sięgnąć ku osłonom, zamknąć je znowu, ale nie mogła: Adrian Potocki za ich progiem próbował zdjąć teraz drugą linię obrony. Zawsze aktywną, znacznie jednak słabszą niż ta pierwsza.

Głupia, głupia, głupia! – wyrzucała sobie Sonia.

Zabezpieczenia mieszkania Jagody były klasą samą w sobie. Główna bariera uniemożliwiała wejście do środka komukolwiek, kto nie zostałby wpuszczony, i do jej przełamania potrzeba by najmniej wyszkolenia maga bojowego albo specjalisty od zabezpieczeń pierwszej klasy. Tylko Sonia i Jagoda mogły swobodnie nią zarządzać. Poza nimi mieszkania chroniły jeszcze drzwi, wzmocnione magią, by trudniej je było wyważyć – czy to czarem, czy brutalną siłą – klątwa oraz standardowe zaklęcie zabezpieczające.

Drzwi, klątwa i to zaklęcie zapewne nie wystarczą, by zatrzymać Adriana Potockiego. Pierwszą osłonę Sonia uchyliła sama i nie zamknęła jej z powrotem.

– Co się dzieje? – spytał Jeremiasz, patrząc na dziewczynę. Sonia przylgnęła plecami do ściany naprzeciw wejścia, pobladła, z trudem chwytała oddech przez ściśnięte gardło. Chłopak chciał ruszyć do drzwi, chwyciła go jednak za rękę.

– Nie – wykrztusiła. Musiała coś wymyślić. Szybko. – Do salonu, już. Zwijaj dywan. Prędko!

Z listy niedawno używanych kontaktów wybrała numer WMM. Czekając, aż ktoś odbierze, i przyciskając telefon do ucha ramieniem, rzuciła się do kuchni. Wszystko leciało jej z rąk. Słoik rozbił się na małe kawałki, strąciła z szafki kubek, ale po chwili wpadła do salonu.

Jeremiasz szczęśliwie nie zadawał pytań, tylko zabrał się do rolowania dywanu, choć zerkał przy tym na Sonię z ostrożnością człowieka, który zastanawia się, czy jego towarzyszka nie oszalała.

– Merlinie – jęknęła Zawicka, kiedy po dziesiątym sygnale nie było odpowiedzi. Czy mieli aż takie braki kadrowe? Dyżurna opuściła stanowisko? Pół miasta próbowało się dodzwonić do WMM? Co gorsza, Jagoda też nie odbierała… – Masz połączenie z MAGnetem?

– Tak…

– Wyszukaj numer WMM i dzwoń. Szybko.

Zamknęła za sobą drzwi i wybrała kolejny numer. Drugą ręką już rozsypywała mieszanki ziołowe Jagody pod drzwiami. Żałowała, że nigdy nie interesowała się tym tematem i nie potrafiła wzmocnić ich magią… Czy w ogóle wzięła odpowiednie składniki? Bazylia, jałowiec, bylica piołun… dla ochrony przed demonami, złą mocą i czarną magią…

– Chodź tutaj, do kręgu – poleciła.

Przestąpiła przez granicę znaków, wyrysowanych na podłodze i regularnie odnawianych. Krąg Jagody pozwalał wiedźmie szybciej regenerować energię, ułatwiał rzucanie bardziej skomplikowanych klątw… ale mógł też pełnić funkcję ochronną. Sonia nie wątpiła, że tę barierę ktoś, kto poradził sobie z kilkunastoma funkcjonariuszami WMM, szybko pokona. Ale mogli zyskać dodatkowe kilka minut.

– Soniu…

– Adrian Potocki jest za drzwia… a ty gdzie?! – pochwyciła Jeremiasza w ostatniej chwili. Okazał się zadziwiająco silny, bo odepchnął ją z łatwością, aż padła na podłogę. Krzyknęła, a to go

otrzeźwiło. Zawahał się, spoglądając to na nią, to na drzwi.

– Nie bądź głupi – syknęła, gdy pojęła, że wściekłość malująca się na twarzy chłopaka nie jest przeznaczona dla niej. – Nie masz z nim szans, a pewnie i tak przyjdzie nam walczyć! Oby jak najpóźniej! Chodź tutaj, bo muszę aktywować… Caleb?!

Królik Bugs, którego numer przepisała w Batorym do własnego telefonu, odebrał. Sonia prawie się rozpłakała: z ulgi, że udało jej się do kogoś dodzwonić, i ze strachu.

– Dziecino, naprawdę jestem zajęty. Coś dzieje się z Jagą? Proszę, nie mów, że znowu muszę pędzić, bo…

– Potocki jest pod drzwiami! Zdjął już pierwszą osłonę! – wyrzuciła z siebie, tylko trochę mijając się z prawdą. – Zaraz tu wejdzie, do naszego mieszkania!

– Jasny… – Coś po drugiej stronie upadło z brzękiem, Caleb zawołał czyjeś imię. Trzasnęły jakieś drzwi. – W salonie jest krąg…

– Już w nim jestem.

– Aktywuj go. Zaraz tam będę. Dzwoń do WMM.

– Próbuję!

– Zaraz tam będę – powtórzył Blythe, a potem się rozłączył.

Sonia przygryzła wargę, a później pochyliła się, aktywując krąg. Znaki rozbłysły. Zawicka natychmiast wybrała kolejny numer, tym razem do brata. Nawiedziła ją absurdalna myśl, że skoro już miała być księżniczką w wieży, to należało wezwać przynajmniej paru rycerzy.

– Nie jesteś czasem specjalistą od magii bojowej?

– Obawiam się, że nie. To znaczy… Jak ostatnio sprawdzali, to podobno mam niezły potencjał, ale… mój ojciec nie jest magiem, nie puszczali mnie do magicznej szkoły, długo uczyłem się w normalnej…

– Szkoda – mruknęła i w tym momencie usłyszała w telefonie głos brata. – Antoni? Mam problem. Pod drzwiami naszego mieszkania stoi Adrian Potocki.

– Ten Potocki?!

– Tak, ten.

– Co on tam robi?!

– Skąd mam wiedzieć? – syknęła, przyciskając telefon do ucha ramieniem, by mieć wolne ręce. Jej palce zatańczyły w powietrzu, gdy zabrała się za splatanie klątwy. – Pewnie chce porwać mnie… albo Jeremiasza na ofiarę, bo z ostatnią mu trochę nie wyszło.

Już gdy wypowiadała te słowa, pomyślała, że pewnie chodziło o nią. Jeremiasz był prawdopodobny, owszem: wszak to jego Potocki próbował ściągnąć do labiryntu. Ale Adrian mógł go bez problemu dorwać, kiedy chłopak spał pod drzwiami. Zapewne więc Potocki śledził Sonię od miejsca zbrodni… poczekał, aż Maeve i Muchomor odstawią ją pod blok, a potem odjadą…

– Spróbuj ściągnąć tu WMM, okej? A, i jakby coś, powiedz… powiedz rodzicom, że ich kocham. Ciebie… ciebie też kocham.

Sonia pozwoliła, by smartfon upadł. Antoni coś jeszcze do niej krzyczał, nie miała jednak czasu z nim rozmawiać, zresztą gdy wypowiadała ostatnie zdanie, głos się jej załamał. Nie zdołałaby już wydusić z siebie więcej. Jeremiasz połączył się wreszcie z dyspozytorką WMM i tłumaczył szybko, co się dzieje. Zawicka pociągnęła nosem, łzy zmąciły jej wzrok, ale uparcie tkała klątwę.

Wiedziała, że Adrian odbije przekleństwo. Czepiała się jednak nadziei, że Caleb zdoła dotrzeć na czas. Każda zyskana sekunda mogła okazać się decydującą.

– Soniu?

Jeremiasz ukląkł przy niej i nieśmiałym gestem dotknął jej ramienia. Wydawał się opanowany. Był wręcz zaskakująco spokojny: spokojniejszy niż wtedy, gdy powiedziała mu, że ciąży na nim klątwa.

– Nie rozpraszaj mnie – wychlipała, z trudem wypowiadając słowa. – Szykuję klątwę.

– Nie znam się na magii bojowej, ale i tak mogę z nim walczyć. Tylko się nie przestrasz, dobrze?

Ku jej zaskoczeniu chłopak najpierw zdjął buty, potem ściągnął bluzę przez głowę. Odsunęła się od niego na tyle, na ile mogła, nie opuszczając kręgu. Rozproszona, omal nie wypuściła iskierek klątwy. Otworzyła usta, żeby spytać, co on, do licha, wyprawia… ale pojęła na sekundę, nim zaczął się zmieniać.

Pytał o stado zmiennokształtnych.

Wstrzymała oddech, obserwując przemianę. Miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi, a choć mogłaby chwilę temu przysiąc, że nie może już bać się bardziej… to bała się. Po chwili na miejscu Jeremiasza pojawił się ogromny wilk. Soni przypomniała się straszliwa bestia, którą stał się Daniel. Instynkt nakazywał uciekać. Ukryć się. Musiała użyć całych swoich pokładów odwagi i zdecydowania, by powoli podnieść się z klęczek. Powtarzała sobie, że skoro już ma walczyć z mrocznym magiem, to dobrze jest mieć Jeremiasza po swojej stronie.

– Nie wyskakuj z kręgu, póki nie powiem – nakazała. Ręce się jej trzęsły, ale skończyła tkać klątwę i zabrała się do tworzenia następnej, najbardziej niebezpiecznej, jaką znała. Żałowała, że potrafi utrzymać tylko dwa nieaktywne przekleństwa naraz. – Jeśli… jeśli przełamie runy… to ty atakujesz, a ja próbuję odbijać jego klątwy.

Czy tak się czuła Jagoda tamtego dnia w domu czarnoksiężnika? – zastanowiła się Sonia. Natychmiast uznała, że nie, niemożliwe. Jagoda pewnie nie trzęsła się jak osika. Nie ciekło jej z nosa, nie miała oczu pełnych łez. Nie bała się. Na pewno nie. Przecież mogła uciec, ale nie uciekła. Zawicka nie potrafiła uwierzyć, że jej nauczycielka mogłaby się czegoś bać.

Jestem tchórzem, pomyślała, zaciskając powieki, gdy w przedpokoju rozległ się huk. Trzynaście minut. Od chwili, gdy dodzwoniła się do Caleba, minęło trzynaście minut. Dziesięć od momentu, kiedy telefon odebrali Antoni i dyspozytorka w WMM. Pokonanie tych cholernych drzwi i osłony, nawet bez pierwszej bariery, powinno zająć Potockiemu więcej czasu. Jagoda wspominała kiedyś, że znał się trochę na magii bojowej, ale był przecież przede wszystkim specjalistą od klątw!

– Nie atakuj od razu – powiedziała, a raczej spróbowała powiedzieć. Jej głos zabrzmiał tak słabo, że nie była pewna, czy Jeremiasz ją usłyszał.

Drzwi od salonu ustąpiły już po pierwszym zaklęciu. Sonia uniosła ręce, wypuszczając obie przygotowane klątwy, a potem niemal natychmiast kolejną, prościutką, utkaną na szybko. Zdołała przyhamować tym mężczyznę, który stanął na progu, na jakieś sześćdziesiąt sekund: odbił je wszystkie niemal bez wysiłku.

Adrian Potocki nie wyglądał już jak tamtego wieczora, kiedy pojawił się tutaj z Mariuszem Olchą. Był bledszy. Wychudł: przybrudzony płaszcz wisiał na nim jak na strachu na wróble. Musiał zostać ranny w walce z WMM, bo poszarpane ubranie pokrywała zaschnięta krew, w jednym miejscu widniał ślad po nadpaleniu. Oczy miał zapadnięte, otoczone ciemną obwódką, jakie w serialach często miewali narkomani. Nawet gdyby jego tęczówki zachowały normalną barwę, byłoby widać, że coś jest z nim nie tak, ale to one sprawiały najbardziej upiorne wrażenie. Musiał chować je za okularami, kiedy łowił pierwsze ofiary: białka, tęczówki, źrenice zlewały się w jedno.

Zrobił krok i zatrzymał się, spoglądając na wysypane na podłodze zioła. Sonia przez ułamek sekundy sądziła, że odniosła sukces, ale Potocki machnął ręką i… usypana z nich linia wybuchła płomieniem, a Adrian po prostu nad nim przestąpił. Być może ta magia mogłaby go powstrzymać na dłużej, ale Zawicka nie potrafiła jej użyć poprawnie. Zyskała zaledwie odrobinę czasu.

Intruz uniósł rękę i pierwszy czar rozbił się o granicę wytyczoną przez runy. Kolejne zaklęcie było silniejsze: bariera jeszcze wytrzymała, ale część czaru zrykoszetowała i rozwaliła biurko oraz fotel. Sonia próbowała utkać klątwę, lecz drżące palce nie ułożyły się w gesty poprawnie i nic z tego nie wyszło. Jeremiasz warczał, sierść na jego karku się zjeżyła. Następne czary Adriana sprawiły, że znaki rozbłysły mocniej, by po chwili stracić kolor, a regał z książkami runął z hukiem na podłogę.

Krąg przestał ich chronić.

Nie była pewna, ile czasu zyskali, ale na pewno nie więcej niż pięć minut.

– Ruszaj!!! – krzyknęła Sonia.

Jeremiasz skoczył, ona zaś jednocześnie wypuściła następne proste przekleństwo. Adrian osłonił się czarem i chłopaka odrzuciło, z łatwością odbił też klątwę. Spanikowana Zawicka cofnęła się w stronę balkonu, zdecydowana, że prędzej spróbuje skoczyć, niż pozwoli, by on… to coś… położyło na niej ręce… jednak Jeremiasz dźwignął się i ponowił atak.

Dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie. Potocki użył jakiejś klątwy – Sonia wyczuła tylko energię, ale nie zdołała rozpoznać czaru – i Jeremiasz ze skowytem ponownie padł na ziemię. Magia

rozbłysła jednak też za plecami napastnika. Adrian obrócił się gwałtownie, w ostatniej chwili osłaniając przed rzuconym zaklęciem. Sonia wypadła na balkon i zwinęła w kłębek przy ścianie, by ukryć się przed kolejnymi czarami. Wyczuwała ich aurę. Słyszała huki. W pewnym momencie okno się rozprysnęło i wprost na plecy dziewczyny spadły odłamki szkła i plastiku. Jej ciałem wstrząsały łkania, mimo to zabrała się do splatania klątwy… myślała o tym, że była tchórzem, strasznym tchórzem, który ucieka przed walką, ale mogła przynajmniej jeszcze spróbować…

Krzyknęła, kiedy Potocki wybiegł na balkon, i cisnęła w niego tkanym przekleństwem. Tym razem chyba go nie odbił, ale mimo to wyskoczył przez barierkę. Sonia poderwała się i spojrzała w dół, tylko po to, by zobaczyć, jak Adrian podrywa się i rusza biegiem…

– Ale… ale… – wymamrotała oszołomiona. To było wysokie drugie piętro, do cholery! Owszem, dało się przeżyć taki upadek, jednak żaden człowiek nie dałby po nim rady wystartować biegiem!

Tyle że Adrian nie wyglądał już jak zwykły człowiek.

– Nic ci nie jest? – dobiegł z mieszkania głos Caleba.

Sonia otrząsnęła się z szoku i rzuciła z powrotem do salonu, ku wciąż skomlącemu wilkołakowi.

– Spokojnie, błagam, spokojnie… Chcę pomóc! – Padła na kolana przy Jeremiaszu. Poruszał łapami w nieskoordynowany sposób, co utrudniało dotknięcie go. Sonia czuła aurę ciążącej na nim klątwy, ale by podjąć próbę jej zdjęcia, musiała najpierw zbadać splot.

– Pomogę. Mayu, sparaliżuj go.

Caleb przykląkł z drugiej strony. Po jego twarzy ściekała krew. Sonia uniosła głowę, spoglądając przez łzy na ową Mayę, która okazała się niską Azjatką. Nie byli sami: Maeve przebiegła przez pokój i wyglądała teraz przez balkon, przeklinając, z przedpokoju do środka zaglądał też Muchomor. Najwyraźniej nie zdążyli daleko stąd odjechać i zawrócili, gdy powiadomiła ich dyspozytorka. Uzdrowiciel zaraz się cofnął i zaczął coś komuś tłumaczyć. Ktoś jeszcze z WMM? A może wścibska sąsiadka?

Sonia odsunęła od siebie myśl o zamieszaniu, jakie wywołali, o tym, że pewnie wezwano policję, i jak mało brakowało, aby Potocki ją schwytał. Dotknęła łapy Jeremiasza, a widząc przerażone, pełne bólu spojrzenie wilczych oczu, pogłaskała go ostrożnie. I skupiła się na klątwie: bo chociaż Caleb na pewno miał więcej doświadczenia w zdejmowaniu przekleństw… to musiała przynajmniej spróbować pomóc.

ROZDZIAŁ ÓSMY

NIECHCIANI GOŚCIE

Gdy Adrian usiłował zabić Sonię, Jagoda Wilczek spała, nafaszerowana przez uzdrowicieli eliksirami wzmacniającymi i leczniczymi. Śniła o tym, że ucieka przez labirynt pełen luster. Ścigały ją demony i wilkołaki, w każdym odbiciu zamiast własnej postaci widziała prababkę, a po korytarzach niósł się echem śmiech Izabeli. Obudziła się koło piątej nad ranem z bólem głowy, bardziej roztrzęsiona, niż chciałaby przyznać nawet sama przed sobą. A wtedy Krystian Wiśniewski, postawiony na straży przed szpitalną izolatką, opowiedział jej, co się stało.

Skoro świt Jagoda, wypisana na własne życzenie, opuściła Batorego… a tuż za jej autem podążał samochód WMM. Prosto ze szpitala udała się do domu Wilczków. Nie miała szans wrócić do siebie. Jej mieszkanie zostało zdemolowane. Sąsiedzi byli przekonani, że cicha, piegowata dziewczyna z drugiego piętra podpadła mafii. Czarnoksiężnik mający konszachty z demonami wciąż kręcił się po mieście.

Co gorsza, opowieść Krystiana zrodziła w Jagodzie paskudne podejrzenia co do tego, dlaczego Adrian wybrał właśnie Sonię. Tyle dobrego, że dziewczyna w tej chwili była bezpieczna w domu Wilczków, świeżo przewieziona tam – według Wiśniewskiego – na własne wyraźne życzenie po przesłuchaniu.

– Dzień dobry, panienko – powitał wiedźmę Tadeusz, ledwo przekroczyła próg domu. Stary służący musiał ją wyczuć, bo czekał tuż za drzwiami, by odebrać jej płaszcz. – Zaraz powiem Ilonie, żeby przygotowała jajka na bekonie. A może woli panienka tosty?

– Dziękuję, ale nie zostanę na śniadanie.

– Jak to? – Potępiający wzrok Tadeusza sprawił, że poczuła się jak mała dziewczynka grymasząca, że nie będzie jeść marchewki. – To najważniejszy posiłek dnia. Jestem pewny, że w szpitalu nie karmili panienki należycie.

– Obiecuję, że zjem porządny obiad – przyrzekła solennie. Nie wątpiła, że ubożę z wiedźmiego domu już o to zadba. Ono i Tadeusz bardzo różnili się wyglądem i zachowaniem, ale mieli podobne podejście do posiłków. – Z dwóch dań i z warzywami. Ale wpadłam tylko na chwilę, WMM na mnie czeka. Gdzie Sonia i ten chłopiec, który z nią był? Babka? Lilka?

– W jadalni. Jedzą śniadanie – oświadczył Tadeusz, podkreślając ostatnie dwa słowa, a w jego głosie wciąż pobrzmiewała nagana. – Pani Joanna jest w swoim gabinecie. Panicz Sebastian i panienka Liliana wyszli już do pracy.

– Cieszmy się z małych rzeczy – mruknęła Jagoda. Siostra poprzedniego dnia wpadła do niej do szpitala i wiedźma miała niejasne wrażenie, że gdyby nie obecność uzdrowiciela, mogłaby zostać uduszona poduszką. Bura od Liliany była straszna, ale to, że siostra usiadła potem obok i po prostu płakała, było jeszcze straszniejsze. – Pewnie nie ma szans, żebyś nie mówił babce, że przyszłam? Och, nie patrz tak na mnie, zapomnij, że pytałam…

Pokręciła tylko głową i przemknęła obok Tadeusza, kierując się do jadalni. W progu zamarła, bo przy jasnym, okrągłym stole, siedzieli nie tylko Sonia i Jeremiasz, lecz także Caleb Blythe.

Krystian wspomniał, że ten pomógł Zawickiej, ale Jagoda nie spodziewała się go w rezydencji Wilczków.

– Jaga!

Sonia poderwała się i rzuciła ją uściskać. Jagoda poklepała ją po ramieniu, czując się trochę niezręcznie z powodu zachowania Zawickiej. Ponad ramieniem uczennicy wodziła spojrzeniem po chłopcu i mężczyźnie. Jeremiasz wyprostował się i śledził ją wzrokiem pełnym obawy, Caleb zaś obdarzył wiedźmę uśmiechem, ale nie odezwał się i nie przerwał jedzenia.

– Cała i zdrowa?

– Jasne. Dzięki Jeremiaszowi i Calowi – zapewniła Sonia. – Co teraz? Zostajemy tutaj? Tylko nie mów, że mam wracać do domu! Bo nie wrócę. *No fucking way*.

– Za żadne skarby – odparła Jagoda. Zawiccy i ich ochrona nie zdołaliby zapewnić Soni bezpieczeństwa. Nie przed takim przeciwnikiem. – Mario i Wiśniewski odwożą nas do mojej enklawy. Tam Adrian się nie dostanie.

– O? Nie zostajemy tutaj?

– Nie. Muszę sprawdzić parę rzeczy w bibliotece. – Poza tym nie chciała narażać rodziny, ale wolała nie straszyć dziewczyny po tym, co ta przeszła poprzedniego wieczora. – Zabrałaś jakieś rzeczy?

Jeśli tak, leć się spakować. Jeżeli nie, niech Tadeusz zaprowadzi cię do mojego starego pokoju, zostało tam parę ubrań.

– Zgarnęłam trochę do torby. A… – Sonia zawahała się, obracając ku Jeremiaszowi. – Em, Jerek chciał cię spytać o zmiennokształtnych, ale… wiesz… nie jestem tak całkiem pewna, czy Adrianowi chodziło o mnie, czy o niego… Maeve mówiła, że dadzą mu ochronę, ale przekonałam go, żeby został ze mną… po tym, co się stało z tobą…

Jagoda wahała się tylko przez mgnienie oka. Z WMM była w tej chwili skłonna zaufać jedynie Mariuszowi, być może też Muchomorowi, Wiśniewskiemu i Maeve. Jeżeli chłopak dalej był potencjalną ofiarą i nie miał dokąd pójść… Cholera wie, czy Tomasz osobiście nie dostarczyłby go Potockiemu przewiązanego wstążeczką.

– Wybierasz się z nami do domu wiedźmy? – spytała. – Ostrzegam, mówiąc dom wiedźmy, naprawdę mam na myśli dom wiedźmy. W lesie. W miniaturowej enklawie. Możemy tam porozmawiać o stadzie. Tam powinieneś być bezpieczny, a Sonia pewnie będzie się czuła lepiej w twoim towarzystwie.

– Co? – spytał chłopak, wyraźnie skołowany.

– Może pójdziesz po swoje rzeczy i wyjaśnisz mu, o czym mówię? – poprosiła Jagoda Sonię. – Na decyzję macie pięć minut. Mariusz Olcha czeka na zewnątrz. Naprawdę muszę jak najprędzej sprawdzić parę rzeczy w księgach, a on się spieszy, więc zaraz się zbieramy.

– O! – Sonia się rozpromieniła. W innych okolicznościach może dąsałaby się, że nauczycielka ją odsyła, by porozmawiać z Blythe'em, jednak wspomnienie o Olsze wystarczyło, aby nawet o tym nie pomyślała. Dopadła do stołu, jedną dłonią chwyciła kanapkę, drugą rękę Jeremiasza, a potem pociągnęła go do wyjścia.

Caleb odezwał się dopiero, gdy wyszli.

– Macie świetną kucharkę – pochwalił, przełykając ostatni kęs. – Doszłaś do siebie? Przyjęłaś bardzo paskudną dawkę czarnej magii.

– Nic mi nie jest. Nie spodziewałam się ciebie tutaj.

– Musiałem złożyć zeznania WMM, a potem twoja mała nie chciała wsiąść sama do jednego auta z nikim od nich, więc się z nią zabrałem. Chyba nie dowierza WMM – wyjaśnił. Odchylił się na krześle, niby to w swobodnej pozie, lecz w jego wzroku czaiła się czujność. – Czy to nie zabawne? Dzieciak bardziej ufa Uczniowi Czarnoksiężnika niż funkcjonariuszom. W każdym razie zadzwoniłaś akurat, gdy dotarliśmy, więc pomyślałem, że poczekam. To problem?

Po chwili wahania podeszła bliżej i usiadła na miejscu zwolnionym przez Sonię.

– Nie. Dziękuję, że jej pomogłeś.

Czuła się niezręcznie, wypowiadając te słowa, ale Calebowi należało się podziękowanie. Gdyby nie zadział szybko, Sonia mogłaby zginąć. Sama myśl o tym była na tyle straszna, że Jagoda uparcie ją od siebie odpychała.

Tak niewiele brakowało. Znowu.

– Nie ma sprawy. Nawet lubię tę małą – odparł. – Tak na wszelki wypadek zastrzegam, że to znaczy, że mnie bawi, a nie że chcę ją porwać, zgwałcić i trzymać pół roku w piwnicy.

– Nawet o tym nie pomyślałam – westchnęła Jagoda. Może sobie na to zasłużyła: był moment, gdy właśnie o coś takiego go podejrzewała. Na swoje usprawiedliwienie miała, że okoliczności nie sprzyjały zaufaniu i sam to zasugerował. – Nie wiem o Adrianie więcej, niż ci powiedziałam. Mam pewną teorię, ale muszę sprawdzić jedną z ksiąg… w domu prababki.

– Domu ze złych baśni – uzupełnił Caleb. – Może nie chcę informacji, tylko sprawdzam, czy jeszcze żyjesz?

Wzruszyła ramionami. Ludzie zwykle szukali jej towarzystwa, kiedy czegoś od niej chcieli. Wyjątki od tej zasady mogła policzyć na palcach jednej ręki i dwa nosiły to samo nazwisko, co ona. A wiedziała, że Caleba interesowały podziemia i Adrian.

– Może. W każdym razie nie mam żadnych przydatnych informacji, a teraz muszę się zbierać. Może Mario powie mi jeszcze coś na miejscu, ale specjalnie bym na to nie liczyła.

– Jeśli się spieszycie, chętnie pojadę z wami i dowiem się, co pan Olcha ma do powiedzenia.

Poza tym obiecałem ci opowiedzieć o podziemiach.

Nic nie mogła poradzić na ukłucie podejrzliwości. Caleb nienawidził domu swojej mistrzyni. Postanowiła jednak nie pytać, dlaczego mu na tym zależało: teraz naprawdę nie miała na to czasu, a jeżeli Uczeń Czarnoksiężnika czegoś od niej chciał, powie to prędzej czy później.

– Jesteś pewny, że chcesz tam jechać?

– Uznajmy, że przezwyciężyłem młodzieńczą traumę. Chyba nie planujesz zamknąć mnie w wieży?

Mówił żartobliwym tonem, ale ona była zbyt zmęczona na żarty i już zbyt wiele razy porównywano ją do Joanny Wilczek. Wspomnienie snu, twarzy prababki migającej w odbiciach, pozostawało w pamięci Jagody zbyt wyraźne i wydawało jej się, że to kolejny przytyk. Jesteś taka jak ona?

– To zwykle robią czarnoksiężnicy księżniczkom. I nie, Caleb. Wbrew temu, co ciągle powtarzasz, naprawdę nie przypominam mojej prababki.

W pierwszej chwili zdawał się zaskoczony, w drugiej spoważniał. Być może słowa miały być tylko żartem i nawet nie pomyślał, jak Jagoda je zinterpretuje. Usiadł prosto i przypatrywał się jej przez chwilę, zanim się odezwał.

– Przypominasz. Masz jej oczy, jej spojrzenie, jej gesty, jej miny, jej ton. Jesteś równie uparta. Czasem nawet mówisz podobne rzeczy. Kiedy na początku leżałem u ciebie w gorączce, przez chwilę zdawało mi się, że siedzi przy mnie Joanna.

Powoli odliczyła do dziesięciu, żeby się uspokoić. Słowa Caleba nie wywoływały w niej złości – raczej gorycz. Pamiętała, że gdy opatrzyła mu rany i majaczył, trudno było jej go uspokoić. Może właśnie dlatego, że brał ją za Joannę Wilczek. Ba, możliwe, że po części dlatego tak niewiele jej powiedział. Widział w niej odbicie znienawidzonej nauczycielki. Mrocznej wiedźmy. Kobiety, która musiała poświęcić w życiu tak wiele, że wreszcie zostały w niej tylko żal i upór twardy jak stal.

Nie jestem moją prababką, pomyślała, ale nie wyraziła tego na głos. Nie chciała wciąż powtarzać tego zdania, udowadniać na każdym kroku ani jemu, ani przede wszystkim sobie. A już na pewno nie chciała się zastanawiać, czy może jest w tym trochę prawdy i czy nie czeka jej podobny los, jaki spotkał starszą Joannę Wilczek.

– Zbierajmy się – stwierdziła sucho i się podniosła.

Caleb też wstał i zastąpił jej drogę.

– Hej – mruknął, pochylając się, by spojrzeć jej w twarz, gdy odwróciła wzrok. – Tylko pod tym względem, Jaga. Nie powinienem żartować o tej wieży. Obracałem to w żart… bo tak mi łatwiej, nie po to, żeby cię do niej porównywać. Nie robię już tego, myliłem się, gdy to robiłem, i powinniśmy sobie parę rzeczy wyjaśnić. Wiem, że nie zamykasz w klatkach dzieci. Ani nikogo innego. Dość szybko zdążyłem się zorientować, że zachowujesz się inaczej niż ona.

– Pewnie w momencie, gdy groziłam ci nożem? – wymamrotała. Dopiero gdy słowa przebrzmiały, pomyślała, że postąpiła trochę jak on: trudny dla siebie temat próbowała obrócić w nieudolny żart.

– Nie, kiedy wspomniałaś o dość morderczych dla mnie królikach – stwierdził, na ustach zaigrał mu uśmiech, świadczący o tym, że nie mówi w pełni poważnie. Cofnął się, może dlatego, że na schodach dało się słyszeć kroki. – Upewniłem się, gdy oznajmiłaś, że w twoim życiu brakuje tylko wilkołaka. Swoją drogą, jednego chyba właśnie znalazłaś.

Spojrzał ku wejściu: w drzwiach stanęli Sonia i Jeremiasz, ta pierwsza z torbą w ręku, ten drugi z plecakiem przewieszonym przez ramię.

– Jesteśmy gotowi, ale pani Joanna chce z tobą porozmawiać – rzuciła Zawicka, a Jagoda westchnęła.

– Spróbuję ją szybko spławić i lecimy.

***

– Wciąż uważam, że powinniście zatrzymać się w bezpiecznym domu WMM.

– Żeby ktoś podał mi tam ukradkiem truciznę? Nie rozśmieszaj mnie, Mario. Poza tym to

naprawdę najbezpieczniejsza kryjówka, jaką moglibyśmy sobie wymarzyć.

Jagoda spoglądała przez okno salonu na ogród enklawy prababki. Zdawało się, że wszystko w nim zamarło, jakby w oczekiwaniu na burzę. Wyczuwało się ją w powietrzu, dostrzegało w barwie chmur spowijających niebo.

Cisza przed burzą.

Siedzieli w salonie we troje: ona, Caleb Blythe i Mariusz Olcha. Komendant WMM starał się maskować zainteresowanie domem czarnoksiężnika, ale kiepsko mu to wychodziło. Kiedy tylko wydawało się mu, że nikt na niego nie patrzy, rozglądał się po kątach.

Była w tym swego rodzaju ironia losu. Oto przebywała w domu swojej prababki w towarzystwie, jakiego nigdy by się nie spodziewała. W salonie siedzieli komendant WMM i Uczeń Czarnoksiężnika. W pokojach gościnnych rzeczy rozpakowywali siostra jej byłego narzeczonego, nastoletni wilkołak i młody mag bojowy, który nie tak dawno temu próbował ją zabić.

Moje życie obrało dziwny kierunek, pomyślała Jagoda i odwróciła się od okna, by spojrzeć na mężczyzn. Obaj usiedli możliwie jak najdalej od siebie: jeden w fotelu ustawionym przy staroświeckim kominku, drugi na kanapie. Mario trzymał na kolanach księgę, którą przed chwilą Jagoda przyniosła z biblioteki.

– O ile Adrian nie dopadnie was zaraz za jej progiem – ostrzegł Caleb.

Jagoda westchnęła. To nie tak, że nie brała tego pod uwagę. Kiedyś, przed wieloma laty, dokładnie w ten sposób zginął poprzedni właściciel tego domu. Opuścił go w księżycową noc, nieświadomy, że w Bromierzyku czeka na niego pułapka wiedźmy. Wilczkówna nie ufała jednak WMM na tyle, by zdać się na nich: nie po tym, jak prawie umarła w ich celi. Propozycji Blythe'a, by ona i Sonia ukryły się u niego, nie przyjęłaby za żadne skarby świata. Babka chciała, aby wnuczka wróciła do rezydencji Wilczków i zabrała ze sobą uczennicę, ale Jagoda po chwili wahania odrzuciła tę propozycję. Dom był doskonale chroniony, ale możliwości Adriana daleko przekraczały to, co powinno znajdować się w zasięgu jednego maga. Jeżeli Potocki byłby zdeterminowany, aby dorwać Sonię lub Jagodę, to przebywając tam, naraziłaby Lilianę i Sebastiana.

Do enklawy zaś nie mógł dostać się nikt, kto nie dostał zaproszenia. Jagoda nie miała pojęcia, czy w ogóle istnieje sposób, by przełamać te zabezpieczenia z zewnątrz. Adrian, ze wsparciem demonów czy bez niego, nie miał szans się tutaj dostać.

– Dlatego Sonia i Jeremiasz nie opuszczą domu.

– A ty? – spytał Mario ostrym tonem. – Chyba nie uważasz, że dasz sobie radę z Adrianem?

– Naprawdę wyglądam na aż taką idiotkę? Nie zamierzam z nim walczyć. Pogonił kota kilkunastu funkcjonariuszom.

– Tylko dlatego, że miał już gotową potężną klątwę. Z demoniczną energią i złożoną ofiarą – zastrzegł Olcha szybko. – Już mieliśmy go dorwać, kiedy puścił ją w nas…

Caleb się roześmiał, a Mariusz rzucił mu kose spojrzenie.

– Masz coś do powiedzenia? – syknął Olcha.

– Tylko tyle, że na pewno byście go nie dorwali.

– Tobie poszło niby lepiej?

– Przede mną uciekł.

– Nie byłeś sam, a on odniósł rany w walce z nami! Jest w złym stanie…

– Możecie przestać? – spytała Jagoda. – Zachowujecie się jak dzieci.

Rzucili jej zadziwiająco podobne, pełne urazy spojrzenia.

– Tutaj się nie dostanie. A nawet jeśli, dom ma mechanizmy obronne, mam tutaj oprócz siebie drugą wiedźmę klątw, młodego wilkołaka i niańkę od ciebie, Mario. Której, nawiasem mówiąc, nie potrzebujemy. Ten chłopak ma jakieś dziewiętnaście lat, na litość boską. Odsyłasz do pilnowania mnie dziecko.

Troje dzieciaków. Miała pod opieką trójkę niemal dzieci. Nie była pewna, czy bardziej przeraża ją wizja starcia z Adrianem, czy świadomość, że odpowiada za życie trzech osób, z których żadna nie skończyła dwudziestego pierwszego roku życia.

– Jest pełnoletni, a przy okazji jest też najsilniejszym magiem bojowym poza mną w WMM.

– Dlatego bardziej przyda się wam w mieście – odparła.

– Nie, jeśli twoja teoria i te zapiski są prawdziwe – oświadczył Olcha, unosząc księgę w górę.

Jagoda ścisnęła nasadę nosa i przymknęła oczy.

– Mogę się mylić – mruknęła, chociaż w tym przypadku, niestety, raczej miała rację. Cała jej wiedza i informacje wygrzebane w księgozbiorze gromadzonym przez prababkę i wcześniej czarnoksiężnika prowadziły do jednego wniosku.

Wszystko wskazywało na to, że pierwotnie Adrian do rzucenia swojej klątwy potrzebował ofiar dysponujących silnym potencjałem magicznym. Złożonych w konkretnych miejscach, w konkretnym czasie. Nie próbował utkać prostego przekleństwa, lecz stworzyć jedną ze złożonych klątw wymagających określonych warunków. Nie zdołał spełnić ich wszystkich, gdyż mu przeszkodzono. Złożenie jednej z ofiar się opóźniło. To osłabiało strukturę czaru.

Adrian mógł jednak wzmocnić klątwę, staranniej wybierając jej ofiary. Na przykład tych, którzy sami potrafili tkać przekleństwa.

– Jeżeli się nie mylisz, nasz priorytet to nie tylko zapobieżenie złożeniu kolejnych ofiar, ale też dopilnowanie bezpieczeństwa specjalistów od klątw. W tej chwili na czele listy jesteście ty i Sonia Zawicka.

– Uzdrowiciel z Batorego?

– To nie jego główna dziedzina i raczej nie nada się na ofiarę, ale na wszelki wypadek dostanie całodobową ochronę. A Maeve zamieszka w siedzibie WMM, podobnie jak specjalista, którego ściągnąłem z Krakowa. W mieście nieźle z tą magią radzą sobie jeszcze kuzynka Adriana, którą już wywieźliśmy…

– …i Antoni – powiedziała cicho, a coś skręciło się w jej żołądku. Jakiś cichy głosik wciąż szeptał w głowie Jagody, że to on będzie następny. I nic nie mogła na to poradzić. Antoni ponownie próbował przekonać Sonię, by wróciła do domu. O tym, że sam powinien się ukryć, nie chciał nawet słyszeć.

– …który odmówił przyjęcia naszej pomocy, ale i tak jest obserwowany – dokończył Mario, po czym podniósł się z kanapy. Jego słowa wcale jej nie pocieszyły. Nie, gdy sam wcześniej kazał jej odmówić współpracy z WMM. – Muszę wracać do Warszawy. Jagoda, nie waż się działać na własną rękę.

– Nie planuję.

– A potem i tak to zrobisz. Jeśli… będziemy cię potrzebować…

– Odezwij się przez lustro, przyślij kogoś albo otwórzcie portal.

– Nie chcę o to prosić, ale sytuacja jest okropna – przyznał szczerze Olcha.

– Warszawa to mój dom. Nie musisz prosić.

– Tym razem będziemy lepiej przygotowani i zorganizowani – stwierdził Mario i, o dziwo, Jagoda nawet mu uwierzyła. A może tylko bardzo chciała uwierzyć. – Ściągnęliśmy posiłki z całej Polski, monitorujemy teren. Nie przeciśnie się. Odezwę się przed akcją. Pilnuj lustra, skoro w tym… miejscu nie działają telefony.

– Będę czekała.

Adrian prawdopodobnie będzie chciał złożyć drugą ofiarę, zamiast Anny Radeckiej. Mogło się mu to nawet udać: kto wie, czy nie zrobił tego już tej nocy lub nie spróbuje następnej, korzystając z osłabienia WMM. Ale jeśli zabił kogoś poza Anną, brakowało jeszcze jednej ofiary. Znali porę, znali potencjalną lokalizację, tym razem akcją miał dowodzić Mariusz, nie Tomasz. Na miejscu nie będzie magów wyciągniętych z innych wydziałów, często bez jakiegokolwiek doświadczenia polowego.

Za to będą tam mieli specjalistę od klątw z Krakowa oraz ją.

– A ty? – spytał Mario, oglądając się na Caleba.

Ten wygodniej rozsiadł się w fotelu i założył nogę na nogę.

– A ja tu jeszcze chwilę posiedzę.

Olcha wyglądał tak, jakby zastanawiał się, czy jednak nie powinien zostać. Jagoda ruszyła więc ku drzwiom wejściowym, jasno sygnalizując, że czas, aby się zebrał. Pod wejściem do enklawy wciąż

czekało dwóch funkcjonariuszy, a ona miała do pogadania z Uczniem Czarnoksiężnika. Przez uchylone drzwi patrzyła, jak Mario odchodzi ścieżką między bezlistnymi krzewami.

– Domowiku? – szepnęła, gdy Olcha znikł jej z oczu.

Ubożę wychynęło z ciemnego kąta sieni. Niewielki człowieczek, sięgający Jagodzie ledwo do kolan, o kudłatych włosach i pokaźnej brodzie, pośród której ginęły rysy twarzy. Widać było tylko jego ciemne, okrągłe oczy.

– Co chciała?

– Co robi trójka na górze?

– Jeden przez okno patrzy. A dwójka razem w pokoju siedzi i gada. Ta młoda co rusz po łóżku skacze – oświadczyło ubożę z oburzeniem. – Wy tak na długo?

– Nie wiem. Na pewno na parę dni – odparła. Ubożę pokiwało głową. Nie umiała rozszyfrować, czy oznaczało to aprobatę, czy ubolewanie z powodu ich wizyty. – Pilnuj, żeby nikt z nich nie wszedł do wieży, mojego pokoju albo biblioteki Joanny, ale się nie pokazuj.

– A to da się zrobić.

– Nikt nie wejdzie do enklawy bez zaproszenia?

– No pewno, że nikt – obruszyło się, jakby obrażone samą sugestią, choć Jagoda uważała, że ma pełne prawo zadawać takie pytania. W końcu kiedyś wpuściło tutaj szaloną czarodziejkę. Jagoda musiała jednak przyznać, że sytuacja była inna, a czarodziejka dysponowała zaproszeniem poprzedniej pani domu.

– Dobrze. Jeśli ktoś próbowałby się tu dostać, ostrzeż mnie. Przyjdę później do ciebie do kuchni. Przywiozłam mleko – powiedziała cicho, po czym skierowała się z powrotem do salonu.

Caleb wciąż siedział w fotelu, chociaż nie wyglądał już ani na zrelaksowanego, ani na zadowolonego z siebie. Raczej na zmęczonego. Odrzucił maskę, którą przybrał na użytek Olchy? A może przybrał nową, specjalnie dla Jagody? Nie była pewna i drażniło ją to.

– Pewnie masz pytania – stwierdził na jej widok.

– Pewnie chcesz udzielić kilku odpowiedzi, skoro jeszcze tu jesteś. Ewentualnie czegoś potrzebujesz – odparła, przechodząc przez pokój, by stanąć obok kominka. Sądziła, że zdążyła trochę poznać Blythe'a. A z tego, co wiedziała, wynikało, że gdyby nie chciał rozmawiać i nie miał w tej rozmowie żadnego interesu, już ulotniłby się jak kamfora.

– Zamierzasz pytać?

– Tak. Zacznijmy od tego: czego potrzebujesz?

– Co za podejrzliwość – stwierdził tonem urażonej niewinności. – I to po tym, jak uratowałem twoją małą uczennicę.

– Jestem ci za to wdzięczna. Tak samo jak za to, że pojawiłeś się w Batorym. Dziękuję jeszcze raz. Za Sonię i za siebie. Ale w tej chwili nie jesteś tutaj dla niej czy dla mnie. Chodzi o podziemia, prawda?

Wszystko w jakiś sposób zaczynało się od nich i na nich kończyło. Adrian, Caleb i Potocki musieli wiedzieć, a przynajmniej sądzili, że wiedzą, co się tam znajduje. I z jakichś powodów jeden z nich tkał klątwę, której centralnym punktem miały się stać podziemia, pozostała dwójka zaś wciąż krążyła w pobliżu… może by mu przeszkodzić.

A może wręcz przeciwnie.

– Co tam jest? Co chcecie stamtąd zabrać? – spytała, opierając się ramieniem o kamienny gzyms kominka. – Jakie skarby wystarczą, by skusić Ucznia Czarnoksiężnika?

– Nie chodzi o skarby, Belladona.

– Zależy od definicji skarbu. Caleb, o co w tym wszystkim chodzi?

Mierzyli się spojrzeniami. Jagoda była niemal pewna, że Blythe ustąpi. Nie dlatego, że zdołała go przekonać. Sądziła, że chciał jej powiedzieć. Dlatego tu był.

A to oznaczało, że prawdopodobnie do czegoś jej potrzebował.

– Ile wiesz o historii enklawy?

– Główny plac jest miejscem, gdzie istniała kiedyś pierwsza, jeszcze słabo zabezpieczona enklawa – wyrecytowała Jagoda. Po tym, co powiedział jej Blythe, zaczęła grzebać w źródłach. –

Przyjmuje się, że gród magów istniał, zanim powstała Warszawa… ale został zniszczony. Przypuszczalnie w wyniku walk wewnętrznych. Tradycyjna historia, trzech braci walczy o schedę po ojcu, panu grodu. Według niektórych legend tak naprawdę chodziło o moc pozostawioną przez jego żonę, syrenę Sawę, którą mógł odziedziczyć tylko jeden z nich. Dużo później, gdy już istniała Warszawa, rodząca się społeczność magów wykorzystała pozostałości po tamtym schronieniu, żeby stworzyć zaczątki tego, co teraz jest enklawą.

– Rzeczywiście, nie wiemy, co stało się w grodzie. Odpowiedź prawdopodobnie leży w tych podziemiach – stwierdził Caleb. Splótł ręce na kolanach i zadarł głowę, obserwując Jagodę uważnie, jakby chciał zobaczyć, jakie wrażenie wywrą na niej te słowa. – Pewne przesłanki wskazują jednak, że faktycznie o władzę walczyło kilka osób, a jeden z pretendentów zesłał na gród demony. Przy okazji został opętany.

– To one są pod enklawą? – strzeliła. Sam Blythe mówił, że Adrian prawdopodobnie został opętany.

– I tak, i nie. Wiele wskazuje na to, że ostatecznie mieszkańcy grodu zdołali zamknąć w podziemiach opętanego brata. Zabezpieczyli lochy zaklęciami i zapieczętowali korytarze. Osobiście uważam, że przy tym zginęli, ale to tylko moje przeczucie. Podejrzewam, że po takim czasie ciało opętanego przestało istnieć, a demon tkwi tam, w częściowo materialnej formie. Bariery go zatrzymują. Magia pęta. Ale jeżeli wyjdzie… Cóż. Spodziewałbym się małej katastrofy.

Pod Warszawą, a konkretnie pod stołeczną enklawą, ciągnęły się więc tunele pełne magii i demonów. Cudownie. Wciąż jednak nie rozumiała, dlaczego komuś – może poza demonem, który najwyraźniej sterował Adrianem – zależało na tym, by do nich wejść.

– A gdzie są pieniądze?

Caleb się uśmiechnął.

– Nie pieniądze. Ale blisko: moc. Miejsce zapieczętowania jest jeszcze starsze. Kiedy badano te podziemia, nie natrafiono na żadną wzmiankę o demonach, za to sporo wskazujących na to, że jaskinie były miejscem kultu… lub jakąś świętością. Nie bez powodu to tutaj powstał magiczny gród. Ma być tam podziemne jezioro, zaklęte przez Sawę. Zawierające sekret nieśmiertelności syren… strzeżone przez bazyliszka, nawiasem mówiąc.

– Co za bzdura – wycedziła.

Starała się nie pokazać po sobie złości. A wściekłość wręcz ją zalewała. Czy to z tego powodu Czarnecki, Potocki i cała kompania starali się ukryć wiadomości o podziemiach i niemalże kryli Adriana?

– Straszna z ciebie sceptyczka – skwitował Caleb, a Jagoda uświadomiła sobie, że on wierzył w tę opowieść.

Jeśli on w nią wierzył, być może była prawdziwa.

– Ale… bazyliszek? Poważnie?

– Wątpię – przyznał Blythe, wzruszając ramionami. – Pewnie był tam kiedyś i stąd może tutejsze legendy, ale bazyliszki żyją maksymalnie tysiąc lat, a w Europie już dawno wyginęły.

– W takim razie do czego dąży Adrian? Rzuca klątwę na osłony enklawy. Jaki to ma związek z tym jeziorkiem?

– Podziemia wciąż są zapieczętowane. WMM dostało się tylko do pierwszych komór. Być może klątwa Adriana ma zniszczyć nie wszystkie osłony, lecz ich pierwotną część, spowijającą plac… i to, co znajduje się pod nim. Przyszło mi do głowy, kiedy wspomniałaś, że klątwa dotyczy osłon, a miejsca zbrodni układają się w krąg. Byłem tam po naszym ostatnim spotkaniu. Zaklęcia zagradzające drogę słabną.

Otwierając dostęp do podziemi, dokończyła w myślach Jagoda.

Czy ktoś pozwalał młodemu Potockiemu działać? Czy akcja WMM została spartaczona, ponieważ nie tylko Adrian chciał się dostać do podziemi?

Starała się zachować obojętną minę, ale w jej sercu zrodziła się nowa podejrzliwość wobec Caleba. Nie był tu po to, by pozbyć się Adriana, lecz aby zejść na dół.

Może zależało mu na tym, aby Potocki zakończył to, co robił.

– A ja jestem ci potrzebna, bo…?

– Skąd wniosek, że jesteś mi do czegoś potrzebna? – spytał. Jagoda nie odpowiedziała, czekając na ciąg dalszy. – Mam zamiar tam wejść.

– Są tam klątwy? – odgadła, zaraz jednak zmarszczyła brwi, gdy dotarło do niej, kto przed nią siedzi. Caleb był nie tylko Uczniem Czarnoksiężnika, ale też adeptem Joanny Wilczek. – Radzisz sobie z nimi równie dobrze, jak ja.

– Istnieją różne klątwy. Do zdjęcia niektórych z nich… potrzeba specjalnych umiejętności.

Kształtujesz samą magię, kochanie. Głos babki rozbrzmiał w jej głowie.

– Nigdy nie natknęłam się na taką klątwę – mruknęła. Tak, spotkała przekleństwa, które były niemal nie do zdjęcia. Nawet takie, z którymi sama niekoniecznie mogłaby sobie poradzić. Przy większości z nich miała większe szanse niż niemal każdy znany jej specjalista, ale to zawsze pozostawało kwestią doświadczenia i mocy. Nie „specjalnych umiejętności".

– To może być pierwszy raz.

Jagoda wahała się tylko przez kilka sekund.

– Nie.

– Zdecydowana odpowiedź.

– Nie pomogę ci tam wejść. Na litość boską, od paru tygodni pół Warszawy próbuje powstrzymać czarnoksiężnika od dostania się do środka…

– …więc nie pomożesz w tym innemu czarnoksiężnikowi – skwitował Caleb. Nie wydawał się ani zły, ani zaskoczony. – Nie chcę uwalniać demona. Mam zamiar go zniszczyć. Jeśli zrobię to teraz, Adrian zostanie powstrzymany. W dodatku w tej chwili… walka z nim będzie najłatwiejsza. Póki demon kontroluje człowieka, zużywa na to prawdopodobnie większość mocy, a w podziemiach, wciąż spętany starą magią i mocą jeziora, jest znacznie słabszy. Kiedy Adrian tam wróci, demon stanie się bardzo, bardzo trudny do powstrzymania. Sądzisz, że kłamię?

Chciałaby mu wierzyć. Ale nawet jeśli potrafiłaby to zrobić, a brzmiał przekonująco… czuła, że nikt nie powinien wchodzić do tych podziemi. Ktoś spróbował i zakończyło się to śmiercią paru osób oraz opętaniem Adriana.

– Odpowiedź wciąż brzmi nie. Nie chodzi o moje zaufanie do ciebie albo jego brak. Wierzę, że chcesz zniszczyć tego demona, ale jeżeli Adrian próbuje otworzyć podziemia, to właśnie dlatego powinny zostać zamknięte.

Blythe wstał i podszedł do Jagody. Z trudem powstrzymała się przed cofnięciem. Nie dlatego, że stanął za blisko. Coś w jego postawie i zimnym spojrzeniu niebieskich oczu sprawiało, że pragnęła uciec. Tym razem Caleb nie żartował z niej, nie badał reakcji, nie próbował wytrącić jej z równowagi.

– Sądzę, że Adrianowi brakuje już tylko jednej ofiary. Gdy dwie trzecie składu WMM walczyło o życie, a reszta ich ratowała, miał aż za wiele czasu, by rzucić nową klątwę. Źródło wszystkich problemów leży pod enklawą i ktoś tam zejdzie… prędzej czy później. Znalazłem wejście, mamy już sposób na dostanie się do niego. Dodam, że jeżeli nie zdążę, a ten demon się uwolni, zabieram swoich ludzi i uciekam z miasta, a tobie radzę wtedy zostać w tym domu. Domyśl się dlaczego. Decyzja należy do ciebie, ale przemyśl to. Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, jak się ze mną skontaktować. Nie musisz mnie odprowadzać.

Odsunął się i ruszył do wyjścia, nie oglądając się za siebie. Jagoda opadła na fotel, który zwolnił. Objęła się ramionami: dopiero teraz uświadomiła sobie, że w domu panował chłód.

– Ogień – mruknęła, przymykając oczy, a płomienie rozbłysły w kominku. Wciąż nie pojmowała do końca, jak to wszystko działa, ale albo budynek, albo domowik odpowiadał na jej życzenia.

Drzwi trzasnęły. Jagoda poczuła ukłucie irytacji na myśl o tym, że Olcha i Blythe wracali do Warszawy, by próbować – każdy na swój sposób – uporać się z kryzysem, podczas gdy ona miała chować się tutaj. Wiedziała, że to głupie uczucie, to w końcu nie była sprawa dla niej, ale nic nie mogła na nie poradzić. Podobnie jak na wiele innych rzeczy. Na to, że jej mieszkanie wymagało generalnego remontu. Że enklawa mogła niedługo zostać zalana przez demony. Że Antoni mógł stać się kolejną ofiarą Adriana, a był zbyt uparty, zbyt dumny, aby przyjąć czyjąkolwiek pomoc: WMM, jej czy Caleba. Że Sebastian, jako zastępca prezesa WilCom, wciąż przebywał w enklawie i był narażony na

niebezpieczeństwo. Słowa Caleba, że jeśli demon się uwolni, to on ucieknie, źle wróżyły. Jeżeli mówił prawdę, wierzył, że istotę można pokonać teraz, ale nie przewidywał szybkiego sukcesu po jej uwolnieniu. Przez moment siedziała więc po prostu z nogami podciągniętymi do klatki piersiowej, czołem przyciśniętym do kolan. Pozwoliła sobie na tę chwilę zniechęcenia, strachu i smutku. Nie dano jej jednak wiele czasu na użalanie się nad sobą.

Schody zaskrzypiały, a gdy się ku nim obróciła, dostrzegła Sonię oraz chowającego się za nią Jeremiasza. Nastolatek garbił się i zachowywał w sposób typowy dla kogoś, kto chce zwracać na siebie jak najmniej uwagi. Młody zmiennokształtny. Maltretowany dzieciak. Niedoszła ofiara czarnoksiężnika.

Zabieranie go tutaj prawdopodobnie było błędem. Ale… tak po prostu wyszło. Gdy zmierzali do domu, Sonia szepnęła jej, że głupio mu było przyjąć ofertę, więc przekonała go, że będzie bezpieczniej się czuła z nim w roli ochroniarza. Najwyraźniej więc chwilowo Jagoda miała pod opieką także jego. Za jakiś czas – o ile Adrian gdzieś po drodze nie unicestwi połowy enklawy – mogła odstawić go do stada zmiennokształtnych.

– O co chodzi?

– Yyy… tak się zastanawiamy… można liczyć na jakiś obiad? To znaczy, zrobimy coś sobie! Tylko… możemy?

– Zawołajcie Krystiana i zejdźcie do jadalni. Obiad już gotowy.

– O – zdumiała się Sonia, szerzej otwierając oczy. – Przysięgłabym, że Caleb dopiero wyszedł. Kiedy zdążyłaś coś przygotować?

– To nie ja – stwierdziła Jagoda, a gdy uczennica spojrzała na nią podejrzliwie, uśmiechnęła się po raz pierwszy w tym paskudnym dniu. – Mieszkanie w prawdziwym domu wiedźmy ma swoje zalety.

Sonia przebiegła przez salon, by zajrzeć do jadalni. Zapewne na stole musiały już czekać pełne półmiski, bo odwróciła się do Jagody i Jeremiasza z rozpromienioną twarzą.

– Kurde. To lepsze niż piernikowy domek Baby Jagi!

***

Teren prywatnej enklawy otaczał wysoki mur. Jagoda próbowała kiedyś się po nim wspiąć, ciekawa, co za sobą skrywa, okazało się to jednak niemożliwe. Zdawał się rosnąć, w miarę jak go pokonywała.

Od frontu roztaczał się ogród, pełen krzewów, kwiatów, ziół i rabat z warzywami. Na tyłach ciągnął się rozległy sad, w którego sercu znajdowało się niewielkie jezioro. Jagoda dopiero w ostatnich miesiącach zaczęła dokładnie poznawać okolicę, a choć obejście całego terenu enklawy zajmowało zaledwie godzinę, za każdym razem zdawało jej się, że znajduje coś nowego.

Sam dom był duży: rozmiarami przypominał trochę rezydencję Wilczków, choć jego sylwetka bardzo różniła się od nowoczesnej willi babki. Kiedy wiedźma zobaczyła go po raz pierwszy, ściany nikły pod lodem, a całość sprawiała przykre wrażenie. Lód stopniał jednak, a budynek z czasem przestał się jej jawić jako nieprzyjazny, i to mimo całej swojej ponurej historii. Na parterze znajdowały się niewielki przedsionek, wychodzący wprost na ogromny salon, jadalnia, kuchnia, spiżarnia i łazienka. Ta ostatnia odbiegała wyglądem od reszty pomieszczeń i Jagoda podejrzewała, że musiała pojawić się tu później niż pozostałe pokoje, może za sprawą jej prababki. Na pierwszym piętrze mieściło się pięć sypialni, gabinet babki i kolejna łazienka, na drugim zaś spora sypialnia – zapewne zajmowana niegdyś przez Joannę Wilczek – z prywatną łazienką, salonik, duża biblioteka, coś, co wyglądało na pracownię alchemiczną… oraz wejście do wieży, jedynego miejsca, którego Jagoda do tej pory nie odważyła się dokładnie zwiedzić. Weszła do niej raz i opuściła ją dwie minuty później.

Tak czy inaczej, nie brakowało tu miejsca. Jakimś cudem jednak dom, dotąd przytłaczający wiedźmę swoimi rozmiarami, teraz zdawał się niemal ciasny. Wszystko za sprawą kręcących się po nim młodych ludzi.

Sonia, którą Jagoda dotąd zabrała tutaj zaledwie dwukrotnie, wszystko chciała zobaczyć. Przestrzegała wprawdzie surowego zakazu wchodzenia do wieży i do biblioteki, ale radośnie przetrząsała pozostałe pomieszczenia, przewracając je niemalże do góry nogami. Jeremiasz towarzyszył jej przy tym jak cień, poważnie traktując swoją rolę ochroniarza. Zdawało się, że ta dwójka potrafi być w kilku

miejscach naraz, a śmiech Soni co chwila rozbrzmiewał w ścianach tego domu rodem z baśni. Krystian, małomówny i ponury, początkowo unikał reszty domowników jak ognia. Wiedźma niezbyt się temu dziwiła. W tym miejscu opętany przez Izabelę najpierw prawie zabił Jagodę, potem zaś o włos sam by zginął. Stracił w dodatku palec i okaleczona ręka była wieczną pamiątką po tamtych wydarzeniach. Pierwszy dzień w rezydencji spędził w swoim pokoju, drugi – na włóczędze po okolicy. Deszcz musiał złapać go niemal na krańcach enklawy, bo wrócił mokry i zakatarzony. Jagoda posadziła go przy kominku, w kocu i z herbatą, i choć tego wieczora odezwał się do niej zaledwie trzy razy, półsłówkami, napięcie między nimi jakby zelżało. Kolejnego dnia zszedł nawet do niej, gdy siedziała w salonie, zapewne przygnany przez ciekawość: nie potrafił powstrzymać się przed pytaniami o dom i okolicę. Odpowiadała najlepiej, jak umiała, chociaż na kilka pytań odpowiedzi nie znała, a na jedno odpowiedzieć nie chciała. Choć jednak Krystian przestał unikać Jagody, wciąż trzymał się z daleka od Soni i Jeremiasza. Zawicka zdawała się trochę tym urażona, cokolwiek zaś sądził Dagmarek, nie pokazywał tego po sobie.

Do tej pory cichy i pusty dom, do którego Jagoda w pewnym momencie zaczęła przyjeżdżać, by nie tylko uczyć się z zapisków krewnej, lecz także by uciec przed światem, teraz się zmienił. Wiedźma nie była pewna, czy zmiana ta wynika tylko z rozbrzmiewających w nim głosów i dźwięków kroków. Mogłaby przysiąc, że sięga głębiej, nie potrafiła jednak wyjaśnić, na czym konkretnie miałaby polegać.

Może chodziło o to, że choć za oknami wciąż panowała jesień, trzeciego dnia stała się mniej ponura? O to, że Jagoda z każdym kolejnym dniem przyzwyczajała się do życia w tym domu – i pewnego ranka obudziła się z myślą, że mogłaby tu zostać? Mimo że był tak inny od jej warszawskiego mieszkania, mimo całej jego ponurej historii. Pewnie z czasem stęskniłaby się za miastem, ale nie była tu przecież uwięziona, jak poprzedni pan tego domu, który mógł opuszczać go tylko przez trzy noce w miesiącu. Wcześniej nie pojmowała, jak prababka mogła tu zamieszkać u schyłku swego życia. Teraz… zaczynała powoli rozumieć.

Może poczułaby się w domu ze złych baśni naprawdę dobrze, gdyby nie niepokój, który nie odstępował jej nawet na krok. Nie wiedziała, co dzieje się w Warszawie. Lustro komunikacyjne odezwało się zaledwie raz, gdy Liliana chciała ją poinformować, że wszelkie zarzuty ostatecznie oddalono. Młodsza z Wilczkówien nie miała jednak pojęcia, na jakim etapie są poszukiwania Adriana. Mogła donieść Jagodzie jedynie o tym, że wiele osób zdecydowało się na wyjazd z enklawy. Plotki o tym, że coś się działo z osłonami, zataczały szerokie kręgi, media przedstawiały różne szalone teorie, i kto mógł pozwolić sobie na to, by nie pojawić się w pracy, wyjeżdżał.

Dzień, w którym powinno dojść do złożenia ostatniej ofiary, zbliżał się nieubłaganie, a Mario wciąż milczał.

– Wydepczesz dziurę w dywanie – oświadczyła Sonia rankiem tego fatalnego dnia. Zawicka rozsiadła się wygodnie w fotelu przy kominku, z książką w ręku. Jagoda pierwszy raz od paru dni widziała ją bez Jeremiasza u boku: słońce ledwo wstało i chłopak jeszcze spał. Wiedźma miała wrażenie, że Sonia celowo zwlekła się z łóżka wcześniej niż zwykle, by na chwilę uwolnić się od towarzystwa samozwańczego ochroniarza.

– Nie rozumiem?

– Krążysz w kółko przy tym lustrze – uświadomiła ją uczennica. – Jesteś zdenerwowana. Kurde, nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek była zdenerwowana… no dobra. Poza tym dniem, kiedy omal nie pozabijaliście się z Calebem.

Wilczek przystanęła, uświadamiając sobie, że – owszem – od dobrych kilku minut zataczała w salonie niewielkie kółka. Westchnęła i opadła na kanapę. Sonia myliła się: Jagoda wielokrotnie bywała zirytowana albo zmartwiona, także już po tym, jak wzięła Zawicką na uczennicę. Ale zazwyczaj doskonale panowała nad tymi emocjami, a jeszcze lepiej radziła sobie z ich ukrywaniem.

Tym razem jednak przerastała ją świadomość, że nie ma żadnego wpływu na wydarzenia. Ostatnia ofiara powinna zginąć tej lub kolejnej nocy.

– Jeśli Mario nie odezwie się do jedenastej, wracam do Warszawy.

Coś zastukało gdzieś w kuchni, Jagoda zignorowała jednak hałas. Stary dom miał prawo wydawać takie dźwięki.

– O – mruknęła Sonia, zamykając książkę. – Powiedzieć Jeremiaszowi, żeby się pakował?

– Powiedziałam „ja”.

– Hej, też w tym siedzę. I to po same uszy!

Tak, i omal nie zostałaś złożona w ofierze, pomyślała Jagoda. Nie powiedziała tego jednak, gdyż miała nieodparte wrażenie, że Zawicka wtedy jeszcze bardziej uprze się przy swoim. Z utalentowanymi młodymi ludźmi zamieszanymi w trudne sytuacje należało postępować ostrożnie. Zbyt łatwo mogli się wplątać w coś paskudnego, jeśli uznali, że inni traktują ich jak dzieci… albo jeżeli działali na podstawie szczątkowych informacji, bo resztę ukryto, żeby ich chronić.

A przynajmniej taką lekcję Jagoda wyniosła z lektury powieści fantastycznych dla młodzieży. Nie przyznałaby się do tego głośno, ale bywały nieocenione w radzeniu sobie z uczennicą. Na pomyłkach popełnianych przez mistrzów z książek uczyła się, czego nie robić. Oczywiście, niestety, zdarzały się jej własne błędy. W każdym razie wiedziała przynajmniej, że nie powinna podążać ścieżką Dumbledore’a.

– Okej. Chcę, żebyś teraz zastanowiła się nad tym bardzo poważnie. Czy faktycznie chcesz walczyć z Adrianem Potockim, opętanym przez demona, który zabił już przynajmniej kilka osób, złożył w ofierze Annę Radecką, właściwie pokonał w pojedynku Mariusza Olchę i zdołał bez problemu uciec przed Uczniem Czarnoksiężnika?

– Yhym… – wymamrotała Sonia. Na jej twarzy pojawił się cień niepewności. – Skoro tak stawiasz sprawę… To nie. Ale nie muszę się z nim od razu pojedynkować! Przecież ty też nie zamierzasz z nim walczyć? Mogłabym się przydać do innych spraw.

– Jeśli WMM go dopadnie, na pewno dojdzie do walki i nikt nie będzie bezpieczny. W dodatku wyraźnie chciał, żebyś to ty została kolejną ofiarą. Nie powinnaś się stąd ruszać.

– Czy Mario nie mówił tego samego o tobie? – wytknęła Sonia. – Jeśli ja jestem dobrą ofiarą, to ty jesteś jeszcze lepszą! I… Co to?

W kuchni rozległ się trzask. Jeden, potem drugi. Jagoda w pierwszej chwili poderwała się, pewna, że tym razem coś się dzieje… Zaraz jednak dotarło do niej, że chyba wie, co jest źródłem hałasu.

– Zostań tu.

– Ale…

– To nic niebezpiecznego – uspokoiła ją. – To… jak sądzę, problem ze śniadaniem. Uroki domu wiedźmy. Zaraz wracam.

Przeszła przez salon do niewielkiego korytarzyka, za którym kryła się kuchnia. Pomieszczenie było nieco staroświeckie. Zamiast kuchenki stały tu dwa wielkie piece. Drewniany blat, duży kredens, niezliczone ilości półek. Z belek pod sufitem zwisały pęki suszących się ziół i płócienne woreczki. Nie było lodówki, lecz za drzwiami znajdowała się spiżarnia, podzielona na dwa mniejsze pomieszczenia – w jednym zawsze panował chłód.

Ubożę stało przy piecu i z dużym zaangażowaniem waliło w niego pogrzebaczem.

– Co się dzieje?

– No! Wreszcie jest! – Jakby chcąc podkreślić wagę słów, jeszcze raz użyło pogrzebacza.

– Co się dzieje? – powtórzyła Jagoda cicho, zamykając za sobą drzwi.

– Kazała mówić, jakby ktoś się tu dostać chciał. No. To mówię.

Zamarła, wciąż z dłonią na klamce.

– Ktoś próbuje… złamać osłony?

– Znaleźć. Ale ledwo raz je musnęli. Byle jakie magi domu nie znajdą.

– Wiesz kto? – spytała Jagoda, zaciskając palce.

Jej oddech przyspieszył, poziom adrenaliny natychmiast podskoczył. Pierwszy na myśl przychodził Adrian Potocki. Bo kto inny? Mario i jego ludzie mogli się z nią skontaktować przez lustro. Podobnie jak Caleb. Ale jakim cudem Adrian poznał położenie enklawy…? Nie, nad tym nawet nie powinna się zastanawiać: wiedziało o niej parę osób z WMM, ktoś na pewno puścił parę…

Ubożę wzruszyło ramionami.

– Bo ja wiem? Ja ich nie znam.

– Może się im udać?

– A gdzie tam – prychnął domowik, wyraźnie przejęty samą sugestią. – Toż to osłony najlepsze

na świecie! Nie przełamią ich nawet wielcy magowie, ci to ich znaleźć rady nie dadzą! A jakby przełamali nawet, co się nie zdarzy, to ja już domu przypilnuję! Próbują i próbują, ale nic im nie wychodzi.

Jagoda oparła się o drzwi i zacisnęła powieki. Osłony tutejszej enklawy reagowały nie tylko na jej polecenia, ale czasem też nawet na nieświadome życzenia. Dopiero teraz panowała nad nimi dostatecznie, aby przepuściły Mariusza Olchę, którego wcześniej trzymały z dala, bo nie potrafiła mu zaufać. Liczyła, że być może zdoła wyczuć coś więcej: ich naruszenie, może nici obcej magii. Wszystko jednak zdawało się w najlepszym porządku.

– No przecie szans nie mają – burknęło ubożę. – Tu jest bezpieczna. Nawet nie wiedzą, gdzie osłon szukać… znaleźć je próbują i nie mogą.

– Oby – mruknęła. – Informuj mnie, gdyby spróbowali czegoś jeszcze.

Wyszła z kuchni, kierując się wprost do salonu. Sonia wciąż siedziała w fotelu, choć nie czytała już: wyraźnie czekała na powrót nauczycielki.

– I? Co? Ogórki ogłosiły rewoltę? Chleb za długo leżał w piecu, aż powstała nowa forma życia, która zdążyła wynaleźć koło i wyruszyć w rydwanach na podbój kontynentu…?

– Nie – mruknęła Jagoda, myśląc gorączkowo. Ubożę twierdziło, że są bezpieczni, być może nie należało więc niepotrzebnie straszyć reszty domowników. Wiedźma jednak wcale nie była pewna, czy osłony są aż tak skuteczne, a i kusiło ją, by dowiedzieć się, kto stał u bram enklawy. – Ktoś próbuje się tu dostać. Nie wyjdzie mu, ale lepiej obudź Jeremiasza i Krystiana. Na wszelki wypadek.

Sonia otworzyła usta, aż ułożyły się w kształtne „o”. W kolejnej chwili poderwała się jednak z fotela, zrzucając książkę na podłogę, i pognała na piętro, Jagoda zaś ruszyła do lustra komunikacyjnego. Nawiązanie za jego pośrednictwem połączenia było problematyczne, jeśli osoba po drugiej stronie akurat go nie oczekiwała, ale musiała przynajmniej spróbować dać znać WMM, co tu się dzieje.

Nim jednak zdążyła uruchomić zwierciadło, ono samo zalśniło, sygnalizując próbę kontaktu. Jagoda natychmiast dotknęła ramy. Powierzchnia zadrgała, a potem pojawiła się na niej twarz nieznanej wiedźmie krótkowłosej, jasnookiej kobiety w średnim wieku.

– Pani Wilczek?

– We własnej osobie. Z kim mam przyjemność?

– Adela Mikołaj z WMM. Przysłał nas pan Mariusz Olcha – oświadczyła kobieta. – Czekamy przed… wejściem do domu. Jest pani potrzebna w Warszawie.

Jagoda przypatrywała się odbiciu chyba o kilka sekund za długo, bo Adela odchrząknęła.

– Proszę pani?

– Tak, oczywiście – odparła Jagoda. – Proszę dać mi chwilę, uprzedzę resztę, że wychodzę, i zabiorę parę rzeczy. Zawieszam połączenie, zaraz odezwę się znowu.

– Oczywiście.

Wiedźma dezaktywowała lustro akurat w momencie, w którym do salonu zbiegli najpierw Sonia, a za nią Jeremiasz i Krystian, obaj wciąż w piżamach. Spojrzała na ich zaniepokojone twarze i zmusiła się do uśmiechu.

– Krystian, czy znasz jakąś Adelę Mikołaj?

– Tak – odparł Wiśniewski ku jej zaskoczeniu. – Należy do szkoleniowców.

– Jak wygląda?

– No… niska, jasne włosy, ciemne oczy, wygląda na jakieś trzydzieści pięć lat, chociaż podobno ma już prawie pięćdziesiąt – zrelacjonował chłopak, spoglądając na nią podejrzliwie. – O co chodzi? Sonia twierdzi, że ktoś próbuje się dostać do enklawy. Co to ma wspólnego z Adelą?

– Ktoś, kto przedstawił się jako Adela Mikołaj, czeka przed wejściem – wyjaśniła Jagoda, mierząc spojrzeniem swoją małą „armię”. Mag bojowy, wiedźma klątw, wilkołak. Szkoda tylko, że średnia ich wieku wynosiła dziewiętnaście lat, doświadczenie w akcjach terenowych było zbliżone do zera i żadne z nich nie panowało jeszcze w pełni nad swoimi zdolnościami.

Mogli zostać w domu, bezpieczni, ale to nie rozwiązałoby problemu.

– I…? – spytał Jeremiasz. Sonia syknęła i dała mu kuksańca.

– Obudź się, Jerek! Jaga twierdzi, że ktoś gmerał przy osłonach. Dlaczego ta Adela to robiła, skoro jest z WMM?!

– Chwileczkę – wtrącił Krystian. – Adela jest surowa, ale na pewno nie zrobiłaby niczego wbrew szefowi. Nie chciała złamać osłon, pewnie szukała tylko, gdzie jest ten dom…

– Adela, którą znasz, być może – przerwała mu Jagoda. – Ale ta Adela, po pierwsze, nazwała Maria „panem Mariuszem Olchą", a po drugie, ma niebieskie oczy.

Dała im chwilę, aby w pełni zrozumieli znaczenie słów. Wiśniewski pojął pierwszy, pewnie dlatego, że wiedział, jak pracownicy WMM nazywają Olchę – szefem lub komendantem, a jeśli znali go lepiej, to Mariem. Na pewno nie „panem Mariuszem Olchą". Chłopak zaklął pod nosem. Po paru sekundach na twarzy Soni też pojawiło się zrozumienie.

– Skąd ona miała numer… eee… znaczy się… namiar na lustro? – wymamrotała Zawicka.

– Nie wiem – skłamała Jagoda. Podejrzewała, że od kogoś, kto faktycznie pracował w WMM albo był jakoś z jednostką związany, ale nie chciała wdawać się w kłótnię z Krystianem. – W każdym razie na zewnątrz jest ktoś, kto chce mnie tam wywabić. Kłamie w kwestii swojej tożsamości i najpierw starał się dostać tutaj siłą.

– Co chcesz zrobić? Cokolwiek to jest, wchodzę w to – oświadczyła Sonia, a przez głowę Jagody przeszła myśl, że dziewczyna jest albo kompletnie pozbawiona instynktu samozachowawczego, albo żywi w nią niezachwianą wiarę. Nie była pewna, która opcja martwi ją bardziej.

– Mamy dwie możliwości. Pierwsza, siedzimy tu i czekamy. Nie mają szans złamać osłon, to gwarantuję.

– Poproszę numer dwa – zażądała Sonia. Jeremiasz spojrzał na nią z ukosa, chyba niezbyt zadowolony z odrzucenia najbezpieczniejszego wyboru. Krystian za to pokiwał głową, zgadzając się z Zawicką.

– Zapraszamy ich do środka, prosto w pułapkę.

– To mi się podoba.

– Eee… – wtrącił Jeremiasz. – Przepraszam? Na ile jesteśmy pewni, że damy sobie radę, jeżeli ich tu zaprosimy?

– Jeśli się boisz, możesz się schować w piwnicy – skwitował Krystian, czym zasłużył sobie na spojrzenie pełne niechęci. We wzroku młodego zmiennokształtnego pojawiło się coś, co nawet w Jagodzie wzbudziło niepokój, ale Wiśniewski zdawał się tego nie zauważać.

– Nie boję się, ale ten upiorny mężczyzna raz już prawie dorwał Sonię.

– Wątpię, żeby tam był. A nawet jeżeli, na tym terenie mam przewagę nad każdym przeciwnikiem. Ale wpuszczenie ich tutaj to wciąż ryzyko. Nie zrobię tego bez waszej zgody.

– Nie mam ochoty tu siedzieć, kiedy tam jest ktoś, kto udaje Adelę – oświadczył Krystian stanowczo.

– Nie możemy się chować – zgodziła się z nim Sonia, a Jeremiasz niechętnie kiwnął głową. Jagoda odnosiła wrażenie, że chłopak ma inne zdanie, ale nie chciał stawać sam przeciwko pozostałej dwójce. Miał prawo do wątpliwości i najchętniej kazałaby mu zostać w domu, nie wątpiła jednak, że tego z kolei nie zniesie jego
duma.

– Krystian, żadnych popisów z mocą, nie chcę, żebyś zawalił mi dom. Jeremiasz, trzymasz się z tyłu, póki nie powiem inaczej, wolę unikać fizycznego starcia. Teraz migiem na górę, ubrać się – zarządziła. – Soniu, leć pod mur, ułóż linię z kamieni, wrzuć w nią klątwę potykania. Zaraz do ciebie dołączę.

Nie musiała powtarzać. Chłopcy na wyścigi ruszyli na górę, Sonia wypadła z domu. Jagoda ruszyła do lustra.

– Domowiku!

Ubożę wyłoniło się spod stołu. Może było tu już wcześniej i podsłuchiwało rozmowę.

– Za moment wpuszczę tutaj wrogów.

– I po co? – zagderało ubożę. – Nabałaganią!

– Nie, jeśli na to nie pozwolimy – oświadczyła stanowczo. – Muszę ich wpuścić. Nie mam

zamiaru podzielić losu twojego poprzedniego pana i zginąć tuż za bramą. Jeśli będzie ich zbyt wielu, cofniemy się do domu. Przynieś mi moją broń i bądź gotowy.

– Wiecznie z nią kłopoty – wymamrotało stworzenie, po czym z powrotem zanurkowało pod fotel.

Jagoda aktywowała lustro. Jej palce już tańczyły, gdy zaplatała pomiędzy nimi klątwę: jedną z tych bardziej skomplikowanych.

– Pani Wilczek?

– Otworzę przed państwem przejście i wpuszczę do środka, żebyście nie marzli – poinformowała. – Moja uczennica chce iść ze mną, a dopiero wstała.

Adela zawahała się, ale w końcu kiwnęła głową. Jagoda przypatrywała się jej uważnie. Mogła mieć tylko nadzieję, że przybysze nie mają pojęcia, jak głęboko sięgała władza pani domu nad tym miejscem.

– W takim razie czekamy.

– Świetnie, już idę.

Rozłączyła się, po czym sięgnęła po pistolet, który nie wiadomo kiedy pojawił się na stole. Jeremiasz i Krystian zbiegli, ponownie razem – jakby jeden nie mógł znieść myśli, że drugi go uprzedzi – kiedy otwierała drzwi domu. Jeremiasz wciąż był w kapciach i nie miał na sobie kurtki, Krystian jakimś cudem założył swoją na lewą stronę. Wilczek nie odezwała się do nich, zajęta splataniem przekleństwa. Żałowała, że nie zna prawdziwego imienia „Adeli": gdyby je znała, tak jak znała jej wygląd i lokalizację, mogłaby posłać tę klątwę nawet przez mur.

We trójkę ruszyli ścieżką między krzewami i drzewami. Wiedźma odnosiła wrażenie, że wszystko zamarło, jakby w oczekiwaniu.

Sonia właśnie kończyła pułapkę. Jeden rzut oka wystarczył Jagodzie, by stwierdzić, że Zawicka doskonale się spisała. Włożyła w tę prościutką klątwę tyle mocy, że dwie lub trzy pierwsze osoby, które przekroczą linię kamieni, nie tylko się potkną, ale runą na ziemię i zbyt szybko nie wstaną.

– Bardzo dobrze.

Dziewczyna spojrzała na nią rozpromieniona. Podniosła się ostrożnie i otarła z czoła pot. Pracowała w pośpiechu i poświęciła trochę za wiele energii.

Jagoda powiodła spojrzeniem po swoim niewielkim, małoletnim oddziale. Patrzyli na nią i dopiero po sekundzie do niej dotarło, że oczekują instrukcji.

I że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, jeśli spotka ich jakaś krzywda, to będzie wyłącznie jej wina.

– Krystian, za to drzewo. Bardzo proszę, nie zabijaj. Musimy ich przepytać. Jeśli jakimś cudem okaże się, że to prawdziwa Adela, krzycz. Jeśli nie, to jak się potkną, po prostu nimi rzuć. Sonia i Jeremiasz, wy ustawcie się tu. Soniu, wrzucaj w nich, co masz. Jeżeli krzyknę, że macie uciekać…

– Ale…

– …to natychmiast kierujecie się do domu – dokończyła, podnosząc głos i nie pozwalając sobie przerwać. – Oni też pewnie wejdą tutaj przygotowani na kłopoty, więc możliwe, że będziemy musieli się wycofać. Dom ma własne osłony i tam możemy liczyć na dodatkowe wsparcie. Wszyscy biegniecie. Tędy, za krzakami…

Urwała, bo gałęzie krzewów poruszyły się, zaszeleściły, jakby reagując na wzmiankę o sobie. Jagoda spojrzała ku nim i na sekundę zaniemówiła. Rośliny rozrastały się na jej oczach, nowe pędy wystrzeliwały, gałęzie splatały ze sobą.

– Wy też to widzieliście? – spytał Jeremiasz niepewnie. Cofnął się o krok, a potem przeniósł spojrzenie na Jagodę.

– Idźcie za krzewy – poleciła, starając się, by głos jej nie zadrżał. Tak naprawdę nie miała pojęcia, co się dzieje, ale nie mogła teraz tego okazać. – To nic takiego. Dom tworzy dla was dodatkową osłonę.

– Ojacie – podsumowała Sonia, po czym posłusznie pobiegła skryć się za krzewami róż, teraz rozrośniętymi ponad miarę. Jeremiasz pospieszył za nią, a Krystian zanurkował za jabłoń. Gałęzie drzewa pochyliły się same, dodatkowo skrywając go przed wzrokiem postronnych.

Jagoda wielokrotnie myślała o tym miejscu jak o domu ze złych baśni. Siedzibie czarnoksiężnika, schronieniu złej wiedźmy. Czuła się tu jak u siebie, ale jednocześnie nie umiała zapomnieć o mrocznej

przeszłości.

Teraz w pełni dotarło do niej to, co dotąd pojmowała tylko podświadomie.

To miejsce było pełne magii, która mogła posłużyć złu albo dobru. Ale decyzja zawsze należała tylko do ludzi.

Odetchnęła i otworzyła przejście.

Mur zamigotał, przez chwilę widać było nie kamienną ścianę, lecz jesienny las. Potem przez przejście przedostały się dwie osoby, Jagoda zaś, dostrzegłszy za nimi kolejne dwie sylwetki, zaciągnęła osłony. Wiedźma nie miała zamiaru ryzykować walki z kilkoma przeciwnikami naraz, jeśli mogła tego uniknąć. Gdzieś tam, po drugiej stronie, ktoś zapewne uderzył nosem w pień drzewa.

„Adela" i jej towarzysz przekroczyli linię kamieni i padli na ziemię jak podcięci. Jagoda wyczuła moc uwolnioną przez Krystiana, ale nic się nie stało: intruzi dysponowali ochronnymi zaklęciami lub amuletami. Wypuściła klątwę równocześnie z Sonią. Blondynka, która próbowała się podnieść, z jękiem opadła na trawę, ale jej towarzysz już był na nogach i rzucony przez niego czar uderzył o pień drzewa, za którym ukrywał się Krystian.

Jagoda cisnęła w mężczyznę jedyne bojowe zaklęcie, jakie znała, jednak pocisk stworzony z wody i lodu rozbił się o tarczę. Chwilę później ziemia pod stopami napastnika zaczęła się trząść. Drżenia dotarły aż do Wilczek, która odruchowo oparła się o drzewo. Młody Wiśniewski zaatakował tym razem pośrednio i zdołał ponownie powalić przeciwnika. Ten jednak, mimo iż klęczał, zaplótł kolejny czar: na atak wodą odpowiedział ogniem.

Wiedźma krzyknęła i odskoczyła od podpalonego drzewa, padając na trawę. Gałęzie poruszyły się, jakby w wywołanych bólem drgawkach. W powietrzu śmigały klątwy i zaklęcia, ale Jagoda, zalana falą wściekłości, ledwo to odnotowała.

Ten drań próbował spalić jej ogród!

Nie chciała strzelać, póki nie została do tego zmuszona. Nie wiedzieli, kim byli ci ludzie i co próbowali osiągnąć. Teraz jednak odbezpieczyła broń… ale nie zdążyła jej użyć. Ogromny wilk przemknął obok niej i jednym skokiem dopadł mężczyzny, powalając go. Adela nie próbowała już walczyć: na widok bestii zaczęła wrzeszczeć i czołgać się wzdłuż muru.

Jagoda poderwała się i pobiegła za wilkołakiem, zdjęta strachem, że mag użyje na Jeremiaszu jakiegoś paskudnego czaru. Chłopaka nie chroniło żadne zaklęcie czy amulet. Miał jednak szczęście. Ich przeciwnik nie był magiem bojowym z prawdziwego zdarzenia i nawet nie próbował się bronić. Zesztywniał ze strachu, przerażony wzrok utkwiwszy w paszczy, która znalazła się tuż nad jego głową. Bestia ciężkie łapy oparła na ramionach mężczyzny, a z jej gardła wydobywał się warkot. Na ten dźwięk Jagoda instynktownie chciała uciekać i musiała sobie przypomnieć, że to Jeremiasz. Ten sam chudy nerwowy chłopak, z którym poprzedniego wieczoru jadła kolację.

– Krystian, łap kobietę! – krzyknęła, po czym z całej siły uderzyła piętą w dłoń powalonego.

Kości palców chrupnęły, z ust mężczyzny wyrwał się krzyk, a wilkołak zwrócił łeb w stronę Jagody. Na widok ostrych zębów omal się nie cofnęła. Zwalczyła ten odruch, pochyliła się i zerwała z szyi napastnika amulet. Wciąż pozostało w nim trochę mocy. Jeden rzut oka wystarczył Jagodzie, by ocenić, że był to jeden z najdroższych i najlepszych modeli na rynku. Babka podarowała taki Lilianie. Wydała na to dobre dziesięć tysięcy.

– Odsuń się – poprosiła Jeremiasza, zaplatając kolejną klątwę i pozwalając, by spłynęła na mężczyznę. Na wszelki wypadek. Wilkołak zszedł ze swojej ofiary, choć przysiadł tuż obok i wbił spojrzenie żółtych ślepi w leżącego.

– Kto was tu przysłał? – spytała Jagoda, celując w mężczyznę pistoletem. Mężczyzna usiadł i używając nóg oraz sprawnej ręki, zaczął przesuwać się w stronę muru. – Nie ruszaj się.

Zamarł, choć raczej ze względu na warknięcie Jeremiasza niż jej słowa. Wiedźma wreszcie mogła się mu przyjrzeć. Był nijakim człowiekiem, niezbyt wysokim, z piwnym brzuszkiem, z siwiejącymi włosami. Kimś, kto nie zwraca uwagi w tłumie, ale wyglądał znajomo…

– Ja cię znam – mruknęła, przekrzywiając lekko głowę, i nacisnęła spust. Celowała w mur, dobry metr nad głową mężczyzny, ale wystarczyło, aby rozluźnił palce zdrowej dłoni i zrezygnował z rzucania zaklęcia.

– O mój… – wydyszała Sonia, która podbiegła, choć na wszelki wypadek trzymała się kawałek za nauczycielką. – Podrzucki!

– Osobisty asystent Zbigniewa Potockiego – wycedziła Jagoda. Stanisław Podrzucki może wyglądał nijako, ale jakieś dwadzieścia lat temu był utalentowanym magiem bojowym i zastępcą komendanta WMM. Mieli szczęście, że wiek i dobrobyt przytępiły jego zmysły. – Krystian, zdejmij amulety i unieruchom ręce tej drugiej! Ktoś ją poznaje?

Pokręcili głową, wszyscy troje – Sonia, Krystian, nawet wilkołak trzepnął łbem.

– Porozmawiamy w środku – zdecydowała w końcu Jagoda. – Wstawaj! Chyba że chcesz, żeby nasz przyjaciel cię zeżarł? Przez was nie dostał śniadania.

Jeremiasz spojrzał na nią, a choć nie miała wprawy w odczytywaniu wilczego wyrazu pyska, mogłaby przysiąc, że w żółtych ślepiach kryje się wyrzut.

– Trzymasz tu bestię – wyszeptał Podrzucki. Był blady, tulił do klatki piersiowej zranioną dłoń, pot zrosił mu czoło.

– Ej, jeszcze nic nie widziałeś – oświadczyła Sonia z satysfakcją. – Nie macie pojęcia, dokąd się władowaliście! To dom złej wiedźmy. Wsadzenie do piekarnika nie jest najgorszym, co może was spotkać…

– Przestań. A ty wstawaj. Czy mamy cię ogłuszyć? – wycedziła Jagoda. Podrzucki powoli wstał, a Wilczek obeszła go i bezceremonialnie przystawiła mu pistolet do pleców. – Jeremiaszu, pilnuj Krystiana i tej drugiej. Soniu, w razie czego rzucaj klątwy.

Od muru do ganku było może kilkadziesiąt metrów, ale ta trasa nigdy dotąd nie wydawała się Jagodzie aż tak długa. Podrzucki, wciąż obciążony klątwą, co chwilę się potykał. Gdy się zbliżyli, wejście stanęło przed nimi otworem. Przystanęła za progiem, niepewna dokąd iść, ale przy schodach zaskrzypiały drzwi od piwnicy, powodowane zapewne wolą ubożęcia. Wilczek postanowiła zaufać stróżowi domu i ruszyła w tamtą stronę. Budynek miał dwie piwnice: w jednej domowik trzymał przetwory i zapasy. W drugiej Jagoda jeszcze nie była. Gdy weszli do środka, wilkołak gdzieś odbiegł.

Sonia gwizdnęła za jej plecami. Jagoda zacisnęła zęby, gdy w pomieszczeniu rozbłysło światło – choć nie ona je zapaliła – i dostrzegła kajdany. Nie chciała nawet się zastanawiać, do czego ich używano.

– Masz w piwnicy salę tortur – wykrztusił Krystian ze zdumieniem. Zszedł na dół, wlokąc „Adelę", która na widok pozbawionej okien ciemnej izby i łańcuchów umocowanych do ścian zaczęła się szarpać. Jeremiasz, już we własnej postaci, dołączył do nich dopiero po chwili.

– Nie widzę tu żadnych narzędzi tortur – oświadczyła Jagoda, starając się nie pokazać po sobie, że miejsce wytrąciło ją z równowagi. – Skuj ją. Drogi Stanisławie, droga pani… Czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Możemy jeszcze ich zostawić z Jerkiem. To znaczy z wilkołakiem – podsunęła Sonia, kiedy jeńcy milczeli. O ile Krystian zdawał się pełen napięcia, a Jeremiasz stał przy schodach chyba przerażony, o tyle Sonia najwyraźniej świetnie się bawiła. – Jak zeżre jedno, to drugie coś powie, nie?

– Może ich tu zamknąć? W końcu pękną – zaproponował Jeremiasz nieśmiało, jakby obawiał się, że Jagoda weźmie sugestię na poważnie.

– Nie mamy na to czasu.

– Nie ujdzie wam to na sucho – wycedził Stanisław. – Porwanie, przetrzymywanie…

– Hej, to wy tu przyszliście pod fałszywą tożsamością! – zawołała Sonia z oburzeniem.

– Zostaliśmy zaproszeni i zaatakowani…

– …podszyliście się! To nie jest Adela! – warknął Krystian, wskazując na kobietę.

Ta milczała. Trzęsła się, była jeszcze bledsza niż Podrzucki. Jagoda przypatrywała się jej przez moment. Stanisław Podrzucki za długo pracował dla Potockiego, aby poszło z nim łatwo. Ale ona…

– Wszyscy na górę. Już.

– Jaga!

– JUŻ.

Sonia rzuciła jej urażone spojrzenie, ale ruszyła po schodach, Jeremiasz pospieszył zaraz za nią. Krystian jednak pozostał na miejscu: skrzyżował ramiona na klatce piersiowej, spoglądając na nią z uporem.

– Jestem pracownikiem WMM. Nie masz prawa mi rozkazywać.

Przez ułamek sekundy kusiło ją, by poprosić ubożę o pomoc. Nie wątpiła, że magia istoty, w tym domu daleko przerastająca moc jej czy nawet Krystiana, zdołałaby usunąć Wiśniewskiego z piwnicy. Ale nie wiedziała, co funkcjonariusz zechce wtedy zrobić, a czas uciekał. Na zewnątrz pozostały przynajmniej dwie osoby, stary Potocki więc wkrótce się dowie, co się tutaj stało. A kolejna ofiara miała zostać złożona wkrótce. Jagoda była niemal pewna, że dojdzie do tego tej nocy.

W Halloween. W Samhain.

– Wiem mniej więcej, co knuje Zbigniew Potocki – poinformowała krótko, wodząc spojrzeniem pomiędzy kobietą a mężczyzną. – Mieliście mnie zabić?

Milczenie. Jagoda zbliżyła się powoli do blondynki i pochyliła nad nią, a potem szybkim gestem wyrwała jej całą garść włosów. Obróciła je pomiędzy palcami i popadła w zamyślenie.

Kiedyś zmusiła już kogoś do mówienia prawdy za pomocą klątwy. Nieświadomie, w ataku wściekłości i ze strachu o brata. Czy mogła to powtórzyć? Nie miała pojęcia, jak wtedy to zrobiła. Ale teraz mogła użyć włosów, miała możliwość wprowadzenia własnej mocy do organizmu ofiary…

– Co chcesz zrobić? – spytał Krystian niepewnie.

– Spróbować z klątwą. Do silniejszych przydaje się… kotwica. Wezmę jeszcze krew – powiedziała, unosząc włosy. Proste klątwy specjalista w tej dziedzinie mógł rzucać bez przygotowania. Potężniejsze wymagały więcej starań.

– Nie! – zawołała blondynka, szarpiąc się w łańcuchach. Cokolwiek przyszło jej do głowy, musiało to być coś okropnego, bo wyglądała na jeszcze bardziej przerażoną niż wtedy, gdy tuż przy jej boku szedł wielki wilk. – Nie kazał cię zabić! Mieliśmy tylko cię przyprowadzić!

– Zamknij się! – warknął Stanisław, ale Jagoda obróciła się, splotła przekleństwo i cisnęła je w Podrzuckiego, na kilka chwil utrudniając mu mowę. Gdy z jego ust wydobył się charkot, kobieta zaszlochała, najwyraźniej przekonana, że wiedźma z pewnością wykorzystała coś szkodliwego.

– To zwykła robota – wybełkotała. – Mieliśmy udawać, że wieziemy cię do Olchy.

– A dokąd mieliśmy pojechać naprawdę? Do domu Potockiego?

– Nie, pod budynek w pobliżu głównego placu. Trzech Wiedźm siedem.

Jagoda nie miała pojęcia, co mieściło się pod tym numerem. Ulicę Trzech Wiedźm kojarzyła jako jedną z bocznych alejek, przy której stało kilka kamienic, w większości należących albo do władz enklawy, albo do najbogatszych rodzin. Zerknęła na Krystiana, ale ten pokręcił głową.

Nigdy dotąd nie brakowało jej MAGnetu aż tak bardzo. Musiała znaleźć jakiś sposób, aby doprowadzić do tego miejsca zasięg.

– Po co jestem potrzebna Zbigniewowi? Chciał się upewnić, że nie dotrę do Maria? Czy może dostarczyć wnukowi ofiarę idealną?

– Nie wiem!

Kobieta pokręciła głową. Podrzucki przestał się krztusić, ale nie odpowiadał.

– Kto jeszcze czeka na zewnątrz?

– To… – Blondynka zawahała się i skrzywiła. – Mój człowiek i chłopak z WMM. Ernest.

– Kłamiesz – warknął Krystian. Zbliżył się do kobiety, jakby chciał ją uderzyć, a piwnica lekko zadrżała, kiedy Wiśniewski stracił kontrolę nad magią. Jagoda złapała go za przedramię, mocno zaciskając palce. Przeniósł na nią spojrzenie pełne wściekłości, ale wstrząsy ustały.

Nie sądziła, że blondynka kłamie. Skądś wiedzieli, jak się skontaktować z Jagodą. Nie tylko znali imię pracownicy, ale wybrali też taką, którą ta kobieta przypominała. Znali lokalizację enklawy.

Nie poruszało jej to. O Erneście nic nie wiedziała, ledwo pamiętała jego twarz, i to wyłącznie dlatego, że w szpitalu odratowała go w ostatniej chwili. Była zaskoczona, ale tylko dlatego, że spodziewała się raczej Tomasza. Krystian jednak wyraźnie nie potrafił się pogodzić z tym, że ktoś z WMM pracował dla Potockiego.

– Chodźmy na górę. Musimy pogadać – powiedziała z naciskiem. Krystian nie ruszył się, dopóki nie pociągnęła go w stronę schodów.

Nie była zaskoczona, gdy się okazało, że drzwi na parterze są otwarte, a Sonia stoi w progu i podsłuchuje. Nie zadała sobie nawet trudu udawania zakłopotanej.

– Co dalej? – spytała z miejsca, kiedy Jagoda zatrzasnęła za nimi drzwi.

Nie wiem, pomyślała wiedźma. Miała wrażenie, że wszystko wymyka się jej z rąk. Nie rozumiała, co dzieje się wokół nich, a już na pewno nie miała pojęcia, co z tym zrobić.

Czy powinni od razu ruszać do Warszawy? Zostać tutaj, skoro dopiero minął ranek, i spróbować się czegoś dowiedzieć? Na zewnątrz mógł czekać Ernest. Ale istniało też ryzyko, że ściągnie posiłki, a wtedy zostaną tu uwięzieni…

– Mogłabym próbować zmusić ich do odpowiedzi, ale to by potrwało, a oni pewnie niewiele wiedzą – stwierdziła w końcu, bo cała trójka patrzyła na nią wyczekująco i ktoś po prostu musiał podjąć decyzję. Dobrą, złą; jakąkolwiek. – Muszę wrócić do miasta. Porozmawiać z Olchą i dowiedzieć się, co jest przy Trzech Wiedźm.

– Jadę z tobą – oznajmiła natychmiast Sonia.

– Ja też – dodał Krystian.

Jagoda przymknęła oczy. Bawiła się myślą o zamknięciu ich w enklawie. Mogłaby to zrobić. Wiśniewski raz zdołał otworzyć przejście dla Śpiącej Królewny, ale użył do tego całej swojej mocy, ubożę nie chciało stawać przeciwko dawnej pani, Jagoda zaś nie umiała jeszcze wtedy dokładnie zamykać osłon.

Teraz by się nie wydostali. To było najprostsze rozwiązanie.

Tylko czy powinna to robić?

– Macie być gotowi za dziesięć minut. Pamiętajcie, że na zewnątrz wciąż może być Ernest i partner tej uroczej pani – powiedziała, po czym skierowała się do kuchni. Ktoś musiał pilnować gości pod ich nieobecność.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

KRĄG SIĘ ZAMYKA

Powrót do Warszawy nie okazał się tak prosty, jak liczyła Jagoda. Ernest nie czyhał wprawdzie na nich w lesie, ale Adela zapobiegliwie przebiła wszystkie opony w aucie, które Wilczek pozostawiła w pobliżu drogi. Samochodu, którym przyjechała tu czwórka intruzów, nigdzie nie było widać. Ani Mario, ani Maeve nie odbierali telefonów, a Jagoda nie chciała kontaktować się z nikim innym z WMM. W końcu zadzwoniła więc do brata i poprosiła, żeby kogoś po nich posłał. Gdy czekali, próbowała znaleźć w MAGnecie informacje o kamienicy numer 7 przy ulicy Trzech Wiedźm. Ze skąpych wiadomości wynikało, że przez całe lata budynek należał do starej magicznej rodziny. Odkąd zmarł jej ostatni przedstawiciel i nieruchomość sprzedano, stała pusta. Nie wzbudziłoby to podejrzeń Jagody, gdyby nie fakt, że – jak odkryła po dokładniejszym sprawdzeniu – w ciągu ostatnich trzech miesięcy opustoszały także sąsiednie kamienice. W jednej z nich do niedawna znajdował się bardzo popularny sklep z magiczną biżuterią, który nagle zmienił lokalizację.

Trzech Wiedźm 7 od pół roku należało do Zbigniewa Potockiego. Pozostałe budynki, z wyjątkiem jednego, wykupiły władze enklawy. Podobno miały tam powstać dom seniora i centrum doszkalające, ale na razie nie wyglądało na to, aby rozpoczęto jakiekolwiek prace.

– Może robią tam jakieś eksperymenty. Albo to ich główna baza – podsunął Jeremiasz. Stał tuż za Sonią, która z kolei bezceremonialnie uwiesiła się ramienia Jagody, spoglądając na ekran jej telefonu.

– Głupi jesteś czy jak? – prychnęła Zawicka, mocniej zaciskając palce. – Wejście do podziemi! Przecież ono musi gdzieś być, tak? Że też nie wpadłam na to wcześniej. Jaskinie są pod głównym placem, ale tam nic się nie dzieje, zauważylibyśmy wykopki… Do tunelu wchodzi się stamtąd.

Jagoda zerknęła na nią z namysłem, a potem przeniosła pytające spojrzenie na Krystiana. Chłopak cały czas stał z boku, nie biorąc udziału w ich gorączkowych poszukiwaniach. Teraz, napotkawszy wzrok wiedźmy, włożył dłonie w kieszenie i zrobił hardą minę.

On tam był…

– Nie mogę rozmawiać o wewnętrznych sprawach WMM.

– Okej, czyli masz rację, Soniu.

– Ha! – Sonia wyszczerzyła zęby w uśmiechu i puściła wreszcie Jagodę. – To wszystko wyjaśnia. Skąd Zbigniew Potocki wie o podziemiach. Wejście jest pewnie pod jego budynkiem…

– …i nawet powiadomił o tym władze – mruknęła wiedźma. Tak jak mówił Caleb, prawdopodobnie nie zdołał ich otworzyć na własną rękę i w końcu zwrócił się do Czarneckiego. Może sprzedając mu jakąś bajeczkę o potężnej mocy albo po prostu odkryciu historii enklawy. – Ewentualnie wejście znaleziono w jednym z sąsiednich budynków, a on się jakoś o tym dowiedział…

– …i wykopał własne – dokończyła Sonia. – Merlinie i Morgano, co tam trzymają? Kamień filozoficzny? Nie, zaraz, skoro to Warszawa, to prędzej złotą kaczkę… i… i… bazyliszka.

– Złota kaczka powinna siedzieć pod zamkiem Ostrogskich, a bazyliszek zdechł – odparła Jagoda nieuważnie. Jeremiasz spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

– Bazyliszek istnieje?

– Oczywiście, ale na pewno nie ma go w tych pod-
ziemiach.

– Całe szczęście.

– Są tam pewnie demony – dokończyła Jagoda bezlitośnie. – A teraz dajcie mi chwilę. Muszę do kogoś zadzwonić.

Sonia łypnęła na nią podejrzliwie, ale nie próbowała zatrzymać nauczycielki, gdy ta odchodziła na bok. Jagoda krążyła przez chwilę pośród drzew, czekając na odebranie połączenia. Wiedziała, że może w ogóle nie doczekać się reakcji. Wtedy musiałaby nagrać się na pocztę głosową i liczyć na odsłuchanie wiadomości.

W końcu jednak, przy drugiej próbie i kilku sygnałach, gdy już traciła nadzieję, usłyszała głos Antoniego.

– Coś z Sonią? – spytał bez wstępów.

– Nie.

– Więc?

Oparła się o najbliższy pień i przymknęła oczy. Przez moment zastanawiała się, jakich słów użyć,

w końcu jednak postanowiła, że najlepiej walić prosto z mostu.

– Nic jej nie jest, ale nas zaatakowano…

– Kto?! Czy…

– Słuchaj, proszę! – zawołała, po czym zaczęła mówić pospiesznie, bo nie chciała, żeby Antoni znowu jej przerwał. – Byli tu ludzie z WMM. Dokładnie dwóch, były i obecny. Wiedzieli, jak nas znaleźć i jak się z nami skontaktować. Mario posłał za tobą ochroniarzy. Nie możesz im ufać. Możliwe, że wypełniają polecenia… kogoś innego niż komendanta.

– Jaga, o czym ty mówisz, na litość boską?

– Że możesz być w niebezpieczeństwie – wycedziła. – Jesteś najlepszą ofiarą, jaką Adrian może znaleźć w Warszawie. A ja wcale nie mam pewności, czy niektórym, także najwyższym władzom enklawy, nie zależy, aby dokończył dzieła. Ukryj się gdzieś. Albo zostań w waszym domu, ale z niego nie wychodź. Nikogo nie wpuszczaj do środka. Nie dziś. Nie tej nocy.

Antoni milczał, jakby odebrało mu mowę. Jagoda zerknęła na Sonię i chłopców. Zawicka spoglądała w jej kierunku, czujna niby królik, i na wszelki wypadek wiedźma obróciła głowę w inną stronę. Nie było wykluczone, że Sonia potrafiła czytać z ruchu warg…

– Nie chce mnie, tylko mojej siostry – powiedział w końcu Antoni z zaskakującym spokojem. – W jaką kabałę planujesz ją znowu wciągnąć? Niczego ci nie obiecam. Próbuję się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, i na pewno nie będę siedział w domu, kiedy mojej siostrze coś może grozić!

Zacisnęła szczęki, przez moment zbierając w sobie siły do odpowiedzi. Odkąd Sonia pojawiła się na jej progu, Antoni i jego matka zdawali się sądzić, że Jagoda tylko patrzy, jak narazić dziewczynę na niebezpieczeństwo. Najgorsze było jednak to, że nie mogła zaprzeczyć. Nie z czystym sumieniem. Choć miała nieustanne wrażenie, że przez większość czasu głównie próbuje wyjaśnić Soni, dlaczego nie powinna mieszać się w pewne sprawy, to samo przebywanie w pobliżu Jagody wciągało ją w różne afery.

– Zabawne, całe lata zachowywałeś się, jakbyś jej nienawidził – stwierdziła beznamiętnym tonem. Gdy byli jeszcze razem, jeżeli Antoni wspominał o młodszej siostrze, to tylko nieprzychylnie. – Czy zgodzisz się zostać w domu mojej rodziny, razem z nią i… jeszcze jednym młodym chłopakiem?

Modliła się w duchu, by nie był to zły wybór. Trzy potencjalne ofiary pod jednym dachem. W tej chwili żałowała, że nie zostawiła jednak Soni w enklawie. Ale sforsowanie osłon babki i Sebastiana było właściwie niemożliwe, pod domem znajdował się schron, a Jagoda szła o zakład, że Joanna Wilczek w swojej manii prześladowczej zadbała też o jakieś tajne przejście, którym w razie potrzeby dało się umknąć.

– Co?

– Dom Wilczków jest lepiej chroniony niż wasz. Zabiorę ją tam. Będziesz mógł jej pilnować.

– Nasz dom ma wystarczająco dobre osłony.

– Nie, nie ma. Wawrzyniec je rozdarł, kiedy miał siedemnaście lat – przypomniała.

Antoni znów zamilkł na chwilę. Może rozważał jej argument. Może wspominał swojego najlepszego przyjaciela.

– Tylko ich część, a od tamtego czasu je wzmocniliśmy – odparł w końcu obronnym tonem, ale zaraz ustąpił. – Masz rację. Wasz dom jest lepiej chroniony, a Sonia nigdy nie zgodzi się przyjść tutaj. Powiem matce…

– Nie!!!

– Jaga…? – spytał Antoni, trochę zdumiony, bo bardzo rzadko zdarzało się jej podnosić głos. – Nie mogę wyjść i nie powiedzieć własnej matce, co się dzieje.

– Może być w to zamieszany Czarnecki – wycedziła.

Cholerna Karolina. Cholerny Antoni, który nawet z trzecim krzyżykiem na karku nie potrafił odciąć pępowiny. Znał przecież swoją matkę, a jednak wciąż nie umiał bądź nie chciał przewidzieć jej zachowań, a potem szukał dla nich usprawiedliwień.

– Karolina o wszystkim powie Czarneckiej, a ona swojemu mężowi. Nie, nie mów mi, że jak poprosisz ją o dyskrecję, to cię posłucha. Czy to choć raz zadziałało? Chociaż raz, Anton? Czy milczała o naszych zaręczynach? O tamtej klątwie, którą niechcący rzuciłam w szkole? O sprawie Jagielskich?

Jeżeli powiesz jej choć słowo, propozycja jest nieaktualna. Zabieram Sonię gdzieś indziej i nie dowiesz się dokąd. Jeśli powiesz coś matce, inni też się dowiedzą, a to narazi moją siostrę i brata. Nie pozwolę na to, rozumiesz? Nawet jeśli całą cholerną enklawę tej nocy trafi szlag.

– Nie możesz ode mnie wymagać, żebym wybierał…

– Mogę – warknęła. – Kiedyś wybrałeś między matką a mną, wolałeś ją, świetnie. Teraz masz wybrać między bezpieczeństwem swojej siostry a raportowaniem wszystkiego mamusi.

Milczał tak długo, iż sądziła, że się rozłączył. Gdy przemówił, głos miał na pozór spokojny, ale wyczuwała w nim urazę.

– Będzie, jak zechcesz – stwierdził w końcu. – Za godzinę będę pod waszym domem. A, Jaga? Nie wybrałem wtedy mojej matki. To ty wybrałaś swoją zemstę.

Przerwał połączenie, nim zdążyła odpowiedzieć.

***

Przekonanie Soni, że powinna pozostać z bratem w rezydencji Wilczków, okazało się dość trudne. Jagoda nie była pewna, czego jej uczennica tak naprawdę chce, i podejrzewała, że Zawicka sama tego nie wie. Dziewczyna ustąpiła niechętnie, po długiej dyspucie, kiedy Jagoda wyjaśniła, że to jedyny sposób na zagwarantowanie bezpieczeństwa Antoniemu.

Mario wciąż nie odbierał telefonu, a kiedy usiłowali
dotrzeć do niego przez centralę WMM, usłyszeli, że komendant jest „w terenie". Wiedźma mogła mieć tylko nadzieję, że to prawda. Kto wie – skoro próbowano schwytać ją – może ktoś dopadł i Mariusza Olchę? Posłała mu SMS-a, mail, wiadomości zarówno na Facebooku, jak i MagicConver, i liczyła, że w końcu je odbierze. Mogłaby teoretycznie udać się w okolice Syreniej Pokusy, bo prawdopodobnie tam kręcili się teraz ludzie z WMM i Mario. Rozsądek podpowiadał jednak, że istniało ryzyko natknięcia się na Adriana Potockiego, a Jagoda nie była ani tak pewna siebie, ani tak skrajnie pozbawiona instynktu samozachowawczego, by chcieć być sam na sam z potencjalnie opętanym czarnoksiężnikiem. Nie w sytuacji, gdy byłaby idealną ofiarą, pozwalającą zamknąć krąg.

Niestety, jeśli nie chciała podejmować takiego ryzyka, mogła robić tylko jedno: czekać. Było to tym trudniejsze, że gdy po blisko dwóch godzinach dotarli pod rezydencję Wilczków, na miejscu nie pojawił się jeszcze Antoni, a Sebastian, jak się okazało, wciąż przebywał w enklawie. Wtedy też Maeve odpisała wreszcie na wiadomość – niestety krótko: „Widziano A., usiłujemy go dorwać".

Skoro Mario właśnie urządzał obławę, to wyjaśniałoby, dlaczego nie odbierał prywatnej komórki. Tyle że to z kolei w żaden sposób Jagody nie uspokajało. Gdy Krystian po SMS-ie od Maeve uparł się, że musi pojechać do siedziby WMM, przez moment rozważała udanie się tam wraz z nim. To Sonia dość rozsądnie zauważyła, że na miejscu może już być Ernest i Jagoda tylko narobi kłopotów. Ostatecznie pozostała więc na miejscu, poprosiła jedynie babkę, by jej kierowca podwiózł Wiśniewskiego – i zobowiązała chłopaka do zameldowania się zaraz po dotarciu do siedziby wydziału. Poprosiła też, by nie zdradzał, dokąd pojechały. Nie miała wielkiej nadziei, że Krystian dotrzyma obietnicy, ale nie mogła uwięzić funkcjonariusza WMM.

Odprowadziła Wiśniewskiego do bramy i osobiście zaciągnęła za nim zasłony. Uniosła głowę: nie chciała oglądać nieba, lecz pajęczynkę ochronnych zaklęć otaczającą posiadłość. Nie tak gęsta i silna, że wręcz wpisana w osnowę rzeczywistości, jak w przypadku enklaw… ale wciąż potężna.

Jagoda pamiętała, że gdy była małą dziewczynką, babka podczas oprowadzania jednego z gości z dumą twierdziła, że ich osłony powstrzymają nawet małą armię magów. Wiedźma miała nadzieję, że to prawda.

– Jaga?!

Obróciła się ku domowi. Sonia stała na ganku bez płaszcza i drżała na wietrze. Jagoda szybkim krokiem przecięła trawnik, pełna niepokoju.

– Co się dzieje?

– Antoni mówił, że będzie za godzinę?

– Tak. Dwie godziny temu. Ale on nie grzeszy punktualnością – mruknęła Wilczek, wchodząc po stopniach. Otworzyła drzwi i chciała wejść do salonu, Sonia jednak nie ruszyła się z miejsca.

– Może kiedyś tak było, ale teraz pilnuje godzin spotkań. Ojciec się wściekał, kiedy się spóźniał do firmy – powiedziała z naciskiem. – Nie odpisał mi na SMS-a, telefon nie ma sygnału. Zadzwoniłam do ojca i twierdzi, że Antoni wyjechał godzinę temu. Podobno do mnie. Mieszkamy parę minut drogi autem stąd!

Jagoda zamarła, a zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Szybko wydobyła z kieszeni własną komórkę i wybrała odpowiedni numer, ale Sonia miała rację: telefon Antoniego był wyłączony.

Albo już zniszczony.

– Jaga – jęknęła Sonia i podparła się o ścianę, jakby nie miała sił, by utrzymać się na nogach. Musiała wyczytać z twarzy nauczycielki potwierdzenie swoich obaw. – Sądzisz, że Adrian go ma? Czy Antoni…

– Nie mów bzdur – odparła Jagoda, a jej wzrok znów uciekł w górę. Tym razem ku niebu: wciąż jeszcze jasnemu, ale… do zmroku nie pozostało więcej niż dwie, trzy godziny. W uszach wiedźmy huczało, strach mroził krew w żyłach, musiała jednak zachować spokój. – Słuchaj uważnie. Musisz zrobić kilka rzeczy. Rozumiesz mnie? Soniu?

– T…tak – wyszeptała Zawicka i powoli się wyprostowała. Była blada, na jej twarzy pojawił się wyraz paniki, ale spoglądała na Jagodę przytomnym wzrokiem.

– Po pierwsze, pobiegniesz do gabinetu mojej babki i powiesz jej, co podejrzewamy. Powiedz, że proszę o wszelką pomoc, jakiej może udzielić… i uregulуję rachunki. Potem zadzwonisz do WMM.

– Ale jeśli oni…

– Nawet jeżeli ktoś pracuje z Adrianem, to nie wszyscy. Najwyżej pojedyncze osoby i większość pewnie nawet nie wie, że wspiera demona. Musisz zgłosić zaginięcie. Później zadzwoń na wszelki wypadek bezpośrednio do Krystiana, przekaż mu to samo. Powiadom rodziców. Niech też zrobią, co mogą. Zajmiesz się tym?

– Tak. Jasne, że tak… A ty? Czekaj, chcesz go szukać? Idę z tobą! – Sonia uczepiła się jej ramienia, mocno zaciskając palce. – Nie mów nie. Nie siedziałabyś tutaj, gdyby chodziło o twojego brata!

Nie. Nie siedziałaby. Nie siedziała: była niewiele starsza od Soni, kiedy Wawrzyniec zginął, a ona postanowiła dopaść winnych, niezależnie od ceny, jaką przyszłoby zapłacić. Jeśli mogłaby wtedy znaleźć go żywego, poruszyłaby niebo i ziemię…

Wiedziała to, ale wiedziała też, że Antoni nie chciałby, aby zabrała Sonię tam, dokąd się wybierała. Wystarczy, że naraziła jego: może gdyby nie poprosiła, by przyjechał do domu Wilczków, siedziałby bezpiecznie w rezydencji Zawickich.

– Babka sprowadzi kogoś, by odprawić rytuał poszukujący, i będą cię do tego potrzebować – odparła, chwytając dłoń Soni i zmuszając, by rozluźniła chwyt. – Pośle do waszego domu po rzeczy Antoniego, ale potrzeba też twojej krwi i magii.

– Ale…

– To największa szansa, żeby go namierzyć – ucięła Jagoda z udawaną pewnością. Tak, rytuał dawał duże szanse powodzenia. Użyli go, kiedy szukali Soni. Ale wtedy miała do dyspozycji Caleba, władającego ogromną mocą. Adrian, jeśli miał Antoniego, na pewno próbował zmylić czary lokalizujące, nie ustalą więc dokładnego położenia bez specjalisty. A zanim babka takiego ściągnie…

Dwie, trzy godziny do zmroku.

Czy Antoni miał dość czasu?

– Soniu, tracimy czas. Biegnij do mojej babki. Musi zgromadzić rzeczy potrzebne do rzucenia zaklęcia.

– A ty? – wyszeptała jeszcze dziewczyna.

– Ścigamy czarnoksiężnika – powiedziała cicho Jagoda. – Do tego potrzeba kogoś, kto jest mu równy. Aha, powiedz babce, że pożyczam jej auto.

Nie sięgnęła jednak po telefon ani nie ruszyła do garażu. Poczekała, aż jej uczennica wbiegnie po schodach, a potem trzykrotnie, głośno i wyraźnie, wymówiła imię Tadeusza. I ten pojawił się – nie jak ubożę z domu prababki, zawsze wychodzące spod jakiegoś mebla albo z ciemnego kąta, lecz wchodząc przez drzwi. Wysoki, siwowłosy mężczyzna, o którym nikt niewtajemniczony nie

powiedziałby, że jest domowikiem.

– Panienko?

– Zadbaj, żeby moja uczennica i Jeremiasz nie wyszli z domu sami, proszę – stwierdziła. Było jej zimno, tak bardzo zimno: a z powodu tych słów nowa fala lodu rozchodziła się gdzieś we wnętrznościach. Wierzyła, że każdy podejmuje własne decyzje, prawda? A teraz chciała tu zamknąć Sonię, niby nieposłuszne dziecko. Jeśli jednak Zawicka sama postanowiłaby ścigać Adriana… – Z ludźmi babki… Tak, jeśli się uprą, ale nie w pojedynkę ani we dwoje. Sprawdzaj każdego, kto miałby wejść do środka. Nie wpuszczaj więcej niż dwie obce osoby naraz. Dobrze?

– Dopóki pani Joanna nie nakaże inaczej.

Jagoda kiwnęła jedynie głową, w milczeniu przyjmując zastrzeżenie.

– Jeśli nie wrócę, powiedz Lilianie… – zawahała się. Co miałaby przekazać siostrze zza grobu? Że ją kocha? Że przeprasza? – Że miała rację. Nie umiem się powstrzymać.

***

Caleb nie odebrał, ale szybko oddzwonił, gdy Jagoda mknęła już ku miastu.

– Zmieniłaś zdanie? – rzucił bez wstępów.

– Jeśli się tam dostaniemy, Adrian nie złoży ostatniej ofiary?

Po drugiej stronie zapanowało milczenie. Jagoda przygryzła wargę, dłoń mocniej zaciskając na kierownicy. Nie była pewna, co zrobi, jeśli odpowiedź będzie brzmiała „nie”.

– Prawdopodobnie nie – powiedział w końcu Caleb. – Sądzę, że demon… nie tyle opętał jego ciało, ile go kontroluje, sam wciąż uwięziony. Jeśli bariera zniknie, a moc jeziora wygaśnie, nie będzie potrzebował ofiary.

– Uważasz, że zdołasz się przedrzeć? Nawet jeśli Adrian nie zamknie kręgu?

– To nie jest rozmowa na telefon – mruknął Blythe z wahaniem. – Jesteś gotowa mi pomóc?

– Tak.

– Nie boisz się, że uwolnię na świat stada demonów?

– Zaryzykuję.

Nie widziała innego sposobu. Czy raczej: wykorzystała i te inne, ale nie mając pojęcia, czy zadziałają, musiała spróbować pójść i tą drogą. Być może WMM albo zaklęcia lokalizujące sprawią, że Antoni zostanie odnaleziony, a Adrian powstrzymany.

Jeżeli nie, Antoni Bielecki zginie w ciągu najbliższych godzin, podziemia zaś i tak staną otworem.

– Kogo dorwał? Twoją uczennicę?

– Nie – odparła, z całym spokojem, na jaki było ją stać. – Antoniego.

Po drugiej stronie rozległo się gwizdnięcie, a Jagoda wyobraziła sobie, że wali Caleba w twarz. Była to przyjemna, choć niestety nierealna wizja.

– Jak szybko zdołasz dotrzeć na główny plac? Mogę tam być za kilkanaście minut.

Wiedźma nie odpowiedziała od razu. Mknąc ulicą, znacznie szybciej niż powinna, ramieniem przyciskając komórkę do ucha, dojrzała zaparkowany na poboczu radiowóz i policjanta z lizakiem gotowym do uniesienia.

Zdjęła nogę z gazu, choć nie po to, by się zatrzymać, a jedynie by zyskać czas na chwilę skupienia. Szybko zapleciona klątwa sięgnęła celu i mężczyzna zachwiał się, uderzył kolanami o ziemię. Jego koleżanka rzuciła się, by go podtrzymać. Lizak upadł w błoto. Jagoda przemknęła obok.

To nie było mordercze przekleństwo i miało rozwiać się po paru minutach, lecz po raz pierwszy, odkąd nauczyła się panować nad tą magią, rzuciła je na przypadkowego, niemagicznego człowieka. W innych okolicznościach może czułaby się z tym źle. Oto złamała kolejną obietnicę, którą dała sama sobie, i wykonała następny krok na drodze, jaką niegdyś przeszła pewnie Joanna Wilczek.

Teraz jednak wypełniała ją tylko ponura determinacja.

– Jaga?

– Będę za dwadzieścia minut. Pospiesz się.

***

Jagoda nie złamała po drodze wszystkich możliwych przepisów drogowych tylko dlatego, że nie straciła jeszcze do końca rozsądku i wolała nie zabić nikogo na pasach albo wskutek zderzenia czołowego. Do enklawy dotarła jednak równie szybko jak tamtej nocy, gdy wraz z Sonią pędziły do Batorego. Po drodze raz na jakiś czas zerkała w lusterko, ale nie wydawało jej się, by ktoś za nią jechał.

Główny plac nie opustoszał zupełnie, lecz ludzi i tak było znacznie mniej, niż można by się spodziewać. Okolice Halloween w magicznych miasteczkach i miejskich enklawach traktowano jak drugie Boże Narodzenie i zazwyczaj towarzyszyły im zabawy oraz zakupowy szał. Magowie Warszawy jednak albo wystraszyli się doniesień prasy, albo sami przeczuwali, że nadciąga coś złego, bo dekoracje domów, sklepów i kawiarni w tym roku zdawały się ubogie, a na ulicach z rzadka przemykali przechodnie.

Caleba jeszcze nie było. Jagoda zatrzymała się więc pod posągiem syreny, wciąż zastygłym w takiej pozie, jakby kogoś atakował.

– Mogłabyś wyrażać się jaśniej, cholerna rybo – wyszeptała wiedźma, zadzierając głowę, by spojrzeć w martwe, kamienne oczy. – Albo naprawdę złapać za miecz i pozbyć się tego demona sama, zamiast rzucać nam zagadki.

W przypływie trudnej do opanowania złości uderzyła dłonią postument. Poddała się gniewowi, tym razem z premedytacją, bo ognista furia była lepsza niż chłód strachu. Nim zdążyła powtórzyć cios, czyjeś palce zacisnęły się na jej ręku, powstrzymując manewr.

– To tylko posąg, Belladona – mruknął Caleb Blythe. – Nie rozwiąże twoich problemów.

Zamknęła dłoń w pięść, tylko na krótki moment. Zaraz rozprostowała palce, a potem ostrożnie rozluźniła rękę.

– Co planujesz? – spytała.

– Wejść do podziemi. Zabić demona – poinformował Caleb, uśmiechając się przy tym nieszczerze. – Czyżbyś już się rozmyśliła?

Być może powinna. Wątpliwości nie opuściły jej ani na moment. Blythe chciał czegoś z tych podziemi: nie wierzyła, że planował się tam dostać z czystego altruizmu lub dlatego, że był zadeklarowanym łowcą demonów. Prawdopodobnie lepiej by było, gdyby nigdy tego nie dostał. Wiele rzeczy mogło pójść źle, włącznie z zalaniem enklawy demonami.

– Nie – odparła stanowczo. – Ale chciałabym poznać plan i upewnić się, że przy jego realizacji nie zniszczymy połowy Warszawy.

– Najwyżej jedną trzecią… Nie patrz tak na mnie, żartuję – zapewnił Blythe, po czym oparł się o posąg, nie spuszczając wzroku z Jagody. – Nie próżnowałem przez ostatnie dni. Badałem okolice podziemi. Szukałem… odpowiedzi. Klątwa Adriana za mocno wplotła się w tutejsze osłony. Nawet jeśli dziś nie dokończy dzieła, prędzej czy później puszczą. Możemy zakończyć to tej nocy albo będziecie czekać, aż na Warszawę z zaskoczenia spadnie armagedon.

– Krąg się zamknie, nawet jeśli WMM złapie dziś Adriana? Zabije demona?

– Nie bądź naiwna, mała Wilcza Jagodo – stwierdził Caleb, pochylając się w jej stronę. – Nie złapią go. Jeśli nawet zginie, umrze ciało. Demon steruje Potockim, ale sam tkwi za barierami… i prawdopodobnie i tak ma innego pomocnika. Zgadniesz kogo?

– Stary Potocki.

Blythe ponownie się uśmiechnął, tym razem już z większą szczerością. Jakby był zadowolony z tego, że podała prawidłową odpowiedź.

– Wejście jest przy Trzech Wiedźm?

Tym razem chyba zdołała go zaskoczyć, bo odsunął się, marszcząc czoło. Szybko ukrył zdumienie.

– Kupił dom, niemal dosłownie, z demonem w piwnicy – powiedział w końcu. – Może nawet o tym wiedział, choćby od ostatniego właściciela. A demon, w ten czy inny sposób, zdołał się z nim skontaktować. Jeśli się nie mylę, prawdopodobnie w snach.

– Zbigniew Potocki jest opętany?

Blythe pokręcił głową.

– Cokolwiek robi, robi to z własnej woli. Zapewne na podstawie paktu. Prawdopodobnie to on posłał WMM, by pozbyli się pułapek. Może nawet zadbał, aby… odpowiednia osoba zeszła na dół.

Jagoda nie odpowiedziała od razu. Zastanawiała się, jak WMM dowiedziało się o podziemiach. Od Zbigniewa czy wbrew jego woli? Skąd Blythe tyle wiedział i czego tak naprawdę chciał? Jakie były szanse, że demon opęta któreś z nich? W jaki sposób Caleb planował pozbyć się demona? Chciała zadać te wszystkie pytania, ale nikt nie zagwarantowałby jej szczerości odpowiedzi. Poza tym nie miała czasu… i nie miał go Antoni. Słońce już znikło za wysokimi budynkami otaczającymi plac. Do zmierzchu pozostała nie więcej niż godzina.

Kiedyś, dawno temu, było ich troje. Pozostała dwójka i każde z nich poszło swoją drogą. Mimo to myśl o tym, że Bielecki też zginie, w dodatku dlatego, że nakłoniła go do opuszczenia domu, przyprawiała Jagodę niemalże o szaleństwo.

– Antoni… – Zawahała się. Przełknęła ślinę i z trudem zmusiła do wypowiedzenia kolejnych słów. – Jeszcze nie złożył go w ofierze?

– Zauważyłabyś, gdyby to zrobił, gwarantuję. Demon już byłby wolny. Nie, nie złoży ofiary przed zmrokiem.

– W takim razie mów, co mam robić.

– Żadnych pytań więcej? – zdziwił się Caleb.

– Nie. Chodźmy, zanim się rozmyślę.

Odsunął się od posągu i ruszył przez plac, a Jagoda pospieszyła w ślad za nim. Kierował się w stronę ulicy Trzech Wiedźm. Zastanawiała się, czy poprowadzi ją prosto ku kamienicy numer siedem – w takim przypadku oznaczałoby to, że popełniła fatalny w skutkach błąd. Spięła się, kiedy zbliżali się do budynku, Caleb jednak skręcił ku bramie innej kamienicy. Zatrzymał się w przejściu, na tyle niespodziewanie, że prawie na niego wpadła.

– W środku są moi… towarzysze.

Kiwnęła tylko głową, choć obecność dodatkowych osób sprawiła, że jej nieufność wzrosła. Może nie powinna jednak się dziwić. Uważała Ucznia Czarnoksiężnika za samotnika, ale chyba niesłusznie. Wspominał przecież o grupach, do których należał, i nawet on nie przełamałby starodawnych zaklęć sam.

– Zadziwia mnie, że zgodziłaś się na to dla swojego byłego – rzucił jeszcze Blythe, a w jego ton wkradło się szyderstwo. – Ile to już? Pięć, sześć lat? Nie pora się wyleczyć?

Jesteś kretynem, pomyślała. Przed wypowiedzeniem tych słów głośno powstrzymywało ją jedynie to, że to był najgorszy możliwy moment na wdanie się w kłótnię. Tym razem nie poddała się gniewowi: stłumiła ukłucie złości, jak robiła to wiele razy wcześniej. Nie musiała szukać dobrej odpowiedzi. Udzieliła jej przecież Soni już kilka miesięcy wcześniej.

– Nie robię tego dla człowieka, którego kiedyś kochałam, ale dla przyjaciela, który przez kilkanaście lat był częścią mojego życia i który nigdy potem nie odmówił mi pomocy, kiedy o nią poprosiłam – odparła beznamiętnie. – I tak nie zrozumiesz.

– Nie – przyznał Caleb. Obrócił się na pięcie, pchnął starą, drewnianą bramę, rozpraszając jednocześnie zaklęcia ochronne.

Przeszli przez niewielkie, zaniedbane podwórko, łudząco przypominające dziedzińce starych kamienic w niemagicznych miastach, a potem weszli do budynku. Jagoda przystanęła w progu, chyba podświadomie wciąż się spodziewając, że w środku czeka pułapka.

– Wejdź wreszcie – zniecierpliwił się Blythe, po czym zatrzasnął za nią drzwi.

Mieszkanie spowijała taka ilość magii, że nie potrafiła wyodrębnić pojedynczych zaklęć. Jedno niewielkie okno wychodzące na podwórze nie wystarczało, aby dobrze je oświetlić. W słabym, gasnącym blasku dnia dostrzegła stare meble, pośród których porozrzucano ubrania, torby, sprzęt podobny do tego, którym posługiwało się WMM, notatki i laptopy. W środku znajdowały się też trzy osoby. Blady, niski mężczyzna i potężnie zbudowany blondyn podnieśli się na jej widok. Śliczna dziewczyna o azjatyckich rysach, siedząca na zdezelowanej kanapie z laptopem na kolanach, jedynie na moment uniosła spojrzenie. Wydała się Jagodzie znajoma. Nikt nie wyglądał na zaskoczonego pojawieniem się obcej kobiety. Wiedźma zastanowiła się, czy Caleb uprzedził ich, zanim po nią

poszedł… czy może już od dawna się spodziewał, że prędzej czy później Jagoda ulegnie.

– Marek, Evan, Maya – przedstawił ich krótko. – Evan i Maya nie mówią po polsku. *This is* Jagoda Wilczek… Belladona. *I told you about her*.

Marek spoglądał na nią spode łba, Evan kiwnął głową. Maya prychnęła i mruknęła coś w języku, którego Jagoda nie znała. Wiedźma mogła się tylko domyślać, że był to komentarz na jej temat. Caleb odpowiedział krótko, ostrym tonem. Dziewczyna rzuciła mu złe spojrzenie, a potem zatrzasnęła laptopa i wstała.

– Evan jest demonologiem. Marek specjalistą od zabezpieczeń. Maya to mag bojowy – wyrecytował Blythe. – Masz jakieś ochronne amulety?

– Jeden. Nie potrzebuję kolejnych – zapewniła.

Przyjęcie zaklętego przedmiotu o niewiadomym działaniu od osób, których nie znała i którym nie ufała, byłoby niemal równie głupie jak to, że w ogóle tutaj przyszła. Caleb spojrzał na nią z niezadowoleniem, ale zaraz wzruszył ramionami.

– Właściwie i tak masz tylko otworzyć przejście – stwierdził. – *Are you ready?*

– *One moment* – rzucił Marek i znikł za drzwiami sąsiedniego pomieszczenia.

Evan przerzucił sobie przez ramię niedużą torbę i kiwnął głową. Maya stała w milczeniu, z rękami splecionymi na klatce piersiowej. Nie wyglądała na maga bojowego: dużo niższa od Jagody, a choć ubrana w zwykłe jeansy i bluzę, była umalowana, starannie uczesana, z paznokciami pociągniętymi czerwonym lakierem. Mogłaby spokojnie iść do klubu, a nie do podziemi pełnych demonów. Pozory w tym przypadku jednak nie tylko mogły mylić, ale myliły na pewno. Wilczek nie wierzyła, że Blythe zabierałby ze sobą kogoś, kto nie wie, co robi. Zwłaszcza jeśli zamierzał walczyć z demonem z tak niewielką kompanią.

– Jak chcesz się tam dostać? – spytała. – Pod siódemką na pewno są ludzie Potockiego.

– Tak, na piętrze. Na całe szczęście możemy przedostać się dołem i wejść od razu do korytarza – skwitował Caleb, po czym ruszył za Markiem. W progu mężczyźni wymienili kilka zdań przyciszonymi głosami. Jagoda ugryzła się w język, żeby nie spytać o to, czy nie pozostawiono tam jakichś zabezpieczeń. Zapewne zostawiono. Prawdopodobnie Marek albo już je zdjął, albo miał to zrobić.

Czekała z boku, w milczeniu, kiedy pozostała czwórka wymieniała cicho ostatnie uwagi. Obserwowała ich ukradkiem: zdawali się dobrze znać i poza Calebem, noszącym tylko jeden medalion, każdy miał przynajmniej kilka ochronnych amuletów. Bez wątpienia wartych duże pieniądze. Zdawało jej się, że minęły całe wieki, nim wreszcie wyszli na korytarz, a potem skierowali się schodami ku piwnicy. Blythe położył palec na ustach i przeszedł przez jedną ze ścian wilgotnego, niewielkiego pomieszczenia. Iluzja, nie tylko doskonale rzucona, ale też po mistrzowsku zamaskowana: Jagoda, bardzo dobrze radząca sobie z wyczuwaniem magii, nie zorientowała się, że w murze ukryto niewielką dziurę.

Przestąpiła przez nią i trafiła do kolejnej piwnicy. Nie widziała wiele, bo jedynym źródłem światła były teraz świecące błękitne kamyki na sznurkach, które Blythe i Marek owinęli sobie wokół nadgarstków. Tu czuła już magię, zaklęcia ochronne, silne, ale… nie do końca sprawne. Naruszone. Może przez Marka, może już wcześniej przez WMM lub Czarneckiego.

Przeszli do kolejnego pomieszczenia, a potem, za kolejną iluzją, już znacznie gorzej ukrytą, najpierw krętymi schodami i wreszcie przez dziurę w podłodze do następnego przejścia. Na jego końcu znajdował się otwór, od którego Jagoda wyczuwała aurę potężnych, lecz już nieaktywnych zaklęć. Wiedźmę nawiedziła myśl, że te podziemia teraz nie tyle odkryto, ile w jakiś sposób ujawniono ich istnienie. Budynki musiały powstać nad wejściem do lochów – i kto wie, być może nawet poprzedni właściciele o podziemiach wiedzieli. A może tylko wygasła magia, która je skrywała?

Korytarz, do którego wreszcie się dostali, kojarzył się Jagodzie z tunelami górniczymi – wąski, ciemny, wilgotny. Ciągnął się w obie strony, Caleb i jego towarzysze prawdopodobnie więc wybili do niego własne przejście, również zamaskowane. Tuż przy otworze na ziemi dostrzegła kości. Zapewne ludzkie, otoczone resztkami magii: być może byli to ci nieumarli, których pozbyło się WMM.

Przeszli przez pustą grotę, pokrytą zamazanymi rysunkami. Ledwo kilkanaście metrów dalej pełno było kamieni, a sufit sprawiał wrażenie naruszonego. Tutaj musiało dojść do zawału. Po paru

następnych metrach Caleb się zatrzymał – uniósł dłoń i uderzył o powietrze. Niewidzialna bariera.

– Musisz ją przełamać.

– Co? – spytała zdezorientowana Jagoda, podchodząc bliżej.

W barierze pulsowała magia. Znajoma, jednak nie dlatego, że miała coś wspólnego z mocą Jagody, tylko dlatego, że bardzo przypominała zewnętrzne osłony enklawy. Była starsza, nieumacniana wielokrotnie, wciąż jednak potężna. Wiedźma skupiła się, poszukując w pobliżu oznak przekleństwa, które mogłoby ich trafić… i niczego nie znalazła.

– Caleb, tutaj nie ma żadnej klątwy. Potrafię przełamać ochronne zaklęcie, ale tylko mało skomplikowane. To takie nie jest.

Gdzieś za nią Maya prychnęła cicho. Może jednak rozumiała coś po polsku. Ewentualnie domyślała się, co powiedziała Jagoda.

– Nie. To samo serce pierwotnych osłon enklawy. Ich korzeń – odparł Caleb cicho, wodząc palcami po niewidzialnej powierzchni. – Jest tutaj klątwa, Jagoda.

– Nie, nie ma.

– Nie rozczarowuj mnie. Skup się.

Syknęła ze złości, ale ponownie spróbowała coś wyczuć. Było tu jakieś echo, ale wyglądało na to, że przekleństwo zdjęto, i to już jakiś czas temu. Może zrobił to Caleb, może jeszcze Adrian…

– Szukaj tutaj.

Blythe sięgnął po jej dłoń i uniósł ją, zmusił do dotknięcia bariery. Jagoda szerzej otworzyła oczy, kiedy wreszcie zrozumiała, o czym mówił. Gwałtownie wyrwała rękę i cofnęła się, prawie wpadając na stojącego tuż za nią Marka.

Bo istotnie, klątwa tu była, dobrze ukryta, potężna. Nie stara, lecz nowa. Nie skierowana przeciwko intruzom, lecz samym osłonom. Biegła tutaj od ich krawędzi, tysiące, setki tysięcy nici zbiegających się w jednym, centralnym punkcie. Emanowała czarną magią, aurą śmierci i cierpienia. Jagoda przez moment prawie czuła zapach krwi, jaką przelano, by utkać to przekleństwo.

„Musisz ją przełamać”.

Nie o klątwie mówił.

– Nie.

– Sama tutaj przyszłaś – powiedział Caleb cicho, łagodnym tonem, ale wiedźma była niemal pewna, że jest to groźba. Tkwiła sama, w ciemnościach, z nim i jego ludźmi.

– Żeby zdjąć klątwę! A nie żeby dokończyć tę, którą rzucał Adrian.

– Otworzyć nam drogę – sprostował Blythe. – Wiesz, jak to zrobić. Widziałaś w wizji, jak ją rzucał.

– Nie – powtórzyła ostro, starając się nie dopuścić do siebie strachu. Bała się już wcześniej. O Antoniego, o rodzinę, o to, czy nie idzie w pułapkę albo czy nie zawiedzie, albo czy nie wypuści demonów na świat. Teraz… bała się tego, co zrobią, żeby zmusić ją do współpracy. – Możesz poderżnąć mi tu gardło, ale nie będę rzucać czarnomagicznych klątw. Nawiasem mówiąc, żebym mogła to zrobić, faktycznie trzeba by poderżnąć komuś gardło!

Evan spytał o coś cicho, Marek pochylił się, zapewne by przełożyć mu wypowiadane słowa. Nie zwracała na to uwagi. Blythe znów sięgnął po jej ręce i mocno zacisnął palce, zmuszając ją, by przestała się cofać.

– Nie, nie musisz. Klątwa jest już prawie ukończona, jesteśmy u jej źródeł, ja dostarczę ci energii. Możesz ją zmienić i sprawić, że uderzy tylko w to miejsce, nie zniszczy osłon nad enklawą. Pozbawi magii jedynie jaskinię. Jeśli ktoś potrafi to zrobić, to ty. Nie potrzebujesz ofiary krwi, za to Adrian tak, a na zewnątrz już zmierzcha. Wolisz, żeby on dokończył dzieła? Ukształtuj tę magię, Wilcza Jagodo.

Przygryzła wargę, mocno, niemal ją rozrywając zębami.

Co ja najlepszego narobiłam? – pomyślała, żałując, że tutaj przyszła. Że nie pojechała od razu szukać Mariusza Olchy. Być może zdołałaby do niego dotrzeć. W głowie tłukło się jej, że może Antoniego już uratowano, że Potocki został pojmany… że wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko zostawiła to miejsce w spokoju. Ale czy mogła się teraz wycofać? Nawet jeśli Caleb i jego ludzie by na to pozwolili, nie miała przecież pewności, czy Adrian zaraz nie dokończy dzieła. A jeżeli Czarnecki

zawarł pakt z demonem? Może i tak znajdzie jakiś sposób, żeby się tu dostać?

Tylko być może tym sposobem byli oni.

Nie pozwólcie, by zamknął krąg, powiedziała syrena.

Może miała to być przestroga dla samej Jagody. Dotycząca tej konkretnej chwili. Może dlatego posąg przemówił do Soni.

Zacisnęła usta i uniosła na Caleba uparte spojrzenie.

– Przyjrzyj się tej klątwie – powiedział Blythe. Musiał wyczytać w twarzy wiedźmy, że odpowiedź będzie brzmiała „nie" i będzie tak brzmieć ciągle, nieważne, czy zagrozi jej śmiercią. Pociągnął ją i pchnął ku barierze. – Sądzisz, że można ją tak po prostu zostawić?

Niechętnie uniosła ręce, trochę by zyskać na czasie, a trochę dlatego, że znów nawiedziły ją wątpliwości. Tym razem sięgnęła ku ciemnym niciom i nie wycofała się od razu, choć mogłaby przysiąc, że nie tylko ponownie jej nozdrza wypełnił zapach krwi, ale też że poczuła jej smak w ustach. Badała nici ostrożnie, a kiedy wreszcie opuściła dłonie, nie była pewna, czy powinna rozpaczać, czy odczuwać ulgę. Bo wybór nie do końca należał już do niej. Caleb nie kłamał, przynajmniej nie w tym wypadku. Przekleństwo za mocno wplotło się w osnowę bariery. Próba jego zdjęcia oznaczała ryzyko zniszczenia nie tylko osłony w tym miejscu, ale też nad całą enklawą. A jeśli klątwa wyżerająca powoli magię by tu została…

Może osłabiłaby barierę tutaj.

Może by się rozproszyła. Zniszczyła fragmenty osłon w miejscach, w których pierwotnie odprawiono rytuały, ujawniając istnienie enklawy światu albo unicestwiając jej części. To byłoby jeszcze gorsze niż szalejący w okolicy demon. Łatwiej byłoby walczyć z demonem, niż poradzić sobie z utratą wszystkich osłon.

Nie pozwólcie, by zamknął krąg…

– Jeżeli demon się uwolni, nie zdołam go powstrzymać.

– Magia jeszcze trzyma go w środku. Zanim się wyrwie, będzie najsłabszy. Potem nikt go już nie powstrzyma.

Jagoda odetchnęła.

Nie pozwólcie, by zamknął krąg…

Nie pozwoli.

Sama go zamknie.

– Jeśli wezmę do tego energię od ciebie, mogę cię przy tym zabić.

– Mam bardzo dużo energii – oświadczył Caleb ze spokojem.

Sięgnął do medalionu, uaktywniając go, i podał rękę Jagodzie. Wiedźma zacisnęła palce na jego zimnej dłoni, drugą ręką zaś dotknęła bariery. A potem chwyciła nici klątwy i zaczęła je wzmacniać, zaplatać. Miała wrażenie, że czerń oblepia barierę, ale i ją samą, tak jak wtedy, w Batorym. Tym razem jednak nie mordercza, lecz posłuszna jej woli.

Nie była pewna, ile to trwało. Prawdopodobnie długo, bo kiedy skończyła, była nie tylko zmęczona, lecz także przemarznięta, bolała ją ręka, którą trzymała uniesioną, a dłoń ściskana przez Caleba zesztywniała. Nie pozostało jej dużo mocy, amulet Blythe'a obrócił się w proch, lecz sam Uczeń Czarnoksiężnika nie wydawał się zmęczony. Naprawdę miał bardzo dużo energii, więcej niż powinien mieć jeden mag, nieważne, jak potężny. Jagodzie brakowało jednak siły, aby się nad tym zastanawiać. Bariera się rozprysła: mimo to pozostałości klątwy wciąż unosiły się w powietrzu. Wiedźma pomyślała półprzytomnie, że jeżeli przeżyją, będzie musiała je potem usunąć, by nie wplotły się w inne części osłon enklawy.

– Lepiej tutaj zostań – polecił Caleb, kiedy osunęła się powoli, by usiąść na ziemi. Z trudem łapała oddech. Blythe, Maya, Evan i Marek przeszli obok niej kolejno, by po chwili zniknąć w ciemności. Przynajmniej nie planowali jej zabijać.

Na razie.

Zdołała się podnieść dopiero po chwili. Jej rezerwy magiczne były niskie, ale na całe szczęście nie zerowe. Osłabienie wynikało nie tylko z ich obniżenia, lecz także z wysiłku. Powlekła się z powrotem, na tyle daleko, by telefon złapał sygnał i posłał kilka identycznych wiadomości. Kusiło ją,

by wyjść. To nawet nie byłaby ucieczka: to byłoby wybranie najrozsądniejszej opcji. Ale po raz kolejny Jagoda nie posłuchała głosu rozsądku. Zamiast w górę, ruszyła ponownie w mrok podziemi.

Wszystko, co wiedziała o prababce, sprawiało, że nie chciała być do niej podobna. Miały jednak ze sobą wiele wspólnego i to była jedna z tych rzeczy: Jagoda Wilczek, podobnie jak jej prababka Joanna, uważała, że trzeba ponosić konsekwencje swoich poczynań. To ona, wbrew ostrzeżeniom syreny, zamknęła krąg i teraz musiała się przekonać, do czego doprowadziła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

TARGI Z CZARNOKSIĘŻNIKIEM

Jagoda ostrożnie szła w ciemnościach, przesuwając się wzdłuż ściany. Mogła przyświecić sobie latarką w telefonie, ale nie chciała zdradzać swojej obecności, zresztą w razie niebezpieczeństwa i tak musiałaby go odrzucić, żeby użyć magii. Pozwalała więc oczom przywyknąć do mroku. Odkąd przekroczyła granicę wytyczoną wcześniej przez barierę, czuła moc promieniującą gdzieś z oddali, tak silną, że aż przytłaczającą, przyprawiającą o nieprzyjemne pulsowanie w głowie. Poza tą magią były jeszcze nici klątwy… i Jagoda po drodze chwytała je, zwijała wokół siebie. Ich widmowy dotyk napełniał ją nieprzyjemnym chłodem, ale teraz należały do niej i były najlepszą i najbardziej morderczą bronią, po jaką mogła sięgnąć.

Zdawało się jej, że korytarz nigdy się nie skończy. Był wąski, wilgotny i mogłaby przysiąc, że z każdym pokonanym metrem coraz trudniej w nim oddychać. Gdzieś w oddali kapała woda. Zastanawiała się, ile czasu minęło – i czy gdy dotrze do końca tunelu, nie okaże się, że Uczeń Czarnoksiężnika i reszta już pokonali demona… albo zginęli. Próbowała o tym nie myśleć, nie mogła jednak odsunąć od siebie lęku. Bała się tego, co zastanie na końcu drogi. Lękała się o Antoniego, i – choć wiedziała, że nie powinna – nawet o Caleba. Powtarzała sobie, że przygotował się do tego starcia, a jeżeli ktoś miał szansę w takiej walce, to właśnie on. Nie pomagało to jednak w złagodzeniu niepokoju. Nie chciała ani żeby zginął, ani by demon, który go pokona, przedostał się do Warszawy. Ale nie była też pewna, czy chce, aby Blythe znalazł to, czego tu szukał.

Gdzieś przed sobą, już całkiem blisko, nie tylko wyczuwała magię – zbyt wiele, aby rozróżnić jej rodzaje – lecz także słyszała krzyki. Podniesiony głos Caleba wydającego polecenia po angielsku. Przynajmniej jeszcze żyli, było jednak za wcześnie, aby odczuwać ulgę. Jagoda przyspieszyła, tylko po to, aby chwilę później gwałtownie wyhamować. Tunel kończył się wąską ścieżką, dobre kilka metrów nad ziemią, a raczej nad wodą. Woda wypełniała część podziemia, może tylko stała na dnie, może rozlewała się w jezioro – światło było za słabe, aby wiedźma mogła to ocenić. Nie widziała całego pomieszczenia: jego krańce ginęły w mroku. Przypominało raczej ogromną jaskinię, pełną skał, wody i przedziwnej magii, niż dzieło człowieka. Mogła jednak dostrzec Caleba i jego przyjaciół, bo znajdowali się kilkanaście metrów od niej, w suchej części jaskini, w jedynym jej dobrze oświetlonym punkcie.

Demonolog Evan klęczał w centrum trójkąta, którego wierzchołki tworzyli Caleb, Marek i Maya. Pochylał się, kreśląc na ziemi znaki. Półprzezroczysta bariera, zapewne dzieło Marka, otaczała ich wszystkich, a Caleb i Maya raz po raz rzucali zaklęcia… Jagoda z początku nie pojmowała, z czym próbują walczyć, zdała sobie jednak zaraz sprawę, że na samej granicy wyczarowanego światła kłębi się ciemność, zaskakująco gęsta. Raz po raz bariera iskrzyła, jakby coś przypuszczało na nią ataki. W miejscach uderzeń światło zanikało i zdawało się, że ciemność tam na krótką chwilę przyjmuje kształt, który rozmywał się jednak, nim zdążyło trafić go któreś z zaklęć Caleba lub Mai. Marek w pewnym momencie opadł na kolana i choć spróbował się podnieść – nie zdołał. Azjatka ciskała czary tak szybko, że powietrze wokół niej aż iskrzyło, a magiczny zmysł Jagody dostrzegał setki barwnych rozbłysków, pozostałości po zaklęciach. Echa mocy uwolnionej przez Blythe'a mieszały się z magią przenikającą jaskinię.

Wiedźma wciąż tkwiła przy wejściu, ukrywana przez skały. To była jedna z tych chwil, w których nie potrafiła zdecydować, co robić. Jak miała zaatakować coś, czego nie widziała i czego magia zdawała się wypełniać całą jaskinię? Tamta czwórka zdołała schronić się w kręgu, ona jednak nie miała takiej osłony i podejrzewała, że zginie, gdy tylko ujawni swoją obecność. W głowie jej huczało i z trudem zbierała myśli.

Decyzja, czy zostać, czy biec po pomoc, została podjęta za nią. Ziemia zaczęła się trząść, ze sklepienia posypały się pył oraz mniejsze i większe kamienie. Marek krzyknął i przewrócił się, chyba stracił przytomność, bo bariera zamigotała. Jagoda nie zdążyła się przekonać, czy zgasła i co spotkało towarzyszy Caleba. Grunt umknął jej spod nóg i wraz z kolejnym wstrząsem poleciała w dół.

Spodziewała się uderzenia o ziemię. Otoczyła ją jednak woda, lodowato zimna, dziwnie gęsta. Uderzyła o coś głową i na ułamek sekundy ją zamroczyło, a ciecz wdarła się do ust i nosa. Ciężar ubrania ciągnął ją w dół, a jej ruchy, gdy próbowała wypłynąć, były powolne i niezgrabne. Spanikowana Jagoda myślała tylko o jednym: utonie tutaj. Wtedy jednak coś pochwyciło ją w pasie i pociągnęło w górę.

Gdy się wynurzyła, zaczerpnęła powietrza i zaniosła się kaszlem. Po omacku chwyciła się

kamieni, próbując utrzymać się na powierzchni. Gdzieś słyszała krzyki, ale nie pojmowała ich znaczenia. Zamrugała, by dostrzec, co wyciągnęło ją z wody. W półmroku zobaczyła postać i coś dziwnego, wijącego się, co wcześniej obejmowało jej talię, a teraz puściło.

Później rozbrzmiał śpiew.

Pozbawiony słów, nie przypominał czegokolwiek, co Jagoda słyszała w życiu. Nie był to ludzki głos. W pierwszej chwili zamarła i dopiero gdy jej głowa znów się znalazła pod powierzchnią, przyszło otrzeźwienie. Wynurzyła się, plując wodą, i podciągnęła. Zahaczyła o ostry kamień, rozdarła spodnie i skórę na nodze, zdołała jednak wydostać się na skalisty brzeg.

Marek leżał na ziemi tam, gdzie wcześniej upadł. Evan klęczał, ale nie rysował już, lecz spoglądał w stronę, z której dobiegał śpiew, podobnie jak Caleb, nieruchomy, nierzucający już żadnych zaklęć. Maya, jedyna w pełni przytomna, powtarzała ich imiona, zaplatając jakieś zaklęcie. Otaczająca grupkę bariera znikła.

Ciemność już ich jednak nie atakowała. Czy nabrała kształtu, czy dopiero teraz Jagoda zdołała więcej dostrzec, ale w kłębowisku cieni dopatrzyła się zarysu czegoś, co wyglądało jak wiele łbów i kończyn. Kształt zwrócił się w ich stronę, próbował ruszyć ku wodzie, ale zdawało się, że coś w pieśni syreny powstrzymuje go, utrudnia ruch. Szarpał się, jakby próbował się od czegoś uwolnić.

W pobliżu wejścia rozjarzył się ogień, a kula ognia pofrunęła prosto ku syrenie. Ta zanurkowała, kryjąc się pod wodą, ale pieśń umilkła. Demon runął ku jezioru. Dźwięk, który z siebie wydał, był za niski, aby Jagoda mogła go usłyszeć, lecz zawibrował jej w uszach, kiedy rzucała się pomiędzy skały.

Zniknęli pod wodą oboje, demon i syrena. Caleb i Evan się ocknęli: Blythe pędem ruszył nad brzeg jeziora, wykrzykując słowa zaklęcia, demonolog znów pochylił się nad znakami. Maya wykrzyczała ostatnie słowa inkantacji, a między jej dłońmi uformowała się kula światła. Blask wypełnił całą jaskinię, na moment oślepił Jagodę. Zacisnęła powieki i otworzyła je dopiero po chwili, osłaniając oczy przedramieniem. W grocie było jasno jak w dzień. Demon, który chyba chciał się wynurzyć z wody, znów znikł pod powierzchnią, jakby umykał przed światłem. Caleb uniósł dłonie i zakończył jakąś inkantację. Jagoda nie wiedziała, jakie zaklęcie rzucił, ale wyczuwała, że było potężne. Wokół Evana też narastała magia: cokolwiek przygotowywał, to również było coś cholernie silnego.

Pod wpływem mocy Blythe'a woda zaczęła wirować coraz szybciej i szybciej. Unosiła się powoli. Wyprysnęły z niej ciemne macki, bardzo podobne do tej, która schwyciła Jagodę w labiryncie. Z palców Caleba tym razem wystrzelił ogień, spopielając je, a czarnoksiężnik pochylił się, zachwiał, jakby wysiłek zaczynał przekraczać jego siły. Gdzieś z góry pofrunęła ku niemu klątwa: Jagoda pochwyciła ją i rozbiła, natychmiast rozpoznając magiczny wzór. Zadarła głowę.

Adrian.

Siedział na krawędzi skał, skulony, z głową wepchniętą między kolana, jakby chciał ochronić się przed światłem, jakby to ono go raniło. Mimo to próbował ściągnąć pozostałości po przekleństwie rzuconym na osłony i ponownie je uformować. Jagoda odruchowo ku nim sięgnęła. Nie spodziewała się takiego oporu: odczuła go wręcz fizycznie, tak że zaryła kolanami w ziemię. Nie puściła jednak, chwyciła jedynie mocniej. Adriana wspierał demon, ale teraz przekleństwo należało do niej, a ona była wściekła, straszliwie wściekła: za te wszystkie niepotrzebne śmierci, za puste oczy małego dziecka złożonego w ofierze, za zdradzone zaufanie Miłosza. Za Adriana, który stał się maskotką w rękach demona, za łzy Liliany, za Antoniego, za obawy Soni, własny strach i poczucie bezradności, gdy w Batorym zrozumiała, że użyła za dużo magii, że przegrywa. I ta wściekłość dodawała jej siły.

Przypominało to przeciąganie liny: tylko tym razem przegrany nie miał runąć w błoto, lecz w przepaść. Wiedźma klęczała, mocno zaciskając powieki, zbyt skupiona na tej walce, by docierało do niej, co dokładnie działo się w jaskini. Adrian zaś nie mógł wesprzeć swojego pana, gdyż próbował stawić czoła Jagodzie.

Huczało jej w głowie, nadmiar magii napierał na zmysły. Nie była pewna, czy i jak długo zdoła powstrzymywać Potockiego. A musiała to zrobić: pamiętała, co mówił Caleb. W chwili, w której Adrian powróci do demona, ten stanie się niemal nie do powstrzymania. Blythe, jego towarzysze, nawet syrena, nie zdołają go wtedy pokonać. Nie mogła przegrać. Bo jeśli przegra, to nie tylko ona zginie, ale też uwolni się ten stwór, który zacznie siać spustoszenie w enklawie. Być może dopadnie jej znajomych.

Może nawet rodzinę.

Wciąż miała te nici, które zdążyła zgromadzić wcześniej. Gdy pojęła, że nie da rady toczyć tej walki w nieskończoność i prawdopodobnie prędzej czy później straci przytomność, sięgnęła ku nim… Skierowała je przeciwko Adrianowi. Wplotły się w aurę czarodzieja szybko, mordercze i zachłanne. Oplotły swego dawnego pana w taki sam sposób, jak wcześniej Jagodę w szpitalu Batorego: wyciągając z niego magię i siły. Adrian nie walczył już o uwolnienie się i zaplecenie klątwy, próbował tylko ją z siebie zdjąć. Jagoda zaś bezlitośnie wzmacniała przekleństwo własną mocą, co uniemożliwiało Potockiemu wyrwanie się spod jego wpływu.

A potem…

Huknęło. Ziemia ponownie zadrżała, w oddali rozległ się łoskot świadczący o tym, że gdzieś w podziemiach coś się zawaliło. Woda chlupnęła, rozprysła się, zalała Jagodę. Światło na moment zgasło, pozostawiając ich w ciemnościach. Ktoś zaraz przywołał je znowu, tym razem znacznie słabsze. Kiedy Jagoda dźwignęła się powoli na nogi, nie czuła już demonicznej aury. Bez względu na to, czy zrobiła to syrena, czy Caleb, czy demonolog, czy może jej własna klątwa, która z Adriana przeniosła się ku demonowi – istota została unicestwiona.

Blythe stał na brzegu i przeklinał. Evan, z trudem powłócząc nogami, dołączył do niego. Maya pochyliła się nad Markiem, by go docucić. Woda znów była spokojna. Mieniła się w magicznym blasku zielenią i błękitem, zdawało się, że coś błyska pod jej powierzchnią. A Adrian… leżał na samym brzegu jeziorka, gdzie musiał spaść, kiedy trafiła go klątwa. Ciemne nici wciąż jeszcze go oplatały. Jagoda ruszyła w jego stronę. Nogi jej drżały, twarz pokrywała krew, która pociekła jej z nosa. Włosy i ubranie miała mokre i czuła się, jakby zaraz miała zamarznąć. Rozbite kolano i tył głowy, obity albo rozcięty przy upadku, piekły żywym ogniem. Mimo to dotarła do Adriana i przystanęła jakiś metr od niego.

Zwrócił ku niej twarz, a jego usta się poruszyły. Nie zdołał wypowiedzieć słów, z ruchu warg odczytała jednak własne imię. Oczy Adriana znów były brązowe. Znikła czerń, pochłaniająca wcześniej tęczówki i białka.

Jagoda przypadła do niego jednym skokiem. Zacisnęła dłonie na ramieniu mężczyzny, zabierając się za niszczenie klątwy, która wciąż wysysała z niego siły. Lekceważyła szum narastający w uszach, drżenie rąk wywołane chłodem i zmęczeniem. Cichy głosik w głowie podpowiadał, że już za późno na ratunek. Za wiele nici skierowała przeciwko niemu. Za mocno wplotły się w aurę, już wcześniej odmienioną, bo teraz sprawiała wrażenie poszarpanej, jakby coś rozerwało ją szponami. Z bliska wiedźma mogła dostrzec, że Adrian, choć jego oczy znów wyglądały normalnie, nie przypominał już dawnego siebie. Twarz miał wychudłą, poszarzałą, skóra ciasno opinała kości, jak u człowieka ciężko chorego lub od dawna głodzonego. Zaklęcie, jej klątwa, mogłoby z łatwością zabić zdrowego, silnego mężczyznę. Adrian w takim stanie nie mógł tego przeżyć. Wiedział chyba o tym, bo z trudem uniósł rękę i zacisnął kościste, poszarzałe na czubkach palce na jej nadgarstku.

Coś ścisnęło Jagodę za gardło. Wypuściła klątwę, zaprzestając walki z nią, a potem ujęła dłoń Adriana. Przez ułamek sekundy chciała przeprosić… ale jej „przepraszam” niczego by nie zmieniło i nie powinna prosić o wybaczenie kogoś, kogo zabiła. Zwłaszcza że gdyby mogła cofnąć czas, postąpiłaby dokładnie tak samo. Musiała go powstrzymać. A teraz będzie musiała poradzić sobie z tym, co zrobiła: bo jeżeli Caleb mówił prawdę, Adrian prawdopodobnie był tylko jeszcze jedną ofiarą.

– Antoni żyje? – wyszeptała, choć to było może jeszcze gorsze niż „przepraszam”.

– Jeszcze – odparł, tak cicho, że musiała się pochylić, by dosłyszeć. Chciała spytać, gdzie jest, ale uścisk Potockiego osłabł, a jego powieki opadły. Nie zdołałby już odpowiedzieć.

– To nie była twoja wina – szepnęła więc tylko, pochylając się jeszcze niżej, do jego ucha, choć nie miała pewności, czy ją usłyszał. Dłoń Adriana zwiotczała w jej uścisku, oddech, i tak słaby, ustał.

Jagoda wiedziała, że powinna wstać. Demon odszedł. Adrian zginął. To nie znaczyło jednak, że sprawa się zakończyła. Byli przecież Zbigniew Potocki i Antoni, który „jeszcze” żył. Mimo to trwała przy ciele dłużej niż należało, zbyt wyczerpana i fizycznie, i psychicznie, by od razu znaleźć w sobie dość sił na działanie. Ogarnęło ją odrętwienie, jakby już nie tylko ruch, lecz i odczuwanie jakichkolwiek emocji wymagało za wiele energii. Nawet strach odszedł. Tkwiła więc tak w bezruchu długie minuty, aż obok przykucnął Caleb. To on sięgnął ku jej dłoni i zmusił, aby wypuściła rękę Adriana, po czym zarzucił

własny płaszcz na ramiona przemoczonej wiedźmy.

– Demon? – spytała, obracając się w jego stronę.

– Związaliśmy go, a syrena i, jak sądzę, twoja klątwa, którą dostał rykoszetem, dokończyły dzieła.

– Dlaczego teraz?

– Prawdopodobnie nie mogła nic zrobić, póki istniała bariera – stwierdził Blythe, wzruszając ramionami. – Albo wiedziała, że nie poradzi sobie sama. Włączyła się, kiedy Evan prawie ukończył wiązanie.

Nie wydawał się zadowolony z tej pomocy. Coś w jego tonie i wyrazie twarzy nasunęło Jagodzie myśl, że Caleb jest wściekły. Gdyby potrafiła teraz cokolwiek poczuć, pewnie byłaby to ulga. Blythe nie dostał tego, co chciał tutaj zdobyć.

– Musimy się stąd wynosić. Dasz radę iść? – spytał sucho.

Chciał wstać, ale Jagoda chwyciła go za rękaw i przytrzymała. Spojrzał na nią zniecierpliwiony, nie wyrywał się jednak.

– Mam nadzieję, że nie chcesz prosić, żebym zabrał jego ciało?

Powinna. O bogowie, powinna, ale pomyślała o tym dopiero po pytaniu Caleba. Spojrzała znów na Adriana, na jego wychudłą, pozbawioną barw twarz. Nie godziło się, aby tutaj leżał, by jego ciało obróciło się w proch w miejscu, które kiedyś może było źródłem mocy i sercem magicznego grodu, ale później stało się leżem demona.

Dwie prośby to byłoby jednak zbyt wiele, a ona musiała myśleć o żywych.

– Antoni – wykrztusiła. – Powiedział, że żyje.

– W takim razie niech szuka go WMM – odparł Caleb ostro. Chwycił Jagodę i zmusił, by wstała wraz z nim. Zaraz jednak westchnął i kolejne słowa wypowiedział już łagodniej. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni, straciłem dużo energii, a muszę tu coś jeszcze zrobić. Olcha na pewno próbuje go znaleźć. Skoro Adrian jest tutaj, Antoniemu nic nie będzie. Nie jesteś ranna?

Odsunął ją na długość ramienia, zmierzył spojrzeniem, jakby szukał obrażeń. Na dłuższą chwilę zawiesił wzrok na pokrwawionej nodze. Skrzywił się. Pociągnął wiedźmę ku skałom, po których zwinnie wspinała się Maya. Evan pomagał dostać się na górę Markowi. Jagoda posłusznie ruszyła za Calebem, choć gorączkowo myślała o tym, jak go przekonać.

Żyje. Jeszcze.

Brzmiało to, jakby ten stan rzeczy mógł ulec zmianie w każdej chwili.

– Chodź tutaj. Podsadzę cię i Evan cię podciągnie…

– O co chciałeś mnie prosić, kiedy zażądałeś przysługi? – spytała.

Blythe obrócił się w jej stronę, nagle czujny.

– Skąd wiesz, że chciałem prosić o coś konkretnego?

Nie wiedziała. Podejrzewała to, bo gdy już trochę Caleba poznała, nabrała przekonania, że był człowiekiem przewidującym i nie pomógłby tylko dla przysługi, o której oddanie zamierzał prosić. Ponieważ umknął przed Danielem prosto na próg jej mieszkania, a więc musiał być tam już wcześniej. Nie zrobiłby tego bez powodu.

Evan zawołał ponaglająco z góry, Caleb odkrzyknął mu, by poczekali. To wystarczyło Jagodzie, by zyskała pewność. Nie myliła się: Uczeń Czarnoksiężnika wciąż czegoś od niej chciał.

Może w innych okolicznościach byłaby tym rozczarowana. W tej jaskini jednak, pełnej cieni, starej magii i śmierci, kilka chwil po tym, jak zabiła człowieka, którego znała, niewiele ją to obchodziło.

– Co to było?

– Zdjęcie klątwy – wyjaśnił w końcu. – Rzuconej przed laty przez mojego nauczyciela.

Jacob Red. Czerwony Rozpruwacz. Klątwa tak silna, że nawet Uczeń Czarnoksiężnika jej nie sprostał. Jagoda milczała przez kilka uderzeń serca, nim zadała kolejne pytanie.

– Czy jej zdjęcie może wywołać apokalipsę, wypuścić na świat demony albo będzie wymagało ode mnie krwawych ofiar?

– Zawsze podejrzewasz mnie o wszystko, co najgorsze – odparł, uśmiechając się przy tym ze zmęczeniem. – Nie.

– W takim razie znajdź i oddaj mi Antoniego, całego i zdrowego, a zrobię co w mojej mocy, żeby zdjąć tę klątwę.

Caleb wciąż się uśmiechał, jakby trochę ironicznie. Nie odpowiedział od razu, zapewne tylko dlatego, że ona na to niecierpliwie czekała. Jedną ręką wciąż trzymał jej dłoń, drugą otoczył talię Jagody i przyciągnął ją ku sobie.

– Chcesz znów wchodzić w targi z czarnoksiężnikiem?

– Właśnie złożyłam mu ofertę.

Roześmiał się. Dźwięk dziwnie rozbrzmiał w tym miejscu, odbił się echem, po czym umilkł, niby ucięty nożem. Choć Caleb dostał, czego chciał, w śmiechu brakowało wesołości i Jagoda mogłaby przysiąc, że w jego oczach mignął gniew.

– W takim razie ją przyjmuję. Muszę tu coś dokończyć i znajdziemy twojego drogiego Bieleckiego. Nie licz, że to doceni, ale twój wybór. Chodź, podsadzę cię. Evan! *Help her! Don't wait for me!* – zawołał, pomagając Jagodzie wspiąć się na skały.

Kiedy Evan wciągnął ją na górę, obejrzała się jeszcze przez ramię, nim ruszyła do wyjścia. W wygasającym blasku zaklęcia dostrzegła Caleba, który wciąż stał na dole – i coś, co na krótki moment wynurzyło się z jeziora, by zaraz znów zniknąć pod powierzchnią.

***

Jagoda drogę powrotną przeszła jak we śnie, z trudem wlokąc się za resztą. Noga z każdym pokonanym metrem bolała coraz bardziej i wiedźma nadążała chyba tylko dlatego, że Maya i Evan holowali półprzytomnego Marka. W pewnym momencie gdzieś za nimi rozległ się huk, tunele zatrzęsły się tak mocno, że wszyscy czworo się przewrócili. Jagoda oczekiwała, że zaraz strop zawali się im na głowy. Nic takiego się jednak nie stało, ledwo zaś dotarli do mieszkania, dogonił ich Blythe, cały pokryty pyłem.

Nie spytała, co zrobił, nie nagabywała go też o Antoniego. Gdy rozmawiał z Mayą w niezrozumiałym dla niej języku, a Evan zabrał Marka do sąsiedniego pomieszczenia, usiadła na kanapie i wyciągnęła telefon, sprawdzając wiadomości, które zaczęły przychodzić, ledwo odzyskała zasięg. Przekonała się przy okazji, że choć na zewnątrz robiło się ciemno, od chwili, kiedy weszła do podziemi, minęła tylko godzina. Zdawało się jej, że upłynęło znacznie więcej czasu.

Dostała mnóstwo SMS-ów od Soni, panikującej, że zaklęcie lokalizujące wskazało zbyt ogólny obszar. Wciąż więc go nie znaleźli. Wiadomość od Krystiana z informacją, że ścigający Adriana oddział wszedł w pułapkę, ale zdołali wyrwać się bez strat, teraz część funkcjonariuszy obserwowała okolice Syreniej Pokusy, a część poszła śladem Potockiego. Trzy nagrania na poczcie głosowej, od babki, wuja i Sebastiana, to ostatnie sprzed kwadransa. Parę nieodebranych połączeń od Mariusza Olchy. Zaczął dzwonić ledwie kilka minut temu: pewnie dopiero odebrał jej wcześniejsze wiadomości.

Kiedy sprawdzała telefon, Maya i Blythe wyszli. Jagoda również mogłaby po prostu odejść. Ale była przemarznięta i zmęczona, a Uczeń Czarnoksiężnika obiecał, że znajdzie Antoniego.

– Jest gdzieś w drugiej dzielnicy… pewnie na granicy z pierwszą, skoro tam miała zostać złożona ostatnia ofiara – poinformowała Caleba, kiedy wrócił.

Soni odpisała krótko „znajdziemy go", bratu posłała równie lakoniczne „jestem cała, Adrian nie żyje, zgłoszę się za godzinę". Wiedziała, że powinna się też skontaktować z Mariem, ale po pierwsze, brakowało jej sił na konfrontację, a po drugie, nie była pewna, do kogo później dotrze ta wiadomość.

– Za to przynajmniej kilkunastu funkcjonariuszy z Mrocznej Magii jest tutaj – skwitował Blythe. – Właśnie wdarli się pod siódemkę. Prawdopodobnie spróbują zejść do podziemi. Masz z tym coś wspólnego?

Wzruszyła ramionami. Miała. Wysłała kilka wiadomości, zanim zeszła w dół. Nie zamierzała jednak się do tego przyznawać. Poza tym wątpiła, aby informacja od niej wystarczyła do oderwania WMM od dotychczasowych zadań. Zwłaszcza jeśli chodziło o kamienicę należącą do Zbigniewa Potockiego.

– Raczej ściągnęło ich tutaj trzęsienie ziemi albo przyszli śladem Adriana. Przecież wiedzieli, że tu jest wejście. Byli tam.

– Taaak, i sądzili, że jest zasypane i zablokowane magią – stwierdził Caleb. – Nie ruszaj się stąd. Nie wracaj do domu. Nie próbuj wchodzić na górę. Są tam zabezpieczenia i coś może wybuchnąć ci w twarz. Możesz skorzystać z łazienki, jest za tymi drzwiami. Weź sobie ręcznik z szafki. Zostawię ci tutaj suchą koszulę. Wszystko jasne?

– Jasne.

Nie miała najmniejszej ochoty szukać teraz tajemnic czarnoksiężnika i jego towarzyszy, a przeczuwała, że jeśli trzymali tutaj coś podejrzanego, było to dobrze ukryte. Nie pytała nawet, w jaki sposób Caleb planował znaleźć Antoniego. Mogła mieć tylko nadzieję, że zdoła tego dokonać. Jakimś cudem, mimo walki w podziemiach i tego, że wcześniej poświęcił wiele energii na unicestwienie bariery, sprawiał wrażenie zaledwie zmęczonego. Wyglądał dużo lepiej nie tylko od Jagody, ale też od Mai i Evana. Jego możliwości wykraczały daleko poza to, co powinien móc zrobić przeciętny czarodziej.

– Zadzwonię, kiedy go znajdę.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. Zawarliśmy umowę.

Skinęła głową. Nie nalegała, że pójdzie z nimi. W tej chwili tylko by zawadzała.

Gdy wyszedł, faktycznie wzięła z łazienki ręcznik, by wytrzeć mokre włosy, zmieniła wilgotny sweter na zbyt dużą koszulę. Skórę na głowie miała rozciętą, ale raczej płytko. W znacznie gorszym stanie była noga: spodnie przesiąkły krwią, a rana ciągnęła się przez całe kolano, w jednym miejscu sięgając aż do kości. Rozcięcie bolało, kończyna zaczęła drętwieć. Jagoda, ze swoimi mizernymi umiejętnościami w zakresie uzdrawiania, nie odważyła się sama próbować leczenia.

Telefon odzywał się co jakiś czas, sygnalizując kolejne połączenia i SMS-y, ale nie reagowała, zbyt otępiała. Przed oczami wciąż miała demona, zarys postaci syreny i przede wszystkim nieruchomą twarz Adriana. Myślała o Antonim i ostatnich słowach, jakie do niej wypowiedział: to ona wybrała swoją zemstę. Może miał rację, bo i teraz to właśnie jej pragnęła.

Ktoś powinien za to wszystko zapłacić. Za każdą śmierć, do jakiej doszło. Sprawca w teorii zginął, podobnie jak demon, a jednak Jagoda uważała, że to za mało. O wiele za mało. Jej myśli co rusz biegły ku Zbigniewowi Potockiemu. Może niesłusznie, ale to jego zaczęła obwiniać za wszystko, co się stało. Demon był zbyt nieludzki, aby zemsta na nim przyniosła jakąkolwiek satysfakcję, a nie chciała i nie potrafiła uznać Adriana za winnego.

Usłyszała hałasy na podwórku, a gdy z trudem przeszła przez pokój, by wyjrzeć przez okno, dostrzegła kręcących się po wewnętrznym dziedzińcu ludzi, prawdopodobnie funkcjonariuszy. Widziała przez szybę, jak wchodzą do budynku, otwierając najpierw pierwsze, potem drugie drzwi. Te wiodące do mieszkania Caleba jednak pominęli, jakby ich nie dostrzegali. Najwyraźniej zostały zabezpieczone tak, że nawet WMM nie zdołało dostać się do środka.

Jagoda rozważała, czy nie powinna do nich wyjść. Powstrzymało ją jednak wspomnienie Ernesta i Zbigniewa Potockiego. Skąd mogła wiedzieć, wobec kogo była lojalna ta grupa? Co takiego się stało w kamienicy numer siedem? Dlaczego przeszukiwali sąsiednie domy? Wiedźmę nawiedziła myśl, że babka i prababka miały rację. Zawsze powtarzały, że liczy się tylko rodzina. I chociaż Jagoda tak bardzo chciała się odciąć od Wilczków, od ich podejrzanych interesów, politycznych gierek i prób kontrolowania wszystkich członków familii… tu i teraz mogła zaufać wyłącznie krewnym.

Telefon zadźwięczał, sygnalizując kolejną wiadomość. Jagoda odczytała ją i usiadła wprost na podłodze, opierając się o ścianę, przepełniona ulgą.

„Mamy go. Ranny, ale żywy. Zostawię go pod domem Wilczków. Evan twierdzi, że przy kamienicy są funkcjonariusze. Odwiozę cię, kiedy znikną”.

***

Caleb i Maya pojawili się dwie godziny później, skryci pod zaklęciem. W ciemnościach mogli uchodzić za jeszcze jeden cień. Tym samym czarem Blythe spowił Jagodę, by ją wyprowadzić. Wprawdzie nikt nie kręcił się już na podwórzu, ale kiedy wyszli na ulicę, wiedźma mogła dostrzec ludzi i magiczne światła pod kamienicą numer siedem. Nie zobaczono ich jednak – może dlatego, że nikt nawet nie próbował patrzeć w tę stronę – i bez większych przeszkód dotarli na sąsiednią ulicę, gdzie

Blythe zostawił samochód. Milczeli w drodze przez centrum i później, gdy wyjeżdżali z enklawy. Dopiero w niemagicznej części Warszawy Caleb przerwał ciszę.

– Nie masz żadnych pytań?

Spoglądała przez okno, na ulice miasta zalane blaskiem latarni i neonów. Minęła dopiero dwudziesta pierwsza, nie brakowało więc przechodniów, przez witryny kawiarni i pubów dało się dostrzec siedzących w środku ludzi. Czasem migali jej nawet przebierańcy, głównie dzieci, ale wypatrzyła też grupę nastolatków w strojach wiedźm, duchów i demonów. Ten zwykły świat nigdy nie zdawał się jej tak daleki, choć żyła przecież po niemagicznej stronie od wielu lat.

– Za wiele, aby zadawać je wszystkie.

– W takim razie, zgodnie ze zwyczajem, wybierz trzy – zasugerował.

Zerknęła na niego krótko, nim odwróciła wzrok, by znów patrzeć na ulicę, auta i tramwaje. Nie pojmowała, w co Caleb tym razem pogrywał. Brzmiało to niemal, jakby chciał na te pytania odpowiedzieć – a dotąd nie był skory dzielić się wiedzą. Nie za darmo.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego zachęcasz mnie do pytań?

– Okej, to ostatnie pytanie, jakiego się spodziewałem – przyznał. – Bo jeśli ich nie zadasz, będziesz się nad nimi zastanawiała. Szukała własnych odpowiedzi, które mogą być dalekie od prawdy. Jesteś mi winna zdjęcie klątwy i może będzie z tym łatwiej, jeśli teraz wyjaśnię parę rzeczy.

– I tak nie będę wiedziała, czy powiesz prawdę.

– A czy choć raz skłamałem?

Słowo „tak” cisnęło się na usta, ale gdy się nad tym zastanowiła, musiała przyznać, że odpowiedź powinna brzmieć „nie”. Caleb Blythe nigdy nie okłamał jej wprost, nawet jeżeli powiedzenie prawdy było mu nie na rękę. Ukrywał wiele rzeczy, wykręcał się, niby elfy z legend, którym nie wolno było skłamać, ale które potrafiły wypaczyć znaczenie wypowiedzianych słów. Nie przyłapała go jednak na kłamstwie.

– Czego naprawdę chciałeś z tych podziemi?

– Demonicznej esencji. Nie masz pojęcia, jak ciężko jest w tych czasach znaleźć wyższego demona. Przez ostatnie trzy lata szukaliśmy jakiegoś po całym świecie, a znajdowaliśmy same płotki.

Powiedział to zwyczajnym tonem, zupełnie, jakby mówił o pogodzie. Gdy Jagoda na niego spojrzała, zaskoczona tą odpowiedzią, nie dostrzegła, by wyraz jego twarzy zmienił się choćby o jotę.

– Przy okazji powstrzymanie potwora przed zniszczeniem miasta też wydawało się niezłym pomysłem, bo wcale nie lubię tańczyć na zgliszczach, a w Warszawie jest kilka osób, na których mi zależy.

– Myślałam, że… interesowała cię ta moc, o której wspomniałeś. Jezioro.

– To pytanie?

– Nie.

Nie była jeszcze pewna, o co chciała spytać. Mogła dostać jeszcze tylko jedną odpowiedź, a samych pytań naprawdę miała za wiele: tysiąc i jedno. Do czego potrzebował demonicznej esencji, kim byli jego towarzysze, w jaki sposób znalazł Antoniego? Co wiedział o Zbigniewie Potockim i jaką klątwę miała zdjąć?

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że mnie nie interesowała. Tyle że od początku podejrzewałem, że albo wykorzystano całą magię tego źródła, żeby spętać demona, albo została przez niego skażona. Miałem rację. Zbigniew Potocki za swoją pomoc może dostałby nieśmiertelność albo moc, o których marzył… ale przyszłoby mu za to zapłacić więcej, niż sądził. W każdym razie klątwa ostatecznie pozbawiła źródło mocy, a ja zawaliłem jaskinię, tym razem całkowicie.

Darmowa odpowiedź. Jagoda pomyślała o czarnoksiężnikach z baśni: nikomu nie dawali darów bez powodów. Być może Caleb właśnie to chciał jej powiedzieć: nie zabrał niczego z podziemi, nie zyskał nowych mocy, nie stał się nieśmiertelny. Nie zdobył kontroli nad armią demonów i nie wypuścił na świat nowego niebezpieczeństwa. Nie był złym czarownikiem z bajek.

Może naprawdę nazbyt podejrzliwie się do niego odnosiła.

– Jakie interesy łączą cię z moją babką?

– Merlinie – parsknął Caleb z odrobiną rozbawienia w głosie. – To byłoby przedostatnie pytanie, jakiego bym się spodziewał. Dlaczego nie spytasz jej?

– Bo targowanie się z nią o odpowiedzi byłoby jeszcze gorsze niż targi z czarnoksiężnikiem – przyznała Jagoda niechętnie. Joanna Wilczek kochała swoje wnuki i była gotowa służyć im pomocą. Ale zawsze oczekiwała czegoś w zamian. – Nie lubi cię, uważa, że przyłożyłeś rękę do śmierci jej matki, kazała mi się trzymać od ciebie z daleka, a jednak utrzymuje z tobą kontakty.

– Kazała? – spytał Caleb, i w jego ton wkradł się chłód, a Jagoda pojęła, że popełniła błąd.

– Powiedzmy, że mnie ostrzegała… że trzeba na ciebie uważać.

– O czym doskonale wiesz sama – skwitował.

Wyjechali już z miasta na przedmieścia, skąd wkrótce na prawo odbijała boczna droga w okolice rezydencji Wilczków.

– Nieważne. Odpowiesz czy nie?

– To ironiczne, ale Jacob Red miał dwóch spadkobierców. Mnie i Daniela. Część jego prywatnego majątku zarekwirowano, ale po śmierci Dana rodzinna firma Redów jest nominalnie moja. Przed dwoma laty nawiązała współpracę z WilCom. A kiedy odwiedziłem wasz dom? Zaprosiła mnie, żeby porozmawiać o interesach, chociaż oczywiście tak naprawdę chodziło o labirynt. Twoja babcia to… urocza kobieta.

Dwa lata temu. Niedługo przed tym, jak sama skontaktowała się z Calebem, prosząc o namiary na dom prababki. Nie wiedziała, czy była to paranoja, czy zdrowy rozsądek, ale miała problemy z uwierzeniem, że to przypadek.

Klątwa Jacoba Reda. Zadała już trzy pytania, dziś więc nie miała się dowiedzieć, jakie przekleństwo rzucił Czerwony Rozpruwacz. Pewnego dnia jednak dostanie tę odpowiedź. Czy będzie tego chciała, czy nie.

– Możesz być jednym z najpotężniejszych magów świata, ale na twoim miejscu nie drażniłabym mojej babki. Jeśli uwierzyłeś, że naprawdę chce rozmawiać o interesach, to byłeś naiwny.

– Wiedziałem, że chce mnie wypytać o to, do czego doszło w labiryncie, ale nie było cię w mieszkaniu i chciałem sprawdzić, czy żyjesz. Przyjąłem więc zaproszenie. A na niedrażnienie jej już za późno. Jestem prawie pewny, że groziła mi śmiercią, chociaż oczywiście zrobiła to bardzo kulturalnie.

Ciekawiło ją, czym konkretnie rozzłościł babkę. Powstrzymała się jednak. Podarował jej trzy pytania. Poza tym nie była pewna, czy chce poznać odpowiedź. W głowie miała zbyt duży zamęt.

– Jaga?

– Mhm?

– Joanna… twoja prababka zamierzała znów przenieść mnie do swojej enklawy – powiedział sucho, patrząc na jezdnię. – A ja nie zamierzałem na to pozwolić. Postanowiłem od niej uciec, przyłapała mnie na tym i doszło między nami do walki. Użyłem wszystkiego, czym wtedy dysponowałem. Nie wiem, jak mocno ją zraniłem i czy to skróciło jej życie. Nie planowałem zabić Joanny. Ale nie mogę powiedzieć, że postąpiłbym inaczej, gdybym mógł. Zrobiłbym wtedy wszystko, żeby nie dać się zatrzymać, a ona też się nie hamowała.

Jagoda przymknęła powieki, niepewna, jak zareagować.

Zrobiłeś coś, co doprowadziło do śmierci Joanny Wilczek?

Być może.

Nie „nie”. Nie „tak”. Możliwe, że sam nie wiedział.

Przez ułamek sekundy kusiło ją, by spytać, dlaczego jej to mówi – i jeżeli chciał, żeby wiedziała, to dlaczego, do cholery, nie wyjaśnił wszystkiego od razu. Tylko czy dała mu na to szansę? Czy byłaby wtedy skłonna wysłuchać tłumaczeń, wstrząśnięta rewelacjami, jakimi zarzuciła ją babka?

I czy tłumaczenia Caleba miały obecnie znaczenie?

– Rozumiem – odparła w końcu, równie beznamiętnie jak on. – Nie mogę cię za to winić. Pewnie postąpiłabym tak samo.

Zamilkli oboje – cisza panowała tak długo, że zdążyli wyjechać z jasno oświetlonych, warszawskich ulic i zbliżyć się do terenów podmiejskich. Caleb odezwał się dopiero, kiedy skręcił

w drogę ku posiadłości Wilczków.

– Nie sądzę, aby Potocki został za to ukarany. Ja zniknę z miasta na jakiś czas, ale ty powinnaś być… bardzo ostrożna. Skontaktuję się z tobą za parę tygodni.

– Martwisz się, że dam się zabić, zanim zdejmę twoją klątwę? – spytała.

– Trochę. Czasem odnoszę wrażenie, że masz skłonności autodestrukcyjne.

– Mówi to człowiek, który od trzech lat szuka wyższego demona. Zaledwie z trójką ludzi.

– *Touche* – mruknął, podjeżdżając pod bramę. Zgasił silnik. – Na swoje usprawiedliwienie powiem, że w tej jaskini był najsłabszy, zwłaszcza że większość sił przeznaczał na kontrolowanie Adriana. Gdyby syrena… i Adrian się nie wmieszali, dorwalibyśmy go. Za to jeśliby wyszedł, nabrałby sił, i z każdą pożartą osobą stawałby się potężniejszy.

Wyobraziła sobie stwora wychodzącego w centrum enklawy. Pożerającego kolejnych magów. Rosnącego w siłę.

Powstrzymaliby go, prędzej czy później. Nie byli już małą grupką magów zamieszkującą gród. W Warszawie żyły tysiące czarodziejów, w całej Polsce było ich jeszcze więcej. Mieli WMM i inne jednostki, wyszkolone, zobowiązane do reagowania w takich przypadkach. Ale zanim zdołaliby się zorganizować i pokonać demona, zginęłyby dziesiątki, może setki ludzi.

– Uniknęliśmy więc najgorszego zakończenia.

– Uważasz, że to jest szczęśliwe? – spytał Caleb, przypatrując się jej bacznie.

Pokręciła tylko głową. Jakby mogła tak sądzić, skoro wciąż pamiętała o drobnym ciele w szkole Sobieskiego? O pełnych przerażenia oczach Adriana, o jego ręce, wiotczejącej w jej uścisku?

– Cóż… nie dla każdego – przyznał Blythe i uśmiechnął się nieznacznie, ledwo unosząc kąciki ust. – Ale ty ostatecznie wracasz do domu, do rodziny i do ukochanego. Jak w bajkach.

– Gadasz bzdury – mruknęła tylko, gdy odpinała pas. Nie próbowała zaprzeczać, zrobiła to już raz i nie widziała sensu w ciągłym tłumaczeniu się. Sięgnęła ku klamce, zawahała się jednak, nim otworzyła drzwi. – Caleb?

– Kolejne pytania?

– Nie. Wszystkiego najlepszego. Życzę ci, aby kolejne urodziny były bardziej udane niż te. Bez walk z demonami. Może z jakimś przyjęciem, tortem i prezentami.

Otworzył oczy nieco szerzej, zaskoczony. Uśmiechnęła się do niego blado. Zapamiętała tę datę głównie dlatego, że urodziny w Samhain pasowały do Ucznia Czarnoksiężnika.

– Skoro pamiętałaś, mogłaś przygotować jakiś upominek. Ja dałem ci prezent.

– Pewnie tak, ale z powodu tych wszystkich demonów, aresztowań, pobytów w szpitalu i porwań trochę wyleciało mi z głowy – przyznała, choć sądząc po kpinie w głosie Blythe'a, nie mówił poważnie. – Przyjmujesz prezenty pocztą? Jakie upominki daje się czarnoksiężnikom? Wypchane nietoperze? Krew banshee? Koszulkę z Darthem Vaderem?

Sięgnął ku niej, oplatając jej talię. Mogłaby się wyrwać; zastygł tak na moment, jakby czekał na reakcję. Nie zrobiła tego jednak. Caleb przyciągnął ją do siebie, przycisnął usta do jej warg, mocno, gwałtownie, w pierwszej chwili prawie boleśnie, a ona oddała pocałunek. Jedna z jego dłoni wplątała się w jej włosy, druga przesuwała się po plecach Jagody, pasku skóry pomiędzy bluzą i spodniami, a ten dotyk zdawał się parzyć.

Przerwał pocałunek szybko, ale nie od razu wypuścił ją z ramion. Dzieliły ich teraz tylko centymetry. Oczy Caleba zdawały się ciemniejsze, wyraz twarzy miał jednak nieprzenikniony.

– Uznajmy to za prezent – stwierdził, rozluźniając uścisk.

Cofnęła się gwałtownie i otworzyła drzwi. Wysiadła bez słowa, zła, trochę na niego, trochę na siebie, z myślami zmąconymi do tego stopnia, że dopiero po paru krokach uświadomiła sobie, jak bardzo boli ją noga. Otworzyła furtkę: ochronne zaklęcia ustąpiły pod jej dotykiem. Wciąż nie słyszała odpalanego silnika, ale stłumiła odruch, żeby się obejrzeć. W domu Wilczków światła paliły się w niemal wszystkich oknach.

Tadeusz musiał wyczuć pojawienie Jagody, bo nim powoli pokonała kilka metrów, drzwi się otworzyły, a potem wybiegła ku niej najpierw Liliana, później Sonia. Za nimi w progu dostrzegła też babkę i Sebastiana.

Kiedy prosto w wyciągnięte ramiona Jagody wpadła siostra, a ledwo sekundę później Sonia objęła je obie, wiedźma pomyślała, że Caleb miał rację. Mimo wszystkiego, co się stało, ona doczekała się swojego szczęśliwego zakończenia.

EPILOG

WYBÓR

Drzwi do mieszkania zostały wymienione i zabezpieczone podstawowym zaklęciem, to jednak był dopiero początek napraw. Jedynym pomieszczeniem, które zachowało się nietknięte, okazała się sypialnia Jagody. Przetrwał także pokój Soni – wprawdzie drzwi szlag trafił, a rykoszet jednego z czarów wpadł do środka, rozwalił biurko i sprawił, że pękła szyba, ale na tym kończyły się zniszczenia. Przynajmniej nie straciły rzeczy osobistych.

Przedpokój wymagał jednak generalnego remontu, a salon… właściwie wybudowania od nowa. Okno było potłuczone, ściana oddzielająca pokój od łazienki pękła, druga była poczerniała, większość mebli poszła w drobny mak. Regał się przewrócił i połamał, może na całe szczęście, bo dzięki temu przetrwało kilka książek. Sufit pokrywały rysy, w podłodze, w miejscu kręgu, ziała niewielka dziura: szczęśliwie nie na wylot do sąsiadów. Niewiele lepiej było w łazience, gdzie po pęknięciu ściany uszkodzeniu uległ prysznic, nie wspominając o odpadających płytkach. Kuchnię, pozbawioną drzwi, wypełnił pył.

Jagoda w ponurym nastroju oceniała zniszczenia. Wcześniej miała zbyt wiele na głowie, by przejmować się uszkodzeniami, ale teraz, kiedy się do tego zabrała, liczby okazały się nieubłagane. Na doprowadzenie mieszkania do stanu używalności potrzebowała kilkudziesięciu tysięcy złotych, porządnej ekipy remontowej i kilku miesięcy. Nie miała żadnej z tych trzech rzeczy. Praca wiedźmy klątw pozwalała jej się utrzymać, ale nie była opłacalna na tyle, aby Jagoda mogła wiele odłożyć, zwłaszcza że ledwie kilka miesięcy temu kupiła za gotówkę samochód. Nikt też nie nagradzał finansowo za ratowanie warszawskiej enklawy. Choć do prasy przedostała się część informacji o wydarzeniach w lochach – według nich Caleb i Jagoda powstrzymali Adriana Potockiego przed złożeniem ofiary i zniszczeniem osłon enklawy – nie było to coś, za co mogłaby dostać zapłatę. Cała historia nie sprawiła, że klienci zaczęli walić drzwiami i oknami, bo po prostu ludzie stosunkowo rzadko obrywali klątwami na tyle silnymi, by potrzebowali specjalisty. Ba, choć Witkowski po akcji w Batorym i zakończeniu fali morderstw okrzyknął ją na łamach „Głosu Magii" bohaterką, to gdy wczoraj wpadła w domu na gości babki, ci prawie uciekli na jej widok. Jak wyjaśnił potem Sebastian – bardzo tym rozbawiony – zaczęły krążyć plotki, że nawet demony nie radzą sobie z klątwami Wilczej Jagody.

Może powinna być wdzięczna, że nie skończyła za kratkami za zabójstwo Adriana. Nikt jednak nie wniósł oskarżeń. Niestety, podobnie jak przeciwko Zbigniewowi Potockiemu. Nie było żadnych dowodów jego zbrodni, poza domysłami i poszlakami. Na tyle słabymi, że nawet Witkowski nie wyciągnął ich w żadnym ze swoich artykułów. Potockiego oskarżano jedynie o nadużywanie swojej pozycji, by ukryć udział krewnego w sprawie, i naciski, aby łagodnie traktować prawnuka przy zatrzymaniu.

Wiedźma przysiadła na środku salonu, wodząc spojrzeniem po zniszczonych ścianach. Chciało się jej płakać, ale nie pozwoliła, aby łzy popłynęły. Powtarzała sobie, że sytuacja nie jest beznadziejna. Mogła na razie pozostać w domu prababki… musiała tylko koniecznie, ale to koniecznie wymyślić sposób na dociągnięcie tam internetu. Wielu ludzi przecież marzyło o czymś takim: własna podmiejska rezydencja, w dodatku z oddanym służącym, dla którego praca stanowiła sens istnienia. Było tam dość miejsca dla niej i dla Soni.

Mimo to ciężko było pogodzić się z tym, jakim zniszczeniom uległo mieszkanie, które przez ostatnie lata stanowiło jej azyl.

Kiedy ktoś zadzwonił do drzwi, nie wstała od razu. Zakładała, że to któryś z sąsiadów dostrzegł, jak wchodziła do mieszkania, i miał wiele pytań oraz jeszcze więcej pretensji. Podejrzewała, że opowieści o tym, jak to pod dwunastką doszło najpierw do mafijnego, a potem do policyjnego nalotu, krążyły już nie tylko po całym bloku, ale i po osiedlu. Intruz jednak nie rezygnował, naciskał dzwonek raz po raz, aż Jagoda wstała i ruszyła do przedpokoju. Z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że za drzwiami stoi Mario Olcha.

– Co się dzieje? Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – spytała, ledwo otworzyła zamek. Nie widziała komendanta WMM przez ostatnie siedem dni, które upłynęły od walki w podziemiach. Nawet jej zeznania przyjmowała Maeve.

– Od twojej uczennicy.

– Soni?

– A masz jakąś inną? Wpuścisz mnie?

– Tak. To znaczy nie. Nie na pierwsze pytanie, tak na drugie – wymruczała, pozwalając mu wejść.

Stała przez moment niezdecydowana, dokąd go poprowadzić. Salon do niczego się nie nadawał, kuchnia była pełna pyłu, jej sypialnia zaś niewielka i dało się w niej usiąść tylko na łóżku. Ostatecznie ruszyła ku pokoikowi Soni: tam przynajmniej ocalała kanapa.

– Przepraszam za warunki, ale pewien opętany mag zniszczył mi mieszkanie. Dlaczego dzwoniłeś do Soni, nie do mnie?

Sam fakt, że udzieliła mu tych informacji, jakoś Jagody nie dziwił. Sonia prawdopodobnie powiedziałaby Mariuszowi Olsze wszystko, o co tylko zechciałby spytać.

– Nie dzwoniłem do niej. To ona zadzwoniła. Trzy dni temu poprosiłem, żeby dała mi znać, kiedy opuścisz dom Wilczków. Ponieważ ktoś, prawdopodobnie twoja babka, która, nawiasem mówiąc, nie pozwoliła się z tobą kontaktować pod groźbą pozwu, nie tylko zablokowała w twoim telefonie mój numer, ale chyba też jakoś go zaklęła. Mogłem niby prosić, żeby Sonia poprosiła cię do swojego telefonu, ale pewnie ktoś by podsłuchiwał – wyjaśnił Mario, idąc za Jagodą.

Zahamowała gwałtownie na te słowa, po czym szybko wydobyła komórkę z kieszeni. Nie wyczuwała od niej żadnej magii, ale kiedy sprawdziła skrzynkę, odkryła, że połączenia z nieznanych numerów są zablokowane, a na czarną listę trafił nie tylko Mariusz, lecz także Maeve, Krystian i nawet numer Adriana, już nieaktywny.

– Zabiję ją.

– Wtedy ja albo moi koledzy z Wydziału Przestępstw Magicznych będziemy musieli cię aresztować – pouczył ją Mario.

– Ona sądziła, że się nie zorientuję? – spytała z niedowierzaniem Jagoda, wchodząc od pokoju Soni, by opaść na kanapę. – Przecież mnie zna! Musiała wiedzieć, że będę wściekła!

– Grała na czas – poinformował Olcha i usiadł bez zaproszenia.

Pierwszy raz od paru tygodni wyglądał… zupełnie normalnie. Nie było po nim widać oznak zmęczenia, ubranie miał porządne i nawet ostrzygł włosy, okiełznując charakterystyczne dla klanu Olchów kasztanowe, sterczące na wszystkie strony kosmyki. Zdawał się też spokojniejszy, jakby wreszcie z ramion zdjęto mu ciężar ponad siły. Kąciki jego warg uniosły się lekko i do Jagody dotarło, że nie pamięta, kiedy ostatni raz widziała uśmiech Maria.

– Bo?

– Ponieważ mam dla ciebie ofertę pracy, która się jej nie podoba. A jeżeli nie znajdę kogoś do poniedziałku, będę musiał przyjąć narzuconego mi kandydata, niejakiego Jeana Matthieu.

Uniosła wzrok na Olchę, niepewna, czy się nie przesłyszała. I czy dobrze zrozumiała.

– Proponujesz mi pracę w WMM?

– Przecież nie w piekarni.

– Przestań żartować – syknęła, prostując się. – Chcesz zatrudnić mnie w WMM. Pamiętasz, jak mam na nazwisko? Kto był moim ojcem? Co ostatnio się stało? Nawet mi nie ufasz!

– Tak, ale Jeanowi Matthieu nie ufam bardziej.

– Chodzi o Marbota? To światowej klasy specjalista – wykrztusiła, bo gdy powtórzył nazwisko po raz drugi, wreszcie przypomniała sobie, skąd je kojarzy. Był znacznie lepszy niż Adrian, może równie dobry jak Jagoda, w dodatku starszy i z większym doświadczeniem.

– Którego bardzo uparcie chce mi wepchnąć Czarnecki, z Zawickimi i Potockim do spółki. A także z Joanną Wilczek, która wyjątkowo zwarła z nimi szyki, bo chyba uważa, że chcę cię zatrudnić, żebyś szybko zginęła w jakimś wypadku.

Milczała, a oszołomienie walczyło w jej duszy z gniewem. W pierwszej chwili zamierzała odrzucić ofertę. Nigdy nie chciała pracować w WMM. Wykonywanie rozkazów nie leżało w jej naturze. Nie ufała Mariuszowi, a jeszcze mniej jego przełożonym. Jednak wściekłość na babkę i myśl o tym, że Zbigniewowi Potockiemu zależy, aby zatrudnić właśnie Marbota, sprawiały, że zaczęła się wahać. Mario musiał to wyczuć, bo znów się do niej uśmiechnął, nim podjął:

– Nie mam ochoty tańczyć, jak oni zagrają. A ty?

– Nie nadaję się do tego – stwierdziła, ale w jej głosie brakowało pewności. Mario grał na odpowiedniej nucie. Była gotowa rozważyć przyjęcie oferty choćby z samej przekory. Rozumiała już, dlaczego babka i wuj tak nalegali, aby pozostała w rezydencji dłużej. Ba, może nawet uzdrowiciel, którego do niej ściągnęli, celowo nie zaleczył uszkodzonego kolana od razu i stanowczo zalecał wypoczynek… A ona głupia posłuchała, przepełniona wyrzutami sumienia, że po raz kolejny doprowadziła się do takiego stanu! – Bardzo szybko zrobię coś, co sprawi, że wylecę z hukiem.

– Tak, też tak myślę – przyznał Olcha bez cienia zażenowania. – Ale mnie to da dość czasu, żeby ściągnąć kogoś innego, a z powodu kandydatury Jeana Matthieu dostałem duży budżet. Zarobisz trzy razy tyle co na tych swoich konsultacjach. Specjalnie dla ciebie zawrzemy w umowie klauzulę o trzymiesięcznej odprawie, bez względu na powody zwolnienia. Czy to nie dobra oferta?

Poderwała się z kanapy i podeszła do okna. Najchętniej zaczęłaby krążyć po pokoju, ale pomieszczenie było na to po prostu zbyt małe. Oparła więc jedynie dłonie o parapet, wyglądając na zewnątrz. Na swoje zwykłe osiedle. Zwykły świat.

Dobra oferta.

Czy to naprawdę była dobra oferta? Wszystko, co robiła w ostatnich latach, miało pozwolić jej na uzyskanie całkowitej niezależności. Od polityki enklawy, od rodziny, od ciasnego społeczeństwa magów i jego zasad. Od odpowiedzialności za innych. Tymczasem w ostatnich miesiącach wciąż i wciąż wpadała w nowe sieci… Cała ta wolność, o którą tak długo walczyła, okazywała się zaledwie ułudą.

– Jestem winna Calebowi Blythe'owi przysługę za pomoc. Może będę musiała wyjechać.

– Blythe – prychnął Mario. – Ostrzegałem, że powinnaś trzymać się od niego z daleka.

– Gdybym posłuchała, tydzień temu być może zginąłby Antoni, a po enklawie zacząłby szaleć demon – oświadczyła, spoglądając na Olchę.

– W porządku. Dostaniesz wtedy urlop. Chociaż nie podoba mi się, że kręci się wokół ciebie czarnoksiężnik. Uważaj na niego.

– Naprawdę chcesz zatrudnić na miejsce Adriana jego morderczynię?

Odwrócił wzrok, dłonie zacisnął w pięści. To pytanie było ciosem poniżej pasa, wiedziała o tym. Adrian był nie tylko podwładnym Mariusza Olchy, ale też jego przyjacielem. Właśnie dlatego musiała je zadać.

– On zginął pod tamtym zawałem – powiedział w końcu Mario martwym głosem. – Człowiek… to coś… co się wydostało, to już nie był on.

Tym razem to ona uciekła spojrzeniem, ponownie spoglądając przez okno na osiedlowy plac zabaw. Chciałaby, żeby Mario miał rację, lecz Adrian wciąż tam był, kiedy jego ciało stało się zabawką demona. Czy oddał je dobrowolnie, czy wbrew własnej woli, w jaskini, na końcu, zdawał sobie sprawę ze wszystkiego, co się stało. Nie zdradziła jednak tego podczas przesłuchania i nie zamierzała mówić o tym teraz. Może poczułaby się lepiej, gdyby mogła powiedzieć komuś całą prawdę, lecz dla Maria to byłby tylko dodatkowy ciężar.

– Nie sądzisz, że będą chcieli się mnie pozbyć?

– W tej chwili? Nie będą szczęśliwi. Ale Potocki nie ma już kogo chronić, a zemsta nie miałaby sensu. Po tej aferze… kiedy zamknięto cię w celi i później w Batorym… Gdyby coś ci się stało, prasa zlinczowałaby go do reszty. To praktyczny człowiek. Czarnecki tak naprawdę nic do ciebie nie ma, nie chce konfliktów z Wilczkami, pewnie uległ naciskom Potockiego i swojej żony.

Nie ma już kogo chronić.

A raczej do czego dążyć.

– Taa, na tyle praktyczny, że prawdopodobnie wszedł w układ z demonem, oddając mu krewnego w zamian za… nie wiem. Szansę na nieśmiertelność?

Mario poruszył się na kanapie niespokojnie.

– Nie mamy na to dowodów – powiedział w końcu cicho. – Lepiej, jeśli nie będziesz o tym wspominać przy innych.

Obróciła się ku niemu, gotowa się kłócić, ale jeden rzut oka na zaciętą minę Olchy wystarczył, by odpuściła. Mariusz nie miał dowodów, niekoniecznie jednak oznaczało to, że nie planował ich szukać. Choć prawdopodobnie doskonale wiedział, jak małe są szanse na ich znalezienie. Osoby z najbardziej

znanych i najbogatszych magicznych rodzin były niemal nietykalne. Być może był z tego powodu równie wściekły jak ona.

– Muszę to przemyśleć. Przynajmniej do jutra. Będę wdzięczna, jeśli zostawisz mnie z tym samą. Nie patrz tak na mnie, nie mogę w to wejść tylko po to, żeby zrobić na złość babce.

– Nie, faktycznie – przyznał Mario, podnosząc się. – Ale pamiętaj, że zrobisz też na złość Potockiemu i Czarneckiemu. Tu masz przepustkę, na wypadek gdyby ktoś nie chciał cię wpuścić.

Kiedy wyszedł, spędziła dobre pół godziny na kanapie Soni, zapatrzona w sufit. Dopiero potem wstała i ruszyła do swojego pokoju. Remont, nie remont, praca w WMM czy nie, umowy zawarte z czarnoksiężnikami – i tak musiała na razie spakować rzeczy, które zabierze do domu prababki.

Dzwonek odezwał się, kiedy zamknęła już pierwszą walizkę i z bezradną miną przyglądała się ubraniom, by zdecydować, które z nich wcisnąć do dwóch pozostałych toreb. Tym razem ruszyła do drzwi od razu, a do głowy przyszło jej, że może to być Caleb. Na progu nie stał jednak Uczeń Czarnoksiężnika, lecz Joanna Wilczek.

Jagoda otworzyła jej, starannie kryjąc zaskoczenie.

– Co cię tu sprowadza, babciu? Widziałyśmy się ledwie wczoraj.

– Mam coś dla ciebie, kochanie, co zdołałam zdobyć dopiero dziś… Och. Jesteś pewna, że nie chcesz wrócić do domu? – Joanna przekroczyła próg i z ciekawością rozejrzała się po przedpokoju. Potem ruszyła wprost do salonu i zacmokała z dezaprobatą na widok zniszczeń. – Moja droga, to mieszkanie nie potrzebuje remontu, tylko cudu.

– Moje mieszkanie, mój remont, mój problem – oświadczyła Jagoda zdecydowanie, po czym uniosła telefon, machając nim babce niemal przed nosem. – Podobnie jak mój telefon i moje kontakty.

Babka nie okazała nawet tyle przyzwoitości, by udawać zakłopotaną. Westchnęła jedynie, jakby trochę zirytowana całą sytuacją.

– Tak myślałam, że cię dziś dopadnie. Miałam nadzieję, że zdołam cię przetrzymać jeszcze dwa dni.

Kiedy Jagoda była dzieckiem, w przypływie szału zdarzało się jej nie tylko rzucać klątwy, lecz także niszczyć przedmioty. Walczyła z tymi przywarami ładnych parę lat i sądziła, że z nimi wygrała. Tym razem jednak z całej siły cisnęła telefonem o ścianę, i nic ostatnio nie dało jej tyle satysfakcji co widok rozwalonego aparatu.

– I po co ten pokaz, kochanie? Teraz nie masz telefonu, a skoro czeka cię remont, powinnaś oszczędzać. Pamiętaj, że propozycja pracy w WilCom jest wciąż aktualna. Nie proponuję tego tylko dlatego, że jesteś moją wnuczką, trudno o dobrych specjalistów od klątw, a to przydatne przy zabezpieczeniach. Oferujemy wysoką pensję i kredyty pracownicze…

– Praca w WilCom mnie nie interesuje. Telefon zaklęty przez twoich ludzi też nie – przerwała jej Jagoda. – Dołączę do WMM.

– Naprawdę nie widzisz, że ten chłopiec od Olchów też tobą manipuluje? – spytała Joanna, podchodząc do rozbitego okna. Uniosła rękę i wymruczała pod nosem inkantację. Jagoda w pierwszej chwili chciała ją powstrzymać, ale ostatecznie się nie odezwała. Zabezpieczenie magiczne zostało zniszczone wraz z samym oknem, jeśli więc Joanna chciała je odnowić, niech działa.

– Doprawdy?

– Chcesz się zgodzić tylko dlatego, że są ludzie, którym ten pomysł się nie podoba – wyjaśniła Joanna. Jej dłonie tańczyły w powietrzu, układając się w skomplikowane gesty. Iskrzyła magia, gdy szybko powstawała nowa osłona. Nestorka rodziny Wilczków była jedną z najlepszych specjalistek od zabezpieczeń w Europie.

– Ale on ma przynajmniej tyle przyzwoitości, by nie udawać, że działa dla mojego dobra.

– Tak, oczywiście… Ta praca jednak nie jest tym, czego pragniesz, kochanie.

– Och, aż tak dobrze mnie znasz? – parsknęła Jagoda. Miała ochotę wybuchnąć gorzkim śmiechem. – Czego pragnę twoim zdaniem? Powrotu do domu Wilczków? Pracy w WilCom? Małżeństwa z Konradem Trzmielem?

– Jesteś moją wnuczką… i bardzo przypominasz i mnie, i moją matkę, czy chcesz to przyznać, czy nie – stwierdziła Joanna. Ton, wcześniej uprzejmy, stał się chłodniejszy, rzeczowy. Kiedy odwróciła

się do Jagody, w oczach miała lód. – Pragniesz zemsty, a raczej… sprawiedliwości. Nie dostaniesz jej, pracując w WMM.

Jagoda zacisnęła szczęki, aż zęby uderzyły o siebie z nieprzyjemnym zgrzytem.

– Jedyne sprawiedliwe rozwiązanie to śmierć człowieka, który to zaczął – odparła matowym głosem. – Wyjdź, proszę.

Przez moment sądziła, że babka posłucha. Ta jednak, choć ruszyła w stronę wyjścia z salonu, zatrzymała się przy Jagodzie, po czym wyłowiła z torebki niewielki pakunek i wyciągnęła go w stronę wnuczki.

– Co to? – spytała Wilczkówna, ujmując woreczek.

– Ulubiony sygnet, włosy, fajka, aktualna fotografia i prywatny amulet Zbigniewa Potockiego. Trudno było je zdobyć i starałam się o to od chwili, gdy prawie umarłaś w podziemiach WMM. Wiem, że krew byłaby lepsza, ale to już przekracza moje możliwości. Tobie akurat tyle powinno wystarczyć – powiedziała Joanna sucho.

Nie dodała nic więcej, ale Jagoda poczuła, jak odbiera jej dech. Cofnęła się i oparła o ścianę. Nie patrzyła na babkę. Wzrok utkwiła w niepozornym woreczku.

Na dłoni wiedźmy leżała broń, załadowana i wycelowana.

– Chcesz zrobić ze mnie… rodzinnego zabójcę? – wyszeptała z trudem.

Powinna rzucić tym woreczkiem jak telefonem o ścianę albo, jeszcze lepiej, prosto w babkę. Nie zrobiła tego jednak. Bo to było kuszące, równie, a może bardziej niż oferta Maria. Mając te rzeczy i powody, odczuwając tak silny gniew i nienawiść, mogła utkać klątwę. Śmiertelną w skutkach. Podstępną, powolną, niemożliwą do wykrycia, przynajmniej póki nie znajdą specjalisty silniejszego od niej… a nawet Jean Matthieu prawdopodobnie w ostatecznym rozrachunku nie miałby dość mocy.

Inne babki przynosiły wnukom ciasteczka. W familii Wilczków mogłoby się to zdarzyć, jeśli ciasteczko byłoby zatrute i przeznaczone dla wrogów.

– Nie, moja droga. Nie poprosiłabym cię, żebyś kogoś zabiła… jeślibyś tego nie chciała – stwierdziła babka, uśmiechając się przy tym zimno. – Daję ci możliwość usunięcia kogoś, kto zasłużył na karę, kto wciąż zagraża twojemu życiu i kto, jak wierzę, pod demonicznym wpływem częściowo oszalał, a teraz jest groźbą dla naszego społeczeństwa. Wymierzenia sprawiedliwości tam, gdzie nikt inny tego nie uczyni. Raz już to zrobiłaś.

Jagoda zacisnęła powieki. Domyślała się, że babka wie, ale nigdy o tym nie rozmawiały: o człowieku, który odpowiadał za śmierć Wawrzyńca i który zmarł na podstępną chorobę. Drgnęła, kiedy Joanna podeszła bliżej i dotknęła jej dłoni, zaciskając palce wnuczki na sakiewce.

– Byłam wtedy bardzo z ciebie dumna, kochanie – dodała, już znacznie cieplej, po czym wspięła się na palce, by ucałować czoło dziewczyny. Wargi miała chłodne. – Przypominam ci tylko, kim jesteś. Na pewno nie funkcjonariuszką WMM. Obie wiemy, że taka nie powinna robić… pewnych rzeczy. Sprawiedliwość rzadko idzie w parze z prawem. Musisz wybrać. A, pamiętaj, że w przyszłym tygodniu urządzamy urodzinowe przyjęcie Sebastiana i Liliany. Możesz zabrać swoją uczennicę.

Cofnęła się i wreszcie wyszła. Jagoda słyszała stukot obcasów Joanny w przedpokoju, potem cichy trzask zamykanych drzwi.

Usiadła na podłodze. Babka miała rację. To było nie tylko to, czego pragnęła, lecz i to, co uważała za słuszne. Gdyby nie propozycja Olchy, uległaby. Wahała się tylko dlatego, że identyfikator WMM wciśnięty do kieszeni zdawał się ją niemal parzyć. Przystępując do jednostki, musiałaby złożyć pewne obietnice. Przyrzeczenia, w których nie mieściłoby się zabijanie jednego z mieszkańców enklawy klątwą, a Jagoda Wilczek nie łamała danego słowa.

Prawą ręką wyciągnęła identyfikator i przypatrywała się to jemu, to prezentowi od babki, spoczywającemu w lewej dłoni.

Musisz wybrać.

Powolnym ruchem mocniej zacisnęła palce jednej z rąk.

POZNAJ WCZEŚNIEJSZE LOSY BOHATEROW

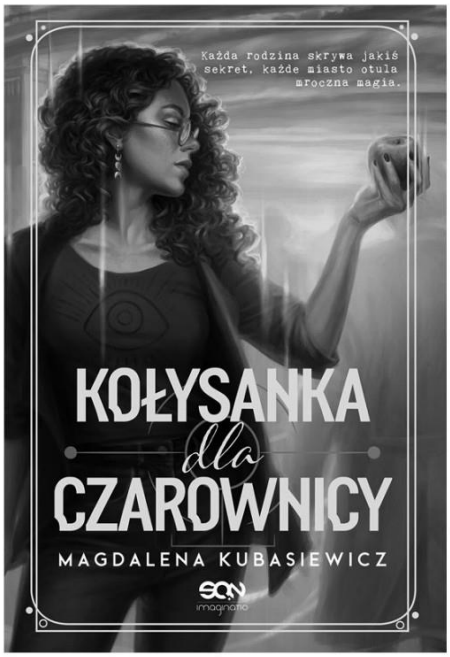

Szukaj w dobrych księgarniach

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl